

Opowiedz nam
swoją historię

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

Opowiedz nam swoją historię

100 lat niepodległości
w historii mojej rodziny

Redakcja naukowa:
Janusz Gmitruk, Tadeusz Skoczek



Mazowsze.
serce Polski

Warszawa 2022

©Copyright by Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, 2022
©Copyright by Muzeum Niepodległości w Warszawie, 2022

Wydawcy:

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
02-730 Warszawa, al. Wilanowska 204
tel./fax (22) 843 38 76, 843 78 73
e-mail: mhprl@mhprl.pl www.mhprl.pl

Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości
(Unikatowy Identyfikator 42 700)
Ul. Skazańców 25; 01-532 Warszawa
historia@muzeumniepodleglosci.art.pl

ISBN 978-83-7901-364-7

ISBN 978-83-66640-35-1

Realizacja na zlecenie wydawcy
OFI - Krzysztof Gawrychowski

Spis treści

Opowiedz nam swoją historię. Przedmowa	7
Ryszard Jasiński: <i>Pódź Haf</i> (II nagroda)	11
Adam Górski, Wojciech Weinert: <i>Rodzina Górskich w dziele odzyskania niepodległości i polityczno-społecznych przemianach w Małopolsce i Wielkopolsce w XX w.</i> (II nagroda)	51
Władysław Migoń: <i>Sto lat w historii naszych rodzin</i> (wyróżnienie)	93
Robert Jęczeń: <i>Sto lat mojej chłopskiej rodziny w niepodległej Polsce</i>	143
Maria Hyjek: <i>Ofiara życia, pracy i krwi</i>	159
Andrzej Wojtan: <i>Lata wielkich przemian</i> (wyróżnienie)	167
Maciej Bylczyński: <i>Opowiem wam swoją historię</i>	185
Joanna Szulc: <i>Sto lat – trzy pokolenia</i>	195
Franciszek Buczek: <i>Moja Biało-Czerwona</i>	215

Opowiedz nam swoją historię.

Przedmowa

Projekt konkursu „Opowiedz nam swoją historię, 100 lat niepodległości w historii mojej rodziny”, powstał w dziale Oświatowo-Naukowym Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Zarówno odezwa konkursowa jak i projekt nagród przygotował dr Ryszard Miazek pracownik Muzeum i kierownik tego działu. Po przekonsultowaniu tego projektu z dr Tadeuszem Skoczkiem – Dyrektorem Muzeum Niepodległości, Henrykiem Cicheckim – Prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy im. W. S. Reymonta, oraz z Zakładu Historii Ruchu Ludowego i Ludowym Towarzystwem Naukowo-Kulturalnym, projekt przyjęto.

Odezwa konkursowa została opublikowana w prasie, zawieszona na stronach internetowych instytucji kultury i towarzystw. „Zielony Sztandar” przez wiele miesięcy publikował odezwę konkursową. Prace miały być nadesłane do 30 grudnia 2018 roku, a ogłoszenie wyników konkursu miały zostać ogłoszone przez kapitułę 11 listopada 2019 roku.

Głównym celem konkursu było upamiętnienie największych przeżyć i dokonań konkretnych rodzin od pierwszych dni niepodległości aż po czasy współczesne. Minione stulecie należy niewątpliwie do najtragiczniejszych, a zarazem do najbardziej przełomowych okresów w historii Polski.

Ogłoszony przez nas konkurs był niepowtarzalną okazją do rodzinnych przekazów pamiątek, które są świadectwem wyjątkowych zdarzeń, poniesionych ofiar i poświęceń na różnych etapach niepodległego bytu Polski.

Zapewnialiśmy uczestników, że instytucje, które reprezentujemy mają warunki ku temu, aby dorobek konkursu został właściwie zagospodarowany. Nadesłane prace zostaną zarchiwizowane i opublikowane oraz staną się ogólnodostępne dla miłośników i badaczy historii, jako jedyne w swoim rodzaju źródło wiedzy o pokoleniu naszych dziadków, rodziców i nas samych.

Konkurs adresowany był do wszystkich Polaków mieszkających w kraju i za granicą. Objętość i forma pracy była dowolna. Na adres Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego nadsyłane były prace w wersji elektronicznej, jak i drukowane.

Nadesłane na konkurs prace oceniła kapituła i przyznała dwie nagrody II stopnia i 7 wyróżnień. Nagrodzeni zostali: Ryszard Jasiński, Wojciech Weinert i Adam Górski. Wyróżnienia otrzymali: Franciszek Buczek, Maciej Bylczyński, Maria Hyjek, Robert Jęczeń, Władysław Migoń, Joanna Alicja Szulc, Andrzej Wojtan.

Nagrody i wyróżnienia otrzymali za prace: Ryszard Jasiński, „Pódz Hat”, Adam Górski, Wojciech Wejnert. Rodzina Górskich w dziele odzyskania niepodległości i polityczno-społecznych przemianach w Małopolsce i Wielkopolsce w XX wieku”, Władysław Migoń, „100 lat historii naszych rodzin”, Robert Jęczeń, „Sto lat mojej chłopskiej rodziny w niepodległej Polsce”, Maria Hyjek, „Ofiara życia, pracy i krwi”. Andrzej Wojtan, „Lata wielkich przemian”, Maciej Bylczyński, „Opowiem wam swoją historię”, Joanna Szulc, „Sto lat – trzy pokolenia”, Franciszek Buczek, „Moja Biało-Czerwona”.

6 lutego 2020 roku w siedzibie Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu. Spotkanie prowadzili: dr Janusz Gmitruk – dyrektor MHPRL, dr Beata Michalec – wicedyrektor Muzeum Niepodległości oraz Henryk Cichecki – prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy im. W.S. Reymonta. Wraz z autorami wspomnień w spotkaniu uczestniczyli członkowie rodzin, a także znajomi. Nagrody wspólnie z organizatorami wręczał dr Ryszard Miazek.

Ryszard był od samego początku zaangażowany w przygotowaniach do druku tomu wspomnień. Jego tragiczna śmierć 29 października 2020 roku przerwała te przygotowania. Postanowiliśmy wspólnie, aby tom wspomnień „Opowiedz nam swoją historię” dedykować Ryszardowi na 75 rocznicę jego urodzin.

Jego jubileusz zamierzaliśmy zorganizować w Muzeum w nadziei, że pandemia nie będzie już groźna i nam to umożliwi. Stało się inaczej, nie mogliśmy tego przewidzieć, że zakażenie koronawirusem może mieć tak tragiczne skutki. Niech publikacja ta będzie wyrazem pamięci i naszego szacunku dla naszego kolegi i przyjaciela, który był przez nas lubiany i szanowany. Zapisał się też na trwałe w naszej pamięci, jako osoba o wielkiej kulturze osobistej, otwartości i życzliwości dla ludzi. Był dobrym człowiekiem. Ruch ludowy stracił w Nim wybitnego działacza i polityka, z ogromnym doświadczeniem. Odszedł w trudnym momencie dla Polski, wsi i ruchu ludowego.

Zamieszczamy też jego biogram i fragmenty przygotowywanych wspomnień. Ryszard od najmłodszych lat, aż do tragicznej śmierci, aktywnie uczestniczył w życiu społecznym i politycznym Polski. Pozostawił po sobie trwałe ślad.

Przez 10 lat pracował w mediach elektronicznych pełniąc kierownicze funkcje. Zdobyte doświadczenie znakomicie wykorzystywał w pracy w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego.

W dyskusjach nad przeszłością często szukaliśmy w niej wydarzeń, których powtarzalność przynosiła dla Europy i Polski kataklizmy, które zastawały naród i państwo nie przygotowane do konfrontacji z nimi. Takim kataklizmem była przyniesiona z daleka nieznana od wielu lat pandemia. Od wieków Europa pustoszona była przez dżumę, ospę, cholera, wojny, głód, przyspieszyły jej rozprzestrzenianie się. Wiek XX zapoczątkował nieznana pandemię grypy.

W latach 1918–1920 w Europie i na świecie dziesiątkowała populację ludzką pandemia grypy nazwanej hiszpanką. Pandemia ta pozbawiła życia ponad 50 milionów ludzi.

100 lat temu grypa ta pustoszyła wsie i miasta w Polsce. Wolna Polska wymęczona była I wojną światową, wojną polsko-bolszewicką. Trzy pandemie grupy w latach 1918–1920 z różnym nasileniem się rozwijały się, trwały łącznie 500 dni. W Polsce zmarło w wyniku tej pandemii około 500 tysięcy osób. Były to liczby porównywalne do strat wojennych przez Polaków walczących w armiach zaborczych. Mimo wojen, biedy i pandemii odbudowaliśmy straty biologicznie w II Rzeczypospolitej. Przetrwaliśmy straszliwa gehenna II wojny światowej. Później przyszły trudne okresy w najnowszych dziejach Polski. Była to po 1945 roku powojenna bieda, gruźlica, tyfus, stalinizm, kolektywizacja, stan wojenny, transformacja ustrojowa, dziki kapitalizm. Bogaci w doświadczenia z przeszłości przetrwamy wszystkie pandemie. Jest tylko pytanie za jaką cenę.

Wspomnienia, które publikujemy, jak w obiektywie aparatu fotograficznego rejestrują wydarzenia z przeszłości dawnej i bliskiej. Lektura tych wspomnień jest refleksją nad przemijaniem, nad utratą tego co już nigdy nie powróci. Nie możemy budować przyszłości na tragicznej historii „gloria victis”. Musimy budować naszą cywilizację na wartościach pozytywnych na fundamencie greckiej demokracji, rzymskiego prawa i jerozolimskiej golgoty. Zapraszamy do lektury.

dr Janusz Gmitruk
dr Tadeusz Skoczek

RYSZARD JASIŃSKI

Tuplice

Pódź Haf

II NAGRODA

Opowiem o stu latach niepodległości w dziejach mej rodziny, dla której Rok 1918 oznaczał otwarcie wrót do świata bez analfabetyzmu, biedy, poniżania. Jedni wybrali życie w mieście. Inni udali się do Ameryki i dzisiaj nic już o nich nie wiem. Jeszcze inni zostali na swoim, obstając przy tkliwej wierności polom, dawnym potrawom, narzędziom, zwyczajom.

Często zanosilem się od płaczu. Babcia Aniela spytała, co widzę. Gdy opisałem, odparła, żebym się nie bał, bo to mamuny. Nic złego mi nie zrobią, lubią mnie.

Babcine słowa o mamunach określiły dążenie. Zanim poszedłem do szkoły, zacząłem rzeźbić.

W żarskim konkursie dostałem Nagrodę (2005) za „zaklęte w drewnie mamuny”.

Zabobony? Przesady? „Nie machaj nogami – przestrzegą – bo diabła huśtasz!”. Ludowy racjonalizm? Chłopski mistycyzm? Dziadek Józef posadził lipy u trzech węglów, przy czwartym węgle – jabłoń.

Opowieści babci o leśnych straszylkach traktuję jako łącznik między pradawnym a obecnym. Rzeźbiarstwo uznaję za element rodzinnych dziejów.



Babcia Aniela Drewniak i ja
(Ryszard Jasiński). Hyżne 1959

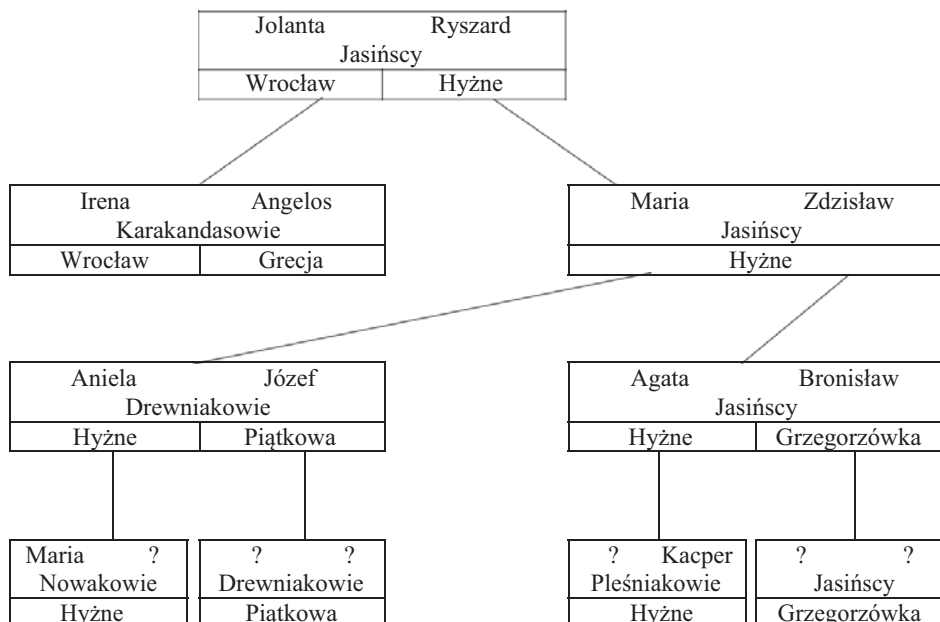


Moje mamuny, 2006

Wstęp

Spotkanie pokoleń przy rodzinnym albumie (sierpień 2018)

- Pódź haf.
- Dziadku, dziwnie mówisz. Co to znaczy?
- „Pójdź”, czyli podejdz, „haf”, czyli tu, tutaj. Babcia Agata tak wzywała mnie do siebie.
- Jakie znasz dziwne słowa?
- Mówiliśmy gwarą. Trochę pamiętam. Syr, kuń, ni mom, chytej... Zabawne zdarzenie wiąże się ze słowem „kumin”. Tato uczył mnie z elementarza, mówił, że godo się „kumin”, ale czytać trzeba „komin”. Babcia Agata była niepiśmienna, jak i dziadkowie Józef i Bronek, babcia Aniela ukończyła cztery klasy...
- Za dwa tygodnie pójdę do czwartej klasy! Dlaczego nie umieli pisać? Nic nie rozumiem!?
- Historię naszej rodziny określa słowo: chłopci. Przez stulecia nie było szkół dla chłopów.
- Gdy zaś utworzono szkoły ludowe, dziadkowie byli za biedni, aby płacić za naukę. Wnuczko, chcę ci zaprezentować moich rodziców, babcie, dziadków. Spójrz na rysunek.

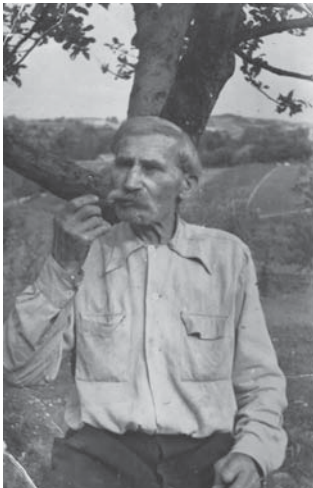




Moja rodzina od strony Drewniaków, Hyżne, 1961



Jasińscy, Hyżne, 1963



Kacper Pleśniak, Hyżne



Córka Agatka, Hyżne, 1982



Hyżne, 1982

– Dlaczego tyle znaków zapytania?

– Nie przekazano mi wszystkich imion prababć, pradziadek. Lauruniu, w 1976 w budynku uniwersyteckim poznałem Jolę. Wkrótce się pobraliśmy, Jola to córka twej prababci Ireny oraz pradziadka Angelosa, który był dowódcą i uchodźcą z Grecji.

– Kto jest na tym zdjęciu?

– Od lewej, brat mamy, dziadzio Józef, na przedzie

Janusz, mamusia Maria, tatuś Zdzisław. Siedzą babcia Aniela, Krysia (moja siostra) i ja. To zaś zdjęcie ukazuje Jasińskich. Stoją od lewej: brat taty, Stanisław, tatuś Zdzisław. Z przodu babcia Agata, ja, dziadziuś Bronek.

– Co jeszcze kryje album?

– Oto najstarsze zdjęcie. Przedstawia twojego dziadka, ale z trzema „pra”... Praprapradziadek Kacper Pleśniak!

– O, rety! Tatoooooo czyj?

– Tato mamy mego taty.

– Ma takie same włosy, jak i ja i moja mama, chodzi o kolor! Dziadku, ty i on macie wąsy!

– To tajemnicza historia. Nie goliłem wąsów, mam je od początku, jak tylko się pojawiły.

Teraz siwe. Wcześniej płowe, jak u Kacpra. Ani tato, ani dziadek, ani nikt w rodzinie nie miał wąsów... Mówiono, abym je zgolił... Nigdy bym się nie ważył, wąsy traktowałem jako znak swój charakterystyczny. Gdy rok temu zobaczyłem zdjęcie Kacpra, pojąłem, że ofiarował mi... wąsy... Kacper to chłop dumny z tego, kim jest...

– Mama! To moja mama, ale gdy była dzieckiem... Wygląda niemal tak samo, jak ja!

– Uchwyciłem moment, w którym biegła obok naszego pola, przy którym siedziała babcia

Aniela i ja przytulony do niej...

– Gdy przyjadę do Hyżnego, też pobiegnę tą dróżką...

– Przodkowie uprawiali hyżneńskie pola przez setki lat. Moja rodzina już nie sieje zbóż, nie mamy zwierząt, jak krowa, kury. Nadal posiadamy ziemię odziedziczoną przez Anielę,

– To zdjęcie Hyżnego?

– Historia rodziny splotła się z pagórkowatym miejscem nad rzeczulką Taty-na. Hyżne liczy ponad 600 lat, leży na szlaku Rzeszów – Dynów. Wioskę przecina Węgierka: droga z Dukli do Przemyśla.

– Co było wcześniej? Las? Spalił się... Nie! Porąbali go? Nie! Wyrąbali drzewa. Rąbali tak kawałek po kawałku, bardzo długo, aż mieli pola.

– Szlachcic założył Hyżne, podzielił ziemię na paski ciągnące się od rzeczki po las. Chłopom przydzielił po jednym pasku, czyli łanie. W zamian odrabiali pańsz-



Żniwa na rodzinnym polu. Hyżne, pocz. lat 50-tych

czynę. Dróżki oddzielały jeden łąn od drugiego. Na zdjęciu po lewej stronie od dołu w głąb kadru widnieje pas ziemi, którą przez wieki uprawiali Nowakowie. Do dziś mamy część nowakówki. Raz tato rzekł: „Tam były pańskie pola i lasy, tam księżę, a tu chłopskie. Po wojnie ziemię pana i księdza rozparcelowali, las upaństwowili, chłopi mają swoje jak dawniej”.

– Co to znaczy „rozparcelowali”? Rozpalce..., nie, rozparce...

– Rozparcelowali, czyli podzieli na parcele, działki, które dali chłopom.

– Kim są ci ludzie? Co robią?

– Zdjęcie przedstawia żniwa, koszenie żyta. Babcia Agata uniosła snop, uderzył nim o ziemię, aby stał i schnął jak pozostałe. Dziadziuś Broniek skosił pokos, jego syn, a brat mego tatusia robi powrósło.

– Dziadku, snop jest większy od praprababci, dźwigała taki ciężar?

– Kobiety pracowały na równi z mężczyznami, a nawet ciężiej i dłużej, bo musiały doić krowę, ugotować obiad, który zjadano przy półkopkach.

– Aż tyle snopów podnosiła i mężczyźni nie pomagali?

– Dziadziuś miał trudniejsze zadanie, kosił żyto. Babcia nie miała tyle sił, aby machać kosą. Każdy pracował, kobiety, dzieci, całe rodziny. Także robiłem powrósła, kosiłem. Tak samo mój tatuś. Wnuczko, w naszej rodzinie ja to senior, ty zaś – najmłodsza latorośl. Teraz wyjeżdżasz do Wrocławia. Będziesz się uczyć, w tym czasie napiszę i wyślę tekst na Konkurs pamiętnikarski „Opowiedz nam swoją historię. 100 lat niepodległości w historii mojej rodziny”. Gdy wrócisz na ferie, przeczytasz. Marzę, że kiedyś po latach zawołasz do swojej wnuczki albo do swojego wnuka: „Pójdź haf”. Opowiesz o dziejach przodków...

– Może napiszę dalszy ciąg historii...

Na pagórkach, wzdłuż Starej Drogi, na obrzeżach sadów, nad Tatyną kwitły trześnie. Bielily zbocza jarów. Świetlistość kwitnących drzew to najstarszy obraz, jaki mam w pamięci.

Przemykały jedna za drugą pory roku. Październik hojną dłonią obsypywał Hyżne pstrymi barwami. Gderliwy grudzień ogałacał topole ze złocistości. Lato kładło na zagony tysiące półkoptów. Jednak w wspomnieniach skrywam nie impresyjne kolory zbóż, traw, w których się pławiła wioska, a ślubne czereśnie.

Hyżne czereśniowy zapach życia.

I

Chłopi (1918–1962)

Długi cień koszmaru (1918–1930)

Początek listopada 2018. Liście umykają z grusz, osiki koturnowe w złocistości. Laura skończyła 10 lat. Tyle samo wiosen miała babcia Aniela, lecz w 1918. Sto lat: 1918 – 2018.

Babcia Agata starsza, jej narodziny przypadły na 1895 rok, a 1910 to data przyjścia na świat obu dziadków. Żyli w Galicji pod zaborem austriackim. Aniela, Agata, Józef, Bronisław – świadkowie ROKU 1918. Polacy odzyskali niepodległość, ale babcie i dziadkowie nie wspominali tak doniosłego momentu...

Wolność niesła możliwości bez liku. Czy dla Anieli, Agaty, Józefa, Bronka? Śmiem rzec, iż dla nich ograniczenia były takie same przed 1918, jak i po 1918. Nie przedzierzgnęli się nagle z chłopów w kogoś innego. W polu harowali tak samo i tymi samymi narzędziami, jak przodkowie. Wiadomo – choćby z nowel Stefana Żeromskiego – dla chłopów Polska nie znaczyła tego samego, co dla ziemiaństwa, przemysłowców, inteligentów... Do 1918 spośród elementów polskiego dziedzictwa przodkom nie pozwalano wybierać, by stanować o własnej indywidualności, ażeby kreować los kraju...

Stopniowo dochodzili do samowiedzy, do zrozumienia, co to znaczy być obywatelem. Żyjąc w chałupach z polepą, mieszkając w Hyżnem, zrosli się, sprzęgli z wsią. Oni i Hyżne byli niczym dłoń i jej funkcja.

Żeby spojrzeć na Anielę, Agatę, Józefa i Bronka, by ogarnąć postawę mych rodziców, słowem, ażeby pojąć historię rodzinną z lat 1918–2018, musiałem sięgnąć głęboko wstecz do początków Hyżnego. Historia mej wsi liczy ponad 600 lat, jednak dokumentów ocalało niewiele, jak też artefaktów. Może wynika to z tego, że przodkowie żyli tak samo w XVI, jak i w połowie XX stulecia. Przez wieki w Hyżnem Czas został wzięty w nawias, zawieszony. Otwarta książka to pola zapisane hieroglifami miedz, drózek.

Szlachecka własność

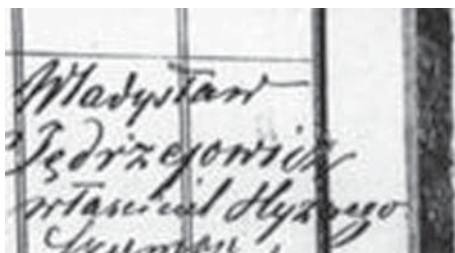
Od zarania aż po koniec XIX wieku Hyżne wraz z ludźmi, chatami, drogami, lasem, rzeką to najpierw prywatna własność szlachty, potem ziemian. Świadczy o tym np. podpis oraz znamieny dopisek jednego z panów¹.

W hyżneńskim kościele 19 maja 1874 odbył się ślub rodziców Generała Władysława Sikorskiego. Świadkiem był właściciel Hyżnego, którego wyżej skopiowany podpis widnieje w parafialnej księdze. Zwraca uwagę imię Jędrzejowicza: takie samo miał syn Sikorskich...

Podążmy śladem prawdy, która choć cierpka, to nie zmienia mego wyidealizowanego obrazu hyżneńskiego chłopstwa.



Półkopki na rodzinnym polu. Hyżne, początek lat 80-tych



Od zarania

Wszystko najważniejsze w rodzinie działo się w Hyżnem. We wspomnieniach Anieli Hyżne jawiło się jako wieś, w której przodkowie żyli od wieków, ową odwieczność odnosiła do Nowaków, której była córką. Od dziecka wiedziałem, że jesteśmy z nizin społecznych. Mąż babci (dziadzio Józef) był sierotą i parobkiem. W wiejskiej hierarchii znajdował się niżej od chłopów. Zanim się ożenił z Anielą, spał w oborze, przymierał głodem. Pamiętam, na twarzy miał wypisaną dobroć, nie utyskiwał na los. Wyalienowany, jakby zdziwiony tym, iż dane mu było założyć rodzinę i mieć wnuka (mnie), którego obdarzał nadzwyczajną miłością. Wątpliwości nie było w sprawie chłopskiego rodowodu babci Agaty i tego, że Pleśniakowie (których była córką) to miejscowi od niepamiętnych czasów.

Czy Hyżne istniało od zawsze? Czy miało mitycznych założycieli? Nic podobnego! Zarówno przybliżoną datę powstania, jak nazwisko szlachcica, który założył wieś na prawie niemieckim, można określić na podstawie przemyskich ksiąg sądowych.

Rok 1437: „Jan [z Pilczy i] z Łańcuta pozywa Mikołaja [Kmitę] z Bachórcza o to, że bratanek Mikołaja [Jan Tępy] Kmita założył wieś Hyżne w lasach Jana

¹ Księga małżeństw – Hyżne; [https://szukajwarchiwach.pl/59/1105/0/-/17?q=parafia+hy-%C5%BCne&wynik=4&rpp=15&page=1#tabJednostka](https://szukajwarchiwach.pl/59/1105/0/-/17?q=parafia+hy%C5%BCne&wynik=4&rpp=15&page=1#tabJednostka)

pozostających pod opieką królewską, a Mikołaj posiada tę wieś po bratanku i nie chce z niej ustąpić”².

Założyciel to Jan Tępy Kmita, wnuk Piotra Kmity, któremu Jagiełło nadał ziemię. Wieś powstała na pocz. XV w. Najdłużej rządząli Kmitowie, Wapowscy, Nieborowscy, Jędrzejowicze. Rody możne, piastujące stanowiska państwowe. Senatorowie, posłowie. Ostatni właściciel to Konstanty Dzieduszycki, adiutant Józefa Piłsudskiego.

Pańszczyźniani

W rodzinie pieczę nad pamięcią miała babcia Aniela. Była istną skarbnicą, jeśli chodzi o rodowody Drewniaków i Nowaków. Nie zdołałem ogarnąć powiązań genealogicznych, nie zapamiętałem imion cioć, wujków, kuzynek i kuzynów... Jak nie gubiła się w gąszczu pokrewieństw? Nie szczydziła opowieści o żebrakach wędrujących przez przedwojenne Hyżne, kalekach siedzących przy kościele. O biedzie, jakiej zaznała, o głodzie na przednówku, jedzeniu lebiody i pokrzyw, chodzeniu zimą boso po wodę. Jakby nie mogąc pogodzić się z tym, czego doświadczyła, wielokrotnie stawiała mi przed oczyma obrazy dzieci świadomie okaleczonych przez rodziców. Bardziej budziły litość, gdy wyciągały rękę po datek. Widoki cudzego cierpienia oraz osobiste zaznanie biedy oddziaływały na postawę babci. Po wojnie niewiele się zmieniło, dziadzio miał łóżko w kuchni. My – mama, tato, siostra, ja, babcia – spaliśmy w izbie. Trzy łóżka. Babcine pod ścianą od strony południa. Rodziców, siostry, moje przy przeciwnej ścianie, za którą obórka. Krowa nocą bodła sosnowe bierwiona, budziłem się z myślą, że wzywa śmierć...

Proszę spojrzeć na zdjęcie, które przedstawia babcię Anielę, mnie i sąsiadki. Wujek wspominał, że we wsi dziwowano się, jak wnuka można kochać ponad wyobrażalną miarę.

Mimo trudnych warunków bytowych Aniela na zimę przygarniała bezdomną kobietę. Spała na sienniku między dwoma łózkami a tzw. kozą (w nocy szlochom uratowałem rodzinę od zaccadzenia...). Owa bezdomna wiosną odchodziła z tobołkiem, wracała późną jesienią. Dopiero na początku lat 60-tych ub. wieku przestała u nas nocować. Co się stało, nie wiem.

Bieda, głód to motywy babcinych wspomnień. Zgoła naturalistyczne opowieści nie brały się znikąd. Dzieciństwo Anielki stało pod znakiem pierwszej wojny, młodość upłynęła w czasie kryzysu lat 20-tych. Oprócz osobistych doznań Aniela od swojej mamy nasłuchiwała się o biedzie. W chacie mieszkało kilka rodzin. Prawdę ujawnia np. zapis z parafialnej księgi. Oto marcowego dnia 1855 r. w jednym

² Słownik historyczno-geograficzny ziem polskich w średniowieczu; <http://www.sloownik.ihpan.edu.pl/search.php?q=hy%C5%BCne&d=0&t=1>

domu zmarło rodzeństwo, troje sierot w wieku 4, 7, 9 lat. Jako przyczynę podano „obfame obit”³ (z powodu głodu, biedy). Dlaczego nikt nie pomógł trojgu nieszczęśliwych dzieci? Znieczulica? Głodowali wszyscy. Kto miał wspierać? Nędza, choroby (zwłaszcza tyfus, dur brzuszny) dziesiątkowały wieś. Jedną z głównych przyczyn biedy to pańszczyzna.

Niekiedy Aniela mówiła, że Nowakowie to dawniej chłopci pańszczyźni. Nieco więcej wspominał wujek. Gdy był dzieckiem, słyszał, że jego dziadkowie odrabiali pańszczyznę sprzężają, czyli własnymi narzędziami rolnymi oraz z użyciem swego konia.

Nie mniej istotnym powodem chłopskiej biedy była wyrafinowana polityka zaborcy. Austriacy traktowali Galicję nie jak terytorium monarchii Habsburgów, lecz kolonię, więc łupili podatkami, nie pozwalali na rozwój przemysłu. Wbili klin między ziemian a chłopów, co fatalnie zaciężyło na wydatkach z roku 1846 (w Hyżnem nie doszło do buntu). Chłopi mieli powody do traktowania cesarza jako opiekuna, bo najpierw ograniczył pańszczyznę do 3 dni, potem ją zniósł, uwłaszczył wieś, dał czynne i bierne prawo wyborcze. Słowa babci: „Jak dobrze, że nie wiesz, co to przednówek”. Realia ekonomiczne, polityczne doprowadziły do zniewolenia jednych ludzi przez drugich. Jednak co z poczuciem moralnym?

Babcia, mama, tato mówili, że przodkowie nie mieli szansy wyjść poza chłopski świat. „Synu – mawiała mama – gdybyś wiedział, ile ja rozrzucałam gnoju na polu! Ledwo żywa wracałam do domu”.

Chłopi wierzyli, że z racji urodzenia ich przeznaczeniem niski stan. Bezlitosna idea. Niemożliwa do złamania, zwłaszcza że wzmocniona poprzez utrzymywanie analfabetyzmu. Jak przekroczyć swą naturę? Urodziłeś się jako chłop i ów status raz na zawsze przypisany każdemu z rodziny.



W Hyżnem, 1960

NOMEN MORTUI		NOMEN MORTUI		NOMEN MORTUI		NOMEN MORTUI	
Imię	Nazwisko	Imię	Nazwisko	Imię	Nazwisko	Imię	Nazwisko
...
...
...

Zapis w parafialnej księdze zgonów

³ Księga zgonów – Hyżne; <https://szukajwarchiwach.pl/59/1105/0/-/3/str/1/4/15#tabSkany>

Długi cień

Ani razu babcia Aniela nie mówiła o radościach, weselach, zabawach. Płonęła lampa naftowa, na ścianach, po polepie, po belkowanym suficie snuł się elegijny upiór przeszłości. Trudno było skusić na wspomnienia jej siostrę, sąsiadów czy babcie Agatę. Być może to, co przeżyli, ukrywali wewnątrz siebie albo uznali, że przeszłość nie zasługuje na to, by się w niej nurzać. Może milczenie mocniej niż słowa świadczyło o ich przejściach? Inaczej Aniela, której opowieściami wypełniłbym kilka sporych tomów, gdybym zdołał zapamiętać.

Aniela w 1918 miała dziesięć lat. Sześć w chwili wybuchu I wojny światowej. To, co widziała w dzieciństwie, nie mogło optymistycznie wpłynąć na jej odczucia, przekonania. Długi cień koszmaru kładł się na babcine życie.

Często opowiadała o wojskowych przemarszach Węgierką, o armatnim huku, który spod Przemyśla dobiegał nocami do Hyżnego, o łunach na horyzoncie.

W opracowaniach historycznych wyczytałem, że ze względu na twierdzę Przemyśl, wsie opodal Sanu traktowano nieludzko. Wojska cesarskie i carskie pustoszyły chłopskie zagrody. Zarówno car, jak i cesarz próbowali zyskać przychylność galicyjskich chłopów, obiecując poprawę ich losu (co nie znaczyło zaprzestania grabieży, gwałtów). Wyobraźmy sobie kilkaset tysięcy żołnierzy w Przemyślu i wokoło twierdzy. Skąd przez wojenne lata żywność dla wojska? Grabiono chłopów, nie bacząc na ich głód, brak ziarna na siew.

Urokliwe lata (1930–1939)

Sosnowy stół naprzeciw okna, składane krzesło, na ukos świetlista smuga pyłu. Cisza, choć niekiedy szczerkie Kajtek sąsiada, zagdacze kura. W sielskiej aurze Aniela pisywała listy. Siedziałem obok, wlepiając wzrok w równiutko zapisywaną kartkę (nie umiałem jeszcze czytać). Idylliczność chwili – to ów rodzaj szczęścia, który najdłużej zostaje w pamięci.

Hyżneńscy chłopcy wyjeżdżali za chlebem. Troje rodzeństwa Anieli (siostry, brat) odtrąciło sentymenty, decydując się na poniewierkę. Bilet na transatlantyk kosztował krocie, zważywszy na chłopskie finanse. Dlatego nastąpiły działy i sprzedaż ojcowizny. Tak samo było w licznych rodzinach, również u babci Agaty.

Aniela miała wypłynąć do USA. Pojechała pociągiem do Gdyni. Mówiła mi o morzu, okręcie pasażerskim. Dlaczego nie zdecydowała się na emigrację? Ze wspomnień mamy wynika, że w grę wchodziła romantyczna historia, zakochanie się w parobku z sąsiedniej wsi...

Babcia tęskniła za siostrami i bratem, często pisywała do Chicago. W odpowiedzi listy przychodziły regularnie. Dwa, trzy razy w roku paczki. Dziś nie mamy kontaktu z tą częścią rodziny Nowaków, która wyemigrowała, chyba potomkowie babcinych sióstr i brata nawet nie wiedzą o polskim pochodzeniu...

Sto złotych

Babcia nie wierzyła, że nastąpi nowy rozdział dziejów, ale ona jedna doświadczyła osobiście tego, o czym teraz napiszę. Niepodległość Polski wybudzała moją rodzinę z letargu edukacyjnego, że się tak wyrażę, po prostu, zawsze przodkowie byli niepiśmienni. Pierwszy próbę wykształcenia się podjął brat babci (ten, który nie wyemigrował do USA). Zamieszkał na stacji w Rzeszowie. Marzył o maturze, studiach wyższych. Uczył się bardzo dobrze. Nauczyciel oświadczył mu bez ogródek, aby się nie pchał do panów, lepiej będzie dlań, jeśli nie przystąpi do matury. Trudno nie zrozumieć życzliwej rady...

Nie miał matury, co nie stanęło na przeszkodzie uzyskania w Lublinie urzędniczej posady. Co roku przyjeżdżał na urlop do Hyżnego. Elegancki mężczyzna pełen dystansu wobec życia. Słomkowy kapelusz, pogoda ducha. Pozwalał mi patrzeć, jak goli się brzytwą.

Mówił piękną polszczyzną, co mnie uderzało, bo wtedy znałem tylko gwarę.

Co tydzień Aniela zanosila uczącemu się bratu prowiant. Z Hyżnego do Rzeszowa to ponad 25 km. Wyobraźmy sobie dziewczynę samotnie idącą do miasta, zwłaszcza w zimie, gdy zasy. Nikt nie chciał jej podwieźć, chyba że za opłatą, lecz nie miała pieniędzy. I tak przez kilka lat. Co w tobołku? Chleb, kołacz, jaja, odzież... Ile to mogło ważyć? Może z 10 kg? Nieśmy 10 kg słońca czy żar nieutwardzoną drogą... Aniela miała żal o to, że brat nie został dopuszczony do matury. Nie tłumila złości, pretensji, bólu. „Tak już świat został urządzone – mówiła – że pan jeździ na grzbiecie chłopca i nic tego nie zmieni”. Zrozumienie fatalizmu babci sprawiało mi kłopot.

Przodkowie wiele lat po uwłaszczeniu nie wyzwolili się duchowo, mentalnie. W domu słyszałem, że pan nigdy nie skrzywdzi pana i żeby od panów trzymał się jak najdalej... To słyszałem, żyjąc w PRL-u! Nie zmienił się sposób pojmowania świata, sposób urabiany przez zniewolenie, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Sto złotych z wizerunkiem Waryńskiego. Jakże potrzebne babci, przecież nie miała ani emerytury, ani renty. Sto złotych... Gest wdzięczności, symbol pamięci. Dopóki żył, dopóty co miesiąc brat przysyłał siostrze (mojej babci Anieli) 100 zł.

Chata

Nie wiem, w którym roku Aniela i Józef oraz Agata i Broniek się pobrali, na pewno na początku lat 30-tych XX w. Tato urodził się ze związku Agaty i Bronka, stało się to w 1934. W tym samym czasie przyszedł na świat wujek, czyli syn Anieli i Józefa, a brat mamy. Tatuś i wujek byli przyjaciółmi. Mama urodziła się w 1936. W dwuizbowym domostwie Nowaków mieszkało siedmioro osób: prababcia Maria, Aniela z mężem i synem, jej siostra z mężem oraz dzieckiem... Podobna sytuacja była w domu babci Agaty.



*W tle chata Nowaków. Z lewej kuzyn, ja obok trzęśni.
Hyżne, 1979*



*Zdjęcie z połowy lat 50-tych
przedstawia dziadzia Józefa, babcię
Anielę, mamę Marię. W tle cha-
łupka postawiona w latach 30-tych
przez dziadziusia*

Budowa chałupy okazała się koniecznością. W opowieściach rodzinnych zdarzenie stało się legendą, a w moim odbiorze przeszło w wymiar mistyczny. Dziadzio Józef nie miał ani pola, ani domu. Jedynie ręce do pracy, hart. Znakomicie młócił cepami, nie sposób było mu sprostać. Taka młocka trwała od jesieni do wiosny. Dniówka od rana do zmierzchu.

Aby postawić dom, dziadzio przy świetle księżyca ścinał sosny, karczował Pałę... Co to jest „Pała”? Stromizna tak wielka, że strach się wdrapać, a cóż dopiero ciąć drzewo, babcia otrzymała ją w wianie. Bale z sosen posłużyły do budowy chaty. W oczach babci ścinanie drzew na Pale czyniło Józefa kimś wyjątkowym. Te elementy opowieści – samotność, noc, księżyc, Pała, las, budowa chaty – wykraczały poza rodzinny czy hyżneński stan rzeczy, ilustrowały życiowe doświadczenie, egzystencjalną próbę parobka, jakim był dziadzius Józef. Ożeniwszy się, zbudowawszy dom, otrzymawszy babcine pole, stał się chłopem.

Ależ to było piękne życie!

W połowie lat 60-tych ub. wieku oczekiwałem u krawcowej. Jej mama – niegdyś pokojówka we dworze – westchnęła i zawołała: „Chłopcze, żebyś ty wiedział, jakie to było piękne życie, jakie piękne!”. W dziesięć lat po 1918 roku sytuacja w Hyżnem polepszyła się, zwłaszcza dla mieszkańców, którzy pracowali u dziedzica (to nie tylko adiutant Piłsudskiego, ale i poseł, senator). We dworze ślicznie się żyło.

Również sytuacja rodziny się poprawiła, Aniela i Józef, Agata i Broniek pobrali się.

Wybudować nowe chaty pokryte nie strzechą (jak chałupy ich rodziców), a dachówką.

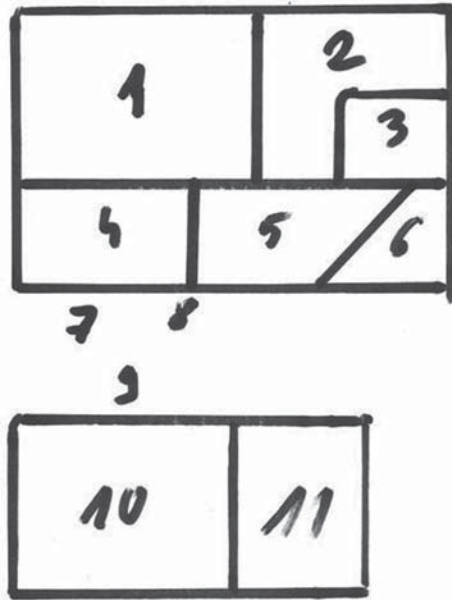
W latach 30-tych niemal wszyscy chłopci postawili chałupy. Frontem zwracały się ku południowi. Od północy przywierały do nich obora, stajnia. Między chatą a stodołą – obornik, gnojowica.

Chaty zamożniejszych chłopów składały się z sieni, pokoju gościnnego i zarazem sypialni, pokoiku i komory. Na ogół w sieni znajdował się piec kuchenny i chlebowy, drabina na strych. Ubodzy nie mieli sieni. U babci Agaty wprawdzie była sień, lecz pusta, w sypialnej izbie stał piec do gotowania i pieczenia, podobnie w domu Nowaków, w którym mieszkała siostra babci Anieli.

Chata dziadzia znajdowała się na działce Nowaków, nie stała przy Starej Drodze, lecz o kilka metrów za chałupą siostry Anieli. Tuż przy kuchennym oknie były obornik i dół pełen gnojówki. Much bez liku. U powały dwa lepy. Trzeba było uważać, by muchy nie wpadały do kubka z herbatą czy talerza z zupą... Aby dojść do drogi, należało przejść przez działkę tejsze siostry. Z zewnątrz wchodziło się wprost do kuchni (tato dostawił ganek), z niej było wejście do izby, komory i kurnika. Babcia nie miała szafy. Odzież, pieczywo, dzieża, maselnica, balia, niecki, skrzynie były w komorze. W obórce krowa i cielę, w chlewiku dwie świnie. Wprost z kuchni po trzech schodkach schodziło się do kurnika, przy ścianie grzęda.

Z ubożuchną chatynką Aniela czuła serdeczną więź. Nie chciała się przenieść do domu postawionego przez swojego tatę. Dopiero choroba zmusiła ją do przeprowadzki.

W latach 30-tych w Hyżnem nie zmienił się odwieczny sposób uprawy ziemi. Także relacje społeczne zachowały XIX-wieczny charakter (właściciel dworku, służba, folwarczni pracownicy, pleban, nauczyciel, rzemieślnicy, chłopci, parobkowie, bezdomni, żebracy). Babcia Aniela w opowieściach skupiała uwagę na swoim środowisku ludzi z dołu drabiny społecznej. Chłopci zdołali wybudować nowe chaty, polepszyli warunki bytu, ale nie stać ich było na modernizację gospodarstwa. Nadal wytwarzali na własne potrzeby, nie na sprzedaż.



Schemat zagrody babci Anieli: 1) Izba.
2) Kuchnia. 3) Komora. 4) Obórka. 5) Kurnik.
6) Chlewik. 7) Obornik. 8) Wychodek.
9) Gnojówka. 10) Sąsiek. 11) Klepisko

Pokolenie Anieli wyszło z terroru pierwszej wojny. Dzięki marzeniom oraz stabilizacji lat 30-tych postawiło chaty. Babcia rozpromieniała się, wspominając o tym, jak Józef karczował Pałę, by postawić dla niej chatę. Wydawać by się mogło, że zło już nie doświadczy babć i dziadków. Jednakże bezдушna Historia zażądała czegoś tak okrutnego, co nie równało się z poprzednimi przejęciami.

Era chaosu (1939 – 1945)

Dziadzio Broniek we wrześniu dostał się do niewoli. Uciekł z kolumny jenieckiej. Nocami szedł do Hyżnego, wrócił na początku grudnia. Rodzina nie poznała go, w drzwiach stanął bez butów, bez spodni, a w kalesonach. Dziadzio Józef został wywieziony na roboty przymusowe. Przez sześć lat nie dawał znaku życia, pracował u bauera, spał w oborze. Gdy wrócił w tym samym ubraniu i z tą samą walizką, moja mama pytała: „Kim jest ten obcy pan, który chodzi w naszym domu?”. Runął świat Anieli, z dwojgiem dzieci pracowała ponad siły, by oddać kontyngent, inaczej groziło więzienie. Mama żaliła się na głód. Na przednówku usiłowała znaleźć nadgniłe ziemniaki na pańskim polu, lecz przeganiał ją ekonom.

Najgorsze nastąpiło pod koniec wojny (lipiec 44 r.). Partyzanci zabili trzech Niemców, ponoć także generała. W odwecie hitlerowcy wjechali czołgami na wzgórze. Skierowali lufy na wieś. W panice wszyscy uciekali w pola, do lasu. Wtem nastąpiło oberwanie chmury, jakiego nie widziano. Niemcy zjechali ze wzgórza, nie spalili wsi. Babcia mówiła o cudzie, wstawiennictwie Matki Boskiej Hyżneńskiej. Wujek racjonalnie wyjaśniał, że Niemcy ujrzeli rosyjskich zwiadowców zbliżających się od strony Tarnawki. Uciekli ku Rzeszowowi.

Żołnierze Czerwonej Armii przez kilka miesięcy stacjonowali w Hyżnem. Babcia Aniela o tym nie wspominała ani nikt we wsi. Dopiero po latach (chyba w 2010) wujek mówił, jak było naprawdę. Czerwonoarmiści zajęli hyżneńskie chałupy. W babcinej izbie ustawili prycze jedna nad drugą, spało kilku żołnierzy, podczas gdy babcia na łóżku. Aby chronić się przed żołnierzami, przy swojej głowie kładła moją mamę, a w nogach – synka (mego wujka). Gdy doiła krowę, na progu czerwonoarmiści już czekali z kubkami w rękach. Najpierw im dawała mleko, potem swoim dzieciom...

Strach

Manifest PKWN-u to swoisty słup graniczny pomiędzy dawnym a nowym Hyżnem. Dworek, las znacjonalizowano, zabudowania zamieniono na magazyny GS-u. Folwarczne pola rozparcelowano. Wyrugowano pana. Dziadek Józef dostał część pańskiej ziemi, jak mówiła babcia, nie wziął, nie chciał żyć z cudzego... Jako chłopiec byłem ciekaw, jak wyglądało przejęcie dworu. Jednak odwracano głowę, nikt nie pisał słowa. Raz tylko mama rzekła: „Przyjechali, zabrali i nic zostało...”.

Wraz z przyjściem Rosjan zamykała się era kapitalizmu, która na Rzeszowszczyźnie trwała od uwłaszczenia (1848) do nacjonalizacji (1944). Rewolucyjne zmiany odznaczały się dramaturgią. Część chłopów zaakceptowała je, zapisując się do partii, politycznie kreując nową rzeczywistość. Ogół wybrał postawę przeciwną: wierność tradycji, uznanie socjalizmu za jeden z dopustów, jakie co rusz dotyczyły wieś. Chłopi nie politykowali, niektórzy (np. dziadzio Józef) słuchali Radia Wolna Europa. Nadal żyli w chatach z polepą, tak samo uprawiali rolę, nie mogąc się obejść bez koni. Za okupacji oddawali kontyngent, po wojnie – obowiązkowe dostawy. Aniela załamywała ręce, słysząc pogłoski o utworzeniu PGR-u. „Na co mi przyszło? – żaliła się. – Mama ocaliła ojcowiznę, ja utracę!”. PGR nie powstał, z kolei do rozpacz doprowadzały babcię szeptanki o komasacji.

Wiedzę o rewolucyjnej zmianie dziadkowie wzięli do grobu. W roku 2016 wujek zdawkowo powiedział: „Z parcelacją to było tak, że ci, co pracowali we dworze, zapisali się do partii, zabrali najlepszą ziemię”. Jaka prawda?

Odczuwam dumę z postawy dziadka Józefa. Najpierw parobek niemający nic swojego, potem jeden z biedniejszych chłopów, a jednak wołał uprawiać mało urodzajne babcine półka niż wziąć żyzną ziemię pana...

Publikacja książki „Egzekutor” (2010) Stefana Dąbskiego uchyliła rąbka tajemnicy. Podczas wojny w Hyżnem działała placówka AK. Jak wynika z owej książki oraz dyskusji na forach społecznościowych, listę akowców sporządzili hyżneńscy milicjanci. Kilku spośród nich zostało rozstrzelanych przez grupę Dąbskiego. Lista nie trafiła do NKWD. Niektórzy jednak zostali zesłani na Sybir. Trudno się dziwić, że milczano o tym, co we wsi działo się po wojnie. Obezwładniał strach przed mówieniem prawdy. Historia Hyżnego podlegała co jakiś czas dramatycznym wstrząsom. W erach chaosu – jak uczyła chłopska autopsja – można było przetrwać dzięki milczeniu.

Hołubienie (1945 – 1963)

Babcie Agata i Aniela, dziadkowie Broniek i Józef... Po wojnie nastał czas hołubienia wnuka. Kochali, rozpieszczali, na mnie przenosząc tęsknotę za arkadyjskim dzieciństwem, którego nie mieli z powodu pierwszej wojny. Dziadzio Józef nosił mnie na rękach, na barana, nie pozwolił chodzić. W jesienne i zimowe wieczory zanosił do chaty, w której spotykali się gospodarze. Siedział w kąciku, milczał, tulił mnie jak najcenniejszy skarb. Dziadziuś Broniek sadzał przy sobie na wozie, jechaliśmy do młyna, w pola. Z drew na opał stawialiśmy przy piecu wiatraki. Babcia Agata wołała: „Pódź haf”, spod poduszki wyciągała dropsy, jabłka, gruszki. Szliśmy na pole w Dołku, kopała ziemniaki, które zbierałem do kosza. Nawet mając złamaną nogę, nie pozwoliła się wyręczyć przy



Na powyższym zdjęciu widać mnie w miejscu, w którym siedziałem z babcią Anielą. Z lewej Tatarska Górnka i kościół. Z prawej cmentarz. Zdjęcie z 1979 r.

pieleniu buraków. Wychowywała mnie babcia Anieli, bo rodzice pracowali, tato przyjeżdżał raz na miesiąc. Anieli pasła krowę, siedziałem przy niej, snuła opowieści, a aura lasów, moczarów i zamieszkujących je dziwadł przepełniała mą wyobraźnię.

Pierwszy zmarł dziadzio Józef. Wkrótce dziadzio Broniek. Zanim odeszli, jeszcze obaj zdążyli zrobić pustaki na budowę podjętą przez mego tatę. W najbliższym sąsiedztwie w tym samym czasie zmarło aż ośmiu chłopów... Byłem na każdym pogrzebie.

Jeśli można by rzec, iż Historia obcuje ludzi ciężarem, to bez dwóch zdań największy przyszło dźwigać pokoleniu babć i dziadków. Nawet pokolenia chłopów pańszczyźnianych nie znalazły się pod aż tak bezlitosną presją Historii, jak właśnie ich generacja.

II

Chłoporobotnicy (1964–1980)

Na drugiej mapce siateczka miedz ukazuje, jak chłopci wyzbywali się ziemi. Przed uwłaszczeniem nie mieli prawa przekazywać pól w spadku. To się zmieniło, gdy w 1848 stali się właścicielami. Po 1918 sprzedawali ziemię, aby kupić dzieciom bilety na transatlantyk, dać pieniądze na zagospodarowanie się w USA. Już przed II wojną Nowakowie, jak i inni chłopci, zachowali zaledwie kilka skrawków. Babcia Anieli odziedziczyła je, wychodząc za mąż. Z kolei przeszły na własność mojej mamy. Do dziś należą do naszej rodziny. Miedze na drugiej mapce ukazują dzielenie łąny na półka, by je sprzedać bądź przekazać spadkobiercom.

Rozdrobnienie ziemi pogłębiało biedę, jednocześnie sprawiało, że żyźniejscy chłopci nie byli zróżnicowani pod względem majątkowym. Bogatsi posiadali najwyżej 3 – 4 hektary. Małorolni (jak np. nasza rodzina) mniej niż 2 hektary.

Po wojnie posiadaliśmy tylko 7 pól z całej nowakówki. Miały nazwy: Łąka, Działy, Przyczka, Góry, Chałupina, Pała, Podlas. Jedno półko (Chałupina) szerokość... 10 metrów.



Zestawiam dwie mapki, pierwsza z 1815*, a druga z 2018**. Na niebiesko oznaczyłem pola moich przodków Nowaków.

* <http://www.skany.przemysl.ap.gov.pl/show.php?zesp=126&cd=0&ser=0&syg=592M>

** <http://hyzne.e-mapa.net/>

Rozdroża (1963)

W Gminie Hyżne znajduje się serpentyna. Wiedzie na wzgórze, które stanowi dział wodny pomiędzy Sanem a Wisłokiem. Swego rodzaju dział wodny w dziejach mej rodziny to lato 1944. Wchodząc do Hyżnego (w lipcu), zajmując Rzeszów (w sierpniu) Armia Czerwona oddzieliła przeszłość od terażniejszości. Znowu Historia rozsypała węzeł. W 1918 został wypędzony austriacki zaborca. W 1944 (Manifest PKWN-u) znacjonalizowano folwark. Pokoleniu rodziców władza ludowa ukazała mit wolności: industrializacja, uprzemysłowienie, elektryfikacja.



Dziadzius Broniek i bratanek babci Agaty, Hyżne, pocz. lat 50-tych



Mamusia (w środku kadru) wraz z koleżankami, połowa lat 50-tych

Generacja dziadków zasklepiła się w micie tradycji. Na styku pokoleń zaczęło trzeszczeć, pękać, łamać się.

Poniżej prezentuję fotografię będącą symbolem przemiany, jaka nastąpiła po II wojnie światowej. Z lewej chłop, dziadzius Broniek. Po prawej bratanek babci Agaty. W tle chata pradziadka Kacpra. Tak, w takiej chałupce pod strzechą urodziła się babcia Agata... Po II wojnie bratanek zamieszkał w mieście. Babcie i dziadkowie nigdy by nie przenieśli się do miasta. Tatuś często mówił, że opierali się, gdy chciał wykopać studnię, zrobić piwnicę, doprowadzić elektryczność... O nowoczesnym życiu marzyły dzieci moich babć i dziadków. Wujek (brat mamy) wynajął pokój w Rzeszowie, potem dostał mieszkanie. Mamusia śniła o maturze. Nie poszła do liceum, bo szeptano, że wybuchnie trzecia wojna, po co się kształcić... Żalowała, że posłuchała „dobrych” rad.

Zanim mama wyszła za męża, pracowała w urzędzie w Błażowej. Urodziwszy mnie, wróciła do chatki Anieli. W dwa lata później urodziła Krysię, zatrudniła się w klubokawiarni. Bardzo lubiła to zajęcie. Gdy narodzili się Zosia, Piotr, Agnieszka, zrezygnowała z pracy, zajęła się gospodarstwem domowym. Co tydzień wypożyczałam dla niej w bibliotece trzy powieści. Mogła być nauczycielką, gdyby nie głupie ploty o trzeciej wojnie!

Tato sposobił się do kowalstwa. Jednak ukończył szkołę zawodową, jako robotnik, elektryfikował wsie. Wspominał, jak chłopci częstowali go jajecznicą na szynce.



Tatusz (z lewej) i brat mamy.



Mój tatusz (pierwszy z prawej) z kolegami. Połowa lat pięćdziesiątych XX w.

Tato stanął na rozdrożu. Miasto oferowało nieporównywalnie lepszy standard życia niż na wsi. Od ręki dawano mu mieszkanie w Raciborzu, Stalowej Woli. Wybrał wieś. Mama żaliła się, tatusz tłumaczył, czym się kierował, otóż, żniwa, pasienie krowy, wykopki, kiszenie ogórków uznawał za fundament tego, co dobre, piękne. Powtarzał, że będzie harować ponad siły, a wykształci mnie i moje rodzeństwo. Paradoksalnie jednak mawiał, że czytanie książek to strata czasu. Rodzice byli szczęśliwi, gdy oznajmiłem, że mam dyplom uniwersytecki. Wówczas chłopski syn z dyplomem to rzadkość, przynajmniej w Hyżnem.



Ślub rodziców, przy mamie babcia Agata, od prawej brat taty, bratanek babci, Hyżne 1956 r.

Chyba w 1963 zatrudnił się w Zelmerze. Tak oto stał się chłoporobotnikiem... Słowo wyraża charakter zajęć: robota w fabryce i w polu. Wstawał o piątej rano. Karmił krowę, kury, świnie. Szedł na przystanek. Wracał o czwartej wieczorem, jadł obiad ugotowany przez mamę, zabierał się za uprawę ziemi, budowę domu. Dzień w dzień, dzień w dzień. Nie on jeden. Każda rodzina w Hyżnem miała najmniej jednego chłoporobotnika.

Wprowadzanie miasta do wsi (1963 – 1972)

Socjalizm otworzył miasto dla chłopów. Za Gomułki i Cyrankiewicza nastąpiły lata umiarkowanego rozwoju. Władze mobilizowały chłopskich synów, by wyjeżdżali do fabryk, na budowy socjalizmu, np. Nowa Huta. Dążono, aby wieś żyła na sposób miejski. W Hyżnem zbudowano remizę, a w niej biblioteka, świetlica, można było przy kawie i ciasteczkach czytać prasę. Pierwszy telewizor był w świetlicy. W sali tanecznej pokazywano filmy kina objazdowego. Mama kupowała „Przyjaciółkę”. Kupiła trzydrzwiową szafę, radio Barkarolę, pralkę Franię, co się niezbyt spodobało tacie (każdy grosz przeznaczal na budowę domu).

Duża była presja władz na to, aby chłopów ukształtować, wciągnąć w bieżące zdarzenia, wyssać ze wsi. Do czasu PRL-u szlachta, ziemianie posiadający Hyżne piastowali wysokie stanowiska państwowe, byli posłami, senatorami. Sławę światową zdobył syn organisty i szafarki, czyli gen. Władysław Sikorski. Przez kilka lat mieszkał w Hyżnem. Jednak ani jeden chłop się nie wybił. Inaczej po wojnie. Leon Kotarba – potomek chłopów żyjących w Hyżnem najmniej od XVIII wieku – to szych, co się zowie: I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie, przewodniczący WRN, członek KC PZPR, poseł. Tatuś pokazywał miejsce, gdzie stała jego chata, o kilkaset metrów od babcinej chałupki.

Pracując w Rzeszowie, generacja moich rodziców ujrzała, jak można żyć. Czy chciało się wracać do chałup? Bywali i tacy, którzy zaprzeczali, że są ze wsi (widziałem). Jak się żyło? W kuchni dziesiątki much. Na podwórku błoto albo kurz. Za chałupą gnój. Jesienią, wiosną podjeżdżał wóz z gnojnicami, stawało się na oborniku, ładowało widłami gnój, wywoziło na pole, uchylało się gnojnicę, zrzucało gnój na kupki, rozrzucało, roztrzępywało, roztrząsało... Ileż razy jechałem sobie na wozie z gnojem...

Chaty, chatynki

Bunt robotników w Gdańsku, upadek Gomułki, era Gierka... Krwawe zawirowania polityczne działały się poza wsią. Nie było ani czasu, ani chęci na politykowanie. Gierek zniósł obowiązkowe dostawy, chłopom mogli zdawać ziemię na skarb państwa w zamian za rentę albo emeryturę. Niektórzy tak postąpili, pomimo że plotkarki nie szczędziły gorzkich słów. Run na miasto ogromny, władze nie nadążały z realizacją obietnic mieszkaniowych. Na własne M3 czekało się latami. Pokolenie dziadków zostawiło Hyżne drewniane.

W tej chałupce mieszkano, gdy chodziłem do szkoły. Za zakrętem Starej Drogi (prawa strona kadru) mój rodzinny dom.

Takich chat, jak powyżej, nie brakowało w PRL-u. W chatce mieszkały dwie rodziny. Z rozłożystego drzewa przy strzesze zrywałem czereśnie, trochę dalej pulsowało źródło, piłem wodę, a ropucha patrzyła bez lęku. Obok chatynki polna



Hyżneńska chatynka, 1979.



Hyżneńska chatynka, 1979.



Typ architektury hyżneńskich chat z lat 30-tych, 2017.

dróżka wiodła na nasze pole zwane Podlas. Przechodziło się przez potok, gdzie gzy, muchy oblepiały twarz. Podlas to ostatnie pole nowakówki, zwykle rosła trawa, czasem owies.

Kamienice, kamienice

Gdy przed wojną rodzice przyszedli na świat, caluśkie Hyżne (poza dworem, kościołem, ochronką) miało drewniane zabudowania. Tatuś podjął budowę na początku lat 60-tych, dojeżdżał do fabryki, wracał, stawiał dom, przeprowadziliśmy się w kilka lat później. Brakowało materiałów budowlanych. Sąsiad nawet samodzielnie wypalał cegły. Całe Hyżne budowało domy obok starych chat. Postawiwszy kamienice (jak mówiliśmy), zaczęto murować obory. Nie przypuszczano, że zaniknie rolnictwo. Gdy tato wznosił oborę, miałem dość sił, by kilofem kopać piasek. Tatuś jechał do pracy, mówił, że po lekcjach mam iść na Góry, aby kopać, gdy wróci, wówczas mnie zastąpi. Pomagałem robić pustaki, (nie było betoniarek).



Nasza kamienica i siostra, ja, tato, 1966 r.



Nasza studnia, Hyżne, 1979 r.

Tatusz mówił o marzeniu: wspólna pracy na roli jak dawniej. Było nas pięcioro rodzeństwa, spełnił się jego sen o dużej rodzinie. Każdemu chciał zapewnić osobny pokój, rzadkość wtedy na wsi. Dzieci spały w łóżku z rodzeństwem, rodzicami, co traktowano jako naturalne... W chatce babci Anieli we czworo spaliśmy na dwóch łóżkach złączonych ze sobą. Sienniki wypchane słomą. Mamusia myła nas w niecce, prała w balii. Wodę nosiłem ze studni. Dziadzio Broniek miał nosidła, wraz z nim wodę nabierałem w źródle, pływały żaby. W izbie przy drzwiach wiadra z wodą, w jednym chochla. Studnia widoczna na poniższym zdjęciu dziełem tatusia i wujka. Wiadrem nosiłem wodę do chaty babci Anieli.

W mieście tato nie otrzymałby apartamentu. Wziąwszy kredyt, postawił dom, w nim łazienka, bieżąca ciepła i zimna woda, centralne ogrzewanie, podłogi, meble. Jedna pensyjka, pięcioro dzieci. Usprawiedliwiał się przede mną: „Synu, czy myślisz, że miło, gdy każę ci paść krowę, kosić zboże? Zrobię wszystko, abyś się wykształcił, mógłbym w mieście żyć jak lord. Nie harować od świtu do nocy. Ale czy mielibyśmy was pięcioro?”. Inna rzecz, że nie musiał się tłumaczyć, bo uwielbiałem koszenie zbóż. Mamusia bardzo nas kochała, nigdy nie karciła, śpiewała piosenki, wiodła za rączkę w pola, do jarów, pokazywała zawilce, przylaszczki.

Chłopi czerpali wodę ze źródeł, ze strumieni, z Tatyny. Ulewy, roztopy zamulały źródła, potoki niosły gnojowicę. Rozhukana rzeczka miała kolor kawy z mlekiem. Ile trzeba nanosić wody do mycia, gotowania, do pojenia krowy? Jak przechowywać? Jak podgrzewać? W żadnej chacie nie było łazienek.

Pamiętam rozmowy o oborniku, gnojówce, muchach. O ile pokolenie dziadków nie dostrzegało problemu, to następna generacja zdawała sobie sprawę, że nie sposób dłużej mieszkać w miejscu, w którym wprost do rowów płynie gnojówka. Nie można do wychodka przechodzić poprzez gnój (nie było papieru toaletowego, a skrawki gazet). Dzieci nie mogą jak dawniej bawić się nad dołem z gnojówką, tak było w każdym obejściu.



„Traktor” zrobiony przez tatę, na siodelku Agatka
Hyżne, 1983 r.



Brat jedzie „traktorem” po siano, 1983 r.



Nasze pole na Górach, pocz. lat 90-tych



Omloty przy naszej stodole, tatuś patrzy
w obiektyw. Pocz. lat 80-tych

Mechanizacja (1972–1980)

Do transportu snopów i siana służyły wozy drabiniaste ciągnięte przez konie. Gdy wciągnęły wóz na górkę, odwracały łby, jakby chciały powiedzieć: „Widzisz, człeku, co byś bez nas począł...”. Kto miał dwa konie, to był gospodarzem, że hej. Na 18 sąsiadów babci Anieli 11 trzymało konie, w tym dwóch po dwa gnia-dosze. Kare, siwe... Napotykałem je na drózkach, na Starej Drodze, na polach, na łąkach. Aż któregoś roku wypatrywałem, czy nie wynurzą się z jaru, parskną i chyżo pociągną wóz pod górkę. Na nic! Gdy wymarło chłopskie pokolenie mych dziadków, zniknęły konie.

Boom pierwszej dekady Gierka załamał się, w Radomiu (1976) milicjanci uczyli robotników pokory. W Hyżnem próbowano jeszcze podtrzymać uprawę ziemi. Gdy zabrakło koni, gdy trudno było kupić maszyny, chłoporobotnicy sami zaczęli



Malinowy chruśniak na polu, na którym dziadzio Józef siał zboże. Tu kosilem pszenicę, z prawej w tle nasz dom o czerwonym dachu, 2006 r.



Tatus i brat wracają z pola, 1979 r.



Siedzę pierwszy z lewej, obok kuzyni Pleśniakowie, 1974 r.

„produkować” traktory. Powiedzmy, że traktory. W 1978 podczas studiów przyjechałem na wakacje, tatuś z dumą pokazał zrobiony przez siebie „traktor”. Uczyl mnie jeździć. Gdy wparowałem w płot, we wrota stodoły, dał spokój.

Tatuś nie dopuszczał myśli, że pola będą leżeć odłogiem. Nie dawał za wygraną. Kosił już właściwie dla samego koszenia, bo nie hodował krowy, kur.

Na powyższym zdjęciu widać, jak tatuś układa półkolepek. Pas zieleni za półkolepkami dowodzi, że już na stromiznach zaprzestano uprawy zbóż, a siano je, gdy chodziłem do szkoły podstawowej. Dziś areal zarósł osiką, tarniną, olchą

We wsi już nie było koni, rodzice przestali siać zboże. Podjęli się uprawy malin.

Zamieszczone powyżej zdjęcie obrazuje nie tylko ówczesną modę (długie włosy, spodnie dzwony). Na początku lat 70-tych zajęto się Starą Droga. Zawsze była albo pełna kurzu, albo błota. Kanalizacja, podłączenie gazu uczyniło Hyżne podmiejskim osiedlem.

Powroty z pola... Tatuś niósł kosę i motykę, ja grabie. Wieczorna rosa na mie-dzach. Zapach macierzanki, mięty. Znad Tatyny jazgot kumaków.

Edukacja

Obrazy dzieciństwa... Blask u rzęs, duma na twarzy dziadka Bronka podcho-dzącego do gniadosza. Ochocze: „Wiśta, Baśka, wiśta!”. Lejce, uprząż, chomąta, uzdy, kłonicie, bat, dyszle, pawąz, napierśnik, nagrzbietnik, podogonie, natylnik, wędziło, pas pociągowy, postronki... Historia, historia, historia...

Dzieci pracowały na roli, jak ich poprzednicy w XIX czy w dawniejszych stule-ciach. Po lekcjach wyganiałem krasulę z obory, na łańcuchu wiodłem w pole. Wbiw-szy kolek, wiązałem doń krowę. Raz gziła się, ciągnęła mnie po łące. Na początku lat 90-tych tatuś sprzedał krowę. Ta data wyznacza zanikanie rolnictwa w naszej rodzi-nie. Z pól i łąk zniknęły krowy, sprzedano je. Najpierw gniadosze, potem krasule...

Jak i wszyscy chłopscy synowie, po zajęciach w szkole pomagałem w polu. Podczas wakacji kosilem zboże, trawę. O czwartej rano tatuś budził mnie (po ro-sie trawa miękka), zwawo kosiliśmy na łące, na Górach. Cieszyliśmy się z bycia razem. Tatuś z dumą opowiadał o pracy w fabryce. Z Krysią kosilem pszenicę i robiłem powrósła, siostra odbierała skoszone zboże. Po powrocie z fabryki tatuś związał snopy, ułożył półkopki.

W latach 60-tych do szkoły chodziło ponad 400 dzieci. Lekcje mieliśmy w pańskim dworku adaptowanym na placówkę oświatową, w starej szkole, domu ludowym, domu parafialnym, ochronce, w jednej sali remizy. Z portretów patrzyli towarzysze Wiesław i Józef.

Polonusi z Chicago (zapewne i rodzeństwo babci Anieli) założyli fundację i ze-brali dolary na budowę szkoły-pomnika im. Generała Władysława Sikorskiego. Ogromny budynek z salą gimnastyczną postawiono w sadzie dziedzica, wykarczowawszy jabłonie (pamiętam smak owoców) i wyciąwszy śliczny żywopłot z grabów. Szkołę otwarto latem 1972. Akurat dostałem się do liceum.

Tyczyńskie LO mieściło się w znacjonalizowana pałacu Wodzickich. W hallu portret patrona Orkana. W mojej klasie uczyły się chłopskie dzieci z Dylągówki, Nowej Wsi, Piątkowej, Hermanowej, Szklar, Kielnarowej, Białej, Futomy, Wólki Hyżnieńskiej, Budziwoja i kilkoro mieszczuchów z Tyczyna, Rzeszowa. W szkole uczono, że dzięki sprawiedliwości dziejowej i władzy ludu mamy lekcje w pańskich dworach...



Od lewej, kuzyn, moja siostra i ja pasujący krasulę, 1963 r.



*Szkoła w Hyżnem dwa lata po otwarciu.
Z prawej stoi mój kuzyn, obok ja*



Na lewym przedramieniu regulaminowo przyszyta tarcza z nazwą szkoły, nie da się ukryć: ja w parku tyczyńskiego liceum (1975)

Dnia 10 marca 1975 mknęliśmy witać w Jasionce Josipa Broz-Titę i Edwarda Gierka. Ustawiono nas w tłumie uczniów. Krzyczeliśmy, wiwatowaliśmy, ot, odstawiliśmy szopkę. Im bardziej nas przekonywano do wiecznotrwałego socjalizmu, tym mniej nas zajmowała ideologia. Z lotniska wracaliśmy do szkoły, słuchając szlagieru tamtych dni: „I shot the Sheriff”. Dobrze mieć 18 wiosen, jechać jelcem, nie wiedzieć, że Historia już pisała epitafium dla dekady Gierka.

Na apelu dyrektor oznajmił, że jednogłośnie Rada Pedagogiczna przyznała mi tytuł prymusa i w związku z tym bez egzaminu mogłem iść na dowolną uczelnię.

Marzyłem, by żyć w Hyżnem. Tato zdecydował: „Musisz się wykształcić”. Dobra jest ręka, która wiedzie syna. Pod koniec września 1976 raz na zawsze opuściłem rodzinną wieś. Mama stała przy Tatynie. Tatuś odprowadził na przystanek, płakał.

Siostra mieszka w Rzeszowie. Brat pobudował się obok domu rodziców, pracuje w tej samej fabryce, co tatuś. Druga siostra jest rzeszowską urzędniczką. Trzecia wyemigrowała na Zachód.

Żelazka z duszą, sierpy, pociaski (do wyciągania żaru z chlebowego pieca), dzieże, niecki, maselnice, balie, koryta, żłoby, widły... W maju tego roku przywiozłem z Hyżnego dwie kosy, którymi jako chłopak kosiłem rodzinne pola...

Blask dżga obłoki. Nie za chyżo, ale i nie za wolno, ledwo, ledwo, gniadosz ciągnie wóz drabiniasty pełen snopków. W jarze ukrytym pośród zagonów pszenicy kimają jodły. Na zagonie koniczyny rozleniwiona krowa. Któż się paćka w Tatyńie? W burakach tyki na wachcie. Obok kosmatki kokorycz. Koniczyna przy kukurydzy. Modrość chabrow gasi fiolet wyki. Spośród półkoptków nie za głośno, nie za cicho, nie jak brzdęk tłuczonej szyby, nie jak trzask kamienia o wodę wiatr niesie jęk ostrzonej kosy. Polna dróżka odziała się we wszystko, co najurodziwsze: łopian, przetacznik, oset, krwawnik, lebiode, przytulie i klekot kól.

Moja duchowa, intelektualna postawa niemal w całości z tego, co chłopskie, dlatego po ukończeniu Uniwersytetu im. B. Bieruta (piątka na dyplomie) postanowiłem uczyć wiejską dziatwę.

III

Nauczyciele (1980 – 2018)

PRL, PZPR, LWP, ZSL, SD, POP, KW, KC, MO, ORMO, SB, ZBOWiD, KRN, ZMP, ZMS, ZSRR, TPPR, UW, RWPG, GS, KR, CUP, IRCH, ZMW, ZSMP, PGR... skróty związane z socjalizmem nie schodziły ze szpalt gazet, pojawiały się w wiadomościach radiowych i telewizyjnych, mowach polityków. Jeszcze w latach 80-tych ub. wieku opisywały polską rzeczywistość. Kto dziś je pamięta? Kto pochyla się nad nimi? Lingwiści?



Wychowankowie i ja na polu PGR-u. Glisno, 1988 r.

Polonista w pegeerowskiej wsi (1980 – 1989)

W 1980 absolwent uniwersytetu mógł przebierać w ofertach niczym w koszu pełnym ulegątek. Polonistów brakowało, zatrudniano maturzystów bez pedagogicznych kwalifikacji. Mogliśmy (żona, Agatka i ja) mieszkać we Wrocławiu u teściów. Wybraliśmy Glisno. Żona miała dojeżdżać do Lubniewic i pracować jako przedszkolanka. Nie mieliśmy dylematu: żyć w mieście, czy na wsi. Dla mnie, czeladnika Żeromskiego (nie nadużywam słów, ale uczciwie przyznaje się do duchowego Mistrza), uczenie w wiejskiej szkole było czymś naturalnym.

– Robimy dla pana klasę! – wesoło wołał uczeń.

Przygotowywano... gabinet języka polskiego, opróżniając... szkolną bibliotekę.



Szkoła w Gliście, kościelna wieża, komin gorzelni; ja w oknie mieszkania, 1980



Pola w Gliście (1980) i pola w Hyżnem (1988)



Nasz pokój, 1984 r.

Szkoła im. Osadników LWP mieściła się w budynkach spiętych długim łącznikiem.

Uczęszczało nieco ponad 100 dzieci. Dwupokojowe mieszkanie służbowe dostaliśmy nad salą lekcyjną.

Tuż przed wyjazdem do Glisna zrezygnowaliśmy z kredytu dla młodych małżeństw. Sto tysięcy na takie tam jakieś szafy, wersalki, lodówki, telewizory, pralki. Skutek oczywisty, przez kilka lat mieliśmy pożyczone meble: wersalkę,

stół, krzesła. Dlaczego nie wzięliśmy darmowych 100 tysięcy (nie trzeba spłacać, jeśli się przepracowało pięć lat)? Tak należało. Wierzyliśmy, że po to są ręce, aby samemu stanąć na nogach. Za tę wiarę, a raczej naiwność, zapłaciliśmy dużą cenę.



Wyjeżdżamy na wykopki. Działowa zbiera ziemniaki na polu PGR-u, 1985 r.

Podczas studiów nie wahaliśmy się, co kupić: gary czy trzymomową „Historię filozofii” Tatarkiewicza. Nabyliśmy parę tysięcy książek, zwłaszcza tomików poetyckich, brakowało nam mebli, pralki. Zamieszkawszy w Gliśnie, przez kilka lat praliśmy w... wannie.

Wiara w to, że dzięki rękom można stanąć na nogach, okazała się iluzją. Oboje zarabialiśmy mniej, niż przeciętna płaca na jedną osobę, która np. wynosiła 11 631 („Res Publica Nowa”, 1993, nr 3, s. 35).



Jola, Agatka i... owce na szkolnym boisku w Gliśnie, 1980 r.

Sam fakt, że byliśmy nauczycielami, oznaczał pogardę ze strony niektórych rodziców naszych uczniów. „I co, i co, dyrektorku?! – triumfalnie wołał traktorzysta i machał plikiem stuzłotówek. – Kto ma lepiej, no, kto!”. Szedłem z dyrektorem szkoły, zatrzymał się traktor, wtedy padły słowa o tym, kto ma lepiej... W PGR-ze ludzie mający wykształcenie zawodowe zarabiali więcej od nauczycieli pracujących w szkole. Sporo miałem się nauczyć, aby zrozumieć i tym bardziej nie ustawać w edukacyjnej orce na gorze.

Hyżne autarkiczne. Glisno wsią, o jakiej nie miałem wyobrażenia. Ogromny PGR (część Lubniewickiego Kombinatoru Rolnego), gros mieszkańców to jego pracownicy. Spółdzielnia rolna i kilku rolników. Jeden rolnik hodował sto świń, w Hyżnem nikt nie miał więcej niż dwie. Dzieci gospodarzy pracowały, nie mając czasu na uczenie się. Dzieci pracowników PGR-u nie tyrały na roli.

Pod koniec września zawieziono wychowawców i uczniów na wykopki. Dwa dni na polach PGR-u, tyleż w Spółdzielni, jeden dzień u rolnika. Racjonalne podejście. Stałem na polu PGR-u, żadnej miedzy, nie widać końca. Rodzinne poletko mogłem obejść w parę minut. W Gliźnie musiałbym iść kilka godzin, aby okrążyć pegeerowskie pola.

Dziatwa przyjęła mnie nad wyraz spontanicznie, serdecznie. Rodzice mówili, że dzieci wreszcie mają nauczyciela z prawdziwego zdarzenia (tylko ja w szkole miałem tytuł magistra). Koleżanki, koledzy powitali słowami: „Co za ulga! Wszyscy uczyliśmy polskiego...”. Przez kilka lat nie było polonisty. Sprawdziłem wypracowania. Pisownia w myśl manifestu „Nuż w bżuhu”. Sięgałem po słownik, od nadmiaru uczniowskich błędów traciłem ortograficzną orientację!

Dziwna postawa rodziców. Z jednej strony, chcieli, żeby nauczyciel powierzył się dziecku, nie dorabiał, uprawiając pole, hodując świnie, kury. Z drugiej strony, oczekiwali, by miał meble na wysoki połysk. Zrezygnowałem z pola (nauczycielom przydzielano ziemię, wzięliśmy jednoarowy ogródek). Gdy po dziewięciu latach wyprowadzałem się z Glisna, kierowca z PGR-u okrążył mój dobytek, pokiwał głową, rzekł: „Niczego się pan nauczyciel nie dorobił, nic pan nie ma!”. Syknąłem, pokazując na kartony: „Mam książki, auto mógłbym za nie kupić... Młodzież i dorośli korzystali z tych książek...”. Na to on: „Jak dla mnie, nie ma pan nic. Nic wartościowego”.

Wraz z żoną wybraliśmy postawę, która odpowiadała naszej naturze: dużo czytać, nie uganiać się za dobrami materialnymi, więc do nikogo nie czuliśmy żalu. Jednak piekły słowa o braku mebli, ciuchów... Prenumerowaliśmy „Odrę”, „Pozję”, „Nowy Wyraz”, „Literaturę na Świecie”, „Politykę”, „Głos Nauczycielski”, „Twórczość”.

Należało sprawić, aby dzieci pisały poprawnie (trzy błędy w wypracowaniu oznaczały niezdanie egzaminu do liceum) i przekonać rodziców, że praca w PGR-ze to nie kres kariery ich pociech.

W Sierpniu Wałęsa podpisywał porozumienia, podczas gdy analizowałem program nauczania, obmyślałem konspekty lekcji. Stałem z boku, jak i moi przodkowie. Tymczasem Historia znalazła mnie, choć zadekowałem się na wsi...

Styczeń 1981. Ciężarówki dostarczyły nas na plac. Sierżant założył ręce za plecami. Fryzjerzy obcięli włosy. Wąsów nie pozwoliłem tknąć. Dano buty, mundury, kalesony, pasy. Zaprowadzono do izb. Po dziesięciu. Metalowe prycze jedna nad drugą, wybrałem górną przy oknie. Przydzielono maszynki do golenia, pastę do zębów, mydło, kubki. Szafki zabroniono zamykać na klucz. Kazano obszyć pagony biało-czerwonymi sznurkami, przypiąć blaszki SPR-u. Za oknem neonowe niebo i Wrocław w zimowym śnie.

Wozili na poligon, ślepakami praliśmy do blaszanych ludzików. Wracaliśmy nocą, śpiewając „Marsz, marsz Polonia, nasz dzielny narodzie”. Neony smętnie



W lasach Glisna i z córeczką Agatą, 1981.

oświetlały flagi, we Wrocławiu trwały strajki. Siedzieliśmy w autach z karabinami przy udach. Przechodnie patrzyli spod oka. Pałaszowaliśmy pasztet z chlebem, korniszony, zapijaliśmy zbożową kawą. „Dodają bromu” – panikował szczupły podchorąży.

Kazali wkuć regulaminy zapisane w czterech czerwonych książeczkach. Ćwiczyliśmy musztrę, bo zbliżała się przysięga. Niektórzy szeptali, czy godzi się podpisać wierność ZSRR. Posadzili w świetlicy naprzeciw wyższej szarży: pułkownik, kapitan, major. Wiecznotrwały sojusz i braterstwo broni fundamentem ludowej Ojczyzny. Podpisaliśmy. Ślubowaliśmy, stojąc na placu hełm w hełm, karabin przy karabinie i postawa zasadnicza. Przyjedźcie, rodzice, na przysięgę. Przyjechali, nie dostałem przepustki.

Po czterech miesiącach przydział do leśnej jednostki. Do domu w Gliśnie o krok. Pięć kilometrów przez las. Odtąd kapral podchorąży (czyli ja) po służbie, tup, tup – do domciu. Do cywila mieliśmy wyjść (nasz poborowy rocznik) 14 grudnia 1981. Sobotnia noc 12 grudnia. Zdałem służbę, w moro, hajda, do Glisna, choć zakaz opuszczania koszar. Wtem napatoczył się szef sztabu:

– Podchorąży – ryknął – gdzie broń?! Zapi...rdalaj po broń!

W tył zwrot i zapie..., kątem oka zobaczyłem, że wszedł do wartowni. Odwróciłem się i spokojniuteńko poszedłem do autobusu. Patrol z wilczurem i śnieg łaskawy dla nocy. Jak to, spyta kto, zakaz wychodzenia z koszar, a ja sobie na lewiznę i nikt nie zatrzymał? Ot, byłem jednym z podoficerów biura przepustek. Służbę pełnili żołnierze, którymi dowodziłem. Oficerom sprawdzali przepustki, nie mnie, kapralowi...

– Wstawaj – woła żona – wojna!

Niedziela 13 grudnia. Z telewizora Jaruzelski zapewniał: „Socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości”. Wskoczyłem w mundur. Pomknąłem do koszar.



Agatka i ja w szkolnym sadzie, 1982

Glisno wymarłe. Moje żołnierskie buty jazgoczą na zamarznętej drodze. Koszary już za zakrętem. Szlaban, ognisko, szałas. Szeregowy z karabinem w ręku. Odwrócić się i w las? Podszedłem. „Możesz iść – rzekł zziębnięty żołnierz, nie pytając o przepustkę, której nie miałem – ale koszary puste! Nocą pułk opuścił koszary”. Podszedłem do bramy. Żywego ducha...

Co 24 godziny pełniłem dyżury w biurze przepustek. Służbę przedłużono mi o cztery miesiące. Nie rzucając monet przy bramie, pobiegłem do Glisna.

Tak naprawdę uczyć zacząłem we wrześniu 1982. Znowu dziatwa nie miała polonisty, tym razem przez półtora roku. Wychowanka z Glisna napisała

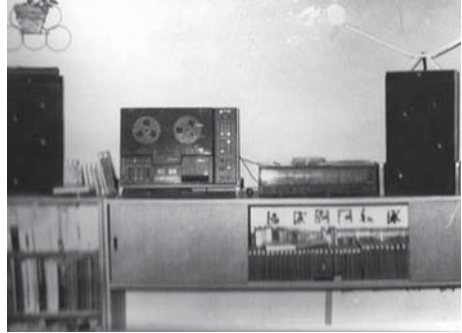
w liście: „Pan potrafił nam zawsze coś wytłumaczyć, jak to się mówi, po chłopsku”. Trudno o celniejszy opis stosowanej przeze mnie metody nauczania. Najpierw uczyłem na sposób wyćwiczony na studiach, ale dziatwa patrzyła, jakbym był wielorybem usiłującym wejść na gruszę, by zrywać... cytryny. Akademicka metodyka nie sprawdziła się na wsi, w której nie było biblioteki, domu kultury, kina, sali gimnastycznej itp. Nie można dobrze uczyć, bagatelizując naturę konkretnego dziecka. Miałem uniwersyteckie wykształcenie, lecz chłopskość definiowała moją metodę... uczenia języka polskiego.

Kombajny niczym gigantyczne owady dzień i noc sunęły przez pola Glisna. Traktory ciągnęły przyczepy pełne pszenicy, rzepaku. Na ścierniskach pobrzękiwały świerszcze. Zegar spowalniał, by zatrzymać wskazówki na cyfrze: zauroczenie porą żniw. Siedziałem przy głazie przywleczonym przez lodowiec. W lasach wabiły podgrzybki, kozaki. Dojrzewały śliwki, konary gruszy pękały pod ciężarem owoców.

Nie istniał mur między mną a dziećmi. Dla patrzącego z boku mogłoby to wyglądać na komitywę. W istocie jednak była to „porumiewawczarnia” (Miron Białoszewski). Poznałem uczniów. Po lekcjach grałem z nimi w piłkę nożną. Co miesiąc prowadziłem dyskotekę, jako że miałem magnetofon stereo. Dzieci tańczyły w szkolnym łączniku. Z dziennikiem pod pachą zasuwałem do domów (za zgodą rodziców). Czy wychowankowie mają kąt do nauki? W blokach PGR-u nieduże, ale ładne mieszkania. W prywatnych domach przytulne pokoje, zegar cichut-



Żona Jola i Agatka przy polu RSP, Głisno 1980



Nasz gliśnieński pokój, 1995

ko tykał na ścianie. Jednak obraz kilkorga dzieci w jednej izbie będącej zarazem kuchnią i pokojem, za zasłoną chora babcia, nie był wyjątkiem.

Serdecznie zapraszano do domu, wychodzono naprzeciw aż na drogę. Prowadzono do pokoju z meblami na wysoki połysk. Częstoowano moją ulubioną szarlotką. Zachęcałem do kierowania dziecka do liceum. Tę myśl wielu przyjmowało sceptycznie: „Panie, jest dobra praca na miejscu, w PGR-ze, w Sulęcinie w fabrykach”. Niektórzy jednak zapewniali, że posła dziecko do szkoły średniej. W domach nie widziałem książek...

Stan wojenny, manifestacje, strajki, konspiracja – słowem, ideologie, zawirowania polityczne nie wpływały na moją postawę. Nie angażowałem się, stałem z daleka. W 1984 odbywały się wybory samorządowe. Ani mi w głowie protest – niepójście na wybory traktowano jako sprzeciw wobec PZPR. Nie głosowałem i kwita (również w przełomowych wyborach z 4 czerwca 1999). Zostałem uznany za wywrotowca, który zagraża socjalizmowi. Po rozdaniu świadectw dyrektor szkoły powiadomił mnie, że polecono mu przekazać, żebym pakował walizki, zostałem wyrzucony z pracy. Przyjechał przyjaciel Stefan. Wzruszył ramionami, nauczyciela mianowanego nie wyrzuca się na bruk z błahego powodu. Wyruszyliśmy w Bieszczady. Powróciłem, spytałem dyrektora, czy naprawdę straciłem pracę. Odparł, że nie ma sprawy. Odetchnąłem! Po dwóch latach okazało się, że rodzice prosili prezesa koła ZSL-u o wstawiennictwo u władz. Powiedział mi, iż Głisno nie mogło sobie pozwolić na utratę takiego nauczyciela, jak ja...

Z motyką na słońce? Dlaczego nie! Gros uczniów zapaliło się do nauki. Czy zdołamy wygrać konkurs polonistyczny? Raz, drugi, trzeci... wracaliśmy na tarczy. „Proszę pana, mówiły dzieci, z miastowymi nie mamy szans”. W 1986 Iza została laureatką! Wzruszenie odjęło mi mowę. Maluteńka wiejska szkoła z powodzeniem rywalizowała z miastami, jak

Gorzów, Międzyrzecz... Po latach Iza przyjechała do Tuplic, aby powiedzieć, że uczy języka polskiego, jest dyrektorką w dużej miejskiej szkole. W Gliśnie jesz-



Na polu RSP uczniowie zbierają ziemniaki po bronowaniu, 1986

cze jedną uczennicę zainspirowałem do uczenia polskiego, w sumie siedem moich uczennic to polonistki.

Uwiodło mnie przygotowywanie działwy do konkursu polonistycznego, pasjonowały opieka nad Samorządem Uczniowskim, organizowanie wyjazdów do teatru, kina. W latach 1985–87 aż ośmiokrotnie zawiozłem dzieciaki na

spektakle teatralne. Sprawilem, że dzieci były na posiedzeniach Rady Pedagogicznej... Oto kilka wpisów ze szkolnej kroniki:

Jestem przewodniczącą SU w szkole Podstawowej im. Osadników LWP. Piszę do was w imieniu uczniów mojej szkoły (...), kilku przedstawicieli Samorządu uczestniczy w Radach Pedagogicznych i na równi z nauczycielami ocenia zachowanie uczniów („Płomyk”, nr 4, 1986). W roku 85/86: Cztery razy wyjeżdżaliśmy do teatru („Śluby panieńskie”, „Rozmowy

przy wycinaniu lasu”, „Krakowiacy i górale”, „Balladyna”. Kl. VI, VII, VIII były na wycieczce w Zielonej Górze. Kl. VII pięć dni spędziła we Wrocławiu. Kl. VIII dwa tygodnie w Krakowie. Najmniej dwa razy w miesiącu byliśmy w kinie w Sulęcinie.

25 – 26 września klasy V – VIII miały wykopki (...). Zebraliśmy 19 ton i zarobiliśmy 18 726 zł. 29 – 30 września i 1 października wykopki w PGR-ze.

Uczniowie kl. VI – VIII obejrżeli w teatrze w Gorzowie „Sen srebrny Salomei”.

Otrzymaliśmy pieniądze za prace wykopkowe w PGR-ze. Zarobiliśmy 70 157 zł.

Uczniowie kl. VI z p. Ryszardem Jasińskim zbierali grzyby. Zarobili 2 100. Ciekawą, acz niebezpieczną przygodę, przeżył G. R., który odłączył się od grupy. Na szczęście, wszyscy wrócili razem do domów. Grzyby zbierała również kl. VIII, która zarobiła 1 300 zł. Pieniądże przeznaczamy na wycieczkę.

Na Mikołaja uczniowie otrzymali miły prezent: klasy młodsze obejrzały w Gorzowie „Słowiczą wyspę”, klasy VI – VIII sztukę A. Fredry „Pan Jowialski”. 28 stycznia. Tym razem uczniowie klas VI – VIII obejrżeli „Turonia” Żeromskiego. Pracowita wiosna! Uczniowie klas starszych, skrzętnie gromadząc pieniądze na wycieczkę do Warszawy, zbierali kamienie na polach PGR-u. Ciężko zarobili 78 400 zł. Ponadto zasadzili 7 ha lasu, zarabiając 43 810 zł. Razem 122 210 zł!

W dniach 8 – 11 maja odbyła się wycieczka do Warszawy. Uczestniczyli w niej uczniowie klas VI – VIII (41 uczniów). Wycieczka kosztowała 360 000 zł. Uczniowie wpłacili po 2 500. Inspektor dał 50 000 zł. A resztę – Zapracowaliśmy! Wyjazd do teatru, 11 czerwca uczniowie klas VI – VIII obejrżeli w teatrze komedię M. Hemara „Dwaj panowie B”.



Zbieranie ziemniaków na polu RSP, 1986



Takim autobusem jeździliśmy do teatru, o ile pamiętam, nie płaciliśmy za wynajem, 1985

Gdy czytam powyższe wpisy z kroniki, widzęariatwę pełną radości, werwy, zapału.

Wychodziłem z wychowankami z seansu filmowego. Wieczór niósł nas uliczkami Sulęcina.

Słoneczny blask gęstniał, a potem noc rozprowadzała każdego osobno do domów w Gliźnie.

W 2015 pojechałem z przyjacielem do Glisna (mieszkańcy już zdolali się dźwignąć po unicestwieniu PGR-u), do Lubniewic, do Sulęcina. Szkołę w Gliźnie zlikwidowano, zniknął sad. W Sulęcinnie Stefan kupił lody, jak przed laty siedzieliśmy naprzeciw nieistniejącej już księgarni (teraz tam bank). Zdawało się, że wystarczy unieść dłoń, ażeby znowu być w roku 1986, 87..., ale Czas z łoskotem zamknął wrota do przeszłości.

W lasach nad Nysą Łużycką (1989 – 2018)

Przed tysiącami lat lodowiec utworzył morenę. Ze względu na rzeźbę terenu, piękno, kształt, wielkość to unikatowa struktura geologiczna. Nazywa się Łuk Mużakowa. Ludzie wydobywali łatwo dostępne surowce, toteż powstało mnóstwo wyrobisk kopalnianych, które wypełniła woda, przybierając – zależnie od podłoża – przeróżne kolory, od brązu po turkus. Antropogeniczne akweny, kilkanaście stawów, Nysa Łużycka, lasy (ponad 55 % obszaru) dopełniają obrazu Tuplic. Kraina urzekła mnie, zakochałem się w niej od pierwszego ujrzenia.

W czerwcu 1989 zawitaliśmy do Tuplic. Dom dla jednej rodziny adaptowano na przedszkole, potem utworzono dwa mieszkania. Nam przypało dwupokojowe na parterze oraz 7 arów ogrodu. Dom był w opłakanym stanie, np. prawie brak rynien, podczas ulewy woda zalewała pokój, pod oknami dziury na wylot.

W 1989 Tuplice to gwarna, ludna wieś przemysłowo-rolna (PGR, cegielnia mająca piec Hoffmana i jeden z kominów ponad 100 metrów wysokości, spichlerz, szlifiernie szkła, GS, Kółko Rolnicze, ogromny tartak, kąpielisko w lesie,



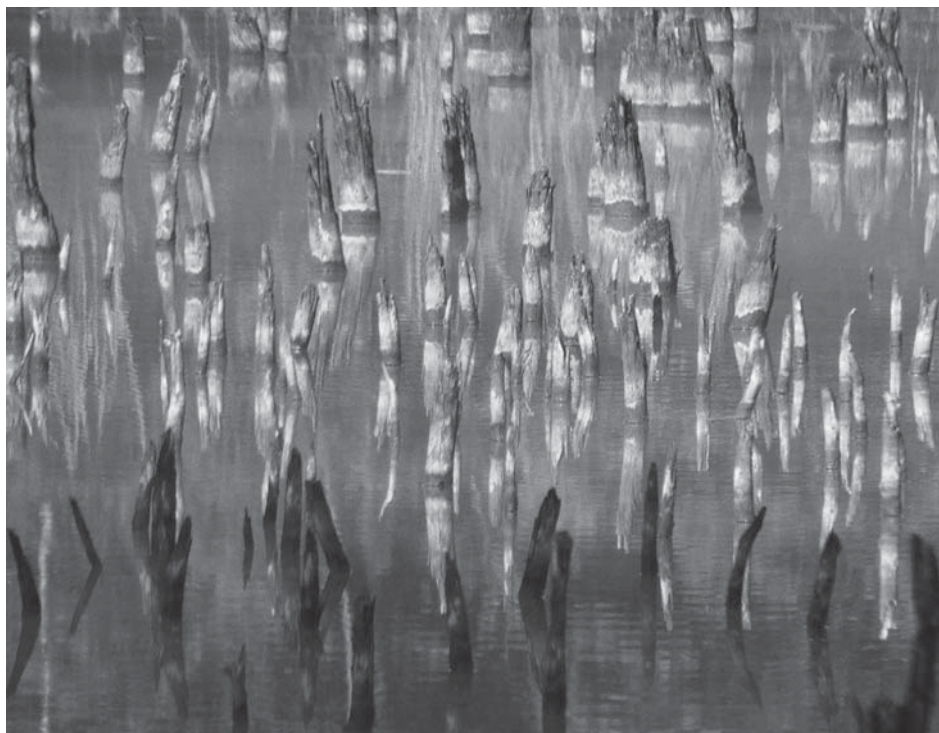
Tuplickie pola, 2018

remontownia wagonów, druga cegielnia – najnowocześniejsza w zachodniej Polsce – w sołectwie Drzeniów). W zakładach pracowano na trzy zmiany, a robotnicy dojeżdżali nawet z Żar, Lubska, Żagania. Gdy się jeszcze uwzględni urząd celny, agencje celne, jednostkę wojskową, wówczas można sobie uzmysłowić, jak bardzo rozwinięta była tuplicka gospodarka. Pociągi osobowe kursowały co godzinę, a towarowe oczekiwały na odprawę celną w kolejce dłużej na kilka kilometrów. Do teatru w Legnicy, w Zielonej Górze, we Wrocławiu jeździłem z dziećmi pociągiem.

Zważywszy na uprzemysłowienie, przejście graniczne na A 4, zamożność niektórych grup pracowniczych – można rzec, iż Tuplice były socjalistycznym rajem. Słowo „były” ma tu wagę. Niebawem wieś zaczęła dostawać tak dotkliwe ciosy, że gospodarczo nie podniosła się do dziś.

W strukturze społecznej prym wiedli celnicy, wojskowi i kolejarze. Silna PZPR. Zawód nauczycielski nie cieszył się prestiżem. Można było słyszeć kąśliwe uwagi, że nauczycieli nie stać na auto, wyjazd na wczasy za granicą... Elitarna grupa to celnicy. Raz pewien zadziorny uczeń wypalił: „Tyle się pan uczył i co pan z tego ma?!”. Natychmiast powiedziałem: „Mogę was uczyć, a to największy skarb...”. Działwę zamurowało z wrażenia.

Szkoła im. Franciszka Józwiaka (stosowny patron, nieprawdaż?; w listopadzie 1989 podczas Posiedzenia Rady pedagogicznej uchwaliliśmy, że będzie nosić imię Tadeusza Kościuszki) liczyła ponad 400 uczniów. Polonistów dwóch, ale pracę mógłby mieć jeszcze jeden. Dostałem lekcje w klasach IV – VIII, wychowawstwo, kółka zainteresowań, wkrótce liceum eksternistyczne. Pracowałem na dwa etaty.



Wyrobisko Kolkowcy (20 ha, o 50 m. od mojego domu), 2018

Klasy liczne, ok. 30 dzieci w każdej. Żona zatrudniła się w przedszkolu. Obiady jadłem w szkolnej stołówce.

Duże zróżnicowanie społeczne okazało się atutem. Mogłem z dziatwą przenieść góry. Każdy mój uczeń, który wybrał szkołę średnią, zdawał egzamin. Zdarzało się, że cała klasa podejmowała naukę w liceum albo technikum. Często w klasie wystawiałem na świadectwa 50–60% piątek i czwórek, jedną celującą. Już na pierwszej lekcji we wrześniu mówiłem, że nie zostawiam na drugi rok w tej samej klasie. Dzięki temu dziatwa nie chciała mnie zawieść, przykładała się do lekcji. Cudne lata spełnienia zawodowego. Dość powiedzieć, że miałem dwóch laureatów konkursu przedmiotowego, kilku finalistów. Otrzymałem nagrodę ministra, dwie nagrody kuratora, co roku nagrody i wyróżnienia dyrektorskie. Uzyskałem dwa stopnie specjalizacji i jako jeden z pierwszych awans na nauczyciela dyplomowanego. Dziatwa lgnęła do mnie...

W rezultacie reform Leszka Balcerowicza i przyjęcia Polski do UE tuplicka struktura społeczna zaczęła trzeszczeć, z wioski zniknęli wszyscy umundurowani (żołnierze, kolejjarze, celnicy). Widok niecodzienny, mundur był powszechny. Padł PGR, zakłady sprywatyzowano. Socjalizm przeobrażał się w kapitalizm. Wte-



Jeszcze pod koniec XX w. tuplicka cegielnia pracowała na trzy zmiany, dziś nie ma po niej śladu. 2006



Staw nr 2, tuplickim łabędziom zrobiłem ponad pół mln zdjęć, 2011

dy w Tuplicach nastąpił modelowy krach: bezrobocie (wskaźnik – ponad 30%) i bieda wielu rodzin i konieczność dożywiania dzieci, patologie. Każdy sprywatyzowany (oprócz jednego) zakład zbankrutował, a niebawem zamienił się w ruinę. O cegielni świadczą tylko zdjęcia. Obok niej istniały kopalnie cennego surowca do produkcji wyrobów ceramicznych. Apogeum kryzysu nastąpiło po likwidacji przejścia granicznego na Nysie Łużyckiej. Żona, która podjęła pracę w agencji celnej, przez rok była na kuroniówce. Nieuleczalnie zachorowałem, operacja, kilka razy w roku szpital, karetka pogotowia na sygnale i lekarz wołający: „Tylko niech nam pan nie ucieka!!”, OIOM... Musiałem pójść na emeryturę... Tuplice się wyludniły, co uwidoczniło się w szkole, w której dziś uczy się o połowę mniej dzieci. W parze z tworzeniem kapitalizmu szło wówczas wszystko, co jakby sprzyścięło się przeciwko Tuplicom...

Aura Tuplic (akweny, moczary, ostępy, bogactwo flory, różnorodność fauny) uniosły mnie, a dziatwa zapalała do pracy. Postanowiliśmy (przyjaciel Stefan i ja) napisać... podręczniki dla klas IV–VIII. Przez kilka lat ułożyliśmy pięć podręczników do nauczania literackiego i tyleż do gramatyki. Redakcja „Warsztatów Polonistycznych” zorganizowała nasze spotkanie z nauczycielami, metodykami. Ideę podręcznika oceniono wysoko. Dwa rozdziały opublikowano w tymże czasopiśmie (nr 3 z 92 oraz nr 3 z 93). Niestety, w 1999 zlikwidowano ośmioletnią szkołę podstawową. Podręczniki pofrunęły do kosza.

Gmina Tuplice prywatyzowała nie tylko przemysł i rolnictwo, również mieszkania, domy. W lutym 1997 wykupiłem mieszkanie. W dwa miesiące później dopadła mnie choroba, tylko uporowi Stefana i chirurgowi zawdzięczam życie.

Rząd Józefa Buzka wprowadził reformę oświaty (1999), powstała sześcioletnia szkoła podstawowa i gimnazja. Zostałem polonistą tuplickiego gimnazjum im. Unii Europejskiej. Chociaż z pasją włączyłem się w kreację gimnazjum, choć uczy-

łem wedle swojego autorskiego programu „Cztery strony dalii”, choć zdobywałem wyróżnienia, np. w konkursie o Pałuckie Pióro, choć dwa moje projekty dostały subwencję z Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności (Równać szanse), to było dla mnie rzeczą oczywistą, że psychicznie najlepiej czułem się w ośmioletniej szkole podstawowej.

W wyborach z 2010 uzyskałem najlepszy wynik w gminie. W cztery lata później wygrałem w jednomandatowym okręgu. Jesteśmy samorządowcami bez przynależności partyjnej. W naszej Radzie Gminy brak koalicji, opozycji. Kandydowałem na radnego, bo mam cel: stwarzać uczniom i nauczycielom jak najlepsze warunki do nauki, pracy. Zwłaszcza w kadencji 2014–18 udało się wiele zrobić. Dzięki wójt wspieranej przez Radę za 4 mln wyremontowano szkołę, a za milion – przedszkole.

Listopad 2018 – w setną Rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości podczas sesji po raz trzeci z rzędu otrzymałem zaświadczenie o uzyskaniu mandatu radnego. Tak symbolicznie zamknęło się sto lat w historii mojej rodziny.

Było, przeszło, przepadło, przebiegło, zleciało, przebrzmiało, wymarło, upłynęło, wygasło, zanikło... Pisząc od 14 sierpnia do 21 grudnia o stuleciu 1918–2018 w rodzinnej historii, pochylałem się nad tym, co przeminęło. Przyglądałem się temu, co się zachowało.

Nie ma babć, dziadków, rodziców.

Co ocalało? Nazwiska: Pleśniak, Jasiński, Nowak, Drewniak. Nie można określić, od jak dawna są one w rodzinie. Co trwa? Las i część pola przodków, dom postawiony przez tatusia. Znany jest rok, w którym uzyskaliśmy ziemię: 1848 (cesarski akt uwłaszczenia).

Są dokumenty (księgi parafialne), można ustalić daty małżeństw, urodzin, śmierci. Można poznać koligacje, genealogię. Są wspomnienia, mogę je zestawić z tym, co pamięta moje rodzeństwo. Są zdjęcia.

Jest Hyżne (rodzinna wieś), a w nim pradawny układ pól, drózek, miedz, lasów.

Kim byli przodkowie, zanim znaleźli się w potrzasku polityki, zanim uczyniono z nich poddanych szlachty? Wolnymi kmieciami? Niewolnikami? Z racji prawnych decyzji przez setki lat należeli do najniższego stanu społecznego. Zostali przypisani do wsi szlachecka. Tak zamknięto przed nimi drogi awansu, wyjścia z biedy, uzyskania stanowisk. W tym kontekście Rok 1918 miał dla rodziny absolutną rangę. Stał się wrotami do wyzwolenia w sferze obywatelskiej, edukacyjnej.



Moje mamuny, Tuplice, 2018

Druga kluczowa data – 1944 – wyznacza przemianę ustrojową (w Polsce) oraz zanik chłopskich właściwości (w rodzinie). Babcią Aniela i Agata, dziadkowie Józef i Broniek to ostatnie chłopskie pokolenie. Nazwa „chłoporobotnicy” wyraża charakter generacji rodziców, Marii i Zdzisława.

Trzecia przełomowa data: 1989 (wybory z 4 czerwca, zmiana ustroju, kres PRL-u).

Jestem z pokolenia, które żyje w UE. Moja generacja nie doświadczyła wojen, głodu.

Analfabetyzm to pusty dźwięk. Nie dziwi obfitość dóbr (choć za Jaruzelskiego cukier, mięso z kością kupowaliśmy na kartki, żona przed szóstą rano stała w kolejce, mając na rękach synka). Demokracja, wolne wybory, swoboda zakładania partii politycznych to oczywistość, acz zaznaliśmy monopolu PZPR i stanu wojennego.

Sto lat niepodległości w historii mojej rodziny to przejście ze spetryfikowanego świata feudalnych relacji na wsi poprzez socjalizm do dynamicznej cywilizacji. Mój syn jest informatykiem. Córka mieszka i pracuje we Wrocławiu, wnuczka uczy się w tymże mieście.

Historyczne zdarzenie – w 1624 bez wsparcia szlachty chłopci obronili kościół i odparli atak Tatarów – w relacji babci Anieli miało formę legendy. Zostało też upamiętnione w herbie Hyżnego. Jeden z odważnych chłopów kamieniem pokonał Tatara. Nazywał się... Pleśniak⁴. Czy to protoplasta mej rodziny od strony Pleśniaków?

W trakcie pisania niniejszego konkursowego tekstu udało mi się ustalić rodowód Pleśniaków: babcia Agata (córka Magdaleny Janik, Kacpra Pleśniaka), pradziadek Kacper (syn Magdaleny Tadli, Michała Pleśniaka), prapradziadek Michał (syn Magdaleny Drewniak, Walentego Pleśniaka). Wkrótce poznam genealogię Jasińskich, Nowaków, Drewniaków.

Z każdą porą roku czynności agrarne się powtarzały, gwarantując nienaruszalność, stałość rzeczy, spraw. Od rodziny, sąsiadów doświadczałem czułości. W idylliczną prostotę mego życia w Hyżnem nie wdarł się zgiełk, chaos. Gdy przyjeżdżam do Hyżnego, podążam na pola, siadam na polu, na którym z babcią pasłem krowę. Nie chodzi o nostalgię, idealizację minionych lat, a o wdzięczność dla przodków.

Lipy u węgiew chałupki. Dróżka prowadzi do lasu. Na miedzy babcia Aniela pasie krasulę. Na drzewie połysk gruszek, uczują osy. Świerszcze brzęczą w rżysku. Z chaosu półkopków dziadek Broniek wyjeżdża wozem ciągnionym przez konia. Wóz drabiniasty, koń gniady, bat zbędny, lejce luźno w dłoni. Leżę na snopie owsa, patrzę w prześwit w chmurach. Z końskiej grzywy wiatr strząsa słoneczny proch.

⁴ Andrzej Gliwa, Strategie przetrwania ludności ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej podczas najazdów tatarskich w XVII wieku, s. 441; <http://www.academia.edu/33637647/>

ADAM GÓRSKI
WOJCIECH WEJNERT
Poznań

Rodzina Górskich w dziele odzyskania niepodległości i polityczno-społecznych przemianach w Małopolsce i Wielkopolsce w XX w.

1. Pochodzenie i historia rodziny

Kolebką rodziny Górskich jest wieś Żeleźnikowa, należąca do gminy Nawojowa w powiecie nowosądeckim, położona kilka kilometrów na wschód od Starego Sącza, na północnym zboczu Beskidu Sądeckiego – rozciągającego się od Jaworzyny Krynickiej po Nowy Sącz.

Szczególony charakter Ziemi Sądeckiej wiąże się z jej kulturowym zróżnicowaniem, co wynika z faktu, że tereny te zamieszkiwane były przez rdzennie polskie grupy etnograficzne: Lachów Sądeckich, Górali Sądeckich, Pogórczan, a także przez Łemków – górali rusińskich, Niemców Galicyjskich – osadników z czasów kolonizacji „józefińskiej” w okresie zaborów, osiadłych Cyganów Karpackich oraz Żydów. Wszyscy oni żyli w symbiozie zasiedziałyh stosunków sąsiedzkich, a różnorodność religijna – wyznania rzymskokatolickie, greckokatolickie, prawosławne, ewangelicko-augsburskie oraz judaizm – oraz kulturowa, językowa i obyczajowa nigdy nie były między nimi powodem jakichkolwiek poważniejszych konfliktów. Na zachodnim zboczu Beskidu Sądeckiego znajdują się wszystkie „nadpopradzkie” zdrojowiska.¹

Nowy Sącz to stary gród broniący doliny Dunajca; w wojnach 1655–1657 był ośrodkiem jednego z najwcześniejszych powstań przeciwko Szwedom, a w czasie II wojny światowej walczyły tu – w samoobronie przed najeźdźcami i w kontynuowaniu walk o Niepodległość – oddziały partyzanckie.

Istnienie Żeleźnikowej jest udokumentowane od XIII wieku, z uwagi na prowadzące tędy szlaki dróg na Węgry oraz związane z tym od wieków liczne zamki obronne, strażnice i klasztory. Na przykład w klasztorze Klarysek z XIII wieku

¹ S. Czop, „Sądecki Park Etnograficzny w Nowym Sączu”, Kalendarz Rolników, Wyd. Duszpa-sterstwa. Rolników, Włocławek 2019.

w Starym Sączu znajdują się groby żon władców Polski – Jadwigi Łokietkowej i św. Jadwigi, żony księcia Henryka Brodatego i matki Henryka Pobożnego. Nadmienić przy tym należy, że w zamku królewskim w Nowym Sączu Jan Długosz kształcił i wychowywał wszystkich synów Kazimierza Jagiellończyka, którzy panowali później w Polsce, na Litwie, w Czechach i na Węgrzech.

Żeleźnikowa, w ciągu swoich dziejów, należała do dóbr królewskich, kościelnych, a częściowo także do Królewskiego Wolnego Miasta Nowego Sącza, w związku z czym jej mieszkańcy korzystali z wielu przywilejów. Na przykład już w XIV wieku w Żeleźnikowej były: kościół parafialny, młyn i karczma, a sami mieszkańcy – jako społeczność góralska – czuli się wolnymi i niezależnymi. W Rabacji Galicyjskiej nie uczestniczyli, a „podpalaczy” z powiatu tarnowskiego „przeganieli”, gdyż wiedzieli, że ruch ten został wywołany i był wykorzystywany przez władze austriackie do sparaliżowania powstania w Galicji. Żeleźnikowa leży na obrzeżach Popradzkiego Parku Krajobrazowego, w pięknym górzystym terenie. Obecnie jest to prawie przedmieście Nowego Sącza, kursują do niej miejskie, sądeckie autobusy i nadal mieszkają tam Górcy, którzy szczerą się tym, że ich ród „od zawsze” związany był z Żeleźnikową. A pomimo tego, że obecnie rozrósł się on do 5 rodzin, tworzących odrębne gospodarstwa, to jego siedlisko zawsze było i jest u stóp góry zwanej „Bratkówką”, na której – m.in. w wyższych partiach i płaskowyżu na szczycie – położone są uprawiane ziemie, sady i lasy.

Nazwa rodzinnej góry „Bratkówka” powstała na pamiątkę sporu dwóch braci – w połowie XIX wieku – którzy nie mogli się zgodzić, do którego z nich góra ma należeć i w końcu ustalili, że granicę między nimi stanowić będzie droga, zawile i zygzakowato prowadząca na sam szczyt, i dalej przez Pisaną Halę i Kosarzyska-Piwniczną lub Jaworzynę Krynicką i Muszynę na Węgry.² O przywiązaniu rodziny do tej góry świadczy fakt, że Józef Górski, wstępując do 2 pułku Legionów Polskich w 1915 r., przybrał pseudonim „Bratkówka”.

Wieś Żeleźnikowa – pod względem rolniczym i chowu zwierząt – do zamożnych nie należała, więc biedniejsza jej część podejmowała pracę w rozwijającym się przemyśle drzewnym i przetwórstwa owocowego, w tartakach i gospodarstwach leśnych oraz w usługach w zdrojowiskach i w całej tzw. infrastrukturze pogranicza. Z tego faktu najbardziej zadowolona była młodzież, gdyż dawało to jej możliwość „wyjścia ze wsi i poznania świata”, wyuczenia się zawodu i dalszego kształcenia, gdyż tak w Nowym, jak i Starym Sączu działały wszystkie niezbędne szkoły średnie i zawodowe, publiczne, klasztorne i prywatne (a obecnie także m.in. zaliczana do najlepszych w kraju Wyższa Szkoła Biznesu National-Louis University). Dobrze zorganizowane szkolnictwo zadecydowało, że w czasie obydwu wojen to młodzież

² Ten z braci, który podział Bratkówki spowodował, nazwany został „Łabuda”, a jego potomkowie z tym przewiskiem mieszkali w Żeleźnikowej do końca II wojny światowej.

szkolna gremialnie wstępowała do tworzonych drużyn i oddziałów strzeleckich, drużniackich, legionowych i partyzanckich, dając podstawy tworzenia jednostek Wojska Polskiego, gdyż młodzież w wieku poborowym powoływana była do wojska zaborców lub zmuszana do niewolniczej pracy przez okupantów. Szkolnictwo odegrało także decydującą rolę w rozwoju środowiska i regionu, skoro zważy się, że na początku XX wieku w Żeleźnikowej mieszkały tylko 4 osoby umiejące czytać i pisać (szkoły jeszcze nie było), w tym ksiądz proboszcz, organista i 2 gospodarzy (jednym z nich był senior Jan Górski), a obecnie do jej mieszkańców zaliczyć należy naukowców (z pełnymi tytułami naukowymi), lekarzy, księży, nauczycieli, oficerów Wojska Polskiego i innych służb mundurowych, inżynierów, przedsiębiorców i menedżerów. Obecnie prawie cała młodzież wioski studiuje na wybranych przez siebie uczelniach wyższych.

Rodzina Górskich nigdy nie należała do tych, które poświęcały się wyłącznie produkcji rolnej, z uwagi na – jak się wydaje – różne powołania i psychiczne uwarunkowania i zdolności dziedziczone po starszej generacji, wśród których dominowała służba społeczna w samorządach i administracji, organizacji postępu i systemowego zarządzania. Trzeba tutaj zaznaczyć, że dzięki seniorowi Janowi Górskiemu i jego uporowi powstała w Żeleźnikowej m.in. szkoła powszechna. Rozbudziła ona u młodzieży drzemiące talenty i chęć poznawania wiedzy – jak to zaznaczył w mowie pożegnalnej po śmierci Jana biskup Diecezji Tarnowskiej, Jego Ekscelencja Jerzy Ablewicz.

Historię rodziny Górskich „od zawsze” – jak to mawiał ostatni posiadiciel jej centrum „pod Bratkówką”, Franciszek – odtworzyć można było nie tylko z zapisów metrykalnych miejscowej parafii, lecz przede wszystkim na podstawie archiwalnych dokumentów i rzeczy przechowywanych w skrzyni w tzw. lamusie, budynek wmurowany w skłón góry naprzeciw budynku mieszkalnego, do którego dostęp (klucze) miała wówczas tylko żona seniora Jana, Maria. Klucze te zawsze miała przypięte do pasa spódnicy. Młodsze pokolenie dostępu do lamusa nigdy nie miało, co zawsze budziło ciekawość, gdyż wskazywać mogło, że ukrywano w nim coś ważnego lub cennego, albo z czym nie można się było ujawniać.

Jedyny wyjątek w tym zakresie miał miejsce w lutym 1945 roku, gdy Maria (trzecia z kolei żona Seniora) wraz ze swoją córką Stefanią przyjechały do domu Józefa Górskiego (najstarszego wówczas z młodszego pokolenia), aby pożegnać się z całą jego rodziną, przygotowaną do powrotu do Wielkopolski. Z wyraźnymi oporami wydobyla z jednej torby stosunkowo duży pakunek zawierający głównie wiktuały „na drogę”, który owinięty był białym starym płótnem, pokrytym kolorowym pismem, właściwie już nieczytelnym, a może tylko niezrozumiałym (na przykład łacińskim), którego tekst na początku i na końcu opieczętowany był tym samym herbem, wyróżniającym się przykuwającą uwagę wielkością i kolorystyką – na gó-

rze był czerwony, na dole czarny. Po przekazaniu pakunku owijające go płótno natychmiast schowała do drugiej, mniejszej torby, w której znajdować się miały papiery wyjaśniające m.in. tekst płótna, których jednak nie wyjęła i mimo uporczywych nalegań córki Stefanii nie pokazała, tłumacząc to obawą przed „rozsypaniem” się starych papierów oraz nieobecnością Józefa, który w tym czasie rozliczał – na zlecenie władz gminy – majątek księżnej Jabłonowskiej w Librantowej.

Dalsze losy powyższych archiwaliów są nieznane, gdyż w nowych warunkach nie przywiązywano do nich większej wagi, a wszelki ich ślad po wytyczeniu nowej państwowej drogi i przeniesieniu całych zabudowań w inne miejsce, a zwłaszcza po śmierci Franciszka, ostatniego ich użytkownika, zaginął. A może to tylko legenda dla ciekawskich.

2. Udział seniora rodziny – Jana Górskiego – w działalności niepodległościowej

W zaborze austriackim po uzyskaniu autonomii w 1868 r. nastąpiło polepszenie swobód obywatelskich oraz postęp na polu politycznym i oświatowym (działały nie tylko polskie szkoły podstawowe – samorządowe – gminne i średnie – tzw. krajowe, ale także polskie uniwersytety we Lwowie i Krakowie), lecz nie było spodziewanej poprawy w sytuacji gospodarczej. W ówczesnej sytuacji (wiek XIX) nie było warunków ani środków na ponowne powstania, wobec czego – wzorując się na zaborze pruskim – podjęto działania w zakresie „pracy organicznej”, zmierzające do przyspieszenia materialnego i organizacyjnego rozwoju zakładając, że poprzez zwiększony udział obywateli w samorządzie i tworzonych organizacjach stopniowo będzie dojrzywać świadomość narodowa społeczeństwa, a zwłaszcza ludności wiejskiej, w której tkwiła największa – wymagająca jednak rozbudzenia – siła. Tymczasem położenie włościan pogarszało się, rosły podatki państwowe i gminne: gruntowe, drogowe, domowe, na utrzymanie wiejskich szkół, mostów itd., co doprowadzało do zadłużania gospodarstw i lichwy, a w efekcie do wyzbywania się ziemi i emigracji (USA), gdyż do racjonalnego – w tych warunkach – prowadzenia swych gospodarstw rolnicy nie byli przygotowani ani nie posiadali stosownej wiedzy.

W samoobronie, w celu zespolenia wysiłków całej gromady w realizacji obowiązków i zadań produkcyjnych i społecznych zaczęto tworzyć – na wzór społeczeństwa w zaborze pruskim – odpowiednie stowarzyszenia i towarzystwa rolnicze, a w gromadach – kółka rolnicze. Pierwsze założone zostało przez księdza Stanisława Stojalowskiego – polityka i posła do parlamentu austriackiego i Sejmu Galicyjskiego – w 1880 r. (gdzie na Pomorzu Gdańskim przez J. Kraziewiczza w Piaśnicy w 1862 r., a w Wielkopolsce w 1866 r. przez ks. Tułodzieckiego, pod pa-

tronatem M. Jackowskiego). Natomiast podobną do „Poradnika Gospodarskiego” (wydawanego przez Kółka Rolnicze w Poznaniu od 1889 r.) rolę w popularyzacji i wdrażaniu do praktyki osiągnięć naukowych i innowacji oraz w szkoleniu i podnoszeniu kwalifikacji rolników pod zaborem austriackim (w latach 1875–1890) spełniały, wydawane przez ks. Stojałowskiego już od 1875 r. czasopisma „Wieniec” i „Pszczółka”, a następnie „Rolnik”, „Gospodarz Wiejski” i „Niewiasta”.³

Cała więc działalność w drodze do Niepodległości i w obronie przed utratą polskiej ziemi, w czym uczestniczyły wszystkie na wsi stany (duchowieństwo, ziemianie i włościanie), zależna była od poczynań samorządu, a w tym przede wszystkim od miejscowego wójta.

W owym czasie, na przełomie XIX i XX wieku, wójtem Żeleźnikowej był najstarszy z rodziny Górskich – Jan (24.05.1869–26.11.1950) syn Stanisława, powszechnie szanowany i o wielkim autorytecie, który tę funkcję sprawował jakby „od zawsze” (do końca swego życia tytułowany wójtem, lub bardziej poufale „krzesnym Ojcem”) i wszystkie zadania związane z tym stanowiskiem i wynikające z reguł „pracy organicznej” wypełniał z największym oddaniem. Włączył się również do działalności społeczno-gospodarczej, np. mającej na celu przejęcie w polskie ręce bardzo intratnego handlu bydłem, które z Węgier przepędzano przez tereny będące w jego – jako wójta – władaniu, w czym specjalizowali się Słowacy, mieszkający na południu Sądecczyzny Łemkowie oraz Żydzi. Bydło kupowano na Węgrzech na potrzeby konsumpcyjne wojska, a woły, przeznaczone na siłę pociągową dla gospodarstw [Ryc. 1] oraz wielkich majątków na Wołyniu do orek na bezkresnych, ciężkich „czarnoziemiach”, tam były sprzedawane. (Woły, a nie konie były wówczas podstawową siłą do uciągu i prac polowych, a w małych gospodarstwach nawet krowy w odpowiednich jarzmach). W wyprawach na Węgry wójtowi często towarzyszyli jego synowie: Jan i Franciszek, którzy znajomość przejść, skrytek i schowków wykorzystali w czasie tworzenia „szlaków kurierów”, w czasie II wojny światowej.

Poza tym, ponieważ wójt mógł spełniać – pod kontrolą państwa – również funkcje sądowe i administracyjne, określone w tzw. Patencie Uwłaszczeniowym z 1848 r., Jan Górski do końca swego życia był bardzo skutecznym mediatorem i sędzią we wszystkich sprawach i konfliktach nie tylko między sąsiadami, a jako „trybun ludowy” występował wobec władz.

Senior Jan wychował 5 synów: Józefa, Jana, Franciszka, Michała i Stanisława oraz 3 córki: Helenę, Marię i Stefanię. Ta ostatnia przeżyła rodzeństwo i umarła w 2018 roku mając 96 lat. Spośród nich w walkach o odzyskanie Niepodległo-

³ Przypomnieć wypada, że pierwsze towarzystwo rolnicze, pod nazwą Kasyno Gostyńskie, powstało w Gostyniu, w zaborze pruskim, w 1835 roku, a Centralne Towarzystwo Rolnicze założono w Poznaniu w 1844 r. Miało ono objąć swym działaniem wszystkie stany na wsi i wszystkie gospodarstwa bez względu na ich wielkość, do czego jednak władze pruskie nie dopuściły.



Ryc. 1. Pojazd w zaprzęgu wołami

ści i w jej zagospodarowaniu w pełnym wymiarze uczestniczył najstarszy syn Józef (1900–1979 ps. „Bratkówka”), a Jan (1908–1992 ps. „Jeleń”) i Franciszek (1910–2001 ps. „Kupiec”) walczyli z okupantem w czasie II wojny światowej. Zwłaszcza Jan, który w latach 1939–1946 pełnił obowiązki sołtysa Żeleźnikowej i w związku z tym starał się koordynować wszelkie dzia-

łania oddziałów partyzanckich walczących na jego – jako sołtysa – terenie tak, aby nie stwarzały zagrożeń dla życia mieszkańców i ich dobytku. Było to bardzo trudne, gdyż na tym przygranicznym terenie, stale obserwowanym przez władze niemieckie, w walkach z okupantem brały czynny udział także oddziały polskie nie podporządkowane władzom Polskiego Państwa Podziemnego oraz partyzantka sowiecka. Z obowiązku tego, dzięki pomocy łączników Armii Krajowej i BCh, sołtys wywiązywał się bezbłędnie. Uchroniło to mieszkańców tego rejonu, przez który przebiegały szlaki kurierskie i gdzie toczyła się stała walka z nieprzyjacielem, od stosowania przez Niemców zbiorowej odpowiedzialności. Za okupacyjną działalność sołtysowi Janowi Górskiemu – po wyzwoleniu – powierzano dwukrotnie honorowe stanowisko Przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej dla wydzielonego obszaru Wielkiej i Małej Żeleźnikowej z przyległymi osadami. Odznaczony także został m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Natomiast Franciszek Górski, z uwagi na bezbłędną znajomość handlowych przejść granicznych i tworzonej sieci szlaków kurierskich, oddał duże usługi w akcjach ukrywania i przerzutów przez granicę, w tym także Żydów, w związku z czym był przez okupantów poszukiwany i sam musiał się ukrywać.

3. Działalność Józefa Górskiego – syna Seniora Jana – w Małopolsce

3.1. Młodość, nauka oraz udział w Legionach Polskich i w wojnie 1920 roku

Józef Górski (1900–1979) był synem Jana z pierwszego małżeństwa z Anną Urbańską. Brat Anny, Wojciech – urzędnik Krajowego Rządu Galicji mieszkający we Lwowie – po śmierci siostry (w połogu) miał bardzo duży wpływ na wychowanie i wykształcenie Józefa oraz dalszą drogę jego życia.

Józef urodził się w Żeleźnikowej 14 stycznia 1900 r. Od roku szkolnego 1906/07 uczęszczał do szkoły podstawowej, a gdy ją ukończył w dniu 15 kwietnia 1915 r.

i otrzymał tzw. świadectwo uwolnienia (ukończenia szkoły), od prawie roku trwała I wojna światowa, która nie toczyła się zbyt pomyślnie dla Austro-Węgier. W wyniku bitwy galicyjskiej Rosjanie zajęli pod koniec 1914 r. całą wschodnią Galicję wraz z jej stolicą Lwowem. Doszli aż do Dunajca i zajęli m.in. pobliskie Marcinkowice, a ponieważ na tym odcinku frontu walczyły z nimi oddziały Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego, opromienione zwycięskimi bitwami w Galicji i na Bukowinie, więc cała młodzież ze wszystkich szkół (polskich przecież), wychowana w tradycjach patriotycznych, zaczęła zgłaszać się ochotniczo do punktów werbunkowych do Legionów. Ich starsi koledzy, poborowi, wcieleni już byli do wojsk zaborców.

Do punktu werbunkowego do Legionów zgłosił się również Józef Górski. Nie chciano go przyjąć, gdyż miał tylko 15 lat, więc zamiast swojego świadectwa urodzenia przedstawił akt urodzenia starszego brata z dnia 11 listopada 1897 r. i jego śmierci na anginę w dniu 3 kwietnia 1899 r. Dokument ten, sporządzony na stosownym druku przez proboszcza parafii w Żeleźnikowej i wypisany po łacinie, miał wyraźne daty 1897 i 1899, więc zadowolili podoficera prowadzącego werbunek i został włączony do akt wojskowych.

Józefa wcielono jako żołnierza do 2 pułku piechoty, który stacjonował w okolicach Nowego Sącza. Formalnie został żołnierzem I Brygady, ale wkrótce na bazie 2 pułku i innych oddziałów walczących w Karpatach utworzono II Brygadę Legionów, zwaną „Żelazną” lub „Karpacką”, i to w jej szeregach przeszedł cały szlak bojowy.

W maju 1915 r. II Brygadę skierowano na Bukowinę, gdzie toczyła krwawe walki obronne nad Prutem. Później, podczas austriackiej ofensywy, 2 pułk dotarł do Rokitnej, gdzie miała miejsce słynna szarża 2 szwadronu ułanów. W październiku 1915 r. 2 pułk wysłano na Wołyń, gdzie zdobył sławę w natarciu na Polską Górę, a następnie toczył długotrwałe walki pozycyjne nad rzeką Styr. W lutym 1916 r. dowództwo II Brygady objął słynny później Błękitny Generał, wówczas pułkownik Józef Haller. W czerwcu 1916 r. 2 pułk skierowano pod Hruziatyn, gdzie wraz z innymi oddziałami powstrzymywał ofensywę rosyjskiego generała Brusilowa. W wyniku odwrotu pobitych Austriaków 2 pułk, po bitwie pod Kostiuchnówką, znalazł się nad rzeką Stochód, gdzie zajmował pozycje do końca października i gdzie zakończył działania bojowe pod sztandarami Legionów Polskich.

Po ustaniu walk jesienią 1916 r. II Brygadę skierowano do Baranowicz, a następnie do Zegrza pod Warszawą. W owym czasie oddziały legionowe zostały oddane do dyspozycji dowództwa niemieckiego w zdobytym Królestwie Polskim jako Polski Korpus Posiłkowy. Na bazie oddziałów legionowych Niemcy zaczęli tworzyć polskie wojsko podporządkowane formalnie polskiej Tymczasowej Radzie Stanu, a tak naprawdę stanowiące rezerwy słabnącego Wehrmachtu. Jak wiadomo wy-



Ryc. 2. Legionista Józef Górski w obozie dla internowanych w Marmaros-Sziget – 1918 r.

siłki te poniosły fiasko na skutek tzw. kryzysu przysięgowego w lipcu 1917 r. Większość byłych legionistów odmówiła złożenia przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu. Brygady I i III, złożone głównie z mieszkańców zaboru rosyjskiego, rozwiązano, a ich żołnierzy internowano. Natomiast II Brygada, w której szeregach służyli głównie byli poddani cesarza austriackiego, została oddana dowództwu austriackiemu i jako Polski Korpus Posiłkowy skierowana pod Przemyśl, a następnie na front na Bukowinie. W jej szeregach nadal znajdował się Józef Górski.

W owym czasie armia rosyjska po drugiej stronie frontu była w stanie rozkładu pod wpływem agitacji bolszewickiej i praktycznie nie prowadziła działań bojowych. Czasem tylko dochodziło do wymiany ognia. Żołnierze byłej II brygady więcej uwagi poświęcali więc wydarzeniom w kraju. W lutym 1917 r.

Niemcy i Austro-Węgry podpisały traktat pokojowy z nowopowstałym państwem ukraińskim, przekazując mu m.in. ziemię chełmską. W polskich oddziałach uznano to za czwarty rozbiór i postanowiono zaprotestować z bronią w ręku. Ponieważ na Ukrainie gen. Józef Dowbór-Muśnicki formował korpus polski z Polaków, byłych żołnierzy cara, płk Józef Haller postanowił przebić się przez front i dołączyć do niego.

Operacja przejścia przez front odbyła się pod miejscowością Rarańcza w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r. Nie wszystkim się udało – artyleria, tabory i straż tylna zostały odcięte przez austriacki pociąg pancerny i wzięte do niewoli, wśród nich Józef Górski. Schwytanych żołnierzy osadzono w obozach internowania – Józef Górski znalazł się w miejscowości Marmaros-Sziget na Węgrzech (obecnie w północnej Rumunii, w pobliżu ukraińskiej granicy) [Ryc. 2].

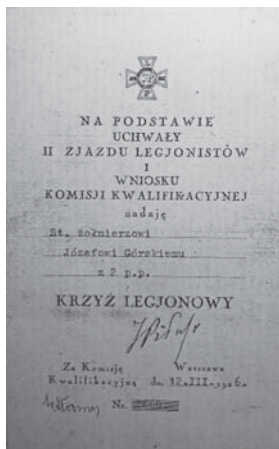
Warunki pobytu w obozie były bardzo ciężkie – nieogrzewane baraki, druty kolczaste, strażnicy Węgrzy, których wówczas internowali, z uwagi na ich stosunek do nich, przestali uważać za bratanków, raczej żywnościowe wg przydziału dla jeńców wojennych itd. Od marca do października 1918 r. w Marmaros-Sziget

toczył się proces najbardziej aktywnych uczestników wydarzeń pod Rarańczą. Początkowo Austriacy planowali bardzo surowe potraktowanie zbuntowanych Polaków, z wyrokami śmierci włącznie, ale pogarszająca się sytuacja wojenna zmusiła ich do odstąpienia od tych zamiarów. Proces przerwano 10 października 1918 r. i legionistów przewieziono do Galicji – do Lwowa i innych miast. Ludność Galicji zaś, która dzięki doniesieniom prasowym z uwagą śledziła perypetie swoich żołnierzy, powitała ich entuzjastycznie. Wprawdzie władze austriackie zamierzały wcielić zwolnionych legionistów byłej II Brygady do różnych jednostek wojskowych, głównie na froncie włoskim, ale postępujący rozpad cesarstwa uniemożliwił im te plany. Józef – po demobilizacji – mógł wreszcie wrócić do domu. Wkrótce ten dom znalazł się w odrodzonej, wolnej Polsce.

Po rocznym pobycie w rodzinnym gospodarstwie i u swego wuja we Lwowie, Józef Górski zapisał się 1 października 1919 r. do Krajowej Szkoły Rolniczej w Suchodole koło Krosna, gdyż zawsze pragnął uczyć się, poszerzać swoje horyzonty i fachową wiedzę. Duży wpływ miała na to służba w Legionach, w tzw. „inteligentkim wojsku”, w którego szeregach ochotniczo służyła głównie młodzież ze szkół, gdyż poborowi wcielani byli do wojska zaborców. Miano legionisty, nawiązane kontakty, znajomości, były kapitałem na przyszłość, jednak dla jego wykorzystania konieczne było wykształcenie. Szkoła rolnicza była wówczas najlepszym wyborem dla chłopaka z góralskiej wioski spod Sącza, a być może jedynym.

Tak więc Józef rozpoczął naukę w Suchodole, a w tym czasie na wschodzie wzbierała kolejna burza. Marszałek Józef Piłsudski, wówczas naczelnik państwa, wiosną 1920 roku postanowił zakończyć konflikt z sowietami jednym uderzeniem. Jednak Armia Czerwona nie została rozbita i trzeba było wycofywać się spod Kijowa. W kraju padło hasło „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!” i rozpoczęła się masowa mobilizacja, a gdy pewnego dnia uczniowie Szkoły Rolniczej w Suchodole, uczestnicząc w wiecu na rynku w Krośnie, usłyszeli z ust przemawiającego z trybun ówczesnego przywódcy ludowego, a zarazem Premiera Rządu RP, Wincentego Witosa, że „nie komisarze bolszewicy dadzą polskim chłopom ziemię, lecz to my, Rząd Polski, Wam ją damy”, następnego dnia cała klasa, 18 chłopaków, zgłosiła się do Komisji Werbunkowej.

Komisja skierowała Józefa Górskiego – jako weterana z dużym doświadczeniem bojowym – do Ostrołęki, do tworzonego tam 108 pułku ułanów. Pułk wszedł do walki już na początku lipca 1920 r. w składzie VIII Brygady Kawalerii. Początkowo Brygada toczyła walki z jazdą sowiecką między Ostrołęką a Łomżą, następnie stanowiąc lewe skrzydło 5 Armii gen. Władysława Sikorskiego, odpierającej ofensywę Tuchaczewskiego na Warszawę. W walkach odwrotowych 108 pułk doszedł do Ciechanowa, gdzie karta odwróciła się. 14 sierpnia miała miejsce zwycięska bitwa pod Głinojeckiem, następnie 108 pułk wziął udział w zdobyciu Ciechanowa, gdzie



Ryc. 3. Dokument nadania Józefowi Górskiemu Krzyża Legionowego



Ryc. 4. Potwierdzenie przyznania Odznaki Pobytu w Obozach dla Internowanych na Węgrzech



Ryc. 5. Dokument odznaczenia Józefa Górskiego Krzyżem Niepodległości



Ryc. 6. Sentencja Krzyża Niepodległości

rozbito sztab sowieckiej IV armii. W tym czasie VIII Brygadą dowodził słynny kawalerzysta gen. Karnicki. Dalszy szlak bojowy wiódł przez Mławę, aż do ówczesnej granicy niemieckiej w Prusach Wschodnich. W tych zmaganiach 108 pułk miał za przeciwnika przede wszystkim sowiecki korpus kawaleryjski Gaj Chana. Jednostka ta gromadziła w swych szeregach kozaków zdziczałych sześćioletnią, nieustanną wojną, kryminalistów ze wszystkich więzień carskiej Rosji i wyrzutków wszystkich możliwych narodów, podobnie zresztą jak bardziej słynna Armia Konna Budionnego, działająca na południowym odcinku frontu polsko-sowieckiego. Była to właściwie dzika banda, nastawiona głównie na rabunek i gwałt. W starciach nie

brali jeńców – udokumentowana liczba polskich żołnierzy zamordowanych przez wojowników Gaj Chana przekracza 1000. Podczas odwrotu po zwycięstwie polskim nad Wisłą Gaj Chan trzykrotnie przebiegał się z okrzykami, aż w końcu – aby się uratować – przekroczył granicę Niemiec. W tych walkach Józef był dwukrotnie ranny. Leczony był w wojskowym szpitalu w Krakowie, gdzie komisja lekarska stwierdziła, że po postrzałach w głowę i w płuca powinien być z wojska zwolniony. Jednak Józef pozostał w szeregach do końca. W szpitalu odwiedził go ojciec, któremu przekazał swą ułańską szablę. Pozwolono mu ją zatrzymać za wykonanie na ochotnika zadania, w czasie którego został ranny.

Po okresie odpoczynku w okolicach Chełma 108 pułk kawalerii skierowano na front, gdzie nadal trwały walki, jednak zanim Józef ponownie ruszył w bój nastąpiło zawieszenie broni. Pułk skierowano do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie 15 stycznia 1921 r. został przemianowany na 20 Pułk Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego. Ochotników zwolniono do cywila, aby mogli dokończyć przerwana naukę i realizować przerwane zajęcia. Dotyczyło to również Józefa Górskiego, który powrócił do swej szkoły w Suchodole.

Za swe zasługi wojenne Józef Górski otrzymał liczne odznaczenia, z których był bardzo dumny, podobnie jak wszyscy jego potomkowie. Za okres służby w legionach marszałek Piłsudski odznaczył go w dniu 12 marca 1926 r. Krzyżem Legionowym (Nr 2660) [Ryc. 3].

Otrzymał także pamiątkowe odznaki: I i II Brygady Legionów oraz Odznakę Internowanych na Węgrzech (nr 1835) [Ryc. 4].

Za kampanię 1920 r. otrzymał Krzyż Walecznych, za brawurowe (na ochotnika) wysadzenie w powietrze magazynu amunicji i broni na tyłach wroga. Natomiast – co najważniejsze – za pracę w dziele odzyskania Niepodległości Józef Górski został odznaczony zarządzeniem Prezydenta RP z dnia 20 lipca 1932 r. Krzyżem Niepodległości (Nr 283-14/10217) [Ryc. 5 i 6].

3.2. Dokończenie nauki i praca zawodowa w Małopolsce

Do szkoły – po zdemobilizowaniu – powróciło ośmiu uczniów z 18, którzy w obronie ojczyzny wstąpili ochotniczo do wojska, co potwierdza, że „w odparciu bolszewików młodzież polska nie żałowała swej krwi” [Ryc. 7].

Nauka w szkole rozpoczęta 1 października 1919 r. – z przerwą na wojnę – trwała do 11 maja 1922 r., kiedy Józef Górski otrzymał „Świadectwo ukończenia nauk” potwierdzające zdany egzamin końcowy „z całości nauk rolniczych” i ukończenie „3-letniego kursu nauk z postępowaniem bardzo dobrym”. Równocześnie w oddzielnym dokumencie dyrekcja Krajowej Szkoły Rolniczej stwierdziła, że „na podstawie wykazanych postępów uznała Józefa Górskiego za uzdolnionego do przejścia na wyższy stopień nauki nauk rolniczych” i aby mu to umożliwić Szkoła skierowała go



Ryc. 7. Ośmiu uczniów, którzy po wojnie w 1920 r. powrócili do Szkoły, z nauczycielami (Józef Górski – drugi z lewej strony w górnym rzędzie)



Ryc. 8. Brzezna – miejsce pierwszej samodzielnej pracy Józefa Górskiego



Ryc. 9. Józef Górski z żoną, jej siostrzenicą i siostrzeńcem oraz ze swym pierwszym synem Adamem w Brzeznej

na praktykę do Zarządu Dóbr i Lasów Adama hr. Stadnickiego w Nawojowej koło Nowego Sącza. Pracę w tym charakterze Józef Górski odbył od 1 czerwca 1922 r. do 31 stycznia 1923 r., po czym od 1 lutego 1923 r. został awansowany na stanowisko samodzielnie zarządzającego folwarkiem Brzezna w powiecie Nowy Sącz [Ryc. 8 i 9]. Na tym stanowisku pozostawał do 1 lipca 1926 r., kiedy to z myślą o usamodzielnieniu się odszedł na własne żądanie. Odchodząc otrzymał od właściciela dóbr bardzo dobre świadectwo, a kolejne, znacznie ważniejsze, od Zarządu Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Nowym Sączu, wystawione 7 września 1933 r., potwierdzające, że „Józef Górski, były zarządca dóbr w Brzeznej, był członkiem Kółka Rolniczego w Brzeznej-Litacz od roku 1922 do 1926, tj. przez okres 4 lat, biorąc czynny udział w pracy społecznej;

wygłaszał odczyty na zebraniach członków naszej organizacji i w dużej mierze przyczynił się do założenia Szkołki Drzew Owocowych w Brzeznej prowadzonej przez Sekcję Sadowniczą przy Kółku Rolniczym. Jako dobry organizator zjednał sobie uznanie rolników, wśród których cieszył się zawsze szczerą sympatią”.

Wydając powyższą opinię, tak prezes jak i kierownik biura Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Nowym Sączu nie mogli jednak przewidzieć, że działalność Jó-



Ryc. 10. Ślub Ireny Górskiej z Aleksandrem Weinertem – 4 października 1952 r.



Ryc. 11. Ślub Anny Górskiej z Aleksandrem Kubiakiem – 1958 r.

zefa Górskiego w powyższej specjalizacji odniesie taki skutek, że folwark w Brzeznej, w ramach Reformy Rolnej z 1944 r., przekazany zostanie jako Sadowniczy Zakład Doświadczalny Instytutowi Sadownictwa i Kwaciarsstwa w Skierniewicach.

Pracując w Brzeznej Józef Górski poślubił Helenę z Dominików z Dąbrowej spod Nowego Sącza, a z małżeństwa tego urodziło się czworo dzieci: Adam (1924) – żołnierz polskiego państwa podziemnego (BCh i AK), pracownik naukowy i dydaktyczny uczelni w Poznaniu, Wrocławiu i Szczecinie, Zbigniew (1926–1927), Irena (1928–1988) – lekarz stomatolog, żona Aleksandra Weinerta, wicedyrektora Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego [Ryc. 10], i Anna (1930–2018) – magister chemii – profesor szkół średnich i żona Aleksandra Kubiaka, prof. dr hab. Akademii Rolniczej – obecnie Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu [Ryc. 11].

Pierwszy rząd od lewej: Józef Górski; Maria Weinert, matka Aleksandra; Irena; Aleksander; Helena Górska; ks. Adam Zawila udzielający ślubu. Drugi rząd od lewej: p. Górna, lekarz stomatolog; Zenon Weinert, adwokat, brat Aleksandra; Maria, żona Zenona, lekarz pediatra; dr Kamiński, lekarz rodzinny z Osiecznej, z żoną; Zofia, siostra Aleksandra; jej mąż Jerzy Parczyński, lekarz ortopeda; nn. Trzeci rząd od lewej: nn; nn; Józef Tisler, dyrektor mleczarni w Lesznie, z żoną; Anna Górska; dr Jan Sajdak, działacz PSL; Ludwika Gierczak, lekarz stomatolog z Rawicza; Adam Górski.

Od lewej, za Młodą Parą: nn; Irena Górskaja-Weinert z synem Wojtkiem; Aleksander Weinert; Maria Weinert; Helena Górskaja; Adam Górski; Józef Górski; Marta Feodora Kubiak, siostra Aleksandra; Franciszek Kubiak, ojciec Aleksandra.

Po odejściu z Brzeznej Józef Górski podjął dalszą naukę w Akademii Rolniczej w Dublanach pod Lwowem, na kursach specjalistycznych w dziedzinie technologii rolno-spożywczej, specjalizując się w mleczarstwie. Na poszczególne sesje musiał dojeżdżać, gdyż jego rodzina mieszkała w Nowym Sączu, więc też jego praca nie miała charakteru stałego. Np. w okresie od 24 lutego 1927 r. do 1 lipca

1928 r. pracował w Rożnowie, gdzie zarządzał majątkiem Joanny hr. Stadnickiej. Natomiast po ukończeniu nauki, dla sprawdzenia swej specjalizacji, w dniu 1 października 1927 r. wdzierzał od Marii hr. Steckiej majątek ziemski Olszowa w powiecie brzeskim. Jednakże pomimo tego, że hrabina Stecka w swym poświadczeniu z dnia 7 maja 1928 r. potwierdziła, że „Pan Józef Górski okazał się doskonałym rolnikiem...”, z dzierżawy tej musiał odstąpić z uwagi na poważne straty w inwentarzu żywym, w czym się specjalizował, a co wymagało stałego dozoru, którego w aktualnych warunkach nie mógł zapewnić. Poza tym urodziła mu się pierwsza córka Irena, która wymagała opieki, zwłaszcza matki.

W powstałej sytuacji nastąpiło nieoczekiwane rozwiązanie. Po rozpoczęciu pracy w Małopolskiej Izbie Rolniczej we Lwowie został poinformowany, że takie same stanowiska, lecz na korzystniejszych warunkach, można objąć w Wielkopolskiej Izbie Rolniczej w Poznaniu, i z oferty tej postanowił skorzystać. Na terenach byłego zaboru pruskiego wystąpił bowiem niedobór specjalistów i wykształconych kadr we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza w szkolnictwie, gdyż obowiązkowe w zaborze pruskim nauczanie odbywało się wyłącznie w języku niemieckim, i nauczycieli tych należało zastąpić. W wielkopolskim rolnictwie wystąpił największy odpływ fachowców, a ich następcy obawiali się, że w nowych warunkach wysoki dotąd poziom i jakość produkcji obniżą się, a rywalizacja między odtwarzanymi lub od podstaw budowanymi gospodarstwami i przedsiębiorstwami polskimi a osiadłymi i niezniszczonymi niemieckimi będzie bardzo trudna. Nie można bowiem nie uwzględniać, że po wojnie w posiadaniu Niemców w Wielkopolsce wciąż pozostało 40,9% gospodarstw towarowych, a w niektórych powiatach jeszcze więcej, np. w krotoszyńskim – 85,8%, w nowotomyskim – 68,6%, w leszczyńskim – 65,4%. W rękach niemieckich pozostawało także 65% produkcji mleczarskiej.⁴

4. Działalność Józefa Górskiego w Wielkopolsce (1928–1939)

4.1. Zagospodarowywanie przywróconych ziem, obrona i zabezpieczanie przed ich utratą

Józef Górski swą działalność w Wielkopolsce rozpoczął w Wielkopolskiej Izbie Rolniczej w Poznaniu, gdzie zatrudniony był od dnia 21 czerwca 1928 r. do 31 sierpnia 1930 r. na stanowisku instruktora hodowli i specjalisty mleczarstwa na rejon Kościan–Śmigiel i powiaty przyległe.

Zamieszkał w skromnych warunkach w podleszczyńskim Bojanowie, większość czasu spędzając w terenie. Założył 24 koła hodowlane, zrzeszając w nich – po

⁴ Rocznik statystyki Rzeczypospolitej Polskiej 1925/1926, GUS 1927.



Ryc. 12. Komitet Organizacyjny „Dożynek Ziemi Zachodnich” (Siedzą: Starosta Dożynek – Józef Górski i Prezes Związku Ziemi Zachodnich – prof. Julian Szpumar.)



Ryc. 13. Korowód z dożynkowymi wieńcami

raz pierwszy w tym zakresie – 127 samodzielnych włościan i osadników, za co był wielokrotnie wyróżniany. Np. Prezes Wielkopolskiej Izby Rolniczej dr Janusz Chosłowski, w wydanym w dniu 24 listopada 1930 r. świadectwie stwierdził: „Pan Józef Górski był jednym z najlepszych pracowników Izby...”. Był także jednym z najbardziej zaangażowanych założycieli i organizatorów Spółdzielczej Mleczarni w Lesznie (1928 – 1929), w ostrej konkurencji z mleczarniami niemieckimi. Przez cały czas działalności mleczarni pozostawał w jej władzach, był m.in. przewodniczącym zarządu, za co nie pobierał żadnego wynagrodzenia. Działał również w naczelnych władzach mleczarstwa w Warszawie, m.in. na stanowisku przewodniczącego Komisji Społeczno-Samorządowej oraz jako członek Prezydium i Rady Nadzorczej Związku Spółdzielni Mleczarskich w Polsce.

Jako osoba niezwykle popularna, szybko zaskarbiająca sobie sympatię otaczających go ludzi, dołączył do miejscowych elit społeczno-gospodarczych i uczestniczył we wszystkich imprezach i uroczystościach państwowych, regionalnych i samorządowych. M.in. z inicjatywy Związku Ziemi Zachodnich zorganizował „Dożynki Ziemi Zachodnich”, które odbyły się w Lipnie, w czasie których pełnił obowiązki Starosty [Ryc. 12 i 13], oraz „Ludową Banderię Konną”, która podobnie jak wcześniej zorganizowana „Narodowa Banderia” miała przypominać chlubną tradycję kawalerii polskiej i brała udział w defiladach z okazji świąt państwowych oraz w innych uroczystościach.

W przededniu uzgodnionego odejścia z Wielkopolskiej Izby Rolniczej do WTKR, reprezentował Izbę jako jej przedstawiciel na Ogólnopolskich Dożyn-



*Ryc. 14. Rada Komunalnej Kasy Oszczędności Powiatu Leszczyńskiego
 (Józef Górski – pierwszy z prawej strony)*

kach u prezydenta RP w Spale, a za swą działalność w dniu 27 sierpnia 1930 r. został przez Prezydenta Mościckiego wyróżniony.

Ponieważ z pracą Józefa Górskiego wiązały się również obowiązki towarzyskie, więc sprowadził swą rodzinę z Nowego Sącza do Wielkopolski. Zamieszkali wspólnie w 1929 r. najpierw w Bojanowie, gdzie w 1930 r. urodziła się druga córka Anna, a następnie przeprowadzili się do Leszna, które stało się centralnym punktem przyszłej działalności Józefa.

W dniu 1 września 1930 r. powierzono Józefowi Górskiemu stanowisko sekretarza i prowadzenie biura Oddziału Powiatowego Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych (WTKR) w Lesznie. Równocześnie został instruktorem w zakresie rolnictwa, hodowli i przemysłu rolno-spożywczego, a w dowód pełnego zaufania i potwierdzenia kwalifikacji został wybrany kierownikiem Powiatowego Biura ds. Finansowo-Rolnych. W tym ostatnim działał na rzecz oddłużenia wielkopolskiego rolnictwa, czym zaskarbił sobie wdzięczność i zaufanie wszystkich, których sprawy prowadził, co potwierdzają w wydanych świadectwach: Zarząd Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych w Poznaniu z 12 stycznia 1937 r. i Prezes Powiatowego Oddziału WTKR z dnia 1 września 1937 r.

W tym samym czasie Józef Górski pełnił szereg innych funkcji we władzach powiatu leszczyńskiego. Np. był sekretarzem Powiatowego Urzędu Rozjemczego, członkiem Sejmiku Powiatowego w Lesznie i Rady Komunalnej Kasy Oszczędności powiatu leszczyńskiego w Lesznie [Ryc. 14], a także rzeczoznawcą sądowym w dziedzinie rolnictwa.

Większość tych funkcji nie wiązała się z wynagrodzeniem, a to, że „obowiązki swoje Pan Górski wykonuje sumiennie i gorliwie z zamiłowaniem na niwie społeczno-rolniczej” potwierdził w „Poświadczeniu Pracy” w dniu 7 maja 1935 r. przewodniczący Powiatowego Urzędu Rozjemczego Marian Krause – Wicestarosta Powiatowy w Lesznie.

Polska była w tamtych czasach krajem niejednorodnym narodowo, gdyż według spisów z 1931 r. jej obywatele (jak zadeklarowali) posługiwali się następującymi językami:

• polskim	21.991.000 osób	co stanowi 70,72%
• ukraińskim	3.222.000 osób	co stanowi 10,38%
• żydowskim i hebrajskim	2.733.000 osób	co stanowi 8,80%
• ruskim	1.220.000 osób	co stanowi 3,93%
• białoruskim	990.000 osób	co stanowi 3,19%
• niemieckim	742.000 osób	co stanowi 2,39%
• rosyjskim	139.000 osób	co stanowi 0,45%

Natomiast w 1939 r. jako swą narodowość zadeklarowało:

• polską	24.000.000 osób	co stanowi 68,4%
• ukraińską, białoruską i litewską	7.300.000	co stanowi 20,8%
• żydowską	3.300.000	co stanowi 9,4%
• niemiecką	500.000	co stanowi 1,4 % ⁵

Ponadto nie wszystkie sąsiadujące z Polską państwa zgadzały się na wytyczone po wojnie granice, więc na granicach tych spokojnie nie było, a troska o ich utrzymanie należała do podstawowych obowiązków obywateli, zwłaszcza mieszkających w pasach przygranicznych. W takiej sytuacji również Józef Górski, od najmłodszych lat żołnierz walczący w dwóch wojnach, mieszkający kilkanaście kilometrów od granicy z Rzeszą Niemiecką, przystąpił do działalności mającej zabezpieczyć ojczyznę przed ponowną utratą niepodległości. M.in. od początku 1932 r. był powiatowym referentem przysposobienia rolniczego przy Zarządzie Komendy Powiatowej Związku Strzeleckiego w Lesznie, a jego działalność prezes Zarządu Powiatowego Z. S. kpt. Doliński w zaświadczeniu z dnia 11 września 1933 r. ocenił następująco: „Obywatel Górski przysposobieniu rolniczemu oddaje się z całym zapałem i przysposobienie rolnicze w Związku Strzeleckim postawił na wysokim poziomie”.

⁵ Księga adresowa gospodarstw rolnych, Wielkopolska Izba Rolnicza, Poznań



Ryc. 15. Rodzina w trakcie przygotowań do wyjazdu na Kresy

Wydaje się, że powyższa opinia sporządzona została w związku z proponowanym przez władze centralne przeniesieniem Józefa Górskiego na wschodnie kresy Rzeczypospolitej w ramach ich repolonizowania. Zaproponowano bowiem J. Górskiemu objęcie stanowiska Starosty (prawdopodobnie komisarzycznego) w powiecie podhajeckim, w województwie tarnopolskim. Była to wtedy najbardziej wysunięta na wschód rubież Polski, w bardzo dużym stopniu zrusyfikowana, gdzie był potrzebny rzutki i energiczny człowiek, który przeciwstawiłby się wrogości i narastającej agitacji ukraińskiej. Już pierwsze rozmowy przeprowadzone na miejscu w Podhajcach wykazały, że sprawa nie jest łatwa, gdyż uczestniczący w nich przedstawiciele społeczeństwa ukraińskiego mimo, że ukończyli polskie szkoły, a część z nich odbyła nawet służbę w wojsku polskim, oświadczyli, że nie znają języka polskiego i zażądali tłumacza, w czym najlepsze usługi świadczyli miejscowi Żydzi. Niczego dobrego to nie wróżyło, bowiem przyszły starosta nie znał w ogóle języka ukraińskiego ani rosyjskiego. Sprawa rozstrzygnęła się, gdy – po dłuższych rozmowach – wieczorem do Józefa Górskiego przybyli przedstawiciele miejscowego Kahału (Zarządu Żydowskiej Gminy Wyznaniowej), którzy oświadczyli: „Panie Starosto, my panu pomożemy, ale to nie wystarczy, wojsko też nie pomoże, a dowiedzieliśmy się o panu i wiemy, że pan jest porządny człowiek, ale oni tu

pana zabiją. Dwaj poprzedni starostowie umarli nagłą śmiercią, a pan ma rodzinę, więc niech pan się ratuje”. Powyższa rada została wysłuchana, sprawa została zakończona, co zupełnie nie zdziwiło promotorów tej przeprowadzki na wschód, a z czego najbardziej były zadowolone miejscowe władze społeczno-gospodarcze w Lesznie. Po przygotowaniach do nieudanej przeprowadzki pozostało tylko rodzinne zdjęcie [Ryc. 15].

4.2. Działalność w zakresie postępu i rozwoju społeczno-gospodarczego

Podstawowym czynnikiem i wskaźnikiem niezależności, wolności i niepodległości jest nieskrępowany postęp i rozwój. Józef Górski wielokrotnie sprawdził się na tym polu, o czym upewniły go osiągnięte wyniki oraz propozycje objęcia stanowisk w administracji państwowej. Postanowił więc głoszone przez siebie i upowszechniane prawa i wiedzę przykładowo wdrażać do praktyki, tym bardziej, że wobec planowanych awansów zwolnił się z zajmowanych dotychczas stanowisk. W tym celu nabył obiekt rolniczy z rozparcelowanego majątku ziemskiego w Wyciążkowie, w odległości około 7 km od Leszna. W skład zakupionego gospodarstwa wchodził staw, który Józef Górski zarybił, oraz gorzelnia, której stał się współwłaścicielem wraz z Dymitrem Andraut de Langeron z Żakowa (ostatnim Marszałkiem Dworu cara Mikołaja II w Petersburgu), żonatym z Marią z Krasińskich (schronił się w jej dobrach na Wołyniu a następnie wraz z wojskami gen. Dowbora-Muśnickiego przeniósł do Wielkopolski). Natomiast aby obserwować i badać towarowość i efekty obiektu, Józef Górski wydzierżawił od 1 lipca 1935 r. pozostałą po parcelacji resztówkę z uwarunkowaniem jej ratalnego zakupu. Stworzył więc gospodarstwo w pełni towarowe o powierzchni przekraczającej 42,5 ha ziemi uprawnej z 8 ha łąk i pastwisk własnych. Zależnie od potrzeb pastwiska były powiększane o tereny należące do poligonu obozu wojskowego, z dawnego folwarku „Boża Pomoc” przydzielonego wojsku w wyniku parcelacji majątku. Ponieważ dodatkowo zabezpieczone zostały dostawy pasz przemysłowych z produkcji gorzelni (wywar) oraz z dwóch cukrowni (wytloki z Kościana i Gostynia), więc stworzono podstawy prowadzenia specjalizacji mleczarskiej, której właściwie był wierny do końca. Gospodarstwo rozwijało się, stało się pokazowym, wielokierunkowym gospodarstwem towarowym, wymagającym jednak stałego nadzoru.⁶ Nadzór ten pozostawał w rękach jego żony, gdyż Józef Górski obowiązki państwowe i społeczne zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Codziennie był „w rozjazdach”, co ułatwiało dowożenie bryczką dzieci do szkół w Lesznie, bo korzystał niby z okazji zabrania się z nimi lub sam powoził. Starał się również, aby jego dom był otwarty dla

⁶ W pierwszym okresie pomagali Józefowi Górskiemu jego bracia Franciszek i Michał.



Ryc. 16. Figura Matki Boskiej w Wyciążkowie obok domu Górskich.

wszystkich. Z jego terenu łowieckiego korzystali m.in. profesorowie leszczyńskich szkół średnich, którzy – tak jak Józef Górski – zostali sprowadzeni na te ziemie z naboru (byli bez rodzin, więc chętnie korzystali z zaproszeń i gościnny) oraz oficerowie z sąsiedniego obozu ćwiczeń. Ci ostatni wieczorami zjawiali się na słuchanie radiowych wiadomości oraz turnieje brydżowe, gdyż na terenie obozu gra w karty była zabroniona (zakaz ten bezwzględnie egzekwował ówczesny dowódca stacjonującego w Lesznie 55 Poznańskiego Pułku Piechoty płk Stefan Rowecki, późniejszy Generał Grot, pierwszy dowódca Armii Krajowej). Współpraca z wojskiem była korzystna, zwłaszcza z 17 pułkiem ułanów z Leszna. Wojsko otrzymywało produkty na wyżywienie żołnierzy i paszę dla koni, znajdujących się na poli-

gonie, a w zamian dostarczało koński nawóz i pomagało w uprawie gleby pod zasiew owsa dla swych koni. W ten sposób gleba stała się „przenawożona” i nawet zboża często na niej wylegały. W związku z tym np. Towarzystwo Ubezpieczeń „Vesta” nie chciało ubezpieczać tych zasiewów nawet od gradobicia.

W międzyczasie Józef Górski, po ukończeniu w 1938 roku budowy własnych zabudowań, opuścił zajmowany dotąd neoklasycystyczny dwór z połowy XIX wieku, który wraz z parkiem wyłączony został z obszaru resztówki i sprzedany ob. A. Dutkowskiemu, teściowi ówczesnego kierownika gorzelnii.

Z obszaru tego Józef Górski wykupił teren leżący przy drodze dojazdowej, na którym znajdowała się wykonana w XIX wieku piękna figura Matki Bożej stojącej na półkuli z rozłożonymi rękoma i nakrytej błękitną szatą. Figura ta została w czasie II wojny światowej usunięta przez okupantów, a po wojnie odszukana przez Józefa Górskiego, odnowiona przez artystę Leona Rozpendowskiego (twórcę m.in. „Panoramy bitwy na Psim Polu”) i ponownie ustawiona w trakcie uroczystego nabożeństwa [Ryc. 16].

5. Wędrówki spowodowane wybuchem wojny

5.1. Przebieg i skutki wędrówki Józefa Górskiego

Krótko przed wybuchem wojny Józef Górski został poinformowany, że jego gospodarstwo, leżące obok poligonu, obozu i składnic wojskowych zaliczone zostało do „frontu obronnego” i podlegać będzie pełnej mobilizacji, więc wysłał rodzinę do Nowego Sącza (gdzie zamieszkała we własnym domu przy ul. Żółkiewskiego 20), gdyż w przypadku spodziewanej mobilizacji i tak ten teren musiałaby opuścić. Mieli tam być bezpieczni – wojna nie miała tam nigdy dotrzeć. Natomiast gdy już wybuchła, wojsko przepędziło jego inwentarze – a także inwentarze z innych przygranicznych majątków – na wschód, a do ich pilnowania wyjechali za nimi pracownicy z rodzinami na konnych wozach roboczych. Józef Górski wyruszył konnym, dziecięcym zaprzęgiem, którym jego dzieci dojeżdżały do szkół (był małych rozmiarów i nie podlegał rekwizycji), w stronę Warszawy, szukając swojego przydziału. Jako uczestnik dwóch wojen był przecież objęty mobilizacją, a nie miał nawet 40-tu lat. Dotarł pod Warszawę, do Gąbina, zatrzymał się u rolnika nazwiskiem Garstka⁷, lecz przydziału się nie doczekał, a że w międzyczasie walki ustały, powrócił w ten sam sposób do Wyciążkowa.

Natychmiast po powrocie do domu, w którym zakwaterowany został oddział wojsk niemieckich, Józef dostał wezwanie do starostwa (Kreisamt in Lissa) celem wyjaśnienia, gdzie był i co robił, gdyż podejrzewano go, że został zmobilizowany i powinien przebywać w obozie jenieckim. Po przesłuchaniu został zwolniony. Nie na długo jednak. Wkrótce został aresztowany przez gestapo, które oskarżało go o przedwojenną antyniemiecką działalność polityczno-gospodarczą w Lesznie, a oficjalnie o zamknięcie mleczarni niemieckiej, która była podstawą przerobu 65% produkowanego w regionie mleka, i ogromne w związku z tym straty w eksporcie masła do Niemiec. Zgodnie z niemiecką polityką likwidacji polskich elit polityczno-gospodarczych na terenach wcielanych do Rzeszy, aresztowany został wraz z ówczesnym Prezesem Zarządu mleczarni i równocześnie prezesem Oddziału Powiatowego WTKR, posłem Jerzym Donimirskim. Uratowali go jednak miejscowi Niemcy, których zatrudniał przed wojną w swoim gospodarstwie i którzy pamiętali pomoc, jakiej wszystkim potrzebującym udzielał. A ponieważ zeznał to m.in. ówczesny policjant niemiecki o nazwisku Andersch (którego brat Kurt dowoził dzieci Górskich do szkół, a czekając aż skończą lekcje sam uczęszczał na zajęcia do szkoły niemieckiej w Gronowie, co Niemcy wysoko ocenili), Józef Górski zachował życie. Odebrano mu jednak gospodarstwo na podstawie decyzji Landrata z dnia 27 września 1939 r., z nakazem natychmiastowego opuszczenia całego majątku i wyprowadzenia się poza powiat.

⁷ U pana Garstki pozostawił swą broń osobistą, która została wykorzystana w czasie okupacji, a także dokumentację osobistą, odebraną po wojnie.

Polecenie powyższe zostało zrealizowane dnia 8 grudnia 1939 r., gdy do domu Józefa Górskiego przyjechali policjanci niemieccy i polecili mu, aby w ciągu 15 minut przygotował się do wysiedlenia i zabrania tylko niezbędnych rzeczy osobistych. Następnie zawieźli go do szkoły powszechnej w Lesznie przy placu Metziga, gdzie formowano grupy wyjazdowe do miejsc przesiedlenia na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa, zajmującego środkową część Polski. Grupa, w której się znalazł, poprzez Łódź (gdzie przeprowadzono bardzo szczegółową ewidencję i rozeznanie wysiedlonych), dotarła do Tomaszowa Mazowieckiego, skąd wysiedlonych kierowano do miejsc wskazanych przez Komisję w Łodzi lub wybranych przez poszczególne osoby. Józef Górski wybrał Nowy Sącz i tym sposobem rodzina znalazła się w komplecie. W Nowym Sączu dogoniło go pismo o konfiskacie jego majątku (datowane 27 września 1939) z powodu – jak napisano – jego opuszczenia i konieczności mianowania Treuhändera.

Bez względu na motywację gospodarstwo zostało zlikwidowane, inwentarze, maszyny i narzędzia (w tym cała nowoczesna aparatura zakupiona do gorzelnii) wywiezione i nigdy nie odzyskane, budynki (nowoczesne, podworskie) zamieniono na magazyny wojskowe, a grunty rozparcelowano wśród Niemców.

5.2. Odyseja Adama Górskiego

Syn Józefa – Adam – odbył w tym czasie własną „Odyseję” przez kraj ogarnięty wojną. Gdy we wrześniu 1939 r. wojska niemieckie podchodziły ze Słowacji pod Nowy Sącz (zajęli go 6 września 1939 r.) postanowił – wobec różnych informacji na temat rozpraw z dorastającą młodzieżą – ukryć się przed wojskiem niemieckim. Jako miejsce schronienia wybrano dom krewnych – Urbańskich – we Lwowie. Z związku z tym Adam miał towarzyszyć swej ciotce (siostrze swej matki) – Marii Kotulskiej, która udawała się na Podlasie do swoich córek, nauczycielek Marii i Heleny (syn ciotki, Zdzisław, powołany został do wojska, a sama zostawać nie chciała). Podróż rozpoczęli furmanką z Naściszowej, a gdy ta została zarekwirowana przez wojsko, przyłączyli się do kolejowego transportu rodzin pracowników PKP z Tarnowa, udających się do Stanisławowa.

Gdy po uciążliwych przesiadkach dotarli do Lwowa, trafili na największe bombardowanie miasta, jakie kiedykolwiek Lwów przechodził, po którym wszelkie połączenia kolejowe do i ze Lwowa zostały zniszczone. Bombardowanie przeczekali na dworcu w tunelach pod torami i w piwnicy jednego z domów przy ul. Grodeckiej lub Gródeckiej (?)... Pod wieczór dotarli do domu Urbańskich na ul. Piaskowej nr 5 (na Łyczakowie), lecz okazało się, że gospodarze przeprowadzili się do majątku rodzinnego żony wujka, Marii z domu Tarnawskiej, w Zarudcach na północ od Lwowa, gdzieś pod Kulikowem przed granicą powiatową z Żółkwią – jak tłumaczyli sąsiedzi. Poszukując noclegu trafili do dużego, chyba miejskiego zakła-

du ogrodniczego w Zboiskach, którego zarządca przenocował ich w swoim biurze, a nazajutrz im wytłumaczył, że Zarudce to miejscowość oddalona o ok. 30 km, i że jest tam stacja kolejowa, do której można dojechać z jakiejś stacji następnej, na wschód od Lwowa. Zaraz do niej ruszyli, a gdy przybyli na wielką polanę – zagajnik, natknęli się na grupę podchorążych ze Szkoły Podchorążych Medycyny Wojskowej. Napotkani wyjaśnili, że dalsze wędrówki nie mają sensu i nie radzą tutaj pozostać, więc zaproponowali, że ich zabiorą z sobą ciężarówkami do Rumunii. Jednak ciotka na propozycję się nie zgodziła, a Adam nie mógł jej pozostawić. Po poinstruowaniu i zaopatrzeniu ich w dalszą drogę (od tygodnia spożyli po raz pierwszy obiad) ruszyli nie na wschód, gdzie kolej też nie funkcjonowała, lecz na północ. Doszli tylko do wioski Grzybowice, pod prąd tłumom ludzi i wojsku polskiemu, kierującymi się do Zaleszczyk i do Rumunii, za którymi posuwały się już wojska niemieckie. W ten sposób dalsza droga została zamknięta, gdyż znaleźli się między broniącym się Lwowem i nacierającymi wojskami niemieckimi.

W Grzybowicach zostali zakwaterowani u Ukraińca – Grzegorza Wasyłyńy, który kilkakrotnie uchronił Adama przed zorganizowanymi grupami Ukraińców, biorących go za kadeta z Korpusu Kadetów we Lwowie, ponieważ ubrany był w mundurek gimnazjalisty, ze świecącymi guzikami itd. Adam był świadkiem (bo z ciekawości wychodził na szosę prowadzącą z Lublina przez Żółkiew do Lwowa), gdy obok domu Wasyłyńy zastrzelony został żołnierz polski naprawiający na słupie zerwane przewody. Na jego „nieśmiertelniku” odczytał: „Józef Synowiecki – 1920 Lwów”. Strzał, precyzyjnie wymierzony między oczy, padł z najbliższej odległości. Poszukujący strzelca żołnierze, kończący naprawę, którzy zajęli się również zwłokami poległego, oświadczyli, że zaraz zjawi się tu żandarmeria, a więc świadek (Adam), w obawie przed Ukraińcami nie może tu pozostać. Adam i ciotka szybko się spakowali i ruszyli w lasy ku Brzuchowicom na zachód, aby dotrzeć tym razem do Mościsk, do rodziny męża ciotki. Podczas tego marszu, na pierwszym noclegu w napotkanej leśniczówce, pełnej uchodźców, śpiących na ławach, na podłodze – gdzie tylko się dało, byli świadkami przemarszu polskiego oddziału przedzierającego się lasami do Lwowa, na czele którego jechało konno trzech generałów – pośród nich Adam rozpoznał gen. Kazimierza Sosnkowskiego, znanego mu z różnych czasopism abonowanych przez jego ojca, Józefa.

Dalsza droga była uciążliwa i niebezpieczna, gdyż prowadziła poprzez pobojo-wiska, na których patrole niemieckie lub ukrywający się żołnierze polscy, a zwłaszcza bojówki ukraińskie robiły częste rewizje, poszukując nie wiadomo czego.

Po przybyciu do Mościsk kilka dni odpoczywali. W tym czasie, w klasztorze po mszy św., przeor powiadomił parafian, że w ciągu najbliższych godzin wejdą do Mościsk wojska rosyjskie, więc prosi wszystkich, którzy złożyli w skarbcach i sejfach klasztornych swe rzeczy, aby do jutrzejszego wieczora je odebrali, gdyż

w tym terminie skarbce zostaną definitywnie zamknięte i nie wiadomo kiedy, i czy w ogóle, zostaną otwarte.

Po takich informacjach syn państwa Kotulskich, Franciszek – student Uniwersytetu Lwowskiego, jeszcze tego samego wieczora, wraz z kolegą wyruszyli ku granicy, aby przeprowić się na Węgry, a jego siostry, nauczycielki, poszukiwać zaczęły – na wszelki wypadek – adresów swych uczennic na lewym brzegu Sanu. Natomiast Adam ze swoją ciotką postanowili wracać do Nowego Sącza. Rankiem następnego dnia rozpoczęli marsz do Przemyśla, a gdy tam dotarli okazało się, że wszystkie przejścia na drugą stronę granicy – wyznaczonej przez okupantów na rzece San – są dokładnie kontrolowane i pilnowane zwłaszcza przez „pograniczników radzieckich”, którzy absolutnie nikogo przez granicę nie przepuszczają. Żadne urzędy nie działały więc wszyscy starający się o przepuszczenie przez pograniczników uznawani byli za podejrzanych i odprowadzani „na komendę”. Koczującym nad granicą pogranicznicy tłumaczyli, że są kompletnymi „durakami”, bo chcą wracać na niemiecką stronę „pod buty panów” nie wiedząc, jakie szczęście tutaj ich czeka.

Po dwóch dniach takiego czekania nad granicą, na stację wjechał niewidziany dotąd pociąg osobowy przyozdobiony napisami, z których wynikało, że jadą w nim koloniści niemieccy z Wołynia wracający do „Vaterlandu”. Ponieważ zaopatrywanie pociągu do dalszej drogi przedłużało się, gdyż dwie lokomotywy do wymiany jeszcze nie przyjechały, a węgla nie było, bo został rozkradzony, więc pasażerowie z ciekawości rozeszli się po stacji. Z ich rozmów wynikało, że jadą na opuszczone przez Polaków gospodarstwa. Wypytywali jak te tereny wyglądają i czy są i jak zagospodarowane i co ich tam czeka. A gdy padło miejsce osiedlenia „Warthegau und Pommern”, z miejsca do rozmów włączył się Adam oświadczając, że on właśnie stamtąd pochodzi, pokazując legitymacje szkolne z Leszna i powiadomił, że być może będą sąsiadami. Wszystko tak podkoloryzował, że słuchający byli uszczęśliwieni. Gdy wspomniał, że tutejsi strażnicy sowieccy utrudniają mu powrót do domu, Niemcy byli tak oburzeni, że po naradzie oświadczyli, że sami rozwiążą ten problem. Wciągnęli Adama i ciotkę do wagonu, a że na stacji głównej w Przemyślu w czasie kontroli granicznej nikt do tego wagonu nie przyszedł, więc spokojnie przejechali granicę.

Po przekroczeniu granicy Niemcy się zreflektowali, że czeka ich nowa, tym razem niemiecka kontrola i oświadczyli, że dalej nie mogą Polaków ukrywać (sądzili może, że Adamowi i ciotce zależy na podwiezieniu do domu w Lesznie) i wysadzili ich na dworcu w Łańcucie. Stamtąd Adam i ciotka – poprzez Tarnów i Bobową – także z przygodami powrócili do Nowego Sącza. Ciotka jednak trudów podróży nie wytrzymała i po paru dniach zmarła.

6. Rodzina Górskich podczas II wojny światowej

6.1. Nowe warunki i przygotowania do walki z okupantem

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1939 r. cała rodzina Józefa Górskiego zamieszkała na I piętrze w domu przy ul. Żółkiewskiego nr 20 w Nowym Sączu [Ryc. 17]. Na parterze tego domu, do czasu wojny, mieszkał inż. Jan Grubecki – budowniczy zapory wodnej w Rożnowie, który w końcu sierpnia 1939 r. wraz ze swoją żoną J. Nikelską i dzieckiem wyjechał na wakacje do majątku swego teścia gen. Morgenbessera w Trembowli. Nie powrócili już stamtąd, co jest o tyle ważne, że w kolejnych tygodniach zjawiali się wysłannicy – niby to dyrekcji Zapory w Rożnowie (tak się przedstawiali; było to możliwe, gdyż do domu były dwa niekrępujące wejścia, podzielone między domownikami, a do mieszkania na parterze nawet trzecie) i dokonywali przeszukiwań rzeczy i dokumentów inż. Grubeckiego, znajdujących się w piwnicy. Mieli odpowiednie klucze i dobrze wiedzieli co i w jakiej paczce się znajduje. Pod tajemnicą tylko poinformowali, że zabierają części aparatu nadawczo-odbiorczego, aby domownicy nie mieli kłopotów. Do mieszkania inżyniera, komfortowo wyposażonego, nie wchodzili, bo tam zakwaterowani zostali żołnierze – pracownicy sztabu jakiejś jednostki austriackiej czy bawarskiej. Żołnierze ci chętnie pomagali Polakom w wystawianiu rozmaitych, choć nie zawsze prawdziwych, przepustek i zaświadczeń. Chyba zależało im, aby ich nazwiska i pomoc, jakiej udzielali, została dobrze zapamiętana przez Polaków (był tam np. prof. Schumacher z Monachium oraz śpiewak operowy Limbach z Wiednia). Najbardziej ofiarny okazał się Hans Leger z Saubersdorf spod Wiednia, który motocyklem z przyczepą rozwoził do palenia w piecach książki m.in. z Biblioteki Liceum i Gimnazjum Żeńskiego, a najcenniejsze przywoził do piwnic domu przy ul. Żółkiewskiego 20. Stamtąd Adam, ze swym kolegą Stefanem Reczkiem, przewozili je w dziecięcym wózku na sąsiednią ulicę Batorego, na posesję dyrektora tych szkół – prof. Zielińskiego, lub ukrywali w magazynach Drukarni i Kina „Dunajec”, których właścicielem był Niemiec. Ojczym Stefana o nazwisku Golonka był tam magazynierem, a Stefan pomagał mu i tam mieszkał.

Józef Górski nie podjął żadnej pracy na rzecz administracji okupacyjnej, pomagał rodzinie i z jej pomocy korzystał. Natomiast włączył się czynnie do działalności konspiracyjnej, przede wszystkim na terenie tzw. „Leśnictwa nr 10”, gdzie z uwagi na centralne położenie działalność była prowadzona z dużą ostrożnością i wymagała pomocy i instruktażu. Wraz z Janem Klimczakiem (agronomem powiatowym) był łącznikiem Komendy Powiatowej „Chłostry” a następnie BCh z ZWZ, później AK. Jego żona Helena na swej działce przy ul. Lwowskiej uprawiała ziemniaki i warzywa na własne potrzeby, a dzieci uczyły się i chodziły do szkół. Młodsza córka Anna uczęszczała do szkoły powszechnej, starsza, Irena, pracowała w Sklepie



Ryc. 17. Górcy - po wysiedleniu z Wielkopolski - w Nowym Sączu w grudniu 1939 r.

Nasiennym T. Otmianowskiego z Poznania i uczyła się w gimnazjum Sióstr Niepokalanek w „Białym Klasztorze” w Nowym Sączu, a oficjalnie w Średniej Szkole Handlowej, którą ukończyła 24 lutego 1944 roku.

Natomiast syn Adam, po ogłoszeniu o uruchomieniu nauki w gimnazjach zapisał się do trzeciej klasy Gimnazjum nr 369, tzw. drugiego, w Nowym Sączu, które wkrótce zamknięto, a uczniów wg gimnazjalnych list „Arbeitsamt” zaczął przydziać do pracy fizycznej w organizacji „Baudienst”, m.in. do ręcznego tłuczenia kamieni i pomocy w naprawach dróg i mostów. Adam uniknął „Baudienstu”, gdyż 7 maja 1940 r. zmienił miejsce zamieszkania i przedstawił zaświadczenie o pracy w organizacji „Forstdienst” w Łabowej (leśniczy, inż. Jan Kociołek).

Z uwagi na to, że Adam zamieszkał w Żeleźnikowej u przewodniczącego Trójki Politycznej, pseudonim „Jeleń”, został jego łącznikiem z władzami powiatowymi SL „Roch” i ZWZ w zakresie poszukiwania i ukrywania broni (sam oddał przywieziony z Wyciążkowa i ukrywany u Romualdy Lizoń w Zabełczu dryling) i aparatów radiowych oraz w szerokim zakresie dróg łączności, kolportażu, przerzutów i szlaków kurierów.

W międzyczasie władze niemieckie (prawdopodobnie pod wpływem Rady Głównej Opiekuńczej) ustaliły, że młodzież polska, która rozpoczęła naukę w określonych zawodach, może być lepiej wykorzystana w odbudowie kraju, gdy tę naukę ukończy i w związku z tym uruchomiono naukę w szkołach pod nazwą: „Państwowe Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych Stopnia Wyższego”

(Staatliche Vorbereitungslehrgänge für Fachschulen), w których nauczali profesorowie polskich gimnazjów i liceów według przedwojennych programów – z wyjątkiem historii i języka polskiego, które przemycano w nowo wprowadzanych przedmiotach, takich jak ekonomia, socjologia i korespondencja.⁸

Adam Górski naukę w tym trybie prowadzoną ukończył w Nowym Sączu (Zał. 15.), w ramach kursu półtorarocznego i w dniu 1 listopada 1941 r. wstąpił do – zorganizowanej na tych samych zasadach – Państwowej Wyższej Szkoły Rolniczej (Staatliche Landbauschule) w Suchodole k/Krosna, w województwie lwowskim, gdzie m.in. wykładali profesorowie uczelni lwowskich oraz wysiedleni z Poznania [Ryc. 18]. Ukończył ją 30 czerwca 1943 r. (Zał. 16) i skierowany został przez jej dyrekcję do pracy w Majątku Ziemskim Rogi w powiecie nowosądeckim na stanowisko „Wirtschaftsassistent” od dnia 16 lipca 1943 r.



Ryc. 18. Absolwenci Państwowej Wyższej Szkoły Rolniczej w Suchodole – 1943 r.

6.2. Udział w walce zbrojnej

Powracając – po naukach – w rodzinne strony, Adam nie mógł nie włączyć się do przerwanej na czas nauki działalności konspiracyjnej, w której – w poczuciu patriotycznego obowiązku – uczestniczyła cała jego rodzina. Po zaprzysiężeniu w dniu 29 sierpnia 1943 r. przyjął pseudonim „Dniestr” i włączony został do Oddziału Specjalnego Batalionów Chłopskich por. Józefa Chebdy pseudonim „Sietniak”, a pierwszym jego zadaniem było zorganizowanie w majątku, w którym pracował, punktu kurierskiego „Słonka” na szlaku kuriersko-przerzutowym „Poprad”. Został on szybko uruchomiony i odnosił duże sukcesy, gdyż jego etap końcowy znajdował się nie w Krakowie – jak dla bezpieczeństwa informowano, lecz w oddalonej o 3 km wiosce Mokra Wieś, gdzie znajdowała się Komenda Powiatowa BCh (komendant Stanisław Sznajder, pseudonim „Gedymin”, a łącznik Jan Ruchel, pseudonim „Jezuita”, który z Adamem spotykał się codziennie).

Ponieważ „Dniestr” brał udział w przygotowaniach akcji dywersyjnej i likwidacji placówki żandarmerii w Zakładach Drzewnych w Jazowsku (produkujących m.in. uchwyt do ręcznych granatów bojowych) i dostarczył do wykorzystania przepustki wjazdu na teren zakładu, które były wystawione na odbiór desek na budowę obory, otrzymał w dniu 16 lipca 1944 r. rozkaz natychmiastowego dołą-

⁸ Szczególnie wyróżniali się tu profesorowie Stanisław Pawłowski, Wzorek i Zieliński

czenia do oddziału „Sietniaka” w Myślcu. Oddział ten, w ramach akcji „Burza” włączony został do 9 kompanii 1 pułku Strzelców Podhalańskich AK, dowodzonej przez por. Juliana Zubka, pseudonim „Tatar”.

Pośpiech w wykonaniu rozkazu wynikał z tego, że w czasie przeprowadzania w/w akcji w dniu 17 czerwca 1944 r. dokonano egzekucji dyrektora Zakładów, gestapowca Hansa Sikory. W odwecie Niemcy rozpoczęli na ogromną skalę dochodzenia i aresztowania.

W wyniku włączenia Oddziału BCh por. „Sietniaka” do AK nastąpiły następujące zmiany: oddział BCh – jako 3 pluton 9 Kompanii 1 pułku Strzelców Podhalańskich AK – poddany został pod komendę por. Władysława Lewickiego, pseudonim „Lawina”, a dotychczasowy jego dowódca i twórca por. „Sietniak” – awansowany na oficera Wojskowej Służby Ochrony Powstania. Do czasu wybuchu powstania został mianowany Oficerem do Spraw Szkolenia i skierowany do współpracy z oficerem Komendy Powiatowej AK kpt. Michałem Baranem (1894 – 1957) pseudonim „Jasny”. Kapitan Baran największy sukces odniósł w organizacji właśnie Oddziału Partyzanckiego „Tatar” i przeszkoleniu jego żołnierzy w tzw. zadaniach specjalnych.

Kpt. Baran spowodował włączenie do tych nowych zadań również strzelca z cenzusem „Dniestra”. „Dniestr” wykazywał się zawsze dobrym rozeznaniem terenu i ludzi, a przede wszystkim znajomością języka niemieckiego, w wyniku czego został włączony do tworzonego aktualnie Wydzielonego Oddziału do Zadań Specjalnych pod dowództwem kpt. M. Barana, który w działaniach z tego tytułu wynikających przyjął pseudonim „Kalina”. [Po wojnie właśnie o ten zakres działalności „Kalina” był wypytywany w czasie przesłuchań przez Służbę Bezpieczeństwa. Po dłuższym pobycie w więzieniu w Krakowie „Kalina” powrócił do Bielska-Białej, miejsca swego przedwojennego zamieszkania, gdzie wkrótce zmarł (01.09.1957 r.).]

Adam Górski za swój udział w walkach zbrojnych (ranny w nogę pod Łabową) oraz w akcjach dywersyjno-sabotażowych (m.in. brawurowe wyprowadzenie w dniu 11.09. 1944 r. z okrążenia Komendy Obwodu AK (komendant kpt. „Emil”) z miejsca postoju w Porębie, w domu plut. Józefa Fornagła, pseudonim „Fort”) został wyróżniony, z zapowiedzią odznaczeń i awansów, których się nie doczekał, gdyż 17 stycznia 1945 r. cała Ziemia Sądecka została oswobodzona spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną.

6.3. Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej

Nowe polskie władze ogłosiły mobilizację poborowych do odbycia służby wojskowej, przy czym byłym partyzantom proponowano skierowanie do szkół oficerskich, a wybranym – do Szkoły Oficerskiej Informacji Wojskowej w Łodzi.

Adam Górski, z uwagi na pełne wykształcenie, dostał skierowanie do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie, lecz z uwagi na to, że Szkoła ta przenoszona



Ryc. 19. Uroczystość wręczenia Adamowi Górskiemu dyplomu doktora habilitowanego nauk humanistycznych – Aula Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego



Ryc. 20. Uroczystość nadania Adamowi Górskiemu tytułu naukowego profesora nauk humanistycznych.

była do Torunia, miał czekać na osobiste wezwanie do stawieństwa. W międzyczasie Adam dowiedział się, że niektórzy jego koledzy z AK i BCh, ze Szkoły w Łodzi – nie zgadzając się z jej specjalizacją – uciekli, lub do niej nie zgłosili się. Na przykład „Bażant” z AK, który ukrywał się zmieniając stale miejsce pobytu,⁹ lub „Adrema” z AK, który natychmiast przeniósł się do Kamiennej Góry, gdzie objął posadę wójta, gdyż praca na Ziemiach Odzyskanych ułatwiała zwolnienie ze służby lub jej odroczenie. Z tej możliwości postanowił skorzystać również Adam „Dniestr”. Powróciwszy do Wielkopolski, natychmiast podjął pracę w powiecie Wschowa, leżącym na Ziemiach Odzyskanych, w Urzędzie Komisarza Ziemskiego na stanowisku Inspektora Osadnictwa.

Mimo to wielokrotnie wzywany był do stawienia się w Szkole Oficerskiej w Toruniu, co było odraczane, gdyż starał się o to również wicestarosta, a późniejszy Starosta Powiatu Wschowskiego pan Geremek (ojczym polityka – profesora Bronisława Geremka) przedstawiając odpowiednie dokumenty Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i tłumacząc, że Adam Górski jest nie do zastąpienia w politycznej akcji osiedlania repatriantów, których trzeba było zachęcać do wybrania odpowiedniego miejsca osiedlenia.¹⁰ Na to władze wojskowe (tak W.K.U. w Kościanie, jak i Szkoły) odpowiadały, że obecnie Wojsko Polskie potrzebuje inteligentnych oficerów, co potwierdza również zmiana nazwy szkoły na: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Rakietowych i Artylerii im. Generała Józefa Bema. Wszelkie negocjacje w tej sprawie kończyły się tylko odroczeniami. Dopiero Ustawa o służbie wojskowej studentów tego typu sprawę zakończyła. Wszyscy w/w kombatanci: „Bażant”

⁹ Dwukrotnie ze swym kolegą Bobolą przebywali w Wyciążkowie.

¹⁰ Do osiedlania się powiat wschowski nie zachęcał, gdyż znajdował się bezpośrednio za przedwojenną granicą polsko-niemiecką, więc zwycięskie wojska sowieckie w euforii wkroczenia na teren nieprzyjaciela m.in. spaliły połowę rynku.

(Bolesław Adamczyk), „Adrema” (Stefan Reczek) i „Dniestr” (Adam Górski) ukończyli studia wyższe oraz specjalizacje i zostali profesorami zwyczajnymi uniwersytetów [Ryc. 19 i 20].

7. Górcy wracają do Wielkopolski – 1945 r.

7.1. Próby odbudowy własności i życia polityczno-społecznego

Jeszcze w czasie działań wojennych w 1945 r. Józef Górski wraz z rodziną powrócił (w marcu 1945 r.) na swoje – całkowicie puste – gospodarstwo, które od podstaw musiał odbudowywać, gdyż niczego w nim nie było poza amunicją i bardzo specjalistycznym sprzętem (nawet nie wiadomo czy wojskowym). Umieszczone to było w eleganckich pojemnikach, składowanych w metalowych skrzyniach na jednoosiowych przyczepach, jakby przygotowanych do wyjazdu. Sprzętu tego komisje wojskowe – wzywane po odbiór – nie chciały przejmować z uwagi na nieznaną jego przeznaczenia, a nie miał go kto pilnować, gdyż właściciele gospodarstwa mieszkali na końcu wsi, u sąsiadów.

Po pierwszym uporządkowaniu, w którym dużej pomocy udzielili sąsiedzi, Józef Górski zwrócił się do władz zgłaszając swe potrzeby, które musiały być zaspokojone aby mógł przystąpić do produkcji. Wskazał nawet miejscowość, w której znajdowała się wywieziona maszyna i aparatura gorzelnia, lecz zanim cokolwiek zrobiono została ona w ramach reparacji wojennych wywieziona do ZSRR. Otrzymał tylko jednego konia, jednego prosiaka, trzy łóżka i szafę. Udało mu się odzyskać cztery własne krowy, które podczas przepędzania ich na wschód złapane zostały przez sąsiadów. O resztę musiał starać się sam. Z resztek własności był obrabowywany, np. ryby wydobywali ze stawu miejscowi amatorzy do czasu, gdy jeden z nich, niejaki obywatel Pawłowski, posługując się granatami źle obliczył czas wybuchu i – zamiast ryb – sam siebie wysadził w powietrze.

Szukając pomocy Józef Górski zapisał się w 1945 r. do PSL i otrzymał legitymację Nr 93.683, podpisaną przez Wincentego Witosa i Stanisława Wójcika, a w 1946 r. – drugą legitymację Nr 145.351, podpisaną przez Stanisława Mikołajczyka i Stanisława Wójcika.

Poza tym, z uwagi na to, że mleczarstwo w regionie odbudowywano w oparciu o przejętą mleczarnię niemiecką, a poza nim nikt nie znał historii, warunków tworzenia i działalności oraz przepisów prawnych w tej działalności w okresie międzywojennym obowiązujących, stale był wzywany na konsultacje z władzami państwowymi, samorządowymi, sądowymi itd. W tej sytuacji mógł też najwięcej uwagi poświęcić odbudowie Rolniczej Mleczarni w Lesznie. Przystąpił do odbudowy pełniąc w niej do 1959 r. funkcję prezesa Zarządu lub przewodniczącego Rady Nadzorczej. Wybierany był także do władz naczelnych, gdzie powierzano

mu bardzo odpowiedzialne stanowiska w Zarządach Związku Spółdzielczości Mleczarskich w Poznaniu i w Warszawie. Np. w kadencji 29.11.1957–10.11.1959 r. pełnił funkcję członka Zarządu i Rady Nadzorczej w Centrali Związku Spółdzielni Mleczarskich w Warszawie.

I na tym właściwie skończyły się „sukcesy” Józefa Górskiego na niwie polityczno-społecznej, gdyż do przemian zapowiedzianych w Manifeście Lipcowym PKWN z roku 1944, stwarzających podstawy ustroju komunistycznego, nie przyłączył się, a za opór w kolektywizacji ustawicznie był szykanowany i wielokrotnie „zatrzymywany do wyjaśnień”. Natomiast w akcji „rozkułaczania” zmuszony został do oddania w 1952 r. 15,5 ha najlepszych gruntów, a w 1953 r. – dalszych 5,5 ha. Nie mogło to nikogo pozytywnie nastawić do budowanego ustroju i systemu gospodarczego i politycznego, tym bardziej, gdy było się świadkiem związanych z tym wydarzeń i gdy widziało się ich skutki. Np. gdy przewodniczący utworzonej i wzorowo – jak głoszono – działającej w sąsiedniej wiosce Spółdzielni Produkcyjnej („kołchozu”), przychodził do pracy w gospodarstwie J. Górskiego „na dniówkę”, ale zgodnie z obowiązującymi przepisami i prawami pracował tylko od godz. 8.00 do 15.00 i wszystko musiało być dla niego do pracy przygotowane. Drugim takim przykładem może być fakt, że przed każdymi wyborami dla postrachu i wymuszenia posłuszeństwa zamknięto pod wymyślonymi pretekstami znaczniejszych obywateli i ten przywilej zawsze spotykał również Józefa Górskiego. Zawsze zatrzymywano go na 2–3 dni z powodu doniesienia, że w starej szafie znajdującej się na korytarzu jego domu znajdować się miała broń palna. Najbardziej przykrym w tym zdarzeniu faktem, była – niby przypadkowo ujawniona – informacja, że „na zespole powiatowym” takie podejrzenie padło ze strony przedstawiciela „sfery chłopskiej”.

Prawdziwość powyższej informacji – wskazującej autora donosu – potwierdzać może m.in. fakt, że Józef Górski otrzymał od władz ZSL pismo z dnia 7 lutego 1955 r., podpisane przez prezesa PKW–ZSL ob. Nowickiego i sekretarza PKW–ZSL ob. Kamińskiego, informujące że uchwałą Prezydium PKW–ZSL w Lesznie z dnia 31 stycznia 1955 r. Józef Górski został wykluczony z szeregów ZSL jako „obco klasowy”.

Fakt ten – specjalnie nagłaśniany – zapowiadał dalsze nieprzyjemności, lecz przestraszył tylko dwie siostry słynnego pisarza i publicysty Melchiora Wańkowicza (przebywającego wówczas na Zachodzie i pełniącego tam m.in. funkcję Premiera Rządu RP na uchodźstwie), które po repatriacji z Wileńszczyzny otrzymały kilkudziesięciohektarowe gospodarstwo w Lipnie. Ubierały się więc w sukmany i wysokie „chłopskie buty”, a w miejscach publicznych i w urzędach pojawiały się paląc charakterystyczne fajki o bardzo długich cybuchach.

Józef Górski przestraszyć się nie dał, z ostrożności tylko i dla umożliwienia większej swobody działania przepisał całe gospodarstwo na swoją żonę, gdyż praca na rzecz rozwoju rolnictwa indywidualnego była utrudniana.

Za podstawowy jednak fakt potwierdzający słuszność swego postępowania Józef Górski uważał coraz aktywniejszą działalność organizacji pod nazwą „Związek Samopomocy Chłopskiej” (ZSCh), utworzonej na Kongresie Chłopskim Ziemi Wyzwolonych w Lublinie już w dniu 31 grudnia 1944 r. Należało się jej przeciwstawić, gdyż – jako uniwersalna organizacja chłopska – pomagała rządzącej partii (PPR) w realizacji jej polityki rolnej. I rzeczywiście, dzięki jej działaniom z dniem 1 stycznia 1947 r. zlikwidowane zostały m.in. Izby Rolnicze – podstawowe organy samorządu gospodarczego w rolnictwie, a ich miejsce, majątek i funkcję przejął ZSCh. Natomiast wznowienia działalności Kółek Rolniczych, zrzeszających rolników w celu zespolenia ich wysiłków w zakresie realizacji zadań produkcyjnych i społecznych, w ogóle nie planowano. W takiej sytuacji Józef Górski nie miał żadnych szans na odbudowanie swego specjalistycznego, towarowego gospodarstwa.

Przypomnieć również należy, że z chwilą powstania Związku Samopomocy Chłopskiej zaczęło się nadużywanie w Polsce takich określeń jak, co miało pomagać w przeprowadzaniu narzuconej tzw. „socjalizacji”, a raczej „komunizacji” polskiej wsi i w prowadzonej na wsi walce klasowej opartej o proletariacką ideologię marksizmu-leninizmu. Nie zwracano przy tym uwagi na to, że określeń powyższych – nie tylko z uwagi na ich wieloznaczność, w tym także w znaczeniu pejoratywnym – powszechnie dotąd nie używano.

Nie każdy bowiem rolnik wiązał swoje korzenie z formacjami feudalnymi, a w niektórych środowiskach określenia powyższe uważane były za obraźliwe, np. u zawsze wolnych górali. Natomiast w Wielkopolsce – jak wykazała to dr Anna Kosmowska-Kowalska w swej publikacji pt. „Kółka Rolnicze i Włościańskie w Wielkopolsce”, wydanej przez PWRiL w 1992 roku na zlecenie Wielkopolskiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Poznaniu z okazji 130-lecia kółek Rolniczych w Polsce, 125-lecia Wielkopolskich Kółek Rolniczych i 85-lecia Wielkopolskich Kółek Włościanek – słowo „chłop”, nawet w recesach (układach) uwłaszczeniowych, a także w Rocznikach Kółek Rolniczo-Włościańskich i innych publikacjach wydawanych w Wielkopolsce w latach 1815–1918, w ogóle nie występuje.

Dla określenia człowieka prowadzącego gospodarstwo rolne, tak jego właściciela jak i np. dzierżawcy, powszechnie używano nazw takich jak gospodarz, włościanin, rolnik, a także posiadiciel małej posiadłości, zagrodnik, chałupnik, rzadko kmieć lub wieśniak, nigdy chłop. Również w określeniu gospodarstwa nigdy nie używano nazwy „chłopskie”.

Gospodarz, rolnik wielkopolski zawsze miał poczucie własnej godności, więc nazywanie go pospolicie chłopem, nawet w okresie Polski Ludowej, uważać należy za degradację w statusie społecznym. W Wielkopolsce znalazło to odbicie m.in. w sprzeciwie w 1945 r. i w latach następnych przy wprowadzaniu pod przymusem

zmiany historycznej nazwy Spółdzielni Rolniczo-Handlowych „ROLNIK” na „Samopomoc Chłopska” – organizacji rodem z Komunistycznej Partii Polski, występującej od 1928 r. pod szyldem Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc”. Należy również zaznaczyć, że w nazwach towarzystw i organizacji rolniczych oraz czasopism wydawanych na terenie Wielkopolski do 1944 roku nie występuje określenie „chłop”, a tylko „rolnik” – w nazwach spółdzielni oraz „gospodarz”, „włościanin”, „rolnik” – w nazwach czasopism. Powyższa zasada znajduje potwierdzenie również w zapisach parafialnych, w księgach metrykalnych, kiedy to w zaborze pruskim od 1850 r. proboszczowie wpisywali zawód, profesję swych parafian w języku polskim.¹¹

Również w zaborze austriackim działacze społeczni i publicyści, których podstawowym powołaniem było szerzenie oświaty i budzenie świadomości społeczno-politycznej ludności wiejskiej, jak ks. Stanisław Stojałowski, Bolesław Wysłouch, Jakub Bojko i inni, a także organizatorzy i twórcy pierwszych partii politycznych na wsi, tacy jak Stanisław Stapiński i Wincenty Witos, także nie ukierunkowywali swej działalności do społeczeństwa chłopskiego, lecz do ludności wiejskiej, do ludu. Stąd też Stronnictwo Ludowe nigdy w zasadzie nie zmieniało swej nazwy.

Pewne oznaki poprawy sytuacji pojawiły się w 1956 r. w ramach tzw. „gomulkowskiej odwilży”, kiedy wprowadzono cały szereg zmian w życiu politycznym i gospodarczym, zapoczątkowujących nową epokę w polityce państwa wobec wsi, a przede wszystkim wobec rolników indywidualnych. Polegały one na likwidacji skompromitowanego ZSCh oraz przywróceniu i odbudowie większości instytucji spółdzielczych i samorządowych sprzed II wojny światowej, a w przypadku kółek rolniczych sięgnięto nawet do struktur organizacyjnych, nazewnictwa i tradycji międzywojennych.

W przemianach tych aktywny udział wziął Józef Górski wybrany w 1957 r. na Prezesa Zarządu Powiatowego Kółek i Organizacji Rolniczych w Lesznie. Był on najlepiej do tej działalności przygotowany, gdyż w latach 1930 – 1936 był m.in. organizatorem i Sekretarzem Powiatowym WTKR w Lesznie. Informacja ta znalazła się w „Głosie Wielkopolskim” w dniu 13.10.1957 r. donosząc, że: „Prezesem Zarządu Powiatowego Kółek i Organizacji Rolniczych w Lesznie wybrany został Józef Górski – znany działacz chłopski z okresu przedwojennego”.

W takiej sytuacji władze PKW–ZSL w Lesznie wycofały się ze swojej – nadgorliwie wydanej – decyzji i Powiatowa Komisja Rehabilitacyjna w piśmie z dnia 9 listopada 1956 r. powiadomiła Józefa Górskiego o przywróceniu mu pełnych praw członkowskich, co miało nastąpić na specjalnym spotkaniu w dniu 14 listopada 1956 r. w biurze PKW–ZSL w Lesznie. Natomiast sekretarz PKW–ZSL ob. Franciszek Ka-

¹¹ Anna Kosmowska-Kowalska, „Kółka Rolnicze i Włościańskie w Wielkopolsce”, PWRiL, Poznań 1992.

miński powiadomił o tym fakcie Zarząd Koła ZSL w Wyciążkowie w piśmie z dnia 20 listopada 1956 r., przede wszystkim dla przywrócenia normalnych stosunków.

Józef Górski, podejmując się realizacji powyższych zadań i nowych obowiązków, był dobrze zorientowany, że nie będzie to łatwe, gdyż nikt mu w tym zakresie nie pomoże, a ówczasie rządzący swej władzy – narzuconej społeczeństwu – nie zamierzali oddać, o czym wszyscy się wkrótce przekonali. Tak centralne, jak i wojewódzkie instancje ówczas rządzących partii politycznych wraz z urzędującymi jeszcze organami ZSCh pracowały nad tym, aby zmiany nie poszły za daleko i ograniczyły się do pozorów, poprzez zmiany nazwy organizacji, czyli samego tylko szyldu, jak i powoływanie nowych szefów o „dobrych” nazwiskach, a nieprzyjmowanie sprawdzonych przedwojennych działaczy i pracowników, co również w Wielkopolsce miało miejsce.

7.2. Procesy kształtowania nowych struktur społeczno-gospodarczych, ich przebieg i skutki

Na I Zjeździe Wyborczym władz Wojewódzkiego Zarządu Kółek i Organizacji Rolniczych w Poznaniu w 1957 r., gdy obradom przewodniczył – wybrany na wniosek z sali – Józef Górski (na zaproponowanego przez organizatorów przewodniczącego większość zebranych na sali nie zgodziła się) nastąpiła rzecz niebywała. Reprezentujący centralę ZSCh w Warszawie, a w rzeczywistości sekretarz KC PZPR tow. Kuligowski, były sekretarz KW PZPR m.in. we Wrocławiu i w Koszalinie – aby nie dopuścić do wyboru na Prezesa Zarządu Wojewódzkiego KiOR, a raczej do przywrócenia na to stanowisko kol. Drożdżika – rolnika z Bnina (przedwojennego Wiceprezesa WTKR – zastępcy St. Mikołajczyka) – przerwał obrady oświadczając, że zmierzają one w przeciwnym do statutu kierunku i że sam zmuszony jest dalej je prowadzić, przy aplauzie działaczy ZSCh i przygotowanych klakierów.

Ówczas Józef Górski, opuszczając stół prezydialny (przy którym tow. Kuligowski od samego początku obrad już siedział), zwrócił się do zebranych m.in. tymi słowami: „...niczemu się nie dziwię, bo to klaszczą ci, którym nie udało się zaprowadzić kolchozów, więc teraz muszą się wykazać. Uważajcie koledzy kogo wybieracie, a szanujcie tych nieugiętych, znowu odsuniętych, takich jak: Drożdżik, Zbierski i Nowak...”. Wyżej wymienieni w wyborach w ogóle nie wzięli udziału, bo zostali wcześniej powiadomieni, że w razie ich wyboru, niezgodnego z ustaleniami ZSCh, do gmachu przy ul. Mickiewicza 33 nigdy nie będą wpuszczeni (mimo, że gmach ten był i jest własnością Kółek Rolniczych). Zjazd odbywał się w salach Izby Rzemieślniczej przy ul. Ratajczaka w Poznaniu.

Część zebranych – przy okrzykach „hańba, hańba” – opuściła salę i dalsze obrady przebiegały bez dyskusji. Prezesem wybrano Romualda Tomaszewskiego (z kółkami rolniczymi nie mającego nic wspólnego), którego – aby przeciwstawić

Drożdżikowi – tytułowano „profesorem”, bez żadnych podstaw, bo wtedy mógł być najwyżej inżynierem (lub magistrem).¹² Wychwalano jego kwalifikacje do pracy w kółkach, mimo, że sukcesy odnosił w państwowych majątkach wielkoobszarowych. Józefa Górskiego wybrano zastępcą członka Komisji Rewizyjnej, czego on nie przyjął, zresztą na sali już go wtedy nie było.

Od tego też wydarzenia ponownie zaczęły się szykany wobec Józefa Górskiego, nie tylko w sprawach osobistych (np. utrudnienia w przyjęciu jego młodszej córki – Anny – na studia uniwersyteckie; dr Szyguła: „bo nie należała do ZMP”), lecz także życiowych. Do Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu wpłynęło bowiem pismo od „władz” leszczyńskich, w sprawie odebrania mu uprawnień Biegłego Sądowego w dziedzinie rolnictwa, co było podstawą jego utrzymania. Jako powód podano, że: „Ze względów politycznych jest wysoce nie wskazane, aby kręcił się w terenie i miał wpływ na chłopów, bo ma u nich duży posłuch...”.

Po odwołaniu, które zostało poparte przez sędziów Sądów Powiatowych Poznania, Śremu i Kościana, Józef Górski ustanowiony został biegłym tylko na powiat Kościan. Działalności społecznej nie przerwał, za co Rada Państwa – na wniosek Związku Spółdzielni Mleczarskich – przyznała mu w 1958 roku Złoty Krzyż Zasługi, a Zarząd Komitetu Gminnego ZSL w Puszczykowie uhonorował go w dniu 25 stycznia 1972 r. dyplomem za długoletnią i ofiarną pracę społeczną w ZSL. W 1959 r. Józef Górski przeniósł się do Puszczykowa pod Poznaniem, gdzie w 1979 r. zmarł. Jego żona przeżyła go o 27 lat i zmarła w roku 2006 w Poznaniu, mając 102 lata [Ryc. 21].

Dochowali się trzech wnuków (synów Ireny: Wojciecha – urodzonego w 1954 r. mgr inż. budownictwa i tłumacza, i Andrzeja – urodzonego w 1960 r. mgr inż. technologii żywności oraz syna Anny – Marka – urodzonego w 1960 r. mgr informacji naukowej), którzy aktualnie też cieszą się już własnymi dziećmi, a nawet wnukami.

Natomiast Adam (1924), kombatant BCh i AK, po ukończeniu studiów rolniczych na Uniwersytecie Poznańskim i specjalizacji „organizacja i zarządzanie” oraz „ochrona praw własności intelektualnej i przemysłowej” w Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej, a także w uczelniach i instytutach zagranicznych, poświęcił się działalności naukowo-badawczej (uzyskał tytuły prof. zw. dr hab. inż.) oraz dydaktycznej (jako profesor zwyczajny UAM, Uniwersytetu Szczecińskiego, WSZiB i in. wypromował 13 doktorów nauk i ponad 1 tys. magistrów, inżynierów i licencjatów). Swoją specjalizację reprezentował w Radzie Nauki i Techniki KNiT oraz jako członek Prezydium Komisji Informacji Naukowej w Prezydium PAN w Warszawie. Był twórcą krajowego – w przemyśle maszynowym – i współ-

¹² Stopień naukowy doktora nauk rolno-leśnych uzyskał 26 marca 1962 r. w WSR w Poznaniu. Tytułu profesora nie posiadał.



Ryc. 21. Zdjęcie rodzinne z uroczystości stulecia urodzin Heleny Górskiej (w dolnym rzędzie druga z prawej, obok córka Anna i syn Adam) – 24 października 2004 r.

twórcą dwóch międzynarodowych systemów informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej, w których pełnił kierownicze, odpowiedzialne stanowiska.

Jako delegat KNiT przewodniczył Komitetowi NB Kształcenia i Szkolenia Kadr Międzynarodowej Federacji Dokumentacji FID (Chairman of Committee FID/TD „Training of Documentalists” – International Federation for Information and Documentation) w Hadze (**Zał. 25**), był członkiem Polskiej Grupy Specjalistów w Światowej Organizacji Ochrony Własności Intelektualnej – International Association for the Protection of Intellectual Property (AIPPI) oraz członkiem Rady Naukowej Międzynarodowego Systemu Informacji Naukowo-Technicznej i przewodniczącym Wydzielonego Organu Krajowego w dziedzinie techniki rolniczej [Ryc. 22 i 23]. Jako prekursor specjalizacji „Informacja, badania i polityka patentowa” wykładał również w Institut für Informationswissenschaft, Erfindungswesen und Recht na Politechnice w Ilmenau. Od 10.10.1959 r. posiada uprawnienia międzynarodowego rzecznika patentowego.

W 2017 r. prof. Adam Górski przeszedł na emeryturę, mając zaliczone 74 lata i 1 miesiąc nieprzerwanej pracy zawodowej. Pracy naukowej jednak nie przerwał, prowadząc badania w zakresie zawłaszczania wiedzy w procesach ochrony własności intelektualnej w przemyśle. Opublikował ponad 285 prac naukowo-badawczych, przede wszystkim w wydawnictwach naukowo-technicznych w kraju i zagranicą,



Ryc. 22. Rada Naukowa Międzynarodowego Systemu MSINT



Ryc. 23. Polscy członkowie Rady Naukowej MSINT

z których 59 wdrożonych zostało do praktyki, oraz 22 podręczniki.

Jako Weteran Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej Adam Górski [Ryc. 24] od powołania w 1993 r. Okręgu Ogólnopolskiego Związku Żołnierzy Batalionów Chłopskich w Poznaniu aktywnie uczestniczy we władzach Okręgu (od członka Prezydium Zarządu do Wiceprezesa Zarządu – bez przerwy). Równocześnie, jako przedstawiciel OZZBCh, brał aktywny udział we wszystkich dotychczasowych Radach ZKRPiBWP przy Wojewodzie Wielkopolskim i Marszałku Województwa Wielkopolskiego.

W jego szerokiej działalności popularyzatorskiej na szczególne wyróżnienie zasługuje kultywowanie pamięci o bohaterskich czynach Polskiego Państwa Podziemnego oraz ocalenie od zapomnienia czynu zbrojnego, a także udział w polityce historycznej i patriotycznym wychowaniu młodzieży polskiej, zwłaszcza na terenach wiejskich.

Za swą działalność prof. Adam Górski został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Batalionów Chłopskich, Medalem Obrońcy Ojczyzny 1939–1945, Medalem „Pro Patria”, Medalem „Pro Memoria”, Medalem Komisji Edukacji Narodowej (dwukrotnie), Medalem Pamiątkowym 70-lecia Walk o Wielką Polskę 1942–2010 NSZ, Medalami 70-lecia i 75-lecia Batalionów Chłopskich, Medalem Za Zasługi dla PIMR, w którym Adam Górski – jako kierownik zakładu naukowo-badawczego – pracował przez 35 lat, oraz licznymi odznaczeniami krajowymi i za-



Ryc. 24. Patent potwierdzający nadanie Adamowi Górskiemu szaczonego tytułu Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny



Ryc. 25. Józef Górski ze swym pierwszym
wnukiem Wojtkiem na ślubie młodszej córki Anny
– 1958 rok

granicznymi, wśród których na wyróżnienie zasługują: Odznaka Weterana Walk o Niepodległość R.P., Odznaka Pamiątkowa „Akcji Burza” Armii Krajowej, Odznaka Za Zasługi dla ZKRPi-BWP, Odznaka Honorowa Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego i Złota Odznaka Honorowa NOT.

Na uwagę zasługuje również fakt, że z okazji 90-lecia urodzin Adama Górskiego dyrektor Przemysłowego Instytutu Maszyn Rolniczych, prof. dr hab. inż. Tadeusz Pawłowski – na specjalnym posiedzeniu Rady Naukowej PIMR – tak podsumował osiągnięcia Adama Górskiego: „wieloletnia wytężona praca profesora Adama Górskiego jako prekursora polityki i informacji patentowej oraz głębokie zaangażowanie w tworzenie krajowego i międzynarodowego systemu informacji naukowej, a przede wszystkim baz danych i wydawnictw dla branży maszyn rolniczych, przyczyniły

sie w znaczący sposób do rozkwitu nauki w wielu środowiskach krajowych i zagranicznych”. Informacja powyższa była publikowana w prasie naukowo-technicznej.

Młodsze pokolenia Rodziny – z uwagi na wiek – w zbrojnym odzyskaniu Niepodległości udziału brać nie mogły. Interesują się jednak udziałem swych przodków w odzyskaniu Niepodległości, lecz także ich działaniami na rzecz jej zagospodarowania i zabezpieczania przed utratą, prowadzonymi na terenie całego kraju. Zwłaszcza najstarszy wnuk Józefa – Wojciech, aktywnie uczestniczył w opracowaniu niniejszych wspomnień i wydaje się, że „Kronikę rodzinną” dalej poprowadzi [Ryc. 25].

Podsumowanie i wnioski

Wszelkie wspomnienia i źródła wiadomości mają niepodważalną wartość tylko wtedy, gdy są przedstawiane w oparciu o wiarygodne dokumenty i potwierdzone fakty, w ujęciu kompleksowym. Przedstawianie zaś tylko jakiegoś odcinka tego dzieła lub wybranej grupy uczestników doprowadza zwykle do rywalizacji między nimi, co może być oceniane jako chęć uzyskania wyróżnień

i odznaczeń, czy też tworzenia nowych legend dla ratowania np. przegranych spraw.

Co prawda, mimo że celem każdej organizacji konspiracyjnej było odzyskanie Niepodległości i Wolności, to jednak rodowód każdej z nich był inny. Powstawały bowiem w różnych warunkach, więc zakresy, możliwości i środki działania też miały zróżnicowane.

Największe jednak trudności występują w ocenach działań na terenach wiejskich, gdzie specyficzny od wieków rytuał życia i trybu pracy ludności oraz dziejowe jej posłannictwo i rola w społecznym współżyciu (wyżywienie ludności) spowodowały, że walka z wrogami prowadzona była w różnych formach organizacyjnych i różnymi sposobami. Pierwszoplanowym zadaniem było stworzenie odpowiednich do zadań struktur organizacyjnych konspiracji, powołanie grup ochrony i obrony oraz dywersji, ich przeszkolenie i uzbrojenie, a następnie – oddziałów wojskowych do bezpośredniej walki z wrogiem i jej przeprowadzenie.

Podstawowym ich zadaniem była bowiem nie tylko walka zbrojna z okupantem, lecz także obrona polskiej wsi przed eksploatacją gospodarczą i terrorem okupanta (stąd akcje przeciwkontyngentowe), ochrona młodzieży i osób ukrywających się przed wywózką do pracy i obozów, walka z ekspedycjami karnymi i w obronie wysiedlanych oraz ochrona ludności i jej dobytku itd.

W związku z tak szeroką działalnością, w strukturach organizacji wiejskich, a zwłaszcza BCh, od samego początku wystąpiły, w porównaniu z innymi organizacjami Polskiego Państwa Podziemnego, istotne różnice, gdyż do działań BCh nie mogły nie włączyć się – działające na tym samym, często wydzielonym, terenie – takie organizacje społeczne, jak np. Straż Pożarna, Straż Leśna itd., oraz zawodowe, takie jak Związki Plantatorów, Producentów itd., a także organizacje usługowe, charytatywne, a nawet kościelne, powiązane ze sobą poprzez codzienne zawodowe, sąsiedzkie, rodzinne współdziałanie, a przede wszystkim w poczuciu patriotycznego obowiązku. Przecież na wsi wszyscy o wszystkich i o wszystkim wiedzą, więc i pomagają sobie. Na przykład według dokumentów VI Okręgu BCh „Małopolska” wśród zaprzysiężonych partyzantów BCh 46,6% stanowili żołnierze oddziałów wojskowych (BCh), 20,1% żołnierze Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB) i 33,3% nie żołnierze, lecz członkowie „Politycznych Trójek”, magazynierzy, łącznicy itd.

W związku z tym struktury BCh odróżniały się od innych organizacji i nie wszystkie działania i akcje BCh mogły być zaliczane do działań czysto wojskowej samoobrony, więc mogły być także z tego punktu widzenia niedoceniane, a co wynikało jedynie z ograniczonej wiedzy w tym zakresie.

Skutkiem powyższego nie wszystkie wydarzenia zostały w równym stopniu udokumentowane i utrwalone, a niektóre wręcz pominięte. Dziennikarze bowiem,

lektorzy, a nawet nauczyciele, którzy z autopsji problemów tych nie poznali – gdyż są znacznie młodszy – zwykle powtarzają utrwalone już poglądy i opinie, często sporządzone dla aktualnych polityczno-gospodarczych celów a więc w związku z tym nie zawsze prawdziwe, których obecnie nie ma kto prostować, gdyż uczestnicy tych wydarzeń w większości nie żyją. Dla odtworzenia np. całej drogi postępowania, przebiegu i rozwoju poszczególnych zdarzeń czy faktów, z wyjaśnieniem jak to wszystko naprawdę wyglądało i przebiegało w rzeczywistości, kto uczestniczył, jakie kierowały nim motywy i postawy, oraz jakie były efekty i skutki i jak je oceniano w czasie tych wydarzeń, a nie jak je sobie obecnie wyobrażamy i oceniamy, konieczne jest przyjęcie niezbędnych poprawek, a w tym celu poszukiwanie różnych suplementów, uzupełniających dane dzieła, opinie itd.

Suplementami najczęściej są opowieści i wspomnienia uczestników tych wydarzeń lub ich słuchacze, a wśród dokumentów także znajdujące się w archiwach, w księgozbiorach, w dokumentacji urzędowej lub prywatnej, zapomniane już często dokumenty, na przykład spełniające rolę przypisów dokumentujących inne sprawy. Idealnym wprost przykładem takiego dokumentu jest sporządzony w maszynopisie referat Czesława Bednarczyka p.t. „50-lecie powstania i działalności Kółka Rolniczego w Dłużynie w powiecie leszczyńskim”, wygłoszony na Zjeździe Powiatowym Kółek i Organizacji Rolniczych w Lesznie 7 grudnia 1958 r (NB. któremu przewodniczył Prezes Zarządu Powiatowego KiOR – Józef Górski).

Czesław Bednarczyk przez 18 lat był sekretarzem Kółka Rolniczego w Dłużynie i miał możliwość zaznajomienia się z informacjami i dokumentami, które nigdy nie były wykorzystane, a zniszczone zostały w ostatniej wojnie. Dla potwierdzenia faktów przez siebie podawanych, które w wielu punktach różniły się od tych opisanych w literaturze i w opracowaniach historycznych, przywiózł na Zjazd ostatniego z żyjących założycieli i członków tego kółka Franciszka Szałwskiego ze Skarżyna.

Uwagi powyższe powinny wytłumaczyć umieszczenie w niniejszym opracowaniu licznych rycin i załączników, jako suplementów potwierdzających autentyczność przedstawionych faktów, zdarzeń i osób, których w publikacjach i zbiorach literatury znaleźć nie można. Praca przedstawia bowiem historię jednej rodziny, lecz w nieporównywalnych warunkach, tak politycznych jak społeczno-gospodarczych i kulturowych, na terenach różnych zaborów, co – tym bardziej – wymagało dokładnego udokumentowania.

Kończąc powyższe uwagi nie można pominąć i tego faktu, że niepokojąca sytuacja międzynarodowa, w której obecnie żyjemy, jak i skala zbrojeń niespotykana od zakończenia zimnej wojny, a przede wszystkim działania wojenne już w pobliżu naszych granic, powinny – oprócz zabezpieczeń typowo militarnych – wzmocnić naszą czujność wobec możliwych zagrożeń. Z doświadczenia bowiem wiemy, że w chwili



Ryc. 26. Dom Józefa Górskiego w Wyciążkowie (widok z ogrodu)



Ryc. 28. Powózka konna – relikw nie tak dawnych środków lokomocji

największych zagrożeń mogliśmy zawsze liczyć przede wszystkim na własne siły.

Działania te powinny być impulsem wychowawczym i wzorem nade wszystko dla młodzieży, aby tak jak ich przodkowie – wychowani w okresie międzywojennym w duchu największego patriotyzmu i umiłowania służby dla Ojczyzny – była gotowa stanąć bez wahania i jakichkolwiek rozrachunków do walki z najeźdźcą. Dlatego też problemu Niepodległości nie można rozpatrywać tylko poprzez jeden z jej etapów, nawet gdyby był najważniejszy. Starczy zresztą przypomnieć sentencję nadawania Krzyża Niepodległości, która brzmi: „... ZA PRACĘ W DZIELE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI...” [Ryc. 6].

W podsumowaniu zaś niezwykle patriotycznej i ofiarnej działalności Józefa Górskiego w zakresie społeczno-gospodarczego rozwoju rolnictwa – mimo stawianych przeszkód i utrudnień natury polityczno-ekonomicznej, wynikających z wdrażania głębokich przeobrażeń ustrojowych po II wojnie światowej – wyróżnić należy jego postawę jako wzorca postępowania w przełamywaniu kryzysów społeczno-politycznych nie tylko w rolnictwie. Wskazuje na to fakt, że jego dom w Wyciążkowie [Ryc. 26] był otwarty nie tylko dla przyjaciół, ale także dla ludzi współdziałających z nim lub po prostu szukających pomocy i schronienia. Najczęstszym jednak gościem – z uwagi na pomoc i współpracę w dziedzinie gospodarczej – był proboszcz miejscowej parafii w Goniembicach, ks. Adam Zawila, repatriant z Wołynia [Ryc. 27].



Ryc. 27. Józef Górski z ks. Adamem Zawilą

Działalność społeczno-gospodarcza miała również wpływ na skalę przemian wynikających z postępu naukowo-technicznego na terenach wiejskich, co jest widoczne m.in. w powszechnej mechanizacji i automatyzacji prac polowych i gospodarczych. Wobec powszechnej motoryzacji nawet powózki konne, którymi m.in. posługiwali się w Wyciążkowie Górscy [Ryc. 28], młodemu pokoleniu nawet na wsi są już nieznane.

Wszystko podlega przemianom i ma swój koniec, więc nawet dzieci Józefa Górskiego – zakładając własne rodziny – zmieniły swe siedliska i miejsca zamieszkania. Ale to już inna historia.

Sto lat w historii naszych rodzin

WYRÓŻNIENIE

Wstęp

Zakończenie wojny światowej jesienią 1918r. (nazwanej później pierwszą) I odzyskanie przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 r. zastały przodków mojej obecnej, licznej rodziny na terenach z dawien dawna rdzennie polskich. Rodzina ojca (Migoniowie) pochodziła ze wsi Pilczyca koło Kluczevska nad rzeką Czarną w Świętokrzyskim. Natomiast przodkowie mamy pochodzili z terenów dawnego Sieradzkiego. Pradziadek Antoni Roźniecki pochodził z okolic Goszczanowa ze wsi Lipicze, a prababcia Katarzyna z Irzykowskich z okolic Widawy.

Moi przodkowie musieli żyć i przeżyć w bardzo trudnych czasach z uwagi na niski poziom egzystencji dotyczącej większość ówczesnego społeczeństwa, oraz przez uwarunkowania wynikające z obcego władztwa zaborców nad Polakami.

Członkowie mojej rodziny o której piszę w dalszej treści, którzy urodzili się pod koniec XIX w. lub na początku XX w. zmuszeni byli walczyć o przeżycie podczas ostatnich dekad rządów trzech zaborców, dwóch wojen światowych, okupacji hitlerowskiej z obozami śmierci i w końcu żyć kilkadziesiąt lat pod nadzorem starszego radzieckiego „brata”.

Te złe czasy zniszczyły i wydrenowały polskie ziemie z dóbr doczesnych, ale co gorsza pozostawiły w ludzkich umysłach i mentalności niedobre nawyki i fałszywe punkty odniesienia – a to niestety nigdy nie pomagało i nadal dzieli Polaków – jak w moim wierszu „My, Tutejsi!”

My, Tutejsi!

To, jacy w znacznej części jesteśmy wychodzi z nas wszędzie
na drodze, w Sejmie, w sklepie, w sądzie i w urzędzie
To tam brakuje nam w naszej życiowej codzienności
zdrowego rozsądku, dobrej woli, empatii, lub przyzwoitości.
Włokąc za sobą balast niedobry wieków poprzednich
narosły w głowach i czynach złych lub bezwiednich,
niewiele też ucząc się na swych błędach mnogich
utraciliśmy swe rządy, złotą wolność, granice i stan błogi.

Gdy już nie zostało wiele oprócz nas nieszczęsnych,
przyszedł czas wieszczów, powstań i na sybir zesłań przeklętych.
Aż Stwórca litościwy po długiej i ciężkiej pokucie sprawił,
że los z czarnych orłów zaborców boleśnie zadrwił.
I znowu My, mimo demonów przeszłości i cudu nad Wisłą,
sprawiliśmy sobie Ojczyznę skłóconą przez politykę skisłą.
A zamiast budować na nowo kraju fundamentu mocne,
wdaliśmy się w kłótnię, podziały i znowy nocne.
Wtedy znów Opatrzność zesłała plagi: brunatną i czerwoną,
na długie dekady dając śmierć lub wolność znikomą.
Przysły zatem czasy sprzeciwu, strajków, ofiar i postulatów,
stłumione grudniową nocą przez zgniłe służby i „soldatów”.
Ulitował się w końcu Kierujący naszym losem i światem,
zniósł mury i granice, zesłał wiosnę ludów z wolności kwiatem,
teraz tylko od nas, Tutejszych, wszystko już zależy,
czy ten dar losu przetrwa to, jacy jesteśmy – wierzyć w to należy!

We mnie dość długo dojrzewała myśl, aby sięgnąć po pióro i papier – co uczyniłem dopiero, gdy dobiegłem sześćdziesiątki. Myśl ta, co do jej zawartości nieco ewoluowała przez minione lata, lecz główne założenie było takie: zostawić dla potomnych choć trochę informacji i faktów o swych pradziadkach, dziadkach, i rodzicach zaczynających swoje życia w XIX w., i na początku XX w., o innych członkach rodziny oraz o swoim życiu, które zmaterializowało się 13 lutego 1957r. w Szpitalu Wojskowym we Wrocławiu pod postacią ważącego 4,6kg noworodka płci męskiej.

Co wydarzyło się dawniej, dowiedziałem się z rodzinnych przekazów starszego pokolenia, a co później przyniosło życie, często widziałem już na własne oczy. Gdy rozpoczynałem swój byt na naszej planecie, rozpoczynała się epoka kosmicznych lotów, a w Polsce, poprawianie socjalizmu w ludowej Ojczyźnie, rozpoczynał mój imiennik Władysław Gomułka, czyli towarzysz „Wiesław”.

Imiona swoje otrzymałem w rodzinnym spadku, po obu Dziadkach: Władysławie Migoniu i Józefie Roźnieckim. Jak widać w tej mierze mój Ojciec rejestrując noworodka w USC nie wykazał specjalnej inwencji, lecz postawił na imiona męskich przodków, może dlatego, że byłem jego pierwszym synem.

W czasie sześciu dekad mojego życia zmienił się świat, Europa, Polska, poziom życia, telefony, samochody, itd. Zmieniały się mody, systemy polityczno-społeczne, przywódcy oraz ludzie – ale mam wrażenie, że Ci najmniej(!), a niektórzy zostali mentalnie („głową”) w minionych czasach.

Obserwowałem to wszystko najpierw bezwiednie jako dziecko przyjmujące co się wokół niego dzieje jako absolut, lecz już około dziesiątego roku życia zaczęły

się pojawiać w moim umyśle momenty zdziwienia, nieakceptacji, porównań oraz pierwszych ocen tego co mnie otaczało w skali mikro (rodzina, podwórko, kole-dzy itp.), gdyż skala makro była jeszcze mało zrozumiała i niespecjalnie zaprzętała moją uwagę. Co zmieniły dopiero dorosłe lata.

Napływające kolejno, jak fala za falą na morskiej plaży doświadczenia życiowe, „otwierały oczy”, kształtowały umysł i poglądy na otaczającą rzeczywistość. Niektóre już w dzieciństwie przynosiły ciche wewnętrzne przyrzeczenia wobec siebie samego, np.: że w przyszłości chcę żyć inaczej niż moi rodzice. Upływ czasu potwierdził wagę takich młodzieńczych przemyśleń dla układania lepszego życia, dla siebie i swojej małej Rodziny.

Jednak wielu aspektów i zwrotów w życiu nie dało się przewidzieć ani poprowadzić w „chcianym” kierunku. Życie toczyło się często swoimi torami, których zwrotnice, semafony i kierunki czasem zaskakiwały, innym razem zdumiewały, często przyjemnie! Czasem ich efekt przerastał jakiegokolwiek wcześniejsze oczekiwania, lub przynosił owoce, o których nawet nie marzyłem. Mojego życia ścieżki i drogi w dużym skondensowaniu ująłem w wierszu „Moje pół wieku w Zduńskiej Woli 1968–2018”.

Pół wieku w Zduńskiej Woli (1968–2018)

Gdy wiosennym porankiem we Wrocławiu słońce wstało,
w moim krótkim życiu coś nowego się zaczynało,
Wtedy to chłopak z parteru skrytykował nasze stare graty,
a ja patrzyłem z lękiem w oczy mojego taty.
Kiedy wielki meblowóz z kabiną z przodu,
ruszył w drogę do Zduńskiej Woli grodu,
obawy zniknęły i zniknęły się w świata ciekawość,
a zalana słońcem i tłumem Łaska dała ulgę i radość.
Niedługo później po bazaltowym ulicy Łaskiej bruku,
przetoczyły się czołgi, jadąc na południe w złowrogim huku.
Ale były i jeździły czarne dorożki jak zaczarowane,
z woźnicami na koźle, niedaleko rynku usytuowane.
Letnią już porą płytki, kwadratowy w parku staw
pozwolił mi pierwszy raz w życiu płynąć powoli wpław.
Lecz kilka dni później zdraдлиwe dno Warty,
nakazało napić się rzecznej wody i wystraszyło nie na żarty.
Gdy poznałem dziewczyn pierwsze słodkie walory,
nową szkołę, kolegów, miasto, okolice i bytu pozory,
gdy przyszły młodego życia smutki i zachwyty,
los zniszczył rozwodem rodzinę i dobry czas przeżyty.

Nadszedł czas Ewy, pierwszej pracy, chwil miłych i tych od których boli,
czas służby wojskowej, ołtarza z przysięgą, Rodziny i małej Oli.
Później była spóźniona matura, Monika bez mamy po porodzie,
własne mieszkanie w blokach i domek w działkowym ogrodzie.
Bieg życia szybki, zmiany w kraju i na wschodzie,
przyniosły ukończone studia i wysokie funkcje w sporcie i w zawodzie.
Los pokazał także swe ciemne oblicze ludzi podłych, skażonych zepsuciem,
co skutkowało utratą zdrowia, rentą i zastrzyków kluciem.
Fortuna jednak ludziom pewnym sprzyja, więc po wielu bytu meandrach,
Stwórca sprawiedliwy zesłał mi w nagrodę wnuczka Aleksandra!
A oprócz niego do zdjęć i obrazów, dorzucił zdolność takiego pisania,
abym mógł opisać piękno i brzydotę, anioła i drania.

Jak wcześniej wspominałem czułem, że mam również obowiązek ująć w pisemnej formie choć fragmenty życia moich przodków. Szczególnie moich Dziadków: Władysława Migonia walczącego z trudami życia, z wrogami Ojczyzny z bronią w rękę i o swoją liczną rodziną, gdy przymusowo pracował w Trzeciej Rzeszy. Józefa Roźnieckiego, ciężko pracującego od najmłodszych lat podczas pierwszej wojny, budującego w okresie międzywojennym tory magistrali kolejowej Śląsk-Gdynia i więzionego przez hitlerowców za dywersję gospodarczą.

Zdawałem sobie bowiem sprawę, że jeśli tego nie uczynię, to wraz z moim odejściem z tego świata, nikt, nawet w rodzinie nie będzie o nich nic wiedział, a później nikt o nich nie będzie nawet pamiętał!

A żyli oni na przełomie dwóch epok cywilizacyjnych, gdy zmieniał się świat, przemijał czas cesarzy i pojawiały się kolejne zdobycze cywilizacji, te dobre i te złowogie. Nigdy jednak nie było im łatwo żyć, czy też zapracować na utrzymanie swych rodzin.

I

1. Po mieczu.

Ojciec mojego ojca, a mój dziadek Władysław Migoń urodził się 2 kwietnia 1888 roku we wsi Pilczyca nad rzeką Czarną (dopływ Pilicy) koło Kluczevska, gdzie stał dwór szlachecki na niewielkim pagórku. Jego rodzicami byli miejscowi obywatele polskiej narodowości: ojcem, Ignacy Migoń urodzony 25 stycznia 1866r. po klęsce Powstania Styczniowego. Jego ojcem (a prapradziadkiem autora) był Jan Migoń ur. 17.06.1835 r., zmarły 22.01.1889 r., mamą Franciszka Borkowska zm. 1870 r. Mamą mojego dziadka Władysława była Tekla, z domu Kościańska. Ignacy i Tekla wzięli ślub w kościele parafialnym w Kluczewsku w 1888 r.

Oprócz Władysława, urodzili się im jeszcze : Andrzej w 1892 r., Jan w 1895 r., Wawrzyniec w 1898 r., Franciszek w 1901r i najmłodszy Tomasz w 1905 r.

Pilczyca, wieś leżąca przy drodze z Włoszczowy do Przedborza – nie była miejscem łatwym do życia w tamtych czasach. Większość lepszej ziemi, pastwisk nadrzecznych i lasów należała do dworu, kościoła lub miejscowej społeczności żydowskiej. Gospodarstwo pradziadka Ignacego znajdowało się w samej Pilczycy.

Dziadek Władysław gospodarzył później w koloni Pilczycy, zwanej Dąbrowa, na dwóch hektarach, które otrzymał od Rządu Państwa polskiego, przy piaszczystej drodze do Cimiętnik, wsi z młynem na rzece Czarnej, leżącej kilka kilometrów dalej, za sosnowym lasem i pagórkami wędrujących wydmy. Słabej jakości grunty powodowały, że uprawiano tu zwykle żyto i ziemniaki, a później także tytoń. W okresie dwudziestolecia międzywojennego za drogą, naprzeciw obejścia Władysława, aż do rzeki Czarnej, ciągnęły się jałowcowo-sosnowe zarośla, ledwo radzące sobie na jałowym podłożu.

Mój ojciec Mieczysław, jako dziecko widział jak czasem chodził po tym terenie właściciel, miejscowy Żyd i narzekał głośno, że ktoś wyciął karłowatą sosenkę lub dwie. Również z wypowiedzi mojego ojca, urodzonego w Pilczycy 1 grudnia 1929r. wynika, że na podwórku trudno było zobaczyć zieloną trawę z uwagi na słabą glebę oraz wyjadanie jej przez krowy, główne żywicielki wielodzietnej rodziny. Krowy były wtedy pasane przez dzieci gospodarzy często na rowach, łągach nadrzecznych, lub w lesie.

Aby powstała ta duża (w 1939 już dziesięcioosobowa) rodzina, oprócz odzyskania niepodległości przez Polskę, po wielkiej wojnie, w której wykrwawiły się zaborcze armie i upadły cesarskie trony ich władców, musiało przyjść i przeminąć kolejne fatum w postaci wojny polsko – bolszewickiej.

Kiedy w Rosji upadł feudalny porządek, a wraz z nim skończyło się trzystuletnie panowanie carskiej rodziny Romanowów, gdy wojna, głód i ferment społeczny – polityczny przyniósł nową ideologię – hordy otumanionych ludzi ruszyły na zachód, aby podpalić świat, i przywłaszczyć go sobie.

Wtedy, patriotyczna mobilizacja społeczeństwa polskiego i chęć obrony Polski spowodowała, że sto pięć tysięcy mężczyzn zgłosiło się do armii jako ochotnicy. Dużym wsparciem okazała się też tzw. błękitna armia generała Hallera w niebieskich francuskich mundurach, przewieziona koleją do Polski, w liczbie ok. 70 000 dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy. Strach u Sowieców budziły ich pierwsze i nieliczne czołgi Renault i samoloty bojowe, również z amerykańskimi lotnikami.

Jest wielce prawdopodobne, że dziadek Władysław podczas pierwszej wojny walczył w tworzących się wtedy polskich formacjach wojskowych, gdyż ziemię od

państwa otrzymywali (szczególnie na kresach), byli żołnierze legionów Piłsudskiego, oraz ci, którzy walczyli z armią czerwoną.

Fakt, że dziadek Władysław Migoń pochodził ze wsi i był obeznany z końmi, spowodował, że został wcielony do kawalerii. Wojenne drogi i bezdroża zawiodły go na kresy wschodnie dawnej Rzeczypospolitej w okolice Mińska białoruskiego. Stacjonując podczas działań w powiecie mińskim, we wsi Sudniki poznał szesnastoletnią wówczas Stasię Supranowicz. Młodziutka i miła Polka z kresów tak mu przypadła do gustu, że postanowił starać się o jej rękę. Pojechał więc na swym koniu z karabinem przewieszonym przez plecy do Sudnik, aby poprosić Stasię o zgodę na ślub, gdyż rodzice nie żyli już od około trzech lat.

Musiał zapewne zrobić duże wrażenie mundurem żołnierza kawalerii, gdyż uzyskał zgodę, na ślub, którego udzielił im ksiądz katolicki, ale w cerkwi w Sudnikach. W ten sposób konwulsje i upadek starego świata sprawiły, że ludzie ci spotkali się i stworzyli rodzinę, dzięki której w Pilczycy pojawił się w 1929 r. mój ojciec Mieczysław, a w 1957 r. we Wrocławiu w wojskowym szpitalu pojawiłem się ja – Władysław Józef Migoń.

Z przekazów rodzinnych wynika, że mama babci Stasi zmarła mając 39 lat, a ojciec mając 42 lata. Zmarł też na jej oczach dziesięcioletni braciszek Wicek (zapewne Witold) – wszyscy odeszli z tego świata na początku pierwszej wojny światowej, być może z powodu epidemii, o które wtedy nie było trudno. Po śmierci rodziców i brata w domu zostały ze Stasią siostry Elżbieta i Zofia.

Brak środków do życia sprawił, że już w 1915r., mając 14 lat Stasia pracowała w pobliskim majątku, wstając codziennie o 4 rano, doiła krowy, a następnie prowadziła je na pastwisko. Później znalazła pracę w ochronce maleńkich, porzuconych podczas wojny niemowląt. Lecz przeżyła tam ogromną traumę, kiedy te niemowlęta (sześciuro) wykąpane, przewinięte i nakarmione w sobotę – nie żyły wszystkie w poniedziałek, gdy przyszła do pracy!

Mając 16 lat znalazła pracę w seminarium duchownym niedaleko Wilna. Wraz z innymi obsługiwała kleryków w jadalni przy posiłkach lecz nie wolno było na nich nawet podnieść oczu. Po wielu latach Stasia spotkała już po drugiej wojnie światowej w Gozdnicy pierwszego polskiego księdza proboszcza, który był jednym z kleryków z tamtego seminarium.

W domu rodzinnym Stasi było coraz gorzej, gdy starsza siostra Elżbieta wyszła za mąż za Rosjanina, a ten chciał, żeby ona też poślubiła ruskiego. Gdy odmówiła szwagier odciął z bochenka chleba kromkę i podał Stasi mówiąc, że nie należy już do rodziny jak ta kromka do reszty bochna. Uciekła więc z domu rodzinnego i wtedy zobaczyła na drodze kawalerzystę, który stał się jej mężem i moim dziadkiem.

Być może duży wpływ na szybkie zamążpójście Stasi, oprócz wojennej biedy i bolesnych przeżyć miał fakt, że w domu była jeszcze jedna siostra Zofia do zamąż-

pójścia. Po zakończeniu działań wojennych, Władysław Migoń przyjechał wraz ze Stasią Supranowicz do Pilczycy.

Pierwsze ich dziecko nie żyło długo, dziewczynka zmarła po 9 miesiącach, bardzo dużo płacząc. Prawdopodobnie była chora od urodzenia, a opieka medyczna praktycznie wtedy nie istniała. A w dodatku były to czasy powojennych problemów z aprowizacją, gdyż wojujące armie zaborców po prostu zjadły wszelką żywność, łącznie ze zwierzętami gospodarskimi.

Podczas wojny z bolszewikami wprowadzono wręcz kartki na żywność, a pianista i pierwszy premier Ignacy Paderewski kupił w Holandii za własne pieniądze duże stado krów czerwonej rasy i rozdał rolnikom w Polsce. O dziwo czerwone krowy były w gospodarstwie dziadków na Dąbrowie jeszcze w latach siedemdziesiątych XX w. Jednak później los się odmienił i w okresie międzywojennym „zesłał” małżonkom jeszcze ośmioro dzieci, które dorosły i wychowały kolejne, liczne pokolenie. Synom nadano imiona: Jan, Józef, Mieczysław, Stanisław i Stefan, natomiast córkom: Helena, Władysława i Marianna.

Z ośmiorga dzieci moich dziadków urodziło się 27 potomków, w tym czwórka Mieczysława Migonia i mojej mamy Bogumiły z domu Roźnieckiej (Amelia 1956r., Władysław 1957r., Leonard 1959r. i Dorota 1962r.).

Można z pewnością dumą stwierdzić, że mimo niedostatki i trudnych czasów związanych później z drugą wojną, i okupacją moi przodkowie okazali się zdolni do przeciwstawienia się twardej rzeczywistości i wychowania gromadki dzieci, oraz hołubienia tabunów wnuków na Dąbrowie w każde wakacje. Można też powiedzieć, że w ten sposób mocno wsparli wzrost demograficzny w naszym kraju, bo z prawnukami i praprawnukami jest to dziś około stuosobowa rodzina.

Na Dąbrowie dziadek Władysław uprawiał swoje 2 ha słabej ziemi w trzech kawałkach. Jeden z nich ciągnął się 25 metrowej szerokości pasem za zabudowaniami obejścia, do strumyka za wzniesieniem terenu. Drugi i trzeci zagon gruntów leżały przy polnej drodze skracającej w prawo za zabudowaniami spokrewnionych Duminów (córka Andrzeja, brata dziadka Władysława, Maria – wyszła za Bronisława Dumina) do kolejnej kolonii Pilczycy, tzw. drugiej Dąbrowy.

Na polu oznaczonym „2”, na niewielkim wzniesieniu rodzina wydobywała za pomocą prostych narzędzi wapienny kamień, który warstwami leżał w ziemi od głębokości około 2,5 metra. Z „plastrów” tej miękkiej skały w zagrodzie dziadków zbudowane były ściany części mieszkalnej i obory, a później również suszarni do tytoniu.

Jak się znacznie później okazało w wyniku przyswajania kolejnych porcji wiedzy o historii świata, ten wapienny, warstwowy kamień powstał kilkadziesiąt milionów lat wcześniej na dnie, ciepłego, jurajskiego morza.

Świętokrzyskie wraz z resztą obecnej Polski znajdowało się wtedy w rejonie dzisiejszego Półwyspu Arabskiego i razem z resztą skorupy ziemskiej, przesunęło się przez miliony lat w obecne miejsce.

Tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej i przybyciu do Pilczycy, młodzi zamieszkali u Ignacego i Tekli, rodziców Władysława. Tutaj Stasia znów nie znalazła spokoju i szczęśliwych dni, gdyż oprócz śmierci pierwszej córeczki, miała tzw. dopust Boży z małżonką pradziadka, Teklą.

Z opowieści Stasi przekazywanych swej córce Władysławie (mojej chrzestnej) wylania się obraz teściowej o paskudnym charakterze i ciętym języku. Tekla ciągle zarzucała synowej, że nic nie umie zrobić, nawet dobrze umyć „safilicka, skopka czy kieźnicki „(były to drewniane naczynia do dojenia, przechowywania i przerobu mleka), albo drewnianej balii.

Wydaje się to zwykłą złośliwością, gdyż Stasia przywykła do pracy od prawie dzieciennych lat, gdy zmarli jej rodzice i musiała pracować w domu, pobliskim majątku, ochronce czy seminarium. Na szczęście pradziadek Ignacy był porządnym i dobrym człowiekiem, przez co zawsze miał dobre słowo dla swojej synowej. Stasia Supranowicz była bardzo dobrą kobietą i los się wreszcie po kilku latach do niej uśmiechnął, gdy jej mąż Władysław otrzymał od Rządu rzeczony wcześniej 2 ha ziemi na Dąbrowie. Młodzi wybudowali tam mały domek z obórką z wapiennego kamienia, do którego następnie dobudowali drewnianą stodołę.

Tutaj w jednej izbie (około 6x4 m.) z dużym piecem z okapem w rogu i małym przedsionkiem – młodzi małżonkowie splodzili i wychowali ośmioro dzieci. Najpierw urodzili się synowie: Jan w 1921 roku i Stanisław w 1923 r. Trzecia była córka Helena w 1926 roku.

Mimo, że słaba gleba nie dawała dużego plonu, to przy wsparciu domowego inwentarza i dodatkowych zajęć, młoda rodzina powiększała się przez następne lata. 1 grudnia 1929 roku na świat przyszedł mój tata, Mieczysław – a w 1932 roku Józef, który z krótką przerwą do końca życia pozostał na rodzinnej ziemi. W 1935 roku urodziła się Marianna, a rok później w 1936 moja chrzestna Władysława.

Ostatni z rodzeństwa Stefan, przyszedł na świat 15 września 1939 roku, gdy na polskiej ziemi toczyła się już druga wojna światowa i na Polaków spadło kolejne nieszczęście pod postacią napaści Niemiec hitlerowskich. Kiedy urodził się Stefan, front był już pod domem Migoniów.

Mój ojciec Mieczysław, mający wtedy niespełna 10 lat opowiadał, jak bawili się z innymi dziećmi niedaleko domu, gdy rozpoczął się niemiecki ostrzał za wycofującymi się polskimi żołnierzami. Kule zaczęły dosłownie świstać wokół i słychać było dalekie wybuchy.

Któryś z dorosłych sąsiadów chwycił mojego tatę i inne dziecko, wbiegł z nimi w pole ziemniaków i dosłownie wcisnął dzieci w redliny, przyciskając ich głowy

do ziemi. Przez dłuższy czas mój tato ze strachem słuchał jak kule cięły łądygi ziemniaków i, „plaskaly „, wbijając się w miękką ziemię. Okazało się też, że reszta rodziny zdołała uciec do pobliskiego lasu z najmłodszymi dziećmi po rozpoczęciu ostrzału. Schronili się około 2 km od domu. Zaczął się najtrudniejszy okres w życiu rodziny. Nie upłynęło dużo czasu, gdy mój dziadek Władysław z najstarszą córką Heleną skierowani zostali na roboty przymusowe do III Rzeszy.

Jesienią 1942 roku Helena Migoń przysłała do Dąbrowy swoją fotografię z czasów pracy w Niemczech, na której widać szczupłą jak trzcinka szesnastolatkę. Na odwrocie jest własnoręczny, wykonany przez Helę piórem i atramentem napis: „Helena Migoń/ Pamiątka z Niemiec/Kloster Wulf/ Post Eresenchorst/ Kreis Rostock/ X m 24.d.1942r. (pisownia oryginalna!). Dlaczego „z Niemiec” razem i małą literą? – może po prostu ze złości na Niemców.

Nieco później w Boże Narodzenie przyszedł list z Niemiec, że Hela miała wypadek w fabryce. Spadła z rusztowania, wybiła sobie prawie wszystkie zęby i mocno się potłukła. Z relacji chrzestnej Władysławy wiadomo mi, że babcia Stasia bardzo płakała, łzami wielkim jak groch, a wraz z nią, wszystkie będące przy niej najmłodsze dzieci.

Do przymusowej pracy w III Rzeszy trafił także najstarszy, urodzony w 1921 roku syn Jan. Skierowany został do Bawarii, gdzie ciężko pracował na budowie i u bauerów. Jednak to tam we wsi Groub koło lotniska pod Monachium, poznał swoją przysłą żonę Janinę, z domu Habel. Pochodziła ona z Kawczyzna koło Kielc. Młodzi ślub wzięli tuż po zakończeniu wojny, jeszcze w Niemczech. O ironio, przymusowa praca dziadka Władysława i najstarszych dzieci pozwoliła przeżyć babci Stasi i młodszemu rodzeństwu, a łącznie było ich sześcioro w domu.

Z Niemiec dziadek Władysław przysyłał co jakiś czas a paczki z cukrem, kawą, rybami, mydłem i proszkiem do prania. W jednej z takich paczek proszek do prania był zmieszany z żywnością i Stasia była zmuszona wyrzucić większość produktów.

Okupacyjna codzienność dosięgała rodzinę także na inne sposoby. Otóż mój tata Mieczysław mający podczas wojny 10–15 lat, był niewysokim i szczupłym wyrostkiem, wyglądającym dość dziecinnie. Po pewnym czasie ten wygląd stał się bardzo przydatny, gdy w okolicy pojawiły się w lasach oddziały partyzanckie. Całe świętokrzyskie dzięki dużym terenom leśnym i bezdrożom, stało się terenem walk licznych i silnych oddziałów partyzanckich z hitlerowcami.

Nieduży chłopiec stał się bardzo pomocny, gdyż nie rzucał się w oczy wędrując drogą z koszykiem jabłek lub kartofli. Tak naprawdę w ten sposób wiele razy przynosił dla ludzi walczących z okupantem meldunki lub wiadomości dla partyzantów. Jeszcze w latach sześćdziesiątych słyszałem w domu we Wrocławiu, jak tato mówił, że powinien zapisać się do ZBOWiD-u, jako były łącznik partyzancki.

Pewnego razu Stasia wraz z dziećmi prawie otarła się o bojową akcję partyzantów. W porze obiadowej na drodze przed domem pojawił się zaprzęg konny jadący

od strony Ciemiętnik z załadowanym wozem i krowami przywiązany do niego. Wóz otaczało kilku niemieckich żandarmów i kilku ukraińskich strażników.

Oddział pomaszerował w stronę Pilczycy, a za około 20 minut z oddali dobiegła do Stasi z dziećmi i całej Dąbrowy kilkuminutowa kanonada wystrzałów karabinowych i wybuchających granatów. Okazało się, że Niemcy z Ukraińcami urządzili przymusową kontrybucję, czyli po prostu grabież żywności i bydła w Ciemiętnikach. Zawiadomieni o tym partyzanci zdołali urządzić zasadzkę tuż pod Kluczewskiem, gdzie las dochodził do drogi. Z relacji miejscowych wynikało, że zabito wszystkich grabieżców w obcych mundurach, a przybyłe później niemieckie wojsko zabrało ciała na ciężarówki i odjechało w stronę Włoszczowy.

W mroku wojny i strachu o życie bliskich, jeszcze w innych okolicznościach przymusowa praca ojca rodziny i dwojga dorosłych dzieci, pozwoliła uratować Stasię z gromadką dzieci, być może od przymierania głodem. W samej Pilczycy, przy stawach, zamieszkali niemieccy osadnicy skierowani tu przez III Rzeszę do gospodarstw i domów po Żydach wywiezionych do gett, lub po wysiedlonych polakach. Ci właśnie niemieccy osadnicy z Pilczycy zabierali okolicznym polskim gospodarzom inwentarz żywy, narzędzia itd. Pewnego jesiennego dnia Niemcy ci, we dwóch zjawili się w gospodarstwie Migoniów. Kazali wyprowadzić z obory jedyną krowę i zebrać do worka ziemniaki leżące na klepisku w stodole, nie bacząc na to, że wokół Stasi jest kilkoro małych dzieci.

Na szczęście do obejścia przybiegł Sołtys i tłumaczył Niemcom, że trójka z tego domu od dłuższego czasu jest na robotach w ich kraju. Po tej informacji Niemcy kazali krowę wprowadzić do obory, a ziemniaki wysypać w stodole i odeszli. Powoli do świętokrzyskiego zbliżał się front i obawa, co jeszcze złego może się wydarzyć.

Cofające się niemieckie wojska szły na szczęście głównymi drogami na zachód i w Dąbrowie praktycznie się nie pojawiali. Za to latem 1944 roku przyszła armia w mundurach z czerwoną gwiazdą na furazerkach. Jeden z oddziałów sowieckich rozłożył się obozem po drugiej stronie rzeki Czarnej, na łąkach pod Kluczewskiem.

Czerwoonoarmiści znajdowali się ok. 1,5 km w linii prostej od domostwa Władysława i Stasi, która wciąż była sama z dziećmi, gdyż mąż nadal z najstarszymi potomkami pracował przymusowo w Niemczech. Z opowiadania siedmioletniej wtedy mojej chrzestnej Władysławy, wyłania się obraz kolejnego zagrożenia dla Stasi i dzieci, które sprokurował brat mojego dziadka Władysława – Andrzej, mieszkający tuż obok.

Problemem stał się ruski żołdat na koniu, który przejechał przez rzekę Czarną i wjechał do Dąbrowy przed dom wuja Andrzeja. Ten, jak wynika ze wspomnień, był łasy na wszelkie dobra doczesne – dobił więc targu z żołnierzem i kupił od niego konia. Zwierzę stryj Andrzej wprowadził do stodoły, kazał żonie zabić kurę

i ugotować rosół, a ruskiego napoił samogonem. Szołdat kurę zjadł, upił się i chciał spać, więc stryj Andrzej bardzo nierozsądnie przyprowadził go do Stasi mieszkającej tuż za płotem.

Pijany żołnierz zrywał się co jakiś czas z pijackiego snu wołając „hazajka” i straszyl swym zachowaniem (mając karabin u boku!) Stasię i popłakujące dzieci. Po niedługim czasie, gdy już zapadł zmrok Stasia usłyszała na drodze hałas i parskanie koni. Wzięła naftową lampkę i z dwójką najmłodszych dzieci wyszła przed obejście. Po drodze przemieszczał się oddział rosyjskiego wojska i Stasia znając ich język (pod Mińskiem mieszkali Rosjanie i zły szwagier też był Rosjaninem), więc powiedziała „komandirowi” jadącemu na koniu, że u niej w domu jest pijany ruski szołdat.

Oficer wysłuchał Stasię, a następnie z innymi wpadł do chaty. Dwóch żołnierzy chwyciło pijanego szołdata, oficer walnął go w głębę, poprawił kopniakiem i wyrzucił na zewnątrz. Poszli następnie do stryja Andrzeja, zabrali konia, wsadzili na niego otrzeźwiałego po laniu żołnierza i odjechali. Tak stryj stracił konia, pewnie też to, co za niego dał, samogon i kurę!

Gdy radzieckie wojska poszły dalej na zachód na początku 1945 roku, dla Stasi i dzieci w Dąbrowie skończyło się codzienne zagrożenie i okupacja. Kiedy z przymusowych robót wrócił Władysław z Helą oraz syn Jan z żoną Janiną i urodzoną w Altenstadt córunią, wtedy naprawdę przeminęła dla nich druga wojna światowa, która na szczęście nie zabrała nikogo z ich dziesięcioosobowej gromadki.

Powojenny czas dla rodziny Migoniów okazał się niestety czasem trosk, biedy, chorób i ciężkiej codziennej pracy dla zdobycia przysłowiowej kromki chleba. Większość tej pracy spadła na Stasię z uwagi na zły stan zdrowia męża po przymusowych, kilkuletnich robotach. W tym miejscu muszę zacytować kilka wersów mojego wiersza pod tytułem „Kobiety portret (nie)całkiem doskonały”.

[...]

Kiedy już Cię pochwyca dorosłości trudne okowy
i gdy miłość poprowadzi za drzwi małżeńskiej alkowy,
do Twojej duszy kobiecej i rozsądnej głowy,
dociera kosmiczne przesłanie – niezłomnego trwania i odnowy.
Wówczas moce swe wielkie, kobiecy instynkt i wszystko,
tłoczysz w życie jak Wstotka chroniąca rodziny ognisko,
i nie masz na świecie istoty silniejszej,
ani bardziej oddanej, ani w walce o jutro skuteczniejszej,
Nawet wtedy, gdy czas młodości i pięknej sylwetki przeminą,
jak będzie trzeba, wesprzesz rozwagą, mądrym słowem, dobrą miną.

[...]

Jednak nikt chyba nie podważy słusznej tezy,
że na tej ziemi, to od Ciebie tak wiele zależy.
Nie ma tutaj nic od kobiety bardziej trwałego,
bo bez Niej nie byłoby mnie, jego, nie byłoby niczego!”

Nikłe zbiory z piaszczystej gleby w 1945 roku sprawiły, że na przednówku (wczesną wiosną) 1946 roku rodzinie zajął w oczy głód. Z relacji mojego taty Mieczysława wiem, że i nastoletnie dzieci musiały zarabiać na wyżywienie rodziny. Opowiadał, jak całymi dniami wraz z innymi szukającymi choć dorywczej pracy, sadzili hektary nowych lasów pod wsią Stanowiska, niedaleko Pilczycy i w innych miejscach. Jeżeli coś się udało władzy ludowej, to właśnie zalesianie i gospodarka leśna. Dziś w drugiej dekadzie XXI wieku po piaszczystych pagórkach porośniętych jałowcem i karłowatą sosną w Dąbrowie, nie pozostał ani ślad.

Naprzeciw domostwa dziadka Władysława za drogą (obecnie asfaltową) rośnie teraz piękny, wysoki, sosnowy las z podłożem z mchów, a całe podwórko jest zarosnięte soczyście zieloną trawą. Dziadka zagon (nr 3) też został zalesiony jeszcze w XX wieku.

W związku ze zniszczonym przez dwie wojny zdrowiem dziadka Władysława, który z trudem przetrwał kilka lat przymusowych robót pod Rostockiem – cięższe prace spadły na starsze rodzeństwo i babcię Stasię.

W rodzinnym obejściu nie było dość miejsca dla coraz liczniejszej rodziny. Najstarsze potomstwo Władysława i Stasi zaczęło się rozjeżdżać po tzw. ziemiach odzyskanych na zachodzie i północy Polski, do czego zresztą wzywały władze państwowe. Miało to logiczne podstawy, gdyż po wysiedlonych niemieckich mieszkańcach całe wioski i miasteczka stały zupełnie puste, co z kolei „powołało do życia „ grupy tzw. szabrowników wywożących stamtąd całe ciężarówki dóbr i bogacących się na ich sprzedaży w pozostałej części Polski.

Drugi syn dziadków, Stanisław, jako pierwszy trawił do małego miasteczka Gozdnicza, położonego w Borach Dolnośląskich, kilkanaście kilometrów od nowej granicy z Niemcami na Nysie Łużyckiej. Napisał do Dąbrowy, że jest tu bardzo dużo pustych domów i mieszkań oraz praca od ręki, gdyż są tu cegielnie i kopalnie gliny z której wypalają żółtą cegłę klinkierową, jak i czerwoną budowlaną.

Po tej informacji Jan Migoń z żoną Janiną i maleńką Stasią udali się do Gozdnicy, aby odciążyć rodziców w Dąbrowie i znaleźć swoje miejsce na polskiej, powojennej ziemi. Długo jednak nie zagrzali tu miejsca, gdyż dziadkowie Janiny (Hąblowie) mieszkający w Dąbrowie Górniczej zaprosili ich do siebie. Tam Jan i Janina Migoniowie znaleźli swój dom i pracę, gdzie urodziły się im kolejne dzieci: Honorata (Danusia) w 1951 roku i Zbigniew w 1955 roku. Tutaj też zakończyli swoją drogę życiową: Jan w listopadzie 1991 roku, a jego żona Janina w lipcu 1998

roku – mieszkając już od lat osiemdziesiątych w nowym mieszkaniu z centralnym ogrzewaniem przy ul. Sobieskiego.

W rodzinnym gnieździe Migoniów na Dąbrowie było nadal „głodno i chłodno”, więc babcia Stasia najmowała się do różnych prac u bogatych gospodarzy, aby przynieść do domu trochę żywności. Niestety, dziadek Władysław jak od początku był zauroczony Stasią spod Mińska, tak było i nadal, po kilkuletniej, wojennej rozłące. Gdy więc Stasia wracała czasami już po zmroku z pracy, dziadek Władysław z zazdrości o żonę wszczywał klótnie, zarzucając jej nawet „niecne” zachowania – po czym wszystko wracało do normy.

Z opowiadań taty i chrzestnej (Mieczysława i Władysławy) wiadomo jest, że mimo wycieńczenia po przymusowych robotach w III Rzeszy, dziadek Władysław robił w domu co mógł. Umiał dobrze gotować, dbał o dzieci i po prostu był dobrym człowiekiem.

Dorośle wtedy dzieci Migoniów, były już albo poza domem lub szykowały się do wyjazdu. Do Gozdnicy po bracie Staśku pojechały siostry: Helenka, Marianna i w końcu moja chrzestna, Władysława. Chrzestna nieraz wspominała, jak ciężko musiała pracować w cegielni przekładając tony cegieł przez wiele lat. Tam też poznała kierownika Jerzego Grabkowskiego, który nieco później został jej mężem. Z ich małżeństwa przyszła na świat Beata w 1968 roku i syn Piotr w 1972 roku.

Po latach Gozdnica stała się największym zgrupowaniem potomków Stasi i Władysława Migoniów z kolonii Pilczycy – Dąbrowy. Mieszkali tam i mieszkają nadal Migoniowie po wujku Staśku, a po jego siostrach rodziny: Grabkowskich, Malinowskich i Tarnowskich. Brat Władysława, Andrzej również znalazł się na zachodzie i to niedaleko Gozdnicy.

Mój tato, Mieczysław poszedł odbyć służbę wojskową do Wrocławia, w którym to mieście dostał później pracę w innym mundurze – milicyjnym. To tutaj, patrolując ulice Wrocławia w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych poznał swą „drugą połówkę” pracującą również w uniformie, ale czarnym – gdyż była konduktorką we wrocławskich, niebieskich tramwajach, tych z piosenki Marii Koterbskiej. Była to moja przyszła mama, Bogumiła Roźniecka urodzona w 1935 roku w Zawadach koło Widawy.

W tym czasie zdrowie dziadka Władysława Migonia mocno podupadło. Zmarł w dniu 1 listopada 1954 roku i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Kluczewsku. Babcia Stasia po około 35 latach małżeństwa została wdową. Ich syn Józef, który pracował wtedy w Gdańsku wrócił na rodzinne gospodarstwo i po śmierci ojca pozostał na Dąbrowie, prowadząc je do końca swoich dni w 1999 roku. Wcześniej, 28 maja 1990 roku w wieku 89 lat zmarła jego mama a moja babcia Stasia, którą Józef opiekował się przez wiele lat, za co wychwalał go proboszcz z Kluczewska w swej mowie pogrzebowej.

2. Po kądzieli.

Mama moja, Bogumiła Roźniecka urodziła się 10 czerwca 1935 roku w Zawadach, leżących w parafii Widawa. Była drugim dzieckiem moich dziadków: Józefa Roźnieckiego i Zuzanny z domu Nowak. Miała starszą siostrę Jadwigę, urodzona w 1928 roku i młodszego brata Jerzego, który urodził się podczas okupacji hitlerowskiej w 1943 roku, oboje urodzeni w Zawadach.

Bezpośredni przodek mojego dziadka Józefa Roźnieckiego pochodził ze wsi Lipicze w parafii Goszczanów w ówczesnym powiecie tureckim. Tam w 1860 roku urodził się jego ojciec, a mój pradziadek, Antoni Roźniecki. Rodzicami mojego pradziadka Antoniego byli: Józef Roźniecki i Katarzyna z domu Stasiak, oboje z tamtych terenów.

Na zachowanej starej fotografii pradziadek Antoni z dumnym spojrzeniem siedzi w towarzystwie swej żony Katarzyny z Irzykowskich, pochodzącej z okolic Widawy. Za nimi stoi młoda kobieta która zapewne jest najstarszą córką Marianną oraz jej brat Franciszek. Marianna po ślubie z Janem Chodakiem zamieszkała na części ojcowizny w Zawadach. Druga, młodsza siostra Wiktoria, wyszła za mąż za Józefa Manikowskiego i zamieszkała w sąsiedniej wsi.

Dziadek Józef miał też brata Bolesława, który był do niego bardzo podobny i gospodarzył również na części ojcowizny w Zawadach, po drugiej stronie drogi. Niestety zakończył życie dość młodo, gdyż zmarł w wieku 45 lat, 25 marca 1943 roku. Jego żonę ((wdowę) poznałem w latach 60 XX wieku. Nazywali ją wszyscy „Bolechowa”. Dopiero z nagrobka w Widawie dowiedziałem się, że miała na imię Stanisława i będąc młoda, była urocza i szczupła. Pamiętam jak pewnego razu podczas zabawy przypadkowo uśmierciłem jej malutką kaczuszkę, co się wydało i było mi bardzo przykro.

Ich synami byli: Stanisław mieszkający w Łodzi i Henryk, który objął gospodarstwo po Bolesławie, a mówiono na niego „Locha” bo miał prawie 2 metry wzrostu.

Pradziadek Antoni musiał zachować sporo „grosza” bo po opuszczeniu wsi Lipicze kupił w Zawadach znaczną połąć ziemi ornej, lasu i pastwisk, zapewne ponad 10 hektarów. To na tej ziemi gospodarzyły później jego dzieci: Marianna, Bolesław i Józef. Natomiast Zuzanna Nowak, przyszła pani Roźniecka urodziła się 7 sierpnia 1902 roku we wsi Bzowo, niedaleko Czarnkowa w będącej pod zaborem pruskim Wielkopolsce. Jej rodzicami byli: Stanisław Nowak i Bronisława z domu Rauchut. Tam też Zuzia chodziła do niemieckiej szkoły elementarnej za czasów cesarza Wilhelma, gdyż pamiętam, że dobrze знаła język niemiecki i przy mnie tłumaczyła ludziom listy i pisma przychodzące z Niemiec.

Józef Roźniecki urodził się 22 lutego 1902 roku w Zawadach (parafia Widawa) w guberni piotrkowskiej, pod zaborem rosyjskim. Nie jest całkowicie pewne jak

i gdzie ci młodzi ludzie (Zuzanna i Józef) poznali się – prawdopodobnie, jak głosi rodzinna wieść, młodzieniec Józef tuż po pierwszej wojnie pojechał na tzw. saksy do pracy w Wielkopolsce. To tam miał spotkać młodą Zuzannę, bardzo urodziwą pannę, jak widać na poślubnej fotografii.

W związku z tym, że sam był przystojnym i wysokim, jak na tamte czasy, młodym mężczyzną, gdyż miał blisko 180 cm wzrostu – stało się! W niedalekiej przyszłości zostali małżonkami i zamieszkali w Zawadach. Jednak wcześniej, gdy oboje mają po 12 lat wybucha wojna światowa a zaborcy polskich ziem „biorą się za lby”. Jako dzieci pozostają na szczęście u boku swoich rodzin.

Gdy wojna światowa dobiega końca, po przyjeździe Ignacego Paderewskiego do Poznania w Wielkopolsce wybucha powstanie. Wielkopolanie powstają przeciwko Prusakom, osłabionym walką na dwa fronty: z Rosją i na terenie Francji, którą wspierali Anglicy, a od 1917 roku również wojska amerykańskie.

Powstanie jako pierwsze w naszej historii kończy się rozbrojeniem lub pokonaniem oddziałów niemieckich i zwycięstwem, którego efektem będzie przyłączenie dobrze rozwiniętej gospodarczo i rdzennie polskiej krainy do odradzającej się Polski. Trudne i niebezpieczne czasy powodują szybkie dojrzewanie, więc tuż po zakończeniu wojny i powstaniu państwa Polskiego – Zuzanna i Józef pracują jak dorośli ludzie, aby poprawić trudne powojenne warunki bytowe swych rodzin.

Po pracy w dużych gospodarstwach rolnych w okolicach Czarnkowa i poznaniu tam młodziutkiej Zuzanny Nowak, która miała jednego rodzonego brata, gdyż mama Bronisława wcześniej zmarła i przyrodnie rodzeństwo po macosze (siostry, brata?) – mój dziadek Józef wyjechał z Wielkopolski i tuż po 1920 roku pojawił się w Zduńskiej Woli. Miał tutaj uczyć się zawodu rzeźnika – wędliniarza. Był uczniem i czeladnikiem u rzeźnika przy ul. Kościelnej, później u innego przy ul. Łaskiej.

Z opowiadania dziadka Józefa Roźnieckiego zapamiętałem specyficzny dla tamtych trudnych czasów w Zduńskiej Woli „obrazek”. Czeladnicy zaczynali obróbkę tzw. wieprzka wczesnym wieczorem. W nocy musieli zdążyć rozebrać mięso, oraz zrobić i zaparzyć w kotle wszystkie wędliny, które od wczesnego ranka musiały zawisnąć na hakach lub leżeć na ladzie sklepu, znajdującego się na froncie posesji.

W mieście musiało być dużo biednych rodzin, bo wczesnym rankiem na zapleczu tworzyła się kolejka ludzi z kankami i garnuszkami, aby dosłownie za kilka groszy kupić tzw. kiszczonkę z kotła warzelnego dla ugotowania w domu zupy. Najbiedniejsi dostawali nieco kiszczonki zupełnie za darmo. Uzbierane drobne pieniądze należały zwyczajowo do czeladników, którzy wysyłali najmłodszego po flaszkę wódki. Wypijali po kieliszku i szli spać, aby wieczorem znów zabrać się do swojej pracy.

Następnie Józef pracował także w Sieradzu u rzeźnika, który jeśli dobrze pamiętał nazywał się Kalinowski. W tym miejscu nasuwa mi się znane w latach

70 i 80-tych XX w. znane powiedzenie: że przed wojną nad takim lokalem pisało RZEŹNIK, a w środku było mięso i wędliny. W czasach socjalizmu na lokalu pisało MIĘSO I WĘDLINY, a w środku była tylko osoba rzeźnika!

Komentarz zbędny dla tych, którzy pamiętają te czasy oraz puste haki i lady w tzw. sklepach mięsno – wędliniarskich. Później było jeszcze gorzej, gdy marnej jakości mięso i wędliny, cukier, itp. były tylko na kartki.

Wracając w czasy II Rzeczypospolitej muszę przyznać, że nie jest znana dokładna data ślubu Zuzanny i Józefa, ale jest bardzo prawdopodobne, że odbył się w roku 1927, jeszcze przed śmiercią w 1929 r. mojego pradziadka Antoniego Roźnieckiego. Prababcia Katarzyna z Irzykowskich zmarła kilka lat później. Z relacji dziadka Józefa wiem, że pradziadek Antoni był darzony uznaniem i estymą we wsi Zawady i w okolicy. Z opowieści dziadka wiadomo, że przechadzał się po wsi dobrze ubrany z zegarkiem na łańcuszku w kieszonce kamizelki. W związku z tym, że był dość tęgi, wysoki i miał wyrazistą twarz tj. groźne spojrzenie i ziemiańskie nazwisko, wzbudzał u ludzi szacunek. Jak widać na fotografii sprzed cmentarza w Widawie, spory tłum ludzi zjawił się na jego pogrzebie.

Nie tylko nazwisko, sposób bycia i postawa pradziadka Antoniego wskazuje na ziemiańsko – szlachecką przeszłość jego samego i jego przodków, ale także pozostałe po nim dziewiętnastowieczne piękne komody, duży stół z rzeźbieniami, fotel czy szafa z kryształowym lustrem w drzwiach. Takich mebli nie widywałem jako dziecko w innych wiejskich domach. Z tych rodzinnych zabytkowych „skarbów” pozostało u mnie to kryształowe lustro z pieczęcią pisaną ruską cyrylicą, oraz datą „9 XI 1883”. Po Roźnieckich pozostały mi także: niemiecka, pięknie zdobiona XIX wieczna filiżanka z cienkiej porcelany z Tillowitz, wraz z podstawkiem i talerzykiem deserowym oraz waza obiadowa.

Co do cennych zabytkowych XIX wiecznych mebli, to niestety uległy zniszczeniu w drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX w., gdy babcia Zuzanna nie żyła od 1981 roku, a dziadek Józef po zapaleniu płuc w 1983r. przeniósł się do Łodzi do córki Jadwigi Iwańskiej, mieszkającej wtedy w blokowisku przy ulicy Sprinterów na Retkini. Wcześniej Jadwiga z mężem Józefem mieszkali w jednej izbie przy ul. Paryskiej na Widzewie.

Józef Iwański pochodził z Woli Kleszczowej spod Widawy, gdzie ich drewniany dom stał tuż nad urokliwą rzeczką Niecieczą. Bywałem tam jako dziecko.

Jadwiga mówiła do niego pieszczotliwie „Ptyś”, chyba dlatego, że był pogodnym i zabawnym facetem, lubiącym czasem wypić. Pamiętam jego swoiste powiedzenie o osobach dużo i szybko chodzących: „letki w nogach”, które mi się bardzo podobało.

Zginął niestety 26 lutego 1988 roku w Łodzi uderzony w głowę przez najeżdżający autobus, gdy wraz z bratem Jadzi, kapitanem Jerzym Roźnieckim udawali

się do szpitala, gdzie Jadwiga leżała po operacji. Tak zły los czasem bardzo mocno doświadcza niestety i dobrych ludzi!

Przenosząc się na powrót w lata 20-te XX wieku, gdy dziadek Józef zakończył naukę i „karierę” wytwórcy wędlin w Zduńskiej Woli i w Sieradzu – wyjeżdża na stałe do Zawad, z powodu podupadającego zdrowia swego ojca Antoniego. Józefowi i Zuzannie w 1928 roku rodzi się pierwsze dziecko, córka Jadwiga. Niestety, rok później umiera w wieku 69 lat mój pradziadek Antoni Roźniecki i zostaje pochowany na cmentarzu parafialnym w Widawie. Kilkadziesiąt lat później w tym miejscu spoczynek znajdują jeszcze Zuzanna i Józef, oraz ich syn, emerytowany oficer, ppłk Jerzy Roźniecki.

W latach 30-tych XX wieku nadal wiele się dzieje w rodzinie Roźnieckich w Zawadach. Kilka lat po mężu umiera żona Antoniego, Katarzyna z Irzykowskich. Natomiast w 1935 roku na świat przychodzi druga córka moich dziadków, Bogumiła – moja przyszła mama.

W tych latach dziadek Józef, najmłodszy z rodzeństwa, uprawia swój kawałek ojcowizny, gdyż resztę ziemi objęli wcześniej brat Bolesław i siostra Marianna, gospodarzący w najbliższym sąsiedztwie. Aby uzupełnić domowy budżet Józef wykorzystuje umiejętności nabyte u rzeźników w Zduńskiej Woli i Sieradzu, „bijąc wieprzki” robiąc wspaniałe, domowe wędliny, których smak pamiętam do dnia dzisiejszego. Na tzw. świniobicie angażuje go wielu gospodarzy z Zawad i z okolicznych wiosek.

W latach międzywojennych przychodzi kolejna poprawa bytu rodziny, gdyż młode Państwo polskie po zbudowaniu portu w Gdyni, rozpoczyna budowę magistrali kolejowej, nazywanej wtedy „węglową”. Przy jej budowie zatrudnia się Józef Roźniecki. Polscy inżynierowie z pomocą francuskiego kapitału projektują i wytyczają kilkusetkilometrową trasę kolejową, która przebiegnie także przez Kolonię Zawady.

Polski węgiel ze Śląska będzie tymi torami omijał strefy celne niemieckiego wtedy Kluczborka i Wolnego Miasta Gdańska, ciężącego wyraźnie w kierunku III Rzeszy z nazistowskim gaulaiterem Forsterem na czele. Bardzo wielu okolicznych gospodarzy i bezrolnych podjęło pracę przy budowie torów. Jedni ze swym zaprzęgiem konnym do przewozu ziemi, a inni zarabiając ciężką pracą własnych rąk.

Dziadek Józef opowiedział mi jak po pracy, wieczorną już porą poszli z kolegą któregoś dnia do gospody na kielicha – a tam tłum mężczyzn z kuflami, kurzących machorkę, że ciężko było przejść i oddychać. Aby dostać się do bufetu Józef (wysoki jak na owe czasy mężczyzna) ryknął na cały głos: „przejście dla panów techników”! Ciżba ludzi rozstała się nieco i bez trudu dostali się do bufetu, gdzie zamówili u Żyda trochę gorzałki i ogórki kiszzone na zakąskę.

Jak się po drugiej wojnie okazało, Józef Roźniecki wziął udział w budowie linii kolejowej „Śląsk-Porty”, również dla siebie, o czym napiszę dalej.

Niestety, po dobrych dniach, gdy Józefowi i Zuzannie urodziły się córki Jadwiga i Bogumiła (w 1928 i 1935 roku) – przyszyły dni znacznie gorsze pełne problemów, strachu o bliskich, niedostatku, a nawet śmierci. Pokolenie to znów musiało zmierzyć się z działaniami wojennymi, hukiem wybuchów, wystrzałów i zawiadomieniami o śmierci bliskich i znajomych.

Józef i Zuzanna podczas okupacji niemieckiej nadal mieszkają w Zawadach w domu zbudowanym w latach 30-tych. Jak pamiętam z relacji starszych członków rodziny, materiały na dom kosztowały ponad 300 ówczesnych złotych, plus dużo własnej pracy, choćby przy wytworzeniu bloczków cementowych. Dom o wymiarach zewnętrznych około 12x7 metrów był zbudowany z tych bloczków oraz z drewnianych ścian wypełnionych gliną. Wysoki, dwuspadowy dach był pokryty słomiana strzechą.

W środku, dom miał przy wejściu niewielką sień. Na prawo od niej była tzw. komora na żywność i sprzęty, na wprost wejścia znajdowała się niewielka kuchnia z piecykiem węglowym. W sieni, po lewej stronie było wejście do wielkiego i jednego pokoju o wymiarach około 5x6 metrów. W pamięć zapadły mi grube belki sufitowe w tym pomieszczeniu i zabytkowe meble o których pisałem wcześniej.

Fakt, że Zuzanna urodziła się jako poddana cesarza Wilhelma, a więc obywatelka niemiecka – spowodował naciski hitlerowskich urzędników, aby cała rodzina wpisała się na tzw. volkslistę, czyli, by przyjęła obywatelstwo Trzeciej Rzeszy niemieckiej. Jednak moi dziadkowie stanowczo odrzucili tę propozycję.

Niestety, przyszedł najgorszy okres podczas okupacji dla rodziny. Józef, mimo urzędowych zakazów i grożących kar, potajemnie ubijał świnie i inne zwierzęta gospodarskie, które powinny być „zakolczykowane” i odstawione do ubojni kontrolowanych przez Niemców.

Pewnego popołudnia w środku okupacji, granatowi policjanci patrolujący stację kolejową Władawa, zatrzymali kilka kobiet z nielegalnym mięsem w torbach. Jeszcze gorzej, że przekazali je niemieckiej policji Gestapo, a ci bez trudu zmusili je do zeznania, skąd jest to mięso. Niemcy przyjechali do Zawad i aresztowali mojego dziadka, Józefa Roźnieckiego. Osadzono go po przesłuchaniu w łódzkim więzieniu na Radogoszczy. Obok była rampa kolejowa złowrogiej dla polskich Żydów stacji „Radegast” skąd wywożono ich, głównie do obozu śmierci w Treblince. Następnie kilka miesięcy Józef spędził w starych murach więzienia w Łęczycy, gdzie wcześniej funkcjonował klasztor.

Na szczęście nie uznano jego czynu za działalność polityczną przeciwko Trzeciej Rzeszy, a za przestępstwo gospodarcze i dzięki temu nie trafił np: do Auschwitz, lecz zwolniono go po przeszło pół roku.

Po tym okresie był bardzo wychudzony i osłabiony. Widać to jeszcze na fotografii z 1944 roku z całą już rodziną Roźnieckich, gdyż w 1943 roku urodził się ich syn – Jerzy.

Ostatnia wojenna przygoda spotkała Józefa Roźnieckiego już po ucieczce Niemców w styczniu 1945 roku, gdy do Zawad wszedł oddział czerwoarmistów. Żołnierze zapytali mieszkańców, gdzie jest sołtys. Przyszli do obejścia dziadka i nic nie tłumacząc zaczęli go prowadzić na pobliskie pole. Gdy sąsiedzi i rodzina zorientowali się o co chodzi, szybko pobiegli za żołdatami tłumacząc im, że to jest ich, polski sołtys, wybrany po tym, jak poprzedni uciekł wraz z niemieckim wojskiem. W ten sposób uratowali mojemu dziadkowi życie, bo żołnierze puścili go wolno. W takich okolicznościach, ze śmiercią przed oczami, mój przodek i wspaniały człowiek dożył końca drugiej wojny światowej, wolności i doczekał tzw. lepszych czasów, choć pod kuratelą sowieckiego, wielkiego brata.

Życie rodziny Roźnieckich w Zawadach potoczyło się swoimi torami. Starsza córka Jadwiga zakochała się w opisanym wcześniej Józefie Iwańskim. Mimo, że rodzice nie zgadzali się na ślub, bo była jeszcze bardo młoda, a Józef nieco „rozrywkowy”, młodzi nadal się spotykali.

Owoce tego była córeczka, Róża Amelia, która jednak przeżyła tylko dwa miesiące. Dziecko zostało pochowane na cmentarzu w Widawie. Jadwiga, po jakimś czasie pojechała do Łodzi, gdzie później kilkadziesiąt lat pracowała w zakładach bawełnianych im. 1-go Maja przy ul. Armii Czerwonej na Widzewie. Zamieszkała tuż obok, przy ul. Paryskiej. Po roku 1967 zamieszkał tu także Józef Iwański, gdy wzięli wreszcie ślub. Ich wesele na którym byłem osobiście, odbyło się w Zawadach.

Moją mamę Bogumiłę, dziadek Józef usiłował „wyprowadzić” na urzędniczkę w gminie wysyłając ją na kurs m.in. maszynopisania, ponieważ już wtedy pisała ładnie i bez błędów. Niestety, jak opowiadał mi dziadek i babcia Zuzia, Bogusi bardziej pachniał świat i chłopaki. Gdy więc osiągnęła pełnoletność, przebywała krótko w Łodzi u siostry Jadwigi, by później w ramach socjalistycznej młodzieżówki Służba Polsce pracować przy budowie Nowej Hucie pod Krakowem. Następnie przyjechała na tzw. ziemię odzyskane do Wrocławia i tam zaczęła pracę jako tramwajarka-konduktorka.

Na ulicach powojennego Wrocławia, było jeszcze sporo gruzu i zrujnowanych budynków z bliznami po kulach pozostałych po niemieckiej obronie „Festung Breslau” do ostatniego żołnierza. Był to rozkaz samego Hitlera i garnizon twierdzy poddał się dopiero po upadku Berlina. W takim otoczeniu w połowie lat 50-tych XX w. zbiegły się życiowe drogi moich przyszłych rodziców: Bogumiły Roźnieckiej z Zawad w parafii Widawa i Mieczysława Migonia z Dąbrowy, kolonii Pilczycy w parafii Kluczewsko. Dało to wkrótce początek nowej rodzinie. Rozpoczęły się

nowe ścieżki życiowe ich i ich potomstwa. Pojawiające się na świecie kolejne pokolenia rozbudują w przyszłości drzewo genealogiczne całej rodziny.

II

1. Wrocław

Kilka koryt rzecznych spowodowało, że od dawna mówiło się o Wrocławiu: że to miasto stu mostów, tym bardziej, iż w czasach nam bliższych pojawiły się jeszcze kanały dla barek i kolejne mosty przerzucone nad nimi. Wcześniej, w średnio-wieczu Wrocław był jednym z głównych miast na obszarze Śląska. Od XIV wieku Śląsk i Wrocław są zależne od korony czeskiej. Od XVIII wieku tereny te dostały się we władanie rosnących w siłę Prus i dynastii Hohenzollernów (Fryderyk II Wielki). Trzeba przyznać, że pod ich rządami stał się później jednym z ważniejszych miast zjednoczonych Niemczech.

Tak było do czasu, gdy koło historii w Europie znowu przyspieszyło na początku XX wieku, gdy kule młodego Serba Gavrilo Principa zabił w Sarajewie członków rodziny Habsburgów, panującej w Austro-Węgrzech. Skutki wojny światowej i traktatu wersalskiego spowodowały w Niemczech ferment z odczucia krzywdy za reparacje wojenne i powszechną biedę. Spowodowały one hiperinflację (bochenek chleba kosztował w pewnym momencie miliard marek!) – tworząc zaczyn partii nazistowskiej, gdzie swoje miejsce znalazł Adolf Hitler, niespełniony austrijski artysta malarz i jednocześnie żołnierz niemiecki z okopów I wojny światowej.,

W początkowej fazie swych działań w Monachium nie był poważnie traktowany, ani przez stare niemieckie elity, ani przez przywódców zwycięskich mocarstw, nawet po przejściu przez niego władzy w styczniu 1931 roku. Jak duży był to błąd okazało się już za kilka lat, gdy zajął tereny okupowane przez Francję w ramach reperacji wojennych, dokonał przyłączenia Austrii i nieco później Sudetów czeskich do Niemiec.

Skończyło się to tym, że zajął resztę Czechosłowacji, a 1 września 1939 roku napadł zbrojnie na Polskę, czym wywołał II wojnę światową, najstraszniejszą w dziejach ludzkości. Kiedy ta wojna dobiegła końca, Wrocław w maju 1945 roku powrócił we władanie państwa polskiego, lecz po oblężeniu twierdzy Breslau, był zniszczony w ponad 80%!

Tak koło historii sprawiło, że stał się polskim miastem w którym prawie 12 lat po zakończeniu działań wojennych, mogłem przyjść na świat. Niestety czas początku wolnej Polski nie był łatwy dla Polaków, repatriowanych z dawnych polskich kresów Rzeczypospolitej na ziemię odzyskane. Pojałtański „ porządek w Europie „, sprawił, że Polska wraz z innymi krajami wyzwolonymi przez armię czerwoną

znalazła się pod „opieką” ZSRR. Szybko okazało się, że wiąże się to z eliminacją demokracji, oraz więzieniem i rozstrzeliwaniem przeciwników politycznych.

Narzucono rygory na wzór sowiecki z wszechwładnym aparatem partyjnym i służbą Bezpieczeństwa, kontrolującymi bezwzględnie wszystkie formy aktywności społecznej. W takich klimatach życia i pracy znalazł się we Wrocławiu mój tato, Mieczysław Migoń, aby odbyć służbę wojskową w Ludowym Wojsku Polskim. Po jej odbyciu Mieczysław dostał pracę w Milicji Obywatelskiej, także we Wrocławiu.

Moja przyszła mama, Bogumiła Roźniecka pracowała wtedy jako konduktorka we wrocławskich, niebieskich tramwajach, które opiewa w swej piosence Maria Koterbska. Młodziutka Bogusia „mknęła” po szynach przez Sompolno, Zalesie i Krzyki, oraz po mostach nad srebrzącą się Odrą – jak w przeboju Koterbskiej.

Bogusia poznała najpierw innego młodego człowieka, milicjanta o imieniu Jakub. Mówiła o nim zdrobniale – Kubuś. Lecz koleżanka z tramwajów, Milka, odbiła jej Kubusia i zaszła w ciążę. Pannie Roźnieckiej nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z faktami. Pamiętam, że odwiedzaliśmy ich rodzinę, jadąc dość długo tramwajem w inną część miasta.

W tamtym czasie Bogusia poznała kolegę Jakuba, innego milicjanta, którym był Mieczysław Migoń. Mieczysławowi Bogusia bardzo się spodobała, bo jak mi opowiadał po latach, była w sam raz, ani chuda, ani pulchna i bardzo kobieca.

Ich znajomość zaowocowała w 1955 roku ślubem cywilnym, ponieważ służby mundurowe w PRL-u miały zakaz brania ślubu kościelnego. Zamieszkali w małym mieszkanku w centrum Wrocławia. Gdy pojechali z odwiedzinami do Zawad w styczniu 1956 r., Bogusia poczuła, że będzie rodzić przedwcześnie! Została więc zawieziona do szpitala w Pabianicach. Tam przyszła na świat moja starsza siostra Amelia. Jednak noworodek był słabego zdrowia i po wyjściu ze szpitala mama z Amelką udały się do pobliskich Zawad, gdzie dużą pomocą była babcia Zuzanna. Niemowlak nadal był słaby i niezdrowy, więc Bogusia po pewnym czasie wróciła do pracy we Wrocławiu, a Amelką zajęli się dziadkowie Roźnieccy. Gdy minęły tygodnie i miesiące, okazało się, że Zuzanna i Józef tak przywykli do dziecka, że uparli się, aby zostało u nich. W ten sposób Amelka do końca szkoły podstawowej, przez 15 lat wychowywała się z dziadkami w Zawadach.

Młodzi małżonkowie, Bogusia i Mieczysław niedługo później, bo już 13 lutego 1957 roku doczekali się kolejnego potomka a pierwszego syna w mojej osobie, czyli mnie – Władysława Józefa. Urodziłem się bardzo duży jak na tamte czasy, gdyż ważyłem 4,6 kg(!), a wojskowy lekarz powiedział do mamy, że wyglądam jakbym miał kilka miesięcy. Płuca też miałem zdrowe, bo „darłem się wniebogłosy”, póki nie przyssałem się do matczynej piersi. Mama mówiła mi później, że nie odpuszczałem tej czynności przez około 20 miesięcy, jadąc oczywiście także inne pożywienie.

Że tak było, świadczą fotografie mojej małej osoby z lat 1958–59, gdzie wyglądam na buzi jak reklama księżycy w pełni, a nóżki mam jak baleroniki. W tym czasie tato – milicjant, wystarał się o większe mieszkanie przy ul. Siemieniskiego 16 pod numerem 12, na drugim piętrze. To będzie dom mojego dzieciństwa, aż do 1968 roku, gdy cała rodzina przeniesie się do Zduńskiej Woli. Po 2 latach, w styczniu 1959 roku urodzi się we Wrocławiu mój brat Leonard, a 3 lata po nim w styczniu 1962 roku, urodzi się ostatnie dziecko Migoniów – Dorota.

Mieszkanie przy niewielkiej ul. Siemieniskiego, leżącej między ulicą Kraszewskiego i ulicą Kleczkowską (znaną z więzienia), było dosyć duże, gdyż miało 2 pokoje o wymiarach 6x4m każdy, małą kuchnię 3x3m, oraz balkon. Niestety toaleta była w holu, a to dlatego, że kamienica ta przed wojną pełniła funkcję szkoły. Na piętrach I, II i III były przestronne hole o wymiarach około 8x20m. Natomiast klatka schodowa była bardzo obszerna a drewniane schody z mosiężnymi kątownikami na każdym stopniu miały około 2 metry szerokości, zapewne dla dobra uczniowskiej czeredy. Podwórze było wielkie z różnymi zakamarkami, wręcz wspaniałe, obejmujące cały kwartał ulic. Szacuję, że teren ten wraz z otwartymi ogrodami miał wymiary około 150x400m. Było tam mnóstwo miejsc do zabawy.

Obok nas mieszkali Ziębowie z Grażynką w moim wieku. Czasem kąpałem się u nich w wannie bo była tam łazienka. Z drugiej strony mieszkał mój kolega Marek Tracz z siostrą Halinką i mamą, do której moi rodzice mówili „Trutka”, co mnie mocno dziwiło – no bo jak można mówić tak do człowieka. Później okazało się, że sąsiadka ma na imię Gertruda. Piętro wyżej mieszkał miły chłopczek Artur Leśniak, Snopkowie, Rybiccy, i inni. Na pierwszym piętrze mieszkali Gierałtowie i miałem tam też koleżkę Zbyszka Jasiaka, z którym siłowaliśmy się w piaskownicy i zawsze wygrywałem. Wtedy on wkurzony szedł do domu napić się wody mówiąc, że od wody będzie silniejszy. Gdy wracał, mimo że się starałem zawsze on mnie wtedy położył na łopatki. Pamiętam, jak w wieku 8–10 lat zastanawiałem się, co jest z tą wodą? W kamienicy o numerze 12 w mieszkaniu pod 16 mieszkał, mój najlepszy ówczesny kolega, Adaś Bar z którym chodziliśmy do jednej klasy w pobliskich szkołach podstawowych nr 74 (I i II kl) i nr 43 (III i IV kl), blisko dworca kolejowego Wrocław Nadodrze. Pamiętam naszą nauczycielkę, bardzo miłą panią w średnim wieku, która nazywała się Mazurkiewicz. Nie widzę jej w pamięci inaczej jak w szarej spódnicy, szarej garsonce i zawsze z dużym kokiem upiętym na szczycie głowy. Pamiętam jak u niej w II klasie w ciągu minuty przeczytałem prawidłowo 105 słów i dostałem piątkę. W murach ogromnego budynku z czerwonej cegły, poniemieckiej szkoły, były też wielkie i długachne korytarze, duże toalety, duże schody i klasy. Oprócz Adasia Bara do którego chodziłem bawić się po szkole, pamiętam jeszcze kilku innych kolegów. Byli to: Rysiu Rusin, Zbysiu Bukałło (obaj mieszkali przy ul. Trzebnickiej), Marek Markiewicz, Jurek Ferlian

z którym chyba w 2 klasie „biliśmy się” na szkolnym korytarzu, mały ale zaczepny Rysiu Chronowski, czy pulchniutki Adaś Majka. Z koleżanek z klasy pamiętam nazwisko i imię tylko jednej dziewczynki. Była to Danusia Klinciary. Miała dziwne nazwisko, czarne włosy uplecione w warkoczki i piękną, śniadą cerę. Danusia oczywiście bardzo mi się podobała, więc chyba dlatego ją zapamiętałem. Moja mama mówiła, że ona jest Greczynką, co wyjaśniało by jej cerę. Była zapewne dzieckiem Greków, którzy emigrowali do Polski, gdy w ich kraju władzę przejęła ultrapravicowa junta wojskowa tzw. czarnych pułkowników. Później, już w młodszych latach okazało się, że choćby lekko śniada cera i ciemne włosy, to mój preferowany wzorzec kobiecej urody. Na boisku tej szkoły uczyłem się kopać piłkę z kolegami i stałem z innymi na szkolnych apelach. Chyba w III klasie zapisałem się do drużyny Zuchów i pamiętam, że zbiórki prowadziła starsza dziewczyna, harcerka w szarym mundurku. Kilkaset metrów od mojej kamienicy znajdował się kanał dla barek i statków wycieczkowych, a za nim kąpielisko „Różanka” nad Odrą. Mimo jeszcze dzieciennego wieku wólczyliśmy się tam razem z chłopakami. Pewnego razu, gdy siedziałem tuż nad wodą w głębokim wąwozie kanału, koledzy zdołali uciec, a mnie przyłapał tam milicjant. Wziął mnie za rękę i powiedział, że zaprowadzi mnie do domu. Ja, mocno wystraszony, bałem się, więc oprowadziłem milicjanta po wielu klatkach i podwórkach, udając, że nie pamiętam gdzie mieszkam. Gdy wreszcie dotarliśmy do naszego mieszkania, milicjant „łupnął” rodzicom 100 zł mandatu i poszedł. Pamiętam, że kary nie dostałem, ale czułem się nieciekawie. Jeszcze gorzej i bezmyślniej zachowaliśmy się z kilkoma koleżkami, gdy pewnej zimy przeszliśmy przez most Trzebnicki i zeszliliśmy w prawo do Odry. Były tam na rzece ogromne bryły lodu, spiętrzone w zwężeniu, które tworzył filar mostu z jednej strony i podłużna wyspa na środku nurtu z drugiej. Między bryłami lodu wielkimi jak ciężarówka, było widać płynące, ciemne wody Odry. Po niedługiej chwili najodważniejsi, a może najmniej rozsądni z nas, weszli na te zwąły lodu i poszli na wyspę. Za nimi poszedłem i ja. Szczęśliwie wszyscy wróciliśmy na brzeg rzeki.

Dopiero po latach zdałem sobie sprawę jakie głupstwo zrobiliśmy, gdyż w każdej chwili każdy z nas mógł wpaść do nurtu rzeki i już nie wyszedłbym z tego żywy! Do dziś wstrząsają mną dreszcze na myśl o tym zagrożeniu. Mam w głowie jeszcze jedno złe wspomnienie, gdy na ul. Kraszewskiego wjechałem małym rowerkiem pod motor. Nic mi się nie stało i uciekłem szybko do naszego mieszkania. Popłakałem się dopiero wtedy, gdy ktoś przyniósł mój pogięty rowerek. Najwyraźniej w tym przypadku, jak i później na oblodzonej Odrze czuwał przy mnie mój Anioł Stróż, jak mawiała moja babcia Zuzanna. Cała reszta mojego dziecięcego życia we Wrocławiu jawi mi się we wspomnieniach jako czas dobry i spokojny, z wyjazdami pociągami do Zawad z dziadkiem Roźnieckim, lub Panonią z doczepką boczną

mojego ojca, do licznej rodziny w Gozdnicy. Tam jechaliśmy autostradą, przy której na postoju pewnego razu znalazłem ogromnego borowika. Ważył ponad kilogram, był zdrowy i został ususzony przy piecu u cioci Helenki, siostry mojego taty. Chodziłem też na lekcję religii do salki katechetycznej obok kościoła przy Placu Staszica, gdzie w 1966 roku odbyła się moja komunia święta. Mam do dziś zdjęcie w ramce z tamtego wydarzenia ze szczupłym, krótki ostrzyżonym chłopaczkiem z odstającymi uszami. Działo się to w tysiąclecie przyjęcia chrztu przez Mieszka I i jego otoczenie. Chrystianizacja ludu Polan trwała jeszcze bardzo długo. W tym samym roku tata sprzedał motor z przyczepką i w domu pojawił się pierwszy telewizor. Dotąd ja z bratem chodziliśmy na dobranocki do sąsiadów, a teraz niektóre dzieci z kamienicy przychodziły do nas, co wzbudzało we mnie pewną dumę. Zapisały mi się w pamięci jeszcze inne wspomnienia z tamtych czasów np.: jak pan z długimi tyczkami zapalał co wieczór gazowe latarnie na ulicach. Jak w bajce!

Jednak pierwsze zapamiętane wydarzenie, które musiało mieć miejsce, gdy miałem około 3 lat, odbyło się w naszym pokoju stołowym. Stałem za tapczanem i widziałem tylko część głowy leżącego taty, a mama siedziała na krześle obok niego i prowadzili jakąś sprzeczkę. Ja, zirytowany zapewne ich kłótnią, wypaliłem nagle płynnym zdaniem, aby się uspokoili. Efekt potoku słów małego chłopczyka był piorunujący, rodzice ucichli, spojrzeli na siebie, później mama skierowała wzrok na mnie i powiedziała: zobacz Mietek, może jakiś adwokat z niego wyrośnie. Po latach, w 1994 roku, już w Zduńskiej Woli przy ul. Łaskiej 24 m.3 – kiedy ukończyłem studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, przypominałem mamie te słowa, na co tyko się uśmiechnęła. Była jednak chyba dumna, że pierwszy magister w tym pokoleniu w rodzinie, to jej syn. Jakiś rok później, gdy miałem około 4 lat a mój brat Leonard około 2 (mówiliśmy na niego Nardek) – we dwójkę popychaliśmy krzesło po podłodze udając samochód. Niestety, krzesłem trafiliśmy w wielkie akwarium taty, szyba pękła i zaczęła z niego wyciekać woda. Obaj wpadliśmy w panikę, skoczyliśmy na tapczan i zaczęliśmy wydzierać się bardzo głośno, że się potopimy. Już za dwie minuty do drzwi pukała sąsiadka, pytając z za nich co się stało? Jak powiedziałem, że pękło akwarium kobieta po prostu poszła sobie. Mama mówiła mi, że usłyszała nasze wrzaski jak tylko wyszła z za rogu ulicy. Gdy weszła do mieszkania szybko podstawiła pod akwarium miskę, co zakończyło problem z „topieniem się”. Po chwili ja, 4 latek pomyślałem sobie, że to takie proste i dlaczego ja o tym nie pomyślałem? Mój tato, Mieczysław nie pracował już w MO, lecz w zakładach produkujących płyty betonowe, „Wrobet”. Chodziłem tam czasem zanosząc mu obiad, gdy dłużej pracował. Szedłem wtedy po powojennych zwalach gruzu, jakie jeszcze leżały przy ul. Jedności Narodowej. Zimą, gdy spadł śnieg, zjeżdżało się z nich na sankach. Natomiast w zakładzie u taty, gdy było popołudnie i prawie nie było ludzi na placach i drogach zakła-

du, tato pozwalał mi kierować swoim Starem wywrotką, gdy on obok jadł obiad i zmieniał mi biegi. Dużo później dziwiłem się, że pozwalał mi prowadzić duże auto, gdy miałem 8 – 10 lat i nie bał się, że coś nabroję. Raz nawet spojrzął na mnie z lekkim niepokojem, gdy z prawej strony po torach nadjeżdżała spalinówka z wagonami. Ale ja zachowałem zimną krew, przyspieszyłem naciskając na pedał gazu i przejechałem po torach, gdy spalinówka była jeszcze 30 metrów od nas. Tato nic nie powiedział i skończył jeść obiad.

Tato, chyba po swoim ojcu Władysławie, był od dziecka patriotycznie nastawiony do Ojczyzny i polskości – był przecież łącznikiem partyzantów. Pamiętam, jak pewnego dnia w radiu (mieliśmy Seneradę z adapterem) przemawiał towarzysz I sekretarz Władysław Gomułka, rozciągając w swoim zwyczaju niektóre sylaby i chwając przyjaciół ze Związku Radzieckiego. Wtedy pierwszy raz usłyszałem słowo „Katyń”, bo tato stwierdził zwięźle: „tak, przyjaciele, a Katyń”? Gdy zapytałem, co to Katyń, powiedział mi, że ruscy wymordowali tam tysiące Polaków a zganiają to na Niemców. Były to czasy „żelaznej kurtyny” w Europie, od Szczecina do Triestu – jak to określił premier Churchill, oraz „zimnej wojny” między NATO i Układem Warszawskim, a ludzie dorośli we Wrocławiu mówili wtedy: zobaczycie, że Niemcy znowu tu wrócą. Moi rodzice też rozmawiali między sobą, że może lepiej przeprowadzić się do centralnej Polski w tej sytuacji. W końcu wystawili ogłoszenie, że zamienią mieszkanie we Wrocławiu na podobne w Łodzi, lub w okolicy. W Łodzi mieszkała siostra mamy, Jadwiga z mężem Józefem Iwańskim, a pod Widawą w Zawadach nadal mieszkali dziadkowie Roźnieccy. Nieco dalej, bo w Warszawie mieszkał już brat mamy, Jerzy Roźniecki, który ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Czasem odwiedzaliśmy go w szkole oficerskiej, a raz był u nas w domu z kolegą podchorążym i to z bronią, bo byli na patrolu w mieście. Byłem bardzo zadowolony mogąc trzymać w ręku prawdziwy pistolet maszynowy. Zapamiętałem też, jak wujek Jurek mówił, że dowództwa szkoły zapytał go kiedyś, czy generał Roźniecki z XIX w. to jego rodzina. Wujek odpowiedział, że niestety nie wie czy tak jest. Po latach, z uwagi na moje zainteresowanie historią, doczytałem, że ów generał Różniecki, po upadku Napoleona zaciągnął się do wojsk Królestwa Polskiego pod władzę cara Rosji i dosłużył się stopnia generała żandarmerii. Lecz wcześniej walczył o Polskę w legionach generała Dąbrowskiego we Włoszech, gdzie w stopniu pułkownika, był dowódcą kawalerii. Wraz ze swoimi kawalerzystami walczył w bitwie z Austriakami pod Raszynem w 1809 roku. Na ogłoszenie rodziców odezwała się rodzina ze Zduńskiej Woli (adwokata Tomskiego), którzy mieli podobne mieszkanie jak nasze, ale z toaletą było jeszcze gorzej, bo była na końcu podwórza. I tak, pojechaliśmy pewnego wiosennego dnia 1968 roku do Zduńskiej Woli, aby zamieszkać przy ul. Łaskiej 24 w lokalu nr 3 na pierwszym piętrze. Później, po wielu latach za-

cząłem się zastanawiać jak wyglądało by moje życie we Wrocławiu, gdybyśmy tam zostali. Co bym robił, gdzie pracował i tak dalej. Tę myśl ująłem później w wierszu napisanym w 2018 roku pt.,,Reminiscencje wrocławskie”

Pamiętam żarówki w mieszkaniu,
słabo świecące pod sufitami,
deski podłogowe olejnicą malowane,
i ostre dzwonki niebieskich tramwajów.
Widzę rodziców razem w pokoju stołowym,
popiersie Kościuszki z odpustu na szafie,
koszary wojsk z gwiazdami na czapkach
i figurki z marcepanu słodkie w cukierni.
Myślę czasem o Adasiu, koledze najlepszym,
o koleżance śniadolicej z warkoczykami,
i bajecznym smaku cukierków miodowych
ze sklepiku na rogu.
Wyobrażam sobie, co by ze mną było,
kim bym się tam stał jako dorosły,
jaką żonę, jakie dzieci los by mi dał,
co robił bym dziś, jako wrocławianin?

2. Zuńska Wola

Po decyzji o przeprowadzce rodziny do Zduńskiej Woli, rodzice zamówili ogromny meblowóz, który pewnego wiosennego poranka podjechał pod naszą klatkę schodową od strony podwórza. Było to możliwe, gdyż po działaniach wojennych jednej z kamienic po prostu nie było. Obecnie prawie wszystkie te wolne przestrzenie są zabudowane tzw. plombowcami. Po załadowaniu mebli i sprzętów domowych oraz rzeczy z piwnicy – ruszyliśmy w drogę do nowych miejsc, innych ludzi i zmieniających się ścieżek życiowych. W ogromnym blaszanym pudle meblowo-wozu, tuż za szoferką kierowcy była kabina z szybami w której odbyliśmy podróż. Na szczęście dzień był słoneczny, więc i niepokój gdzieś zniknął, gdy już wjechaliśmy w podwórze kamienicy przy ul. Łaskiej 24 w Zduńskiej Woli. Pierwsza noc w nowym mieszkaniu była trudna z powodu ciężarówek jadących ulicą Łaską, gdyż szyby w naszych oknach drżały. Tego na bocznej ul. Siemieniskiego we Wrocławiu nie było, a tutaj pod oknami biegła ruchliwa trasa E12, przez sam środek miasta. Zduńska Wola miała wtedy 25 tys. mieszkańców i po Wrocławiu jawiła się bardzo mizernie, choć miała tę zaletę, że nigdzie nie było zbyt daleko. Kamienica w której zamieszkaliśmy była trzy kondygnacyjna ze strychem i sklepami na parterze od strony ulicy. Obok nas mieszkali Półgrabowie a nad nami Filipiakowie. W podwó-

rze była szkoła kierowców Ligi Obrony Kraju. W drewnianych domkach mieszkała tu miła babcia Walczakowa i rodzina Zielińskich.

Niestety moi rodzice nie żyli ze sobą już najlepiej i ojciec wrócił do Wrocławia. Po około roku przyjechał do nas i pracował jako kierowca w PTHW z bazą na placu wolności. Za około 1,5 roku rodzice znów się rozstali i ojciec wyjechał do Katowic, gdzie później odwiedziliśmy go z Amelią. Do Zduńskiej Woli przyjechały z nami zabytkowe meble. Był to piękny, czarny kredens z wieloma rzeźbieniami, zabytkowa kanapa, dębowe krzesła ze skórzanymi tłoczonymi obiciami, szafki z marmurowymi blatami, itd. Dziś mam w swoim posiadaniu tylko jedno z tych krzesel, które odrestaurowałem. Pocieszeniem może być fakt, że piękny kredens z naszego domu znajduje się obecnie w Muzeum Historii Miasta Zduńskiej Woli, za sprawą mojego brata Leonarda.

Niestety w rodzinie nadal nie było dobrze, co skończyło się rozwodem rodziców, gdy byłem około 16-sto letnim uczniem w Zespole Szkół Włókienniczych przy ul. Opiesińskiej. Ale tuż po przyjeździe do Zduńskiej Woli zacząłem się najpierw uczyć w pobliskiej szkole podstawowej nr 2 w Alejach Kościuszki, gdzie kierownikiem była pani Miszczak. Spotkałem tu w 4 klasie wielu fajnych kolegów i miłe koleżanki. Po latach w budynku tym ulokowano szkołę muzyczną do której chodziły moje córki. Czas szkoły podstawowej, to czas wielu różnorodnych zdarzeń i doznań, które wysypywały się przede mną jak z przysłowiowego rogu obfitości. Któregoś dnia, skacząc na dno osuszonego stawu w parku za pomocą wiszących pędów, „płaczącej” wierzby – złamałem lewą rękę w łokciu, czego skutki zostały mi do dzisiaj.

Z kolegami ze szkoły zdobyliśmy trzeci raz pod rząd puchar w biegach ulicznych 10x100m i dostaliśmy go jako szkoła na własność. W tym czasie byłem pierwszy raz na koloniach: w Uniejowie, za sprawą milej pani Ireny Rychlik, która była działaczką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Pani Rychlik mieszkała przy ul. Łaskiej 9, gdzie mieszkali też moi koledzy z klasy: Marek Klemczak, Mirek Rachwałak i Rysiek Płócienniczak.

Pojechałem na te kolonie w pierwsze wakacje w Zduńskiej Woli, i to nieodpłatnie. Uniejów z 1968 roku był malutkim i biednym miasteczkiem z rynkiem gdzie stała nieczynna, zaniedbana fontanna. Tylko kościół murowany z XIV wieku, zbudowany w miejscu drewnianego, spalonego przez krzyżaków, oraz zamek biskupi po drugiej stronie Warty – były jedynymi ciekawostkami w miasteczku. Pani Irenie kłaniałem się później przez całe lata, a jej syn Adam uczył moją przyszłą żonę Ewę historii w szkole podstawowej nr 6. Po wielu latach staliśmy się z Adamem Rychlikiem, doktorem filologii polskiej dobrymi znajomymi – co trwa do dziś. Niestety, z powodu wzajemnej awersji do siebie moich rodziców i niedostatku w domu, moje rodzeństwo nigdy nie było na obozie ani na kolonii. Tylko raz Nardek z Dorotą chodzili na tzw. półkolonie w Zduńskiej Woli.

Ja, jako dziecko prawie wszystkie wakacje spędzałem u dziadków Roźnieckich w Zawadach, rzadziej w Dąbrowie u babci Stasi Migoń. Dziecięce wakacje spędzone w Zawadach to piękny czas w letnim słońcu, zabawy z kolegami z sąsiedztwa: Władkiem Błaszcykiem i Ryśkiem Rybakiem, rzucanie dzidą wystruganą z leszczyny, oraz wyprawy nad malowniczą rzeczką Nieciecz, płynącą zakolami przez łąki niedaleko Zborowa. Mając maskę do nurkowania z szybką zanurzałem się w wodny świat połyskujący refleksami słońca, chyłącymi się z nurtem roślinami wodnymi, oraz z żółtym piaskiem na dnie. Aby dojść do tego zakątka szedłem dziadka miedzą do lasu, mijając po drodze pastwisko z małymi kępami olszyn. Na granicy pastwiska i lasu, był pas terenu zarośnięty dzikimi ziołami, krzewami, polnymi kwiatami i jałowcami. Roślinność ta rozgrzana słońcem uderzała w nozdrza odurzającą mieszkanką zapachów ziół i żywicy. To miejsce i ten zapach pozostał w mojej pamięci do dzisiaj, mimo upływu półwiecza. Tam w Zawadach po raz pierwszy dotknęło mnie dziwne zdarzenie. Gdy inne dziecko, nieznane wcześniej, coś do mnie mówiło, poczułem w moim jestestwie dziwne odczucie i uświadomiłem sobie, że wiem, co ono za chwilę powie! – jakbym patrzył w przyszłość!, a nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się przecież. W okresie dzieciństwa sytuację taką przeżyłem jeszcze może 2–3 razy. Później już się to nie pojawiała. Po latach zastanawiałem się, czy był to może objaw tego, że nasz los jest w nas, „wpisany” od urodzenia do śmierci, a ja w wyniku jakiegoś „przebicia”, zobaczyłem kilka razy sekundę wcześniej to, co miało zaistnieć za chwilę! Natomiast wakacje na Dąbrowie u babci Stasi Migoń i wujka Józka, rzeka Czarna, była dość głęboka. Kąpaliśmy się więc z kuzynami z Gozdnicy w pobliskim strumyku, robiąc najpierw tamę z polnych kamieni, aby spiętrzyć nieco wodę. Czasem, po dużych deszczach na łąkach nadrzecznych tworzyły się płytkie stawy o cieplej wodzie, gdzie pluskaliśmy się, lub łąpaliśmy żaby.

Pomagaliśmy też wujkowi Józkowi nabijać girlandy liści tytoniu na długie druty, które później suszyły się w opalanej drewnem suszarni do tytoniu, chodziliśmy na grzyby w okoliczne lasy, lub pomagaliśmy przy żniwach. Pomimo słabych finansów w domu, mama wysupłała 270 zł na mój pierwszy harcerski obóz (VII–VIII kl.) w lasach nad jeziorem lucieńskim w 1971 roku.

W domu rodzinnym w związku z brakiem ojca a więc pełnej rodziny, czas przyniósł w końcu bardzo negatywny skutek w postaci coraz gorszych zachowań i nawyków brata Leonarda, który znalazł się jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej nr 4 w tak zwanym poprawczaku w Wieluniu. Później bywało jeszcze gorzej, mimo że starałem się mu pomagać, aż do jego śmierci w styczniu 2015 r. Pomyślałem wtedy, dlaczego Stwórca nie dał mu trochę szarych komórek ode mnie – może wtedy dałby radę żyć w miarę normalnie. W pewien sposób również mnie dotykała sytuacja rodziny i to w różnoraki sposób.

Po pierwsze i najważniejsze, już od czasów podstawówki obiecywałem sobie w duchu, że „kiedyś, moja rodzina musi żyć inaczej, wszystko dla niej zrobię i nigdy jej nie zostawię”! Przynajmniej tego, złożonego sobie samemu dotrzymałem w przyszłości, czego dowodem jest dzisiejsza sytuacja mojej rodziny, która jest bezpieczna, a obie córki uzyskały wyższe wykształcenie.

Po drugie, nikt z rodziców nie poszedł do mojej szkoły włókienniczej na wywiadówkę (ani później!) i mój wychowawca, w sumie fajny człowiek i nauczyciel, pan Fornalczyk od rosyjskiego odsunął mnie za karę z zespołu teatru amatorskiego w szkole, przed wystawieniem sztuki „Rewizor” Gogoła. Miałem tam grać główną rolę. Wychowawca sądził zapewne, że ja nie powiadamiam rodziców. Było mi tym bardziej przykro, że wcześniej wielokrotnie wystawialiśmy sztukę „Ożenek” Gogoła dla szkół, seniorów itd. W tej sztuce grałem główną rolę radcy dworu Podkolesina. Bardzo cieszyła mnie ta amatorska gra na scenie, fotografie z przedstawienia zachowałem do dzisiaj.

We włókienniku była też bardzo miła nauczycielka, pani Gieletucha od fizyki. Znamy się do dziś, a jej córka, obecnie lekarz wielokrotnie leczyła moje przypadłości zdrowotne. Nie byłem w tej szkole zbyt pilnym uczniem, gdyż znaczną część głowy i czasu zajmowały się inne problemy, np. te związane z piękniejszą częścią ludzkości. Ale w drugiej klasie na lekcji napisałem z polskiego takie wypracowanie, że tekstu tego nie poznałem, gdy za 2 tygodnie pan Górniak od polskiego przeczytał nam tą pracę w klasie. Powiedział on wtedy, że jak tu pracuje kilkanaście lat, czegoś na tym poziomie żaden uczeń nie napisał. Co do płci pięknej, to już w piątej klasie miałem koleżankę z sąsiedztwa, która miała do mnie słabość i pozwalała mi „na co nie co”. Później było jeszcze lepiej, gdyż dziewcząt było zawsze dużo wokół mnie. Nie mogę powiedzieć, że tego nie lubiłem. W tamtych czasach po zakończeniu 1973 roku policzyłem w pamięci wszystkie dziewczyny z którymi chodziłem i wyszło mi, że było ich 12!

Były to też czasy całych tabunów nowych kolegów. Pierwsza z tych grup, to koledzy ze szkoły włókienniczej, z jedynej całkowicie męskiej klasy w dziejach tej szkoły. Byli to min. Szczepan Szewczyk, Stasiu Kąkolewski, Wiesiek Kamola, Wittek Idziaszczyk i wielu innych. Było nas ponad 30, więc zaczęliśmy zdobywać laury sportowe dla szkoły, a to w biegach przełajowych, a to w piłce nożnej. Byliśmy też główną siłą, która zbudowała boisko z bieżnią i skocznią w wykupionym sadzie tuż przy budynku szkoły, w którym wcześniej musieliśmy wykarczować wszystkie drzewa i krzewy. Druga grupa nowych kumpli, to koledzy z mechanika od Włodka Jędrzejczyka, którego poznałem zaraz po przyjeździe do Zduńskiej Woli, gdyż mieszkał w kamienicy naprzeciwko, przy ul. Łaskiej 27. Prawie wszyscy z nich mieszkali w obrębie osiedla nowego i starego Osmolina. Oprócz Włodka z sąsiedztwa było tam kilku sensownych chłopaków: Zdzisiek Owczarek, Mietek Pastusiak czy Ro-

mek Karolczak. Byli też tacy z „małymi rozumkami”, którzy szybko się stoczyli i niektórych dawno już zabrał z tego świata alkohol i styl życia niezdrowy. Nieodwołalnie przyszło lato 1974 roku, koniec szkoły zawodowej, praca na etacie tzw. pracownika młodocianego (nie miałem jeszcze 18 lat), chodzenie na dyskoteki i na baseny z kolegami oraz gra w piłkę nożną na boisku szkoły podstawowej nr 5. Ciągłe nowe dziewczyny powoli zaczęły stawać się pewnym problemem, gdyż ewoluowała we mnie myśl, aby mieć już „swoją” drugą połówkę na dłużej, może na stałe. I w końcu stało się! Na basenach „Kogut”, czyli Włodek Kopka (przeżył tylko 44 lata) krzyknął: Mietek, zobacz jakie laski! Spojrzałem w tamtą stronę i na tle przedwieczornego słońca zobaczyłem dwie niewysokie dziewczyny, obie pięknie opalone, zgrabne i bardzo młodziutki. Jedna była blondynką a druga ciemną szatynką w długich, rozpuszczonych włosach do połowy pleców, z lekko śniadym odcieniem skóry. Chyba już następnego dnia zobaczyłem tę dziewczynę na dyskotecie „Five” przy ul. Dąbrowskiego, gdzie istniała trochę podobna atmosfera do tej z filmu „Gorączka sobotniej nocy” – był to inny, nasz ówczesny, młodzieżowy świat. Zapytałem Mietka Pastusiaka, czy już poznał się z tą dziewczyną. Powiedział, że nie – więc stwierdziłem: to ja ci pokażę, jak to się robi! Poprosiłem dziewczynę do tańca, okazało się, że ma na imię Ewa i jest tu z koleżanką Gosią Kozicką z Krakowa. Już nie odpuściłem, odprowadziłem Ewę i Gosię na ulicę Prosta 16 gdzie mieszkała i umówiłem się na spotkanie, mimo pewnych jej oporów. Tak się zaczęło nasze wspólne życie, wieczorem 21 sierpnia 1974 roku i trwa do dzisiaj w 2018 roku! Spotkanie wyznaczyłem daleko od ulicy Prostej, obok zakładów „Wołana” (dzisiejsza GATTA), przy ul. Szadkowskiej, aby sprawdzić, czy przyjdzie – bo to byłby dowód, że jest choć trochę zainteresowana moją osobą. Jednak przyszła! W tym samym czasie zaczynałem na dobre swoją pracę w „Zwoltexie” na wydziale wykończalni, gdzie była końcowa obróbka ręczników frotte i kocy, oraz ich pakowanie – również na export. Po roku przeniesiono nas, kilku młodych po włókienniku do pracy na farbiarnię. Tam, wyłączając służbę wojskową pracowałem 8 lat, dorosłając i pracując na siebie, a później także na swoją nową rodzinę.

Byli tam także koledzy z klasy, Szczepan Szewczyk i Andrzej Włodarczyk. Ten drugi odegrał w moim życiu nieświadomie dla siebie rolę zapalnika, którego iskra pchnęła mnie mocno do przodu! Pewnego razu, gdy mieliśmy rozgrywkę zakładowe w piłkę nożną, Andrzej, nietrzeźwy wypalił mi prosto w twarz: przy mnie jesteś zero! Pewnie dlatego, że on skończył technikum i był pomocnikiem mistrza na zmianie. Ten „strzał” dał mi takiego kopa, że mimo, iż byliśmy już po ślubie i była już Ola na świecie – z zawziętością godną najlepszej sprawy poszedłem uzupełniać edukację w technikum włókienniczym w trybie wieczorowym, po pokonaniu oporów Ewy. Był to dla mnie po prostu już czas pełnej dorosłości, gdyż z domu wyszedłem, gdy nie miałem jeszcze 18 lat. Wtedy przez 2 lub 3 noce spałem w na-

miocie w ogrodzie rodziców Ewy. Ewy mamie i rodzinie chyba nie bardzo się to podobało, więc szybko znalazła mi pokój do wynajęcia dwa domy dalej, u Wojtala-ków. Mieszkałem tam na piętrze do wiosny 1978 roku, kiedy poszedłem do wojska. A później od kwietnia 1980 roku, gdy zakończyłem służbę wojskową w LWP.

W tamtym czasie przez kilka młodzieżowych lat przemierzaliśmy z Ewą Polskę w okresach wakacyjnych. Z namiotem i plecakiem byliśmy w 1976 r. na Mazurach w Mikołajkach, gdzie akurat nagrywano serial dla młodzieży p.t., „Szaleństwa Majki Skowron”. Byliśmy też nad Bałtykiem w Mielnie, gdzie na jedną noc, „zaginęła” nam Bożena, Ewy siostra dokooptowana nam jako przyzwoitka!

Następnego roku 1977, pojechaliśmy już sami w góry i biwakowaliśmy z namiotem w Węgierskiej Górcie nad rzeką Sołą. Wiosną 1978 roku, to co wtedy było nieuchronne nadeszło i w końcu dostałem powołanie do wojska, pomimo kategorii zdrowia „C” – po opisanym wcześniej złamaniu łokcia lewej ręki – wystawione przez Wojskową Komendę Uzupełnień w Sieradzu. Miałem wtedy 21 lat, a nasza wspólna młodość z Ewą trwała prawie 4 lata i nic nie wskazywało na to, że ma się ku końcowi. Cóż było robić, był to wtedy nieodwołalny obowiązek wobec Ojczyzny. Wieczorem 24-go kwietnia 1978 roku ze znajomym Mirkiem Masłowskim i innym kolegą, Edkiem ze Zduńskiej Woli wsiedliśmy do pociągu jadącego do Zgorzelca. Muszę przyznać, że sam wybrałem tę jednostkę za zgodą pana mjr Rakoczego z WKU w Sieradzu, bo był tam dobry dojazd – w przeciwieństwie do Grudziądza czy Ostródy, gdzie też mogłem dostać „bilet”.

Do jednostki wojskowej 2885 dotarliśmy z pewnymi przygodami dopiero po godzinie 15. Przespaliliśmy noc we własnych ubraniach, a rano, „w nagrodę” za spóźnienie wraz z kilkunastoma innymi, zgolono mi włosy do gołej skóry. Zgorzelec w wersji umundurowanej przywitał nas niezbyt miło!

3. Zgorzelec

Zgorzelec był w 1978 roku 30 tys., przygranicznym miastem z poniemieckimi kamienicami przypominającymi mi te z Wrocławia, mostem granicznym nad Nysą Łużycką, hotelem „Pod Orłem” i pałacem w parku, po niemieckim arystokracie. Po drugiej stronie rzeki w Górlitz (NRD), stały ogromne, stare mury klasztoru, kościoła i innych zabytkowych budowli sprzed kilkuset lat. Jedne koszary w Zgorzelcu były w centrum miasta, a drugie, moje z dala od centrum w nisko położonym terenie doliny Nysy Łużyckiej.

Były to ponemieckie koszary z dużym parkiem maszynowym i poligonem ćwiczebnym jednostki, na terenie którego widoczne były pozostałości po hitlerowskim obozie jenieckim – Stalag VIII a. Z boku koszar był OSFiz (ośrodek sprawności fizycznej), zwany przez nas małpim gajem, bo były tam ścianki, liny, ruchome pomosty, włazy, tunele, płotki, itp. urządzenia do podnoszenia ciężaru fizycznej

i sprawności ruchowej żołnierzy, czyli „szwejostwa”, jak mówiła o nas część kadry zawodowej. Na szczęście kategorii zdrowia „C” po złamaniu łokcia sprzed 8 laty, zostałem zwolniony przez lekarza z wojskowego szpitala w Żarach z obowiązku pokonywania małego gaju i cięższych prac fizycznych na stałe, przez co kaprale na młodym roczniku nadali mi ksywę „czajor”.

Po krótkim okresie, zaczęło wychodzić na jaw, kto z młodych żołnierzy jest tzw. kompanijną ofertą, a kto rokuje nadzieje na dobrego żołnierza. Gdy okazało się na pierwszym ostrym strzelaniu z „kałacha”, że na 50 możliwych punktów strzeliłem 42 – byłem już w ścisłej czołówce. Na zajęciach z WF bez ponaglenia dużo biegałem. Z 75 kg wagi schudłem do 72 kg, co pomogło mi uzyskać bardzo dobry wynik na egzaminach kończących szkolenie unitarne, czyli młodego rocznika. Wcześniej odbyła się przysięga wojskowa na którą przyjechała Ewa z koleżanką Otylią, szwagrem Zygmuntem z siostrą Amelką i z innymi. Na wspomnianych egzaminach młodego rocznika uzyskałem wynik 4.44 na 5.0, co dało mi 3 miejsce na prawie 100 osobowej kompanii, wspólnie z kolegą Kazikiem Kotulskim. Dzięki wynikowi z egzaminu po przydziale do 1 kompanii zabiegów specjalnych, dostałem tzw. fuchę pisarza kompanii a Kazik Kotulski, pomocnika szefa kompanii. Jednocześnie obaj dostaliśmy po 3 dni urlopu nagrodowego.

Dowódcą kompanii był porucznik Bądek, zwany „popem”, lub „tata”. Był typowym, twardym i mało kulturalnym człowiekiem, nie lubiący żołnierzy służby zasadniczej.

Zupełnie innym człowiekiem był podporucznik Kaczmarczyk, sympatyczny i kulturalny młody oficer. Dowódcą mojego plutonu zabiegów sanitarnych (łącznie połowe rozwijane po skażeniu chemicznym), był natomiast wysoki i mocno zbudowany st. chor. Cegliński. Ten jako żywo przypominał starego wiarusa lub frontowca z opowieści wojennych. Mimo, że na początku trochę mnie „ścigał” jako czajora, to gdy okazało się, że świetnie strzelam i jestem jednym z najlepszych piechurów na kompanii – odpuścił mi, a ja dowiedziawszy się, że ma problemy z żoną i chyba przez to często pije, zrobiło mi się go żal. Pewnego razu spotkałem go na mieście, gdy wyszedł z jakiejś bramy niezłe zawiany i rozmawiał ze mną, żebym nikomu nie mówił, że go widziałem. Oczywiście przyrzekłem, że nie powiem, ale prosiłem aby przyszedł do pracy, bo dowództwa kompanii już się piekli i chce go ukarać. Jakiś czas później, przeniósł się do jednostki w Żarach. Mieliśmy ciekawego zastępcę dowódcy batalionu, porucznika Wiśniewskiego, który miał przydomek „Karramba” (postać z dobranocki o smoku Wawelskim), bo był wysoki, szczupły i lekko przygarbiony a jednocześnie lubił robić kipsisz na salach żołnierskich, rozrzucając koce i wszystko, co mu wpadło w ręce. Mnie też się czasem czepiał, lecz zawsze sobie z nim radziłem, gdyż miał pewną dobrą cechę tzn. pewien zasób poczucia humoru. Raz spotkał mnie na korytarzu, gdy cała kompania była na marszu i woła

do mnie: a ty, co się tu migasz? Ja w postawie na baczość z miną niewiniątka mówię grzecznie: no przecież jestem Migoń obywatelu poruczniku. Przez chwilę zamierowił i myślałem, że mi się nieźle oberwie, ale na jego twarzy pojawił się lekki uśmiezek, szybko odwrócił się i odszedł, pewnie śmiejąc się pod nosem z mojego tupetu. Gdy spotkałem go później na ulicy miasta pchającego wózek ze swoim dzieckiem, wyszedł z niego normalny facet, bo gdy zasalutowałem uśmiechając się przy tym, też tylko się uśmiechnął lekko skonfundowany, przechodząc obok.

Wiele miesięcy później porucznik Wiśniewski znowu mnie dopadł. Tego wieczora wróciłem z miasta około 21, a tu jednostka zaciemniona i prawie nikogo nie ma. Wszedłem na kompanię, był tam jeszcze szef kompanii sierżant Walddek Jaskóła (fajny chłopak ze Zgorzelca) i zacząłem się przebierać. Wtedy wpadł „karramba” i kazał mi iść za jednostkę, gdzie jak stwierdził stoją rozkraczone ciężarówky i mam je pilnować wraz z kierowcami. Wszedłem na plac apelowy, aby pójść za jednostkę a tam ładowała się i szykowała do wyjazdu w rejon alarmowy w Borach Dolnośląskich II kompania. Okazało się bowiem, że mamy nalot kontroli ze Śląskiego Okręgu Wojskowego z Wrocławia, która w tę mroźną noc urządziła nam alarmowy wyjazd szkoleniowy. Pojechałem więc z nimi w rejon alarmowy i rano zobaczył mnie tam zdziwiony, nowy dowódca mojej kompanii, porucznik Otwinowski (zwany „Otello”), który rzucił mi tylko: Migoń, rób plan ochrony i obrony.

Po 3 dniach po powrocie do jednostki spotkał mnie na korytarzu porucznik Wiśniewski i wydziera się na mnie, że nie wykonałem polecenia i wsadzi mnie do aresztu. Po wysłuchaniu tej tyrady w postawie na baczość, mówię do niego: obywatelu poruczniku, mnie karać za to, że wykazałem własną inicjatywę i wziąłem udział w ćwiczeniach?, powinienem dostać za to urlop w nagrodę!

Porucznikowi Wiśniewskiemu oczy zrobiły się okrągłe i po chwili zrobił szybki w tył zwrot i poszedł do siebie, chyba znów chichocząc pod nosem na bezczelność pisarza z 1 kompanii. Ja jednak zdawałem sobie sprawę, że mógł mnie ukarać bez żadnych skrupułów. Na szczęście miałem już wtedy ugruntowaną, bardzo dobrą pozycję jako żołnierz nie pijący alkoholu, najlepszy strzelec kompanii, jedyny kreślący fronty i kierunki natarć na mapach sztabowych, wytrwały piechur na marszach itd. Byłem też krwiodawcą, zastępowałem też fryzjera, pisarzy w batalionie i w kancelarii pułku – więc znałem już nawet osobiście dowódcę jednostki pułkownika Olęderka, czy szefa sztabu majora Zydronia – wojskowego z krwi i kości. Wiem, że później awansował do sztabu SOW we Wrocławiu.

Podczas służby wojskowej w jakimś sensie i stopniu przeżyłem kolejne duże, historyczne wydarzenie (po czołgach 1968 roku), gdy 16 października 1978 roku konklawe kardynałów w Watykanie po długich obradach wybrało nowego papieża, którym został Polak – Karol Wojtyła. Nowy papież przyjął imię Jan Paweł II!

Był to szok w socjalistycznej Ojczyźnie i jego zbrojnym ramieniu – Ludowym Wojsku Polskim. Dlatego już następnego dnia na każdej kompanii odbyły się spotkania żołnierzy z oficerami politycznymi batalionów. Pamiętam, że nasz polityczny, porucznik Lupa pochodzący z Krakowa, próbował „wciskać” nam, jaki ten kościół niedobry, skostniały i zakłamany, że biskupi polscy przebaczyli Niemcom i sami prosili o przebaczenie. Wojsko słuchało, ale myśleliśmy swoje – czyli, że wydarzyło się coś niezwykłego, bo jeszcze nigdy w historii żaden słowianin, a tu jeszcze Polak, nie był papieżem, czyli następcą świętego Piotra na Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Powoli jednak emocje opadły a w następnym roku Papież Polak gościł już w Polsce. W tym czasie, na początku lata 1979 roku na mojej kompanii pojawił się nowy kolega Edward Wrzał z Jeleniej Góry – Cieplic, przeniesiony do nas z drugiego batalionu. Z Edkiem bardzo dobrze się rozumieliśmy, bo był po prostu młodym człowiekiem na poziomie. Wcześniej był pisarzem w kancelarii tajnej pułku, więc zaczął zastępować mnie, gdy wyjeżdżałem na urlop do domu, lub do pobliskiej Gozdnicy, gdzie miałem chrzestną i innych członków rodziny Migońców. Po 3 miesiącach załatwiłem u dowódcy kompanii Otwinowskiego, przepustki dla Edka i dla mnie i pojechaliśmy do jego domu w Cieplicach. Poznałem tam jego rodziców, siostrę Ewę i brata Romana z żoną. Przypadli mi bardzo do gustu. Natomiast Edek został później ojcem chrzestnym mojej pierwszej córki Aleksandry. Miałem jeszcze kilku fajnych kolegów z którymi znakomicie się współdziałało w wojsku. Byli to min. Kapral Mirek Bugaj, Igancy Pietrucha, Darek Baliński i Piotr Czapek z którym czasem grywaliśmy w piłkę lub tenis na hali sportowej, gdyż był pomocnikiem instruktora wf. Niestety, były i takie indywidualia, które można nazwać ludzkim chwastem. Jeden z nich miał nawet odpowiednie nazwisko dla swego poziomu i zachowań, był to kapral Mierzwa! Był też niejaki szeregowy Malec pochodzący gdzieś znad rzeki Bug. Wyglądał jak wielki kloc, myślenie miał na poziomie kowalskiego młota i siłę konia. Kiedyś przy budowie jakiegoś obiektu na poligonie, szybciej wybierał ziemię łopata z wykopu niż koparka była w stanie go pogłębiać! Jest to fakt autentyczny. Machaniem łopata w takim tempie, tak zadziwił przełożonych, że dostał za to 5 dni urlopu w nagrodę. Ze starszego rocznika było jednak kilku fajnych kumpli. Jak mój poprzednik na stołku pisarza, Rysiek Kyć z Chrubieszowa, albo Janusz Rosół, czy Tadek Bojko, wszyscy ze wschodniej Polski. Na drugiej kompanii naszego batalionu miałem jeszcze jednego dobrego kumpla, kaprała Wojtka Pietrzaka z Lubania Śląskiego u którego w domu bywałem jak i on u mnie i Ewy w Zduńskiej Woli.

Służba wojskowa powoli dobiegała końca, tym bardziej że na urlopach i przepustkach byłem aż 105 dni, czyli odjąłem z koszarowego życia 3,5 miesiąca. Otrzymałem też awans na starszego szeregowego, odznakę Wzorowego Żołnierza, klasę specjalisty, a na koniec nagrodę w postaci fotografii na tle sztandaru jednostki

i podziękowanie za służbę dla Ojczyzny. Na koniec służby dowódca batalionu w stopniu majora, próbował namówić mnie do wstąpienia w szeregi kadry żołnierzy zawodowych. Stwierdziłem, że Zgorzelec jest zbyt daleko od moich stron rodzinnych, i że zapytam o pracę w jednostce wojskowej w Sieradzu, czego oczywiście nie uczyniłem. Podczas pobytu w koszarach nabrałem pewności siebie, wiedziałem też na co mnie stać i ile jestem wart. Rzuciłem też palenie papierosów w listopadzie 1979 roku będąc na przepustce w Gozdnicy i nie palę do dziś.

Wiedziałem też już, że po zawodówce niczego wielkiego w życiu nie zwojuję, mimo że nie jestem głupszy od wielu z moich dotychczasowych przełożonych, tak w cywilu jak i w wojsku. Mając tę świadomość powziąłem postanowienie, że po wyjściu z wojska będę musiał uzupełnić swoje wykształcenie, abym mógł podejmować nowe, trudniejsze wyzwania w zawodowej „karierze” i w życiu.

4. Moja rodzina, nowe wyzwania

Po uroczystym pożegnaniu z dowództwem jednostki, już w cywilnych ubraniach i otrzymaniu dokumentów podróży do miejsc zamieszkania, spotkaliśmy się w liczbie około 10 rezerwistów w restauracji hotelu „Pod Orłem”. Z chustami rezerwisty na ramionach (mam ją do dziś) z adresami kumpli z wojska, wypiliśmy na pożegnanie po kilka kieliszków i każdy pojechał w swoją stronę. Gdy późnym popołudniem dojechałem owego dnia do Zduńskiej Woli (10.04.1980r), poszedłem do spółemowskiego spożywczaka numer 64 na ul. Łaskiej, gdzie pracowała Ewa po zakończeniu liceum i zdaniu matury rok wcześniej. Już jako dziecko, marzyła jej się praca w sklepie! Ewę zastałem w pracy za ladą i po powitaniu usłyszałem od niej: „ślub będzie 4 października, dłużej już nie będę czekać, wszystko załatwiłam”. Ja, nieco zaskoczony, bez wahania i oporu odpowiedziałem lakonicznie i krótko: „no dobrze”.

Rozumiałem Ewę znakomicie, bo rodzina już kilka razy wieszczyla, że jest ona w ciąży, a my chodziliśmy już ze sobą prawie 6 lat! Czas szybko mijał i jesienią w ustalonym terminie wzięliśmy ślub w kościele WNMP przy ul. Kościelnej. Ślubu udzielał nam sympatyczny ksiądz Józef Kucharski, który znał nas, bo Ewę uczył religii. Stwierdził przy ołtarzu, że jest to małżeństwo bardzo dobrze przygotowane i życzył nam szczęścia. Później długie lata był proboszczem w Sieradzu na osiedlu Jaworowe. Wesele odbyło się w sali klubu sportowego na Porębach pod Zduńską Wolą.

Po wojsku w maju 1980 r. wróciłem do pracy na farbiarni w Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Zwoltex”, przy ulicy Szadkowskiej 64/66. Zakłady miały jeszcze kilka oddziałów w mieście i jeden w Grzeszynie za Łaskiem. W tamtym czasie wydawało się, że socjalizm i to wszystko co się z nim wiąże (były już kartki na cukier i mięso), nigdy się nie skończy i już tak zawsze będziemy żyć pod czujnym

okiem radzieckich przyjaciół. Mimo to trafiali się tacy, jak mój kolega z farbiarni i sąsiad z ulicy Prostej, Wiesiek Wróblewski, który zwykł mawiać: „zobaczycie, że komunę diabli wezmą”. Wtedy śmialiśmy się z niego. Gdy jednak przyszedł sierpień 1980r i wybuchły strajki na Wybrzeżu, Śląsku i w innych miejscach, pojawił się Lech Wałęsa, 21 postulatów i w końcu NSZZ „Solidarność” – byliśmy w szoku! Pytaliśmy Wieska, skąd wiedział, że coś takiego się stanie. Następnie wraz z nim gremialnie zapisaliśmy się do „Solidarność” i pilnowaliśmy w białych czerwonych opaskach, aby nikt niepożądany nie dostał się do wewnątrz zakładu, np.: jacyś prowokatorzy. Był to czas nieznanej dotąd euforii, powiew wolnego świata i rozbłysk nadziei, że jednak może będzie inaczej i lepiej niż dotąd. Wiatr historii owionął mnie wtedy po raz trzeci. Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego w czerwcu 1968 r, gdy po ulicy Łaskiej hałasując gąsienicami i dymiąc spalinami przejechały czołgi, pędząc do Czechosłowacji z bratnią pomocą socjalizmu w lufach armat i karabinów. Drugi raz, gdy wybrano Polaka na Papieża dziesięć lat później. Niestety, euforia nie trwała zbyt długo a nadzieję na lepsze życie stłamsiło pewnego ranka dość ponuro brzmiące oświadczenie generała Jaruzelskiego z oczami schowanymi za ciemnymi okularami. Był to kolejny, bardzo ponury zwrot historii najnowszej Polski, który mnie dosięgnął. Zaczął się czas mundurów i wozów pancernych na ulicach, godzina milicyjna i komisarze wojskowi w zakładach pracy. Okazało się też, że w nocy z 13 na 14 grudnia aresztowano bardzo wielu działaczy „Solidarność”, z Lechem Wałęsą na czele. Nastroje zrobiły się paskudne u Polaków, wielu ludziom ręce opadły, bo zdawało się, że na dobre utknęliśmy za żelazną kurtyną w objęciach totalitarnej władzy, która wprowadziła stan wojenny na terenie całego kraju. Na szczęście, swoimi torami toczyło się nasze życie rodzinne. Krótko po ślubie Ewa stwierdziła, że powinniśmy mieć dziecko jak najszybciej, póki jesteśmy młodzi i zdrowi. Znowu nie wyraziłem sprzeciwu i po 10 miesiącach od ślubu w dniu 31.08.1981r. urodziło się nam nasze szczęście, córeczka Aleksandra Otylia o wadze 2,6 kg i 51 cm długości. Przez cały miesiąc zajmowałem się noworodkiem i Ewą, która ciężko rodziła. Mieszkaliśmy już we trójkę w jednym pokoiku u Wojtalaków, lecz gdy zmarła Ewy babcia Maria Mann z domu Węgluś – przenieśliśmy się do pokoiku po niej, na „rodowe włości” przy ul. Prostej 16. Tam też długo nie zagraliśmy miejsca, gdyż w 1983r. dostaliśmy nasze M-4 w blokach na parterze przy ulicy Buczka, obecnie Ogrodowej 10 mieszkanie 22 w samym centrum miasta.

Z małą Olunią jeździliśmy rowerami nad rzekę Wartę w Pstrokonjach, gdy jeszcze nie umiała chodzić a w drodze powrotnej spała mi w rowerowym wiklinowym siodełku zamontowanym na kierownicy. Rok później pojechaliśmy z nią nad Bałtyk do Dźwirzyna, gdzie wychodząc z plaży na posiłek mówiła patrząc na Bałtyk „,cześć woda!”.

Gdy już w 1983 r. wprowadziliśmy się do naszego M-4, mała Ola nie chciała spać z nami już pierwszej nocy i stwierdziła, że ona idzie spać do swojego pokoju, gdzie następnie dziarsko pomaszerowała. W tzw. międzyczasie, od września 1982 r. zacząłem uczęszczać do wieczorowego Technikum Włókienniczego, aby udowodnić sobie i innym, że „nie jestem zerem”. Gdy zacząłem się uczyć na poważnie od samego początku, okazało się, że jestem najlepszym uczniem w klasie, gdzie były dziewczyny w wieku 18–20 lat i kilku kolegów od 25-go do 40-go roku życia. Jako jedyny potrafiłem powiedzieć, np.: co poeta chciał przekazać w swoim utworze, jak działają prawa fizyki, jak mierzy się suwmiarką, itd. Jedynie matematyka, gdzie miałem wieloletnie zaległości, sprawiała mi duże kłopoty. Po trzech latach musiałem jechać do Sieradza zdawać maturę w „mechaniku” u dyr. Macierzyńskiego, gdyż nikt z mojej klasy nie chciał do niej przystąpić.

Na maturze w 1985r. osiągnąłem średnią 4,25 i na zakończenie szkoły w Zduńskiej Woli otrzymałem od Dyrektora „Zwoltexu”, pana mgr inż. Stanisława Głazara, wysokiej klasy włókiennika i zarządcy, znaczną jak na owe czasy nagrodę pieniężną. Chciałem zdać maturę, gdyż chodziły mi już po głowie studia wyższe. Niestety okazało się, że w wyniku pracy przy chemikaliach przez 8 lat, coś złego dzieje się z moją krwią, co wyszło podczas badań przy honorowym krwiodawstwie. Byłem już zasłużonym HDK (pow.7l. Krwi), ale zabroniono mi dalej oddawać krew. Po punkcji (pobranii) szpiku, okazało się, że jest on uszkodzony od wieloletniego kontaktu z chemikaliami na farbiarni, gdzie często pracowałem dodatkowo w soboty lub niedziele, aby zarobić na rodzinę. Pan dr Smus, lekarz zakładowy, w tej sytuacji nakazał przenieść mnie do pracy w Straży Przemysłowej „Zwoltexu”.

Zatrudniono mnie tam na stanowisku dowódcy warty. Pod koniec 1986 r. awansowałem na stanowisko zastępcy komendanta. Komendantem był emerytowany oficer LWP – Zygmunt Saganowski. Były to lata niedostatku wszelkich towarów w sklepach, więc na przemian z Ewą jeździliśmy handlować w bratnich „demoludach” (Węgry, Czechosłowacja), lub w Berlinie Zachodnim, gdzie mogliśmy dostać się bez wizy. Przywoziliśmy stamtąd dzieciom prawdziwe czekolady i inne słodycze.

W tych latach dziadek Józef Roźniecki po zapaleniu płuc (1983r.), znów był pełen życia. Zawsze był uśmiechnięty, życzliwy i pomocny dla innych. Nigdy nie widziałem go krzyczącego, wulgarnego lub upojonego alkoholem. Ludzie go szanowali, wybrali do Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Widawie. Byliśmy z niego dumni, gdy otrzymał od Państwa Złoty Krzyż Zasługi za lata pracy i prospołecznej postawy. Jednocześnie miał poczucie humoru, lubił zabawne i „pieprzne” ludowe przyspiewki lub powiedzonka, których nie mogę jednak zacytować.

Druga córka, Monika, urodziła się nam 4 czerwca 1987r. Ewa pocieszała mnie przez okno szpitala w Zduńskiej Woli, że u chłopca zucha zawsze dziewczucha. Szybko okazało się, że faktycznie muszę być zuchem, gdyż po kilku dniach w domu Ewa z zakrzepicą w lewej nodze, wróciła do szpitala na prawie 3 tygodnie.

Zostałem sam z malutkim noworodkiem i musiałem gotować mleko, karmić, prac i prasować pieluchy, przewijając, itd. Spałem tylko wtedy, gdy spał mój osesek i to tylko tyle na ile on zasypiał. Gdy po 3 tygodniach Ewa wróciła ze szpitala, malutka Monika już chyba myślała, że ja jestem mamusia, gdyż reagowała tylko na mnie. Trwało to jednak krótko i Monika przez wiele lat nie odstępowała mamy ani na krok, wręcz trzymała się jej nogi albo sukienki. Spały razem ponad 7 lat, aż straciłem cierpliwość i postawiłem się twardo, aby odzyskać żonę!

Gdy w 1988r. zmarł wujek Ewy a stryj jej mamy, Rajnhold Kindermann, wspomniały i dobry człowiek – przypomniały mi się jego relacje z czasów II wojny światowej. Opowiadał mi kiedyś, że jak wybuchła wojna pojechał do Łodzi, aby stawić się w wojsku. Tam zatrzymał go policjant, który sądził z nazwiska, że to szpieg, albo członek zradzieckiej "V kolumny". Puszczono go jednak i dotarł do swojego oddziału, gdzie dostał mundur i broń. Wiele się nie nawojował, bo na wschodnich terenach rozbroili ich sowietci, którzy weszli do Polski 17 września 1939r. Około trzech miesięcy trzymali ich w wagonach kolejowych na bocznicach, aby pod koniec 1939r. przekazać Niemcom. Wujek Rajnek trafił do stalgau w głębi III Rzeszy, gdzie przebywał do końca wojny, pracując u bauerów. Ewy dziadek, Paweł Mann (urodzony 24.06.1902r. w Zduńskiej Woli, gdzie zmarł 21.12.1964r. syn Pawła i Emilii z domu Ulrych), którego przodkowie pochodzili z Austrii – służył w okresie międzywojennym w latach 20 – tych w Wojsku Polskim, sądząc z munduru na starej fotografii, w piechocie. Jego żoną była Maria z domu Welguś urodzona 13.08.1900r. (zmarła, 24.11.1981r.) w Zduńskiej Woli. Jej rodzice, pradiadkowie Ewy, to Edward Welguś i Emma z domu Mann. Później Paweł Mann pracował w Zduńskiej Woli jako listonosz, zbudował dom na ul. Prostej 16, a w czasie okupacji hitlerowskiej wspomagał tam kogo tylko mógł z rodziny bliższej i dalszej. Do jego domu przyjęto kilkuletnią Danusię Kałużewską (później chrestną Ewy), której tatę, Kazimierza Kałużewskiego wraz z Juliuszem Syllą (obaj w wieku 32 lat) hitlerowcy powiesili 25.02.1944r. Stało się to na terenie parowozowni w Karsznicach koło Zduńskiej Woli. Odebrano im życie za sabotaż, czyli uszkodzenie lokomotyw kierowanych do obsługi pociągów. Obaj mają dziś swe ulice w Zduńskiej Woli – Karsznicach, oraz szkołę im. Sylli i Kałużewskiego. Rodzice Danusi działali w Armii Krajowej, więc Niemcy przyszlizli po jej mamę Marię z domu Dąbrowską. Ktoś ostrzegł o akcji Gestapo i Danusię udało się ogrodami na tyłach ulicy Łaskiej 37/39 zabrać do Pawła Manna na ulicę Prosta 16.

Mama Danusi, niestety została w dniu 21.02.1944r. w wieku 26 lat zamordowana w Auschwitz. Dziadek Marii Kałużewskiej (Dąbrowskiej), Franciszek Dąbrowski, był bratem Marii Kolbe, mamy późniejszego Świętego Maksymiliana Marii Kolbe, który poświęcił swoje życie za innego więźnia i także został zamordowany w Auschwitz. Brat Świętego Maksymiliana, Franciszek Kolbe, także zginął w obozie koncentracyjnym na terenie Niemiec. Na fotografii z okresu z II wojny wraz z Pawłem Mannem i jego żoną, oprócz malutkiej Danusi są też ich dzieci (Tereska i Włodek) oraz Anna Dąbrowska. Drugi dziadek a ojciec Zofii (mamy Ewy), Zygmunt Kindermann (brat Rajncholda), walczył w kampanii wrześniowej 1939r. i również dostał się do Niemieckiej niewoli. Trafił jeszcze gorzej niż brat, gdyż osadzono go w stalagu w Norwegii. Przez mrozy i niedożywienie Zygmunt wrócił do Polski i rodziny w 1945r., schorowany i osłabiony. Ewy mama Zofia miała już 6 lat, a że urodziła się w listopadzie 1939r., ojciec po raz pierwszy zobaczył swoją córkę. Zmarł jako jeszcze młody człowiek kilka lat później – w 1951 r. Jego żona Marianna żyła do 1975r., gdy też przedwcześnie zmarła.

W tych, często tragicznych okolicznościach, walczyli o przetrwanie potomkowie przybyszów z różnych stron Europy, zjeżdżający tu na zaproszenie założyciela miasta Zduńska Wola. Był nim właściciel okolicznych dóbr, Stefan Złotnicki, herbu Prawdzic. Przybysze w swej nowej Ojczyźnie opłacali swój byt ciężką pracą, a czasem i życiem.

W XIX w., miasto było wielokulturowe z różnymi religiami i dobrym współżyciem potomków różnych narodów. W Zduńskiej Woli do dziś oprócz kościołów katolickich, są także świątynie innych odłamów chrześcijaństwa: ewangelicko – augsburska, baptystów, braci morawskich, czy adwentystów dnia siódmego. W okresie okupacji w mieście utworzono getto. Na obrzeżu Zduńskiej Woli pozostał do dziś kirkut ze starymi macewami, ogrodzony i chroniony przez miejscowych wolontariuszy. Synagoga przy ul. Sieradzkiej pełni obecnie inną rolę. Znaczącą dla miasta społeczność żydowską unicestwił morderczy dogmat nazistowskiej partii Hitlera. Również nazwy wiosek pod miastem świadczą o XIX wiecznych przybyszach z zagranicy. Jest to wieś Czechy, a także wieś Holendry, gdzie do lat 70 XX w. stały stare wiatraki. W przedwojennej Polsce w Zduńskiej Woli prawie połowa mieszkańców miała korzenie narodowościowe inne niż polskie. Podczas II wojny miasto weszło w skład krainy zwanej przez Niemców, „Wartheland” i zostało włączone w granice III Rzeszy. Dziś, pod koniec drugiej dekady XXI w, 43-tysięczna ludność miasta stała się prawie jednorodna narodowościowo. O przeszłości przodków świadczą jednak niepolско brzmiące nazwiska, lub nazwy miejsc, np. frajsica, co z niemiecka znaczy wolny las. Obecnie jest tam stadion sportowy.

Gdy kończył się rok 1988, a moje zdrowie znacznie się polepszyło, zdobyłem się na odwagę, gdy spotkałem dyrektora Glazara na terenie zakładu i zapytałem,

czy dostałbym zgodę na studia zaoczne. Pan dyrektor stwierdził krótko, że skoro inni studiowali, to i ty Władysław możesz skończyć studia. Złożyłem więc prośbę w „Zwoltexie”, później dokumenty na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego i zacząłem przygotowania do egzaminów wstępnych na tzw. semestrze zerowym. Późną wiosną 1989r. wraz z 95 innymi rządzonymi wiedzy przystąpiłem do egzaminów. Na studia dostało się nas 32. W tym czasie znów powiał wiatr historii i w Polsce rozpoczęły się obrady „okrągłego stołu”, nowe wybory (wolne do Senatu) i powołano pierwszego niekomunistycznego premiera, pana Tadeusza Mazowieckiego.

Z grupy która dostała się na studia prace magisterskie obroniło jednak tylko 12 osób, w tym ja, na katedrze prawa gospodarczego publicznego. Pracę magisterską napisałem na temat przekształceń spółek Skarbu Państwa w spółki prawa handlowego, i to na przykładzie mojego „Zwoltexu”. Podczas studiów, w latach 1989 – 1994 najpierw zostałem awansowany na kierownika Magazynu Artykułów Technicznych i Części Zamiennej w oddziale przy ul. Opiesińskiej. Następnie dyrekcja powierzyła mi zadanie połączenia dwóch działów: Socjalnego i Administracyjno – Gospodarczego w jeden organizm. Praca tutaj była „ciężką orką” i dała mi doświadczenie na przyszłość, gdyż podlegało mi wiele obiektów firmy i wielu kierowników. Były to: Przedszkole, Żłobek, Ośrodek Wypoczynkowy w Strumianach, Przychodnia Lekarska, Zakładowy Dom Kultury i bloki zakładowe – oraz oczywiście wszelkie sprawy z zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych i administrowanie wszystkimi terenami należącymi do „kombinatu”, jak mówiło się o „Zwoltexie”. Będąc przez 3 lata między oczekiwaniami załogi (około 2200 pracowników) na pomoc socjalną i stanowiskiem dyrektora ograniczającej wydatki – dostałem się między przysłowiowy młot i kowadło. Gdy więc skończyłem studia w czerwcu 1994r., jak najpoważniej rozważałem znalezienie sobie innej pracy i w końcu odszedłem z firmy, gdzie pracowałem od 1972 r. Otrzymałem propozycję pracy w firmie Automark z ulicy Mostowej, która zajmowała się sprzedażą paliw, usługami transportowymi, sprzedażą aut i części do samochodów. Przez prawie rok byłem tutaj dyrektorem administracyjnym od bardzo wielu spraw. Od tych prawnych – po przywóz towaru do firmy z hurtowni części w Łodzi. Taką pracę już znałem jednak bardzo dobrze i szukałem nowych, większych zawodowych wyznań. Wziąłem więc udział w konkursie na dyrektora Administracji Budynków Mieszkalnych podlegającej Urzędowi Miasta. Jednak dyrektorem został radny miejski (przyszły prezydent miasta), Krzysztof Jonczyk, którego za 3 miesiące odwołano, gdyż jako radny nie mógł pełnić podległej sobie funkcji. Gdy nieco później, na początku 1995r. zobaczyłem ogłoszenie o konkursie na prezesa spółki „Elewator Sieradz”, zgłosiłem swoją kandydaturę. Zaproszenie na konkursowe posiedzenie Rady Nadzorczej spółki otrzymałem pod koniec maja, i konkurs ten wygrałem.

Z dniem 1 czerwca 1995r. zostałem Prezesem Zarządu „Elewator Sieradz” spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Przejąłem obowiązki od poprzednika z Pabianic i „zderzyłem” się z zaniedbanym obiektem powstałym w latach 50 – tych, który był głównie olbrzymim spichlerzem do przechowywania ziarna zbóż o pojemności około 35,000 ton! W tym samym czasie córki uczyły się w: szkole podstawowej nr 6 (Monika) i w liceum im. Kazimierza Wielkiego (Aleksandra). Obie chodziły też do szkoły muzycznej pierwszego i drugiego stopnia, która mieściła się w dawnej „dwójce”, gdzie ja uczyłem się po przyjeździe z Wrocławia od końcówki czwartej klasy. Po krótkim czasie od rozpoczęcia pracy w Sieradzu, zaczęła się pojawiać myśl, aby zacząć malować obrazy farbami olejnymi.

Los chyba to usłyszał i sprawę tę zmaterializował, gdy Ewa kupiła od Rosjan na bazarze farby olejne, zamiast plakatowych dla jednej z córek. Przygotowałem płótna i zacząłem w 1995r. swoją malarską przygodę, która trwa do dziś, tak jak fotografowanie, które również rozpoczęło się na poważnie w połowie lat 90 – tych XX wieku. Jednak fotografowaniem zajmowałem się od najmłodszych lat, gdy na komunię w 1966 r. dostałem aparat Druch w futerale, na sześć szeroko klatkowych zdjęć na klisze. Oczywiście były to wtedy jedynie czarno – białe fotki w naszej ludowej Ojczyźnie. Koniec XX wieku zbliżał się wielkimi krokami, dzieci dorastały, zawodowe dobre dni stawały się coraz częstsze i dawały dużą satysfakcję. Przyszedł też czas działalności polityczno – społecznej za sprawą posła na Sejm RP, Wiesława Gołębiewskiego, który podczas pobytu w spółce przekonał mnie, że powinienem również z PSL – em działać dla dobra sieradzkiego rolnictwa. Latem 1996 r. legitymację PSL i koniczynkę (logo stronnictwa) wręczył mi w Zduńskiej Woli członek kierownictwa partii i ówczesny wicepremier Roman Jagieliński. Szybko zostałem wiceprezesem a za rok prezesem organizacji powiatowej PSL w Zduńskiej Woli, obejmującej też gminy Szadek i Zapolice. W 1997 roku wzięłem udział w wyborach do Sejmu z listy PSL.

Z ośmiu działaczy mandat posła zdobył Wojciech Zarzycki spod Wielunia. Jeździłem też na Kongresy PSL jako delegat a w domu gościłem Prezesa partii, Jarosława Kalinowskiego, którego obdarowałem swoim obrazem. W tym samym czasie zaangażowałem się w pomoc dla klubu sportowego Pogoń w Zduńskiej Woli, który miał duże problemy finansowe i organizacyjne. Dzięki prezentom w postaci malowanych od kilku lat obrazów olejnych, uzyskałem duże wsparcie od właścicieli miejscowych firm. Były to czasem znaczne kwoty (np.: 18,000 zł, 12,000 zł, itd.), czy też farby na malowanie obiektu i budynku na stadionie Pogoni. Malowanie to przetrwało do dnia dzisiejszego. W klubie prezesem był wtedy Ryszard Frycze, ja pełniłem funkcję wiceprezesa. Prezesem zostałem po awansie do 3 ligi. Wtedy po beznamiętnych atakach miejscowych żurnalistów, Ryszard Frycze i reszta zarządu (oprócz mnie) złożyła rezygnacje. Wtedy „kwiat” miejscowego dziennikarstwa

zaczął atakować mnie! Jesienią 2000 roku po około 4 latach, złożyłem więc i ja rezygnację, gdyż nie było sensu dalej poświęcać swojego czas, pieniądze i zdrowie dla gazetowego magła. Nowy prezes i zarząd nie byli w stanie nic zrobić i klub za rok przestał istnieć.

Jeszcze w 1999 roku w Sieradzu, spotkałem panią Annę Tomaszewską, kierującą Powiatowym Domem Kultury w Sieradzu, która była mieszkanką Zduńskiej Woli. Pani Anna namówiła mnie na zorganizowanie wystawy moich obrazów i prac fotograficznych w PDK w Sieradzu, przy ul. 15 grudnia. Na otwarcie wystawy przyszło kilkadziesiąt osób z Sieradza i ze Zduńskiej Woli. Był oczywiście poseł Gołębiowski, historyk sieradzkiego Jan Pietrzak, miejscowi artyści, działacze kultury oraz rodzina i znajomi. Wernisaż uświetniły moje córki i ich koleżanka, grające koncert na fortepianie. Starsza Aleksandra grała już wtedy utwory Chopina. Była to pierwsza z siedemnastu moich dotychczasowych wystaw – tak indywidualnych jak i zbiorowych. Przez ćwierć wieku moje obrazy i prace fotograficzne „rozjechały się” po Polsce (Warszawa, Bielsko Biała, Gostyń, Poznań, Łódź, itd.) oraz po Europie, np. Anglia, Szwajcaria, Niemcy. Gdy przyszedł wiek XXI, druga wystawa malarstwa i fotografii odbyła się w 2001 roku w MDK w Zduńskiej Woli przy ul. Łaskiej. Organizowała ją dyrektor Jolanta Bebeb i Marek Tomaszewski, syn pani Anny. Było to podsumowanie pracy artystycznej z pierwszego pięciolecia, a wystawa była bardzo udana. Obie moje córki znów zagrały na fortepianie, Ola utwór Chopina – Monika lżejszą muzę. Na otwarciu wystawy ówczesny dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zduńskiej Woli, pan Marian Olejnik stwierdził, że mam oko do fotografii jakiego nie ma nikt inny w Zduńskiej Woli. Bardzo mnie tym uradował i zmobilizował. W wernisażu udział wziął poseł na Sejm RP z PSL, Wojciech Zarzycki, a gratulacje na piśmie otrzymałem od Marszałka Województwa i Starosty zduńskowolskiego.

Nigdy nie urządzałem swych wystaw w odległych miejscach z uwagi na zbyt duże zaabsorbowanie pracą zawodową, rodziną i budową domu letniskowego nad jeziorem brodowskim. Jak też z uwagi na sponsorowanie i prowadzenie przez 2 lata drużyny amatorskiej „Orłów” w piłce nożnej halowej, złożonej w znacznej części z dzieci z podwórek miejskich czynszówek. Wraz z rodziną zaczęliśmy zwiedzać Europę i jeszcze w 1999 roku pojechaliśmy naszą Hondą Accord na wycieczkę do Włoch. Chciałem aby żona i dzieci zobaczyły jak wyglądają inne strony naszego kontynentu. Pojechaliśmy pod koniec września (po skupie zbóż i rzepaku w Elewatorze) do Lido di Jesolo, gdzie bez rezerwacji łatwo znaleźliśmy dwa pokoje w hotelu pana Gino Basso. Oprócz plażowania w Jesolo, gdyż było jeszcze słonecznie i ciepło – zwiedziliśmy Wenecję, wyspę Murano z hutami szkła oraz Republikę San Marino. Innym razem zabraliśmy Monikę i Olę z chłopakiem do naszych miejsc z młodości w Polsce. Byliśmy w Mikołajkach, skąd statkiem wy-

cieczkowym pełnym starszych Niemców popłynęliśmy (z wpływieniem na jezioro Śniardwy) do portu w Ruciane – Nida. W 2005 roku nie mogąc znaleźć ciekawej wycieczki w biurach podróży, postanowiłem zabrać Ewę na długą wyprawę po Europie własnym samochodem, wielkim, amerykańskim Fordem Explorerem, z okazji 25 – lecia naszego ślubu. Gdy na 2 dni przed wyjazdem oficjalnie zaprosiłem żonę na tę wycieczkę, to oberwało mi się od niej słowami: ale ja nie mam się w co ubrać na wycieczkę do Paryża! Co przyznam było nieco uzasadnione. Mimo to pojechaliliśmy na 10-dniową eskapadę bez rezerwacji, nocując w hotelach tam, gdzie dojeżdżaliśmy wieczorem. Zwiedziliśmy najpierw stare miasto i Hradczany w czeskiej Pradze. Stąd pojechaliliśmy do Monachium, do koleżanki Ewy Gosi Fiest (Kozicka z dyskoteki 1974 roku) i jej syna, Oliwiera. Następnego dnia byliśmy już nad jez. Bodeńskim w Lindau, miasteczku jak z bajki na wyspie w pobliżu granic z Austrią i Szwajcarią. Po południu ruszyliśmy wzdłuż jeziora na zachód w stronę granicy z Francją. Gdy zapadł zmrok udało mi się już we Francji, znaleźć hotel sieci Campanille i nocleg ze śniadaniem. Następnego dnia dojechaliliśmy do środkowej Francji niedaleko Vichy (stolica wolnej Francji marszałka Pettaina podczas II wojny), gdzie znaleźliśmy mały hotelik w Jaligny sur Bespre. Po wyjściu na spacer natknęliśmy się na stare zamczysko zbudowane z kamienia. Takie zamki w dolinie Loary, ich sfotografowanie i zwiedzenie, było moim marzeniem, które mogłem teraz zrealizować. Kolejnego dnia oglądaliśmy jeszcze kolejne dwa stare średniowieczne zamki w pobliżu, w dolinie rzeki Bespre, która jest lewym dopływem Loary. Następnie pojechaliliśmy już na północ wzdłuż Loary w stronę Paryża. Raz nocowaliśmy w starej oberży z 1798 roku!

W ciągu następnych dni obejrzeliliśmy kilka pięknych zamków i pałaców, aby 3 października 2005 roku znaleźć się w Wersalu – znów w hotelu sieci Campanille. Jednak następną noc spędziliśmy w innym, kameralnym hoteliku.

Panie z tego hoteliku załatwiły nam miłego francuza, obwożącego turystów, gdyż akurat tego dnia w Paryżu zastrajkowali pracownicy metra i linii autobusowych. Pan mówił po angielsku, więc był z nim niezły kontakt i za 200 euro obejrzeliliśmy pałac królów Francji w Wersalu, a w Paryżu zwiedziliśmy katedrę Notre Damme i wjechaliliśmy na wieżę Eiffla. Podczas objazdu Paryża widzieliśmy też Luwr, Operę paryską, Łuk Triumfalny, Plac Inwalidów i inne ciekawe zakątki. Wieczorem w Wersalu zaprosiłem Ewę na kolację z prawdziwym, francuskim szampanem do hotelowej restauracji, gdyż w tym dniu obchodziliśmy jubileusz 25-lecia naszego ślubu! Z lampkami szampana w dłoniach złożyliśmy sobie życzenia, a trzech francuzów z pobliskiego stolika baczenie nas obserwowało. Jak się domyślałem, byli chyba bardzo ciekawi, jak moja żona wstanie od stolika po wypiciu pół butelki szampana. Nie wiedzieli, że dla Polaków i Polek szampan, to jak kompocik z bąbelkami. Następnego dnia wczesnym rankiem wyjechali-

śmy z Wersalu w kierunku Niemiec i Polski, by krótko po północy dojechać do Gozdnicy, do mojej chrzestnej, Władzi Grabkowskiej. Przez 10 dni przejechaliśmy około pięć tysięcy kilometrów po urokliwych zakątkach naszego kontynentu, co zarejestrowałem aparatem fotograficznym i kamerą filmową.

Gdy przypominam sobie zdziwienie staruszka we Francji, czy Niemca na stacji paliw, że Polacy jako turyści u nich, a nie skupujący auta czy szukający pracy – mam pewną satysfakcję. Jednak bardzo zależy mi, aby moje dzieci i wnuki nadal mogły jeździć na narty do Austrii i Włoch i aby w „normalnej” części Europy nie było już nigdy granic, wojen, itd.

Zimą 2006 roku przeżyłem trudne chwile, gdy w wieku 49 lat rodzina namówiła mnie abym zaczął jeździć na nartach. Rok wcześniej zaczęła narciarską przygodę moja żona, Ewa. Pierwsze chwile na nartach w Szklarskiej Porębie to był dla mnie koszmar. Po jednym „zsunięciu” się z Puchatka (ok. 1,5 km lekkiej trasy) byłem wykończony fizycznie, jak i mąż Oli, Krzysiek Grenda, który mnie asekurował. Jednak drugiego dnia było już lepiej, bo nieco sprawniej „zjechałem” trzy razy. Trzeci dzień dał mi już sporą swobodę, bo „złapałem” o co w tym chodzi. Nie przewróciwszy się ani razu, dojsz sprawnie zjechałem osiem razy za dnia i trzy razy wieczorem przy sztucznym oświetleniu. Niewiarygodne, ale instruktor wcześniej nauczył Monikę jeździć na nartach w godzinę. Okazało się co znaczy młodość – czyli 17 lat! W następnych latach jeździliśmy w Alpy do Austrii, gdzie przyzwocię sobie radziłem nawet na 3.000 tysiącach metrów (Kitzsteinhorn – szczyt 3.250m), ale nie na najtrudniejszych, czarnych trasach. Jeździliśmy na nartach z naszymi córkami, zięciem oraz znajomymi z Sieradza (Waldek i Agnieszka Solińscy) i ze Zduńskiej Woli (Stolarczykowie, Pietrzakowie i inni). Po tych i następnych europejskich wояżach (Ola z mężem, moją żonę i innymi jeżdżą teraz we włoskie Alpy na narty), zdałem sobie sprawę jak przez 20 lat zmieniło się prawie wszystko – tak w Polsce jak i w Europie. Wcześniej trudno było w PRL – u o paszport i jeszcze trudniej o wizę „zachód”.

Po 1989 roku zniknęły jak złe duchy przeszłości wszelkie ograniczenia, wstąpiliśmy do NATO, później do Unii Europejskiej, aż w końcu układ z Schengen otworzył nam granicę Europy. Wcześniej (np.: 1980 rok!) nawet nie marzyłem, że coś takiego się stanie, że będę mógł zwiedzać inne, już nie obce, czy wrogie kraje i że będzie mnie i moją rodzinę na to stać. W końcu – wreszcie i Polska i Polacy zaznali sporo szczęścia!

Zmiany polityczno – ustrojowe dały społeczeństwu i mojej rodzinie możliwość zrobienia dużego „skoku do przodu” w każdej sferze. W wierszu „Rysa na dobrych czasach próbuję objąć co dobrego i złego przyniósł czas i ułomności rodaków. Niestety, fortuna czasem pokazuje swe gorsze oblicze i po wielu latach zdarzeń dobrych – przyszły lata z problemami o skutkach czasem mocno dotkliwych, lub wręcz niebezpiecznych.

W spółce „Elewator Sieradz” pojawił się niemiecki kapitał po zakupieniu w niezbyt klarownych okolicznościach łódzkich Zakładów Zbożowo Młynarskich z/s w Pabianicach. Rok później (2006 rok) Polak z Gdańska na usługach niemieckiego kapitału, odwołał dyr. Stanisława Busse, jednocześnie szefa mojej Rady Nadzorczej. W zamian za niego do Rady Nadzorczej delegował coraz mniej „kumatych” osobników. Próbował następnie obalić ustalenia z umowy Spółki, ale wraz z pozostałymi udziałowcami nie daliśmy mu na to szans. Przeszkadzał więc jak tylko mógł w prowadzeniu biznesu i wszystko krytykował – mimo, że co roku wypracowywany był zysk finansowy – przez 12 lat z rzędu! Gdy więc pod koniec 2006 roku przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim”, że „Społem” w Pabianicach ogłasza konkurs na Prezesa Spółdzielni, postanowiłem złożyć tam swój akces. Przez dłuższy czas nie było odzewu, lecz pod koniec lutego 2007 roku otrzymałem zaproszenie na rozmowę. Okazało się bowiem, że R.N. Spółdzielni unieważniła wyniki i wybór Prezesa z konkursu i przystąpiła ponownie do poszukiwania odpowiedniego kandydata.

Po 2 – 3 rozmowach w marcu i kwietniu, w maju odbyło się posiedzenie R.N Spółdzielni, na którym spośród 4 kandydatów wybrano nowego Prezesa. Wybrano Władysława Migonia, magistrą administracji z doświadczeniem i sukcesami w prowadzeniu firmy, mającego wtedy 50 lat. Był to 30 maja 2007 roku. Następnego dnia wysłałem faksem pismo do wspólników Sp.z.o.o., „Elewator Sieradz” o mojej rezygnacji z funkcji Prezesa Zarządu. Szybko zwołano posiedzenie R.N Sp, powołano nowego Prezesa a mnie wypłacono z sowitą oprawę, zgodnie z umową o pracę. W czerwcu zdawałem obowiązki w Sieradzu i przyjmowałem w Pabianicach, gdzie na początek zgodziłem się na pensję prawie o połowę niższą – tak miałem dość „pieska łańcuchowego”, niemieckiego właściciela z Gdańska. Jak się miało okazać – trafiłem jak w przysłowiu; „, z deszczu pod rynnę”!

Nie dość, że była to ćwierć tysięczna załoga (10 razy większa niż w Sieradzu), to okazało się, że Spółdzielnia przez ostatnie 24 miesiące przed moim przyjściem odnotowała prawie jeden milion zł strat! Stąd pewnie zmiana Prezesa który zresztą od właśnie dwóch lat był już w wieku emerytalnym – nazywał się Bogusław Chmielewski. Spółdzielnia prowadziła wtedy dwie piekarnie, 25 sklepów i Dom Handlowy „Trzy Korony”. Wszystko to wyglądało jakby czas zatrzymał się tu w latach 1960 – 1980! Mentalność większej części załogi również była z tamtych czasów.

Spółdzielnia wydawała rocznie około 8,5 miliona złotych na płace i pochodne (ZUS, itp.) na owych dwustu pięćdziesięciu pracowników i dwustu emerytów (fundusz socjalny, imprezy, zapomogi, itp.). Niestety poziom moralny, szczególnie głównych funkcyjnych okazał się porażająco niski. Byłem zmuszony podjąć kroki prawne usuwające przewodniczącą Rady Nadzorczej z uwagi na jej nepotyzm.

Aby wyprowadzić firmę z finansowych tarapatów musiałem też zmniejszyć liczbę sklepów (do 13 – tu), gdyż kumulowały one wyłącznie straty przez całe lata, na poziomie około 2 mln zł rocznie!

Zamknąłem też mniejszą piekarnię przy ul. Bocznej, bo corocznie przynosiła straty w wysokości 80 – 100 tys. zł. Kontrola wynajmu i dzierżaw lokali i terenów, również wykazała wiele nieprawidłowości! Ich „wprostowanie” i regulacja czynszów przyniosły zwiększenie wpływów z tego tytułu z 1,8 mln zł do 2,1 mln zł w skali roku. Okazało się też, że mój pierwszy wgląd w dokumentację księgowo – podatkową, to wykrycie nieprawidłowego naliczania podatku dochodowego od 2–3 lat. Zatrudniłem moją byłą główną księgową ze spółki „Elewator Sieradz” i z jej pomocą odzyskailiśmy z Urzędu Skarbowego w Łodzi 235,000 zł, oczywiście po ich kontroli! Wymienione działania i redukcja załogi o kilkadziesiąt osób (administracja, sklepy, piekarnia) i rezygnacja z niektórych usług zewnętrznych – spowodowały, że Spółdzielnia osiągnęła pozytywny wynik finansowy.

Niestety ciągnęła walka o wyprowadzenie firmy z długoletnich zaniedbań w prawidłowym zarządzaniu a szczególnie związanych z nieuczciwością, obłudą, egoizmem i hipokryzją większości spółdzielców – z „pokolenia na pokolenie”, po socjalistycznemu „grabiących” coś dla siebie w oparciu o znaną zasadę z tamtych czasów; „jak coś wspólne, to i moje”. Rewelacje te doprowadziły moje zdrowie do fatalnego stanu! Jedna ze znajomych osób podsumowała te postawy słowami: „tylu paskudnych ludzi w jednym miejscu jeszcze w życiu nie widziałam!”. Po dwóch latach pracy moje ciśnienie krwi osiągnęło poziom 240/140, co powodowało, że ból rozsadał mi głowę. Mój dobry znajomy i świetny adwokat z Łodzi, mec. Sławomir Tomalczyk polecił mi swoją koleżankę, ordynatora oddziału kardiologii szpitala w Zgierzu. Pani dr hab. Komorowska, była pierwszym lekarzem, który obrazowo i fachowo wyjaśnił mi skąd i jak bierze się ciśnienie krwi, bo sama miała okazję wcześniej z nim powalczyć. Stosując się do jej rad żywieniowych i innych w ciągu dwóch miesięcy zmniejszyłem swoją wagę ze 108 kg do około 102 kg. W sierpniu 2009 r. znalazłem się w łódzkim szpitalu im. Kopernika ze skierowaniem od dr Komorowskiej na przeprowadzenie koronografii, czyli na przegląd tętnic. Pomimo, że miałem ciśnienie 230/120, niejaki dr Piotr D., „zabrał się do roboty”, co spowodowało potworny ból głowy, spadek tętna do 36 uderzeń serca na minutę, wzrost ciśnienia do 260/130 i poczucie „odpływania w rozświetloną, bezbolesną nicość!”.

Po bardzo ciężkiej nocy okazało się, że straciłem około 50% wzroku – nie widziałem nic od środka pola widzenia w lewą stronę. Badanie na tomografie wykazało krwiak w mózgu w prawej potylicy – z tyłu głowy!!! O dziwo nie wystraszyłem się, lecz byłem wściekły na bezmyślnego „doktoraka”, którego nie powstrzymały moje słowa o potwornym bólu głowy, co zakończyło się wylewem krwi do mózgu

i – jak się okazało za tydzień – do opłucnej!, gdzie wywiązał się stan zapalny, skutkujący bólem i trudnościami z oddychaniem. W dwóch instancjach sądowych panie lekarki, biegłe sądowe (jedna nawet mnie nie widziała!) uznały, że „doktorek” nie popełnił błędu – czym wybroniły swojego koleżkę z Łodzi i to jeszcze ja musiałem im zapłacić za ich „rzetelne opinie”. Reguły działania wymiaru sprawiedliwości niestety do dziś nie spełniają wielu europejskich standardów, co do ochrony poszkodowanego obywatela. Po kilku miesiącach (w grudniu 2009 roku) wróciłem do pracy i ze zdumieniem pytałem R.N na ich posiedzeniu – co się stało w II półroczu, gdy mnie nie było, że powstała strata finansowa?! W pierwszym półroczu, gdy pracowałem Spółdzielnia miała zyski. Odpowiedzi nie było!

Po powrocie do pracy zacząłem wymieniać stare, prawie muzealne, piece piekarnicze na mazut!, kupując dwa nowe, nowoczesne oraz maszyny do produkcji ciasta i formowania bochenków chleba. Inwestycje te wraz z poprawą sfery socjalnej załogi piekarni kosztowały około 850 tys. zł. Poza tym piekarze w ciągu 6 lat dostali ode mnie kilka podwyżek, (łącznie około 40%) za swą dobrą, fachową pracę. Piekarnia zaczęła przynosić kilkuset tysięcy zyski, wspierając finanse Spółdzielni.

Niestety, kilkuletnie „tępienie” nieuczciwych postaw, szczególnie w handlu, zainstalowanie kamer w piekarni i w placówkach handlowych, zwolnienia z pracy (nawet dyscyplinarne za najcięższe przewinienia) – spowodowały, że Prezes Spółdzielni zaczął być spostrzegany jak przysłowiowy „pies ogrodnika”. I to pomimo tego, że po światowym kryzysie finansowym gdy i nas dotknęły pewne problemy finansowe – wystąpiłem do R.N. o półroczne obniżenie swojej pensji o 20%, łącznie o 18.000 zł. Wcześniej oddałem też kilka tysięcy złotych na zakup klimatyzacji gdyż w biurówcu nie było ani jednego klimatyzatora i panował tu latem upał i zaduch, niesprzyjającej dobrej pracy. W urzędzenia te wyposażone zostały również sklepy a nawet jadalnia w piekarni. Klimatyzacja w SDH, „Trzy Korony” kosztowała około 25.000 zł! Obiekt ten został też z zewnątrz i wewnątrz pomalowany a ogromne trzy korony na dachu zostały odnowione i podświetlone. W 2012 r. Spółdzielnia posiadała już milionową rezerwę finansową, wynikającą z wielu działań gospodarczych, reklamowych i organizacyjnych. Dużo dało ograniczenie zatrudnienia, które spadło poniżej 200 osób, co przyniosło obniżenie wydatków płacowych o około 2 mln zł! rocznie. W roku 2012 zasoby finansowe Spółdzielni wzrosły o ponad 800 tys. zł, co przyniosło w 2013 r. zwiększenie rezerw gotówkowych w banku do 1,5 miliona złotych, plus 300 tys. zł za tzw. majątek wspólny miało wpłynąć na konto jesienią 2013. W takich okolicznościach Rada Nadzorcza zaopiniowała pozytywnie moje sprawozdanie, ale do czasu Walnego Zgromadzenia w dniu 27 czerwca 2013 r., coś się zmieniło i „szanowne gremium” odwołało mnie ze stanowiska w dniu moich imienin. Zapewne mieli już dojść takiego

Cerbera na „swoich starych śmieciach” – a poza tym uznali zapewne, że jeśli jest tyle „kasy” w firmie, to oni już sobie sami poradzą. Owszem, nie czułem się komfortowo, że w wyniku zмовy „pokrzywdzonych” zostałem odwołany, ale miałem już tak duże problemy ze zdrowiem, że dwa tygodnie wcześniej sam deklarowałem Przewodniczącemu R.N. Michałowi Nowakowi (awansowałem go na kierownika piekarni z wysoką pensją), że będę chciał kończyć powoli pracę a jego wysłę na kursy menadżersko – finansowe, aby mógł objąć funkcję prezesa. Rychło dobry los dał mi za „chwile” 16.07.2013 r. ogromną radość w postaci wnuczka, którego imię Aleksander osobiście sugerowałem jego rodzicom. Opiekowanie się wnuczkiem i obserwowanie jak malutki człowiek, również z moimi genami rośnie, rozwija się fizycznie, rozumie i umie coraz więcej (liczy po angielsku mając 4 lata!) – dało, mi jako dziadkowi wielką dumę i miłe wzruszenia. Dziś w listopadzie 2018 r. już regularnie chodzi na lekcje angielskiego. Kiedyś było to nie do pomyślenia. Okazało się, że dotychczasowe, osobiste sukcesy życiowe i zawodowe opisane wcześniej, oraz odznaczenia typu: Zasłużony dla Pożarnictwa, Zasłużony dla Rolnictwa, Medal od Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, czy nawet odznaka Zasłużonego Honorowego Dawcy Krwi za oddanie ponad 7 litrów krwi – stały się mało istotne wobec malej, lecz wspaniałej osobki wnuczka Aleksandra!

Próbuję sobie wyobrazić jaki będzie, gdy dorośnie i proszę Opatrzność, aby pozwoliła mi dożyć tych dni. Jednocześnie jednak przychodzi refleksja, że gdy ja dorastałem i w końcu osiągnąłem pełnoletność oraz dostałem dowód osobisty – mój pogodny i zrównoważony dziadek, Józef Roźniecki, powoli pochylał się pod brzemieniem mijających lat. Okazał się jednak twardzielem i pomimo niełatwego życia – miał ponad 92 lata, gdy zmarł w mieszkaniu swej córki Jadwigi, która po śmierci męża przeniosła się do Zduńskiej Woli. Gdy pisze te słowa, jest 20 listopada 2018 r. W naszej ludzkiej skali niby długie, ponad 60 lat życie dosłownie przemknęło mi przed oczyma. A pamiętam, gdy już w Zduńskiej Woli w 1968 r. mając 11 lat pomyślałem sobie: „jaki ja będę stary w 2000 roku, będę miał 43 lata!”. Dużo później, gdy nakazy dorosłości wymuszały duże tempo życia z uwagi na ważne obowiązki rodzinne, pracę, zdobywanie wykształcenia i dorobienia choćby na wyjazdach do „demoludów” – zacząłem się zastanawiać dlaczego i do czego tak gnamy. W końcu uznałem, że coś może być w zapisach „świętych” ksiąg, gdzie stwierdza się, że Najwyższa Istota „stworzyła nas na swój obraz i podobieństwo”. A skoro tak, to my, pokolenie po pokoleniu dążymy do tego podobieństwa. Bo jakie było by to podobieństwo, gdybyśmy nadal siedzieli wokół ogniska przy wejściu do jaskini.

Mam nadzieję, że kiedyś mój wnuczek Aleksander i jego potomkowie znajdą się o wiele bliżej „pierwiastka nie z tego świata” niż my – i to bez wojen, głodu i chorób. Po długich, wieloletnich rozważaniach pomyślałem, iż jest możliwe,

że, „Ktoś” musiał nam w przeszłości wszczepić swój „boski” gen, który pcha nas nieustannie do przodu, obecnie już w bezmierne przestrzenie kosmosu. Konkluzja ta wynika z porównania okresu rozwoju homo sapiens (około 200–300 tys. lat) a ogromem czasu w jakim rozwijały się na naszej planecie dinozaury. One, mając 120 mln lat do dyspozycji i znakomite warunki do życia, nie były w stanie przez całe ery wykształcić mózgów, które pozwoliły by im wytworzyć choćby proste narzędzia i zręby jakiegokolwiek cywilizacji!

Wiele wskazuje na to, że rozwój cywilizacji na naszej planecie może nie być jedynie efektem ślepej ewolucji, której kierunków rozwoju nie sposób przewidzieć – lecz rozmyślnej ingerencji, „nie z tego świata”. Mam nadzieję, że ta interpretacja jest choć w części trafna, a to daje nadzieję, że gatunek ludzki będzie się w stanie rozwijać głównie w tę pozytywną stronę. Wtedy nasi potomkowie za kolejne setki lat będą żyć w jeszcze lepszym świecie niż nasze pokolenie. Oby tak się stało!

Zduńska Wola, 2018 rok

Sto lat mojej chłopskiej rodziny w niepodległej Polsce

WYRÓŻNIENIE

Moja rodzina jest chłopska i po mieczu i po kądzieli. Nazwisko Jęczeń nie jest stare. Bierze swój początek z parafii Matczyn koło Lublina. Żona mojego dziadka Jęczenia, a zarazem moja babcia, także była z domu Jęczeń. W domu śmiejemy się, że w naszych żyłach płynie dwa razy więcej krwi Jęczeniów niż krwi Kowalskich w żyłach przeciętnych Kowalskich.

I faktycznie, moja babcia była spokrewniona ze swoim mężem dość blisko, ale nie na tyle, by prawo cywilne czy kanoniczne zabraniało ożenku. Jak podaje Internet, w Polsce mieszka niewiele ponad 200 Jęczeniów. Natomiast moi dziadkowie od strony mamy to Walczakowie. Żona dziadka Walczaka była z domu Stadnik. Oba te nazwiska nie są tak rzadkie jak nazwisko Jęczeń.

Wszyscy oni wywodzą się z obszaru otaczającego na kilkanaście kilometrów parafię Matczyn, nieopodal parafii Babin (która wywodzi się z parafii Matczyn) i parafii Konopnica, która obecnie znajduje się na obrzeżach Lublina. Wszyscy moi pradziadowie leżą na tych przykościelnych katolickich cmentarzach. Dziadek Walczak, który zmarł w 1989 roku (miałem wtedy niecałe 10 lat), pod koniec lat 30. XX wieku przeprowadził się z żoną do Kolonii Chmielnik za Bełzycami, jakieś 10 km od Matczyna, gdzie mieszkali moi dziadkowie Jęczeniowie, czyli też w tych samych okolicach. A pochodził z Radawczyka, czyli też wsi położonej niedaleko od Matczyna.

Obecnie dziadek i babcia Walczakowie spoczywają na cmentarzu w Bełzycach – na dobrą sprawę niemal widać to miasteczko z Matczyna. Można nieco patetycznie powiedzieć, że cała moja rodzina wywodzi się z macierzy, jaką jest *nomen omen* Matczyn, bo dziadek i babcia Jęczeniowie całe życie mieszkali w Matczynie i spoczywają na matczyńskim cmentarzu.

Obecnie najwięcej ludzi o nazwisku Jęczeń jest właśnie w okolicach Matczyna i Lublina, następne skupisko nosicieli tego miana to przede wszystkim Warszawa, do czego przyczyniają się mieszkający tam moi dwaj bracia z rodzinami. Jest to na pewno zaszczyt nosić tak rzadkie nazwisko, niestety z jego pisownią zawsze mają kłopot osoby, które stykają się z nim po raz pierwszy. Obrazującą to anegdotą jest

sytuacja w sklepie AGD, kiedy to kasjerka poprosiła o moje dane do wystawienia faktury. Pomny na ciągle błędy, wręczyłem jej dowód osobisty, żeby sama przepisała nazwisko. Mimo to, kiedy wyszedłem ze sklepu, na fakturze i tak odkryłem nazwisko z błędem. Osoby, które ze słyszenia zapisują moje nazwisko od razu poprawnie, należą do rzadkości.

Mój dziadek Jęczeń urodził się w 1906 i zmarł, tak jak mój dziadek Walczak, w 1989 roku. Odszedł z tego świata jako wdowiec i do ostatnich dni mieszkał w Matczyniu. Z moją babcią miał sześcioro dzieci, ale tylko dwoje ostatnich przeżyło wiek dziecięcy, czyli mój stryjek i mój tata, najmłodszy.

Umieralność dzieci, choć brzmi to okrutnie, w pierwszej połowie XX wieku była jeszcze zjawiskiem normalnym, podobnie zresztą jak zgony rodzących kobiet. Wdowiec i wdowa byli osobami, które można było spotkać często i nierzadko były to osoby młode, które szybko zawierały ponowny związek małżeński, w którym rodziły się kolejne dzieci, mieszając się z tymi z poprzedniego związku. Antykoncepcja oraz rozwody były – w pierwszym przypadku – zazwyczaj bezskuteczne, a w drugim przypadku, niemal niespotykane. Choć jednak dzietność była wysoka, moi dziadkowie Walczakowie mieli tylko jedno dziecko, czyli moją długo (kilkanaście lat) wyczekiwaną mamę. Moja babcia, jej mama, zawsze jednak, choć miała tylko jedno dziecko, mawiała do mojej mamy, że dziecko to wielki dar i może właśnie dzięki temu moi rodzice nie poprzestali na trzech synach i na świecie pojawiłem się ja – jako czwarty.

Moja babcia Jęczeniowa urodziła się rok przed swoim mężem, w 1905 roku, natomiast dziadek Walczak to rocznik 1911, a jego żona 1915. Nazwisko Walczak, chociaż popularne, jest w mojej rodzinie znaczące, gdyż mój pradziadek Józef Walczak w 1905 wraz z wojskiem carskim walczył w Mandżurii z Japończykami. Jak wiadomo z kart historii, Rosja przegrała tę wojnę, a żołnierzom cara Azjaci zgotowali rzeź. Tak też to opowiadał mój pradziadek, którego nie miałem szans poznać. Wspominał straszne walki na broń białą z japońskimi żołnierzami. W każdym razie, niewielu wróciło z Dalekiego Wschodu, a mój pradziadek za waleczność otrzymał bele cennych tkanin, które bodaj jeszcze w Rosji spieniężył i w rodzinne strony, należące do zaboru rosyjskiego, wrócił jako człowiek dość zamożny, dzięki czemu mógł ożenić się z moją prababcią. Ale to nie był koniec jego żołnierskiej posługi, bo w 1918 roku walczył w Legionach (poświadczają to archiwa dostępne w Internecie).

Nie wiadomo, czy wskutek jakichś ran, czy może złych warunków w okopach, mój pradziadek stracił zdrowie i nie dożył późnego wieku. Spoczywa teraz na cmentarzu w Konopnicy, czyli na terenie Lublina.

Jego syn, a mój dziadek Jan Walczak, od młodości łysy, pamiętał pobojowiska po jednej z bitew I Wojny Światowej, jaka miała miejsce niedaleko Lublina. Miał

wtedy około 7 lat i młody wiek uchronił go przed tym, co zrobili jego starsi kole-dzy – pamiętam jak sam mi to opowiadał. Otóż chłopcy znaleźli na polu po bitwie jakiś niewybuch i chcieli uzyskać z niego proch. Rozbrajanie pocisku przerwała eksplozja i część chłopców zginęła, a część postradała koniczyny. To w zasadzie jedyne wspomnienie z czasów I Wojny światowej, jakie słyszałem z ust bezpośredniego świadka.

Wtedy to Polska wydzwignęła się do niepodległości, częściowo wskutek sprzy-jających okoliczności polityczno-militarnych, a częściowo wskutek inicjatywy sa-mych Polaków. Moi dziadkowie i babcie byli już wtedy na świecie, ale jako dzieci nie pamiętali z tamtego okresu niczego, co ma historyczne znaczenie.

Życie na wsi w pierwszej ćwierci XX wieku było ciężkie. Maszyny były rzad-kością. Niemal wszystko robiono ręcznie albo za pomocą prostych narzędzi typu kosa, sierp, cep, widły czy szpadel. Traktory w Polsce na dobre pojawiły się do-piero w latach sześćdziesiątych. Wcześniej w polu pracowano końmi. Mój tata, który miał jeszcze do czynienia z tymi zwierzętami pociągowymi, nie ma z nimi związanych dobrych wspomnień. Niekiedy trafiały się zwierzęta uparte, niechące wykonywać poleceń. Poza tym były niezwykle niebezpieczne. Wady te jednak nie przeszkadzały mojemu dziadkowi Walczakowi być zapalonym koniarzem (gwa-rowo „kuniorzem”) i faktycznie znalazłem po jego śmierci wśród szpargałów po nim legitymację Związku Hodowców Koni. Ciężko mi dokładnie powiedzieć kie-dy nastąpiła elektryfikacja wsi, ale mam jeszcze silnik Siemens’a sprzed II Wojny Światowej, trójfazowy, więc prąd zapewne pojawił się w latach 30. Przedtem życie toczyło się niemal zupełnie wraz z rytmami natury – długi sen w zimie, krótki w le-cie. Główną rozrywką, kiedy nie było prac typu młocka zboża, były tzw. bajdy, czyli chodzenie „po chałupach” i opowiadanie sobie plotek albo różnorodnych historii.

Konopielka Redlińskiego opisuje tzw. dziada, który chodzi i za żywność i ciepły ką-t, bodaj w oborze, opowiada nowiny z okolicy i ze świata. U moich dziadków w Matczyni po II Wojnie Światowej przez jedną zimę mieszkał jeden z takich „dziadów”, a było ich wtedy sporo chodzących po wsiach, bo wojna pozbawiła wie-lu ludzi rodzin, dobytku, domy zostały spalone. Ten bezdomny przybłęda dostawał jedzenie od mojej babci, a dziadek zrobił mu wygodne leże w oborze. Z naszego punktu widzenia nie było tam higienicznie (insekty), ale pomiędzy gospodarskimi zwierzętami było przede wszystkim ciepło. Niedługo potem „dziad” trafił do domu opieki społecznej w utworzonym w pobliskim podworskim budynku i opowiadał do mojego dziadka, że nawet w niebie nie może już mu być lepiej. W domu opieki miał bowiem ciepłe jedzenie, dach nad głową, a dla siebie łóżko.

W tym momencie nasuwa mi się inne wspomnienie mojego taty, ale już z lat powojennych. Otóż był w Matczyni pewien staruszek, który nie wiedział nawet jak wyglądają pieniądze. Był utrzymywany przez rodzinę, a emerytur jeszcze wtedy

na wsi nie było. Jedzenie dawał mu syn czy córka, kupowano mu ubrania, a że był zniechęcony, nie jeździł do miasta (najbliższe to Bełżyce, przed wojną zamieszkałe głównie przez niezasymilowanych starozakonnych) na żadne zakupy, dlatego nie posiadał żadnej gotówki i nie miał z banknotami PRL-u do czynienia. Wiele z tego można słusznie powiedzieć o tzw. komunie, ale emerytury dla rolników, jakkolwiek niskie, to był prawdziwy postęp. Starsi ludzie mieli odtąd na podstawowe wydatki, przez co nie czuli się już aż tak zupełnie obciążeniem finansowym dla rodziny.

Lata dwudziestolecia międzywojennego to dla moich rodzinnych wspomnień okres dość mglisty, skoro mój tata urodził się w czasie II Wojny, a mama tuż po (więc lat przedwojennych ani czasu wojny nie mogą pamiętać), natomiast jedna babcia zmarła przed moimi narodzinami, druga 4 lata po moim urodzeniu, a obaj dziadkowie, kiedy miałem niespełna 10 lat. Z roku 1936 zachował się oprawiony (pewnie jeszcze przed wojną) rocznik „Gazety Świątecznej”, którą prenumerowała moja babcia, kiedy mieszkała jeszcze jako panna w Babinie (wieś kilka kilometrów od Matczyna, która w zamierzchłej przeszłości zasłynęła jako Rzeczpospolita Babińska czyli autonomia na wesoło w sercu Rzeczypospolitej). „Gazeta” ta, oprawiona w twarde okładki, stoi u mnie na półce, a wertowanie jej jest zajęciem niezmiernie ciekawym. O ile mi wiadomo, brat mojej babci, nazwiskiem Stadnik, był kimś w rodzaju dziennikarza, a w każdym razie publikował w prasie międzywojennej. Sądząc po czytelnictwie mamy mojej mamy (podobno często zgłębiała książki) i piśmiennictwie jej brata czyli wuja mojej mamy (oboje żyli w rodzinach typowo chłopskich), na wsi, a przynajmniej w mojej rodzinie, nie było analfabetyzmu, chociaż nie były to przecież warstwy społeczne z kręgu inteligencji. Zresztą, w mojej rodzinie zawsze były i są (na przekór przemianom technologicznym) obecne papierowe książki, do których zachęcam swojego 8-letniego syna, zresztą z pewnym powodzeniem (moje dwie córki są jeszcze za małe, by czytać, ale i tak mają już półeczkę swoich książek).

Obecnie bezpośrednio z rolnictwa żyje około 5% pracujących Polaków. Kiedyś większość rąk do pracy musiała znaleźć zatrudnienie przy uprawie roślin i hodowli zwierząt, bo nie było maszyn spalinowych ani elektrycznych, które – tak jak teraz – mogłyby wyręczyć ludzi. Praca kosą, sierpem, cepem, nasywanie ziarna wiadrami i przenoszenie w ciężkich worach – to nie jest wcale zamierzchła przeszłość. Jeszcze w połowie XX wieku, kiedy ludzkość znała już koszmarną moc bomby atomowej, rolnik, kroczący za pługiem albo bronami ciągniętymi przez konia, robił nierzadko 40–50 kilometrów dziennie marszu i to na bosaka. Praca wypełniała niemal cały czas moich przodków, wypocząć można było tylko w święta kościelne, choć nie od zwierząt gospodarskich, bo przecież krowę trzeba wydoić także w niedzielę, a świnie są głodne także w Boże Na-

rodzenie. Czas pracy i odpoczynku zależał od cyklu przyrody. Kiedy wymagała tego sytuacja, np. we żniwa, pracowało się ile się da, a odpoczywało się dopiero wtedy, kiedy był czas na ten odpoczynek.

Moi dziadkowie Walczakowie przed II Wojną Światową zamieszkali w Kolonii Chmielnik i zostali tzw. kolonistami. Ta wieś to było wtedy w zasadzie tylko kilka gospodarstw przy polnej drodze wiodącej z Chmielnika (wsia nazwanej tak być może z powodu postoju Chmielnickiego, ale faktem też jest, że w tych okolicach uprawia się chmiel) do Bełżyc. Mieszkańcy Kolonii Chmielnik to osoby napływowe, dlatego ta wieś jako stosunkowo młoda (teraz, w 2018 roku, ma około 100 lat) i można mówić o specyficznym charakterze żyjących tu ludzi – koloniści to osoby napływowe, zbieranina, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. W starych wsiach często przez pokolenia ciągną się dawne niesnaski i wzajemna niechęć, spowodowane wydarzeniami, których nikt już nie pamięta. Każda kolonia buduje swoją tożsamość od nowa, a ludzie – zakładający gospodarstwa na nowej ziemi – muszą być siłą rzeczy nieco bardziej przedsiębiorczy i pracowici.

Lata II Wojny światowej to był czas wymordowania milionów Polaków z rąk sąsiednich narodów. Dla tych, którzy przeżyli był to ciężki okres, w którym liczyło się tylko to jak przeżyć, a zagrożeniem byli nie tylko okupanci czy bandyci, ale po prostu głód. „Za Niemca” – jak to się potem mówiło – zabijanie świń bez zezwolenia było karane śmiercią. Ale już podczas zaborów Polacy nauczyli się, jak omijać odgórne zalecenia i prawo (co obecnie utrudnia współżycie i współpracę Polaków), dlatego w czasie wojny na wsiach świnie nadal były zabijane na mięso, bez zgody Niemców. Pewnego razu do gospodarstwa moich dziadków przyjechali okupanci, wojskowi. Chwilę wcześniej było świnioobicie. Na szczęście wszystko zostało schowane, a jedynym śladem niedozwolonego czynu był zakrwawiony nóż, który zaczął oblizywać podwórkowy pies. Niemiec rozpoznał, co się stało, podniósł okrwawione ostre narzędzie i łamaną polszczyzną powiedział, żeby mój dziadek sprzątnął nóż, bo się pies pokaleczy w język. Dziadek szybko przyniósł najpiękniejszy kawał polędwicy i sprezentował hitlerowcowi, czym wykupił się od rozstrzelania. Niemiec widocznie nie był aż tak porządny, jak można by mniemać po stereotypach, bo łapówkę przyjął i dziadek przeżył.

Jeszcze w latach dwudziestolecia międzywojennego dziadek Walczak mieszkał w Radawczyku, a obok niego koloniści niemieccy. Dzięki temu umiał nieco mówić po niemiecku, a współlegzystencja obok niemieckich kolonistów była, o ile mi wiadomo, bezkonfliktowa.

Życie nie jest czarno-białe, a wspomnienia okupanta niemieckiego nie były tylko negatywne. Mój tata urodził się w 1943 r. Jakiś Niemiec stanął nad jego wózkiem czy kołyską i pyta: „un czy una?” (on czy ona? – ze względów praktycznych Niemcy stacjonujący w polskich wsiach uczyli się gwary, a nie języka literackiego).

Moja babcia odpowiada, że to chłopiec, na co hitlerowiec wyciągnął z wojskowej torby cukierka i dał mojemu tacie.

Nigdy przed wojną ani po wojnie świeżo obsiane trawniki nie były tak pilnowane, jak „za Niemca”. W Bełżycach jakiś chłop chciał sobie skrócić drogę przez świeżo zasiany trawnik, za co hitlerowiec potraktował go pejczem. Była to przemoc, ale jakże inna od tej, jaką przynieśli ze sobą bolszewicy. Niemcy rozsiewali bestialstwo zorganizowane, Rosjanie to była po prostu dzicz.

Kiedy wojska niemieckie jechały przez Matczyn podbijać ZSRR, moja babcia przez kilka dni nie mogła przejść na drugą stronę drogi. Tysiące żołnierzy, czołgów, dział, ciężarówek na prostej kobiecie ze wsi zrobiły tak wielkie wrażenie, że była pewna, że nie ma takiej siły, która byłaby w stanie powstrzymać wojska hitlerowskie. Wszyscy byli pewni, że armia Hitlera jest niezwyciężona, a Związek Radziecki musi przegrać. O ironio, kiedy Niemcy wycofywali się, przez Matczyn gonił ich radziecki żołnierz – jeden, w źle dopasowanej kufajce, a karabin nie miał paska tylko sznurek.

Mój stryjek, czyli starszy brat taty, po wojnie służył w wojsku, ale żołnierze zostali skierowani do pracy w śląskich kopalniach. Stryjek rozmawiał tam ze Ślązakiem, który walczył po stronie niemieckiej (zmuszony) na froncie z bolszewikami. Opowiadał, że był na stanowisku z dwoma CKM-ami i podawał taśmy z amunicją. Rosjanie wybiegali masowo zza jakiegoś wzgórza i padali pokotem od kul z karabinów maszynowych. W końcu CKM-y zaczęły się przegrzewać i choć strzelał raz jeden, raz drugi karabin, Rosjanie cały czas zalewali ich powodzią ludzi, aż w końcu Niemcy musieli się ewakuować. ZSRR to była siła, w której śmierć jednego człowieka albo miliona ludzi nie miała znaczenia. Chodziło tylko o to, by powstrzymać najeźdźcę – i choć bezwzględna, ta taktyka okazała się skuteczna.

Kiedy Niemcy wycofali się z Matczyna, w gospodarstwie moich dziadków Jęzczeniów stacjonowała jednostka szewców armii radzieckiej. Na początku, kiedy wojskowi przyjechali do gospodarstwa dziadków, mój dziadek żniwował. Rosjanie byli ciekawi, jak wygląda „pomieszczyk” czyli właściciel ziemski, u którego mają stacjonować. Ale kiedy wrócił umorusany z pola (coś mu się zepsuło), zaczęli się śmiać: „ale pomiessczyk!” Bolszewicy szewcy reperowali buty dla wojska i byli przyjaźni wobec swoich przymusowych gospodarzy.

Mój tata, urodzony w połowie 1943 r. tak bardzo osłuchał się z językiem rosyjskim, że – jak głosi rodzinna anegdota – na początku lepiej mu szło mówienie w tym języku niż we własnym polskim.

Dziadek Walczak z Kolonii Chmielnik podobno współpracował z partyzantami Zapory, ale na czym ta współpraca polegała, nie wiadomo. Prawdopodobnie przemocował kilka razy partyzantów i dał im jeść, raczej jednak nie krążył z nimi z bronią w rękę. Mimo to po II Wojnie został wtrącony za tę współpracę do więzienia

w Lublinie, gdzie był torturowany wbijaniem drzazg drewnianych pod paznokcie. Wraz z nim aresztowano także jego znajomego, który z żoną w czasie wojny ukrywał Żydów. Moja babcia Walczakowa z żoną tego drugiego aresztowanego pojechały do Lublina i u żydowskiego adwokata wyprosiły uwolnienie mężów, do czego tamten skłonił się z powodu uratowania życia przetrzymanym Żydom. Bardzo szybko mój dziadek został uwolniony i dzięki jego ocaleniu mogła się w 1948 roku urodzić moja mama.

Tuż przed ucieczką Niemców z Lublina w czasie II Wojny moja babcia została zabrana na roboty przymusowe do obozu koncentracyjnego na Majdanek. Robotnicy nie mieli, tak jak więźniowie, złych warunków, ale przewodzący im Niemiec zastrzegł, że gdyby ktoś chciał opuścić z własnej woli stanowisko pracy, czeka go jedyna droga wydostania się z obozu — tu wskazał na krematorium — przez ten komin. Babcia opowiadała, że kiedy zawiął stamtąd dym, był on tak tłusty, że ludzki tłuszcz osiadał na ręce i kiedy przeciągnęło się po niej palcem, zgarniało się wałeczek tego tłuszczu tak, jakby się skórę miało posmarowaną maścią. Kapusta, która rosła na krematoryjnych popiołach, była podobno niezwykle wyrosnięta — co niemiecki nadzorca znacząco powiedział do robotników.

Babcia raz widziała, jak hitlerowcy ustawili naprzeciw CKM-u małe, żydowskie dzieci, tak małe, że nie były w stanie zapiąć sobie guzików. Niemiec bez emocji usadowił się na stanowisku karabinu maszynowego i skosił dzieci stojące przy murku. Natychmiast, bez patrzenia czy rozstrzelani żyją, ciała zostały zawleczone w stronę krematorium.

Okres wojny to był czas strat i bliskości śmierci. Pewnego razu przyszli Ukraińcy służący Niemcom do mojego dziadka do Matczyna. Kazali zaprzęgać konie i gdzieś się zawieźć. Nie było dyskusji ani mowy o zapłacie. Rad nierad, dziadek zaprzął wóz i wyruszył. Po drodze Ukraińcy zaczęli śpiewać, upili się, strzelali do wiwatu z ostrej amunicji, poniewierali swego Bogu ducha winnego woźnicę. W końcu, a była zima i noc, dziadek zrozumiał, że nie wyjdzie z tego cało jak tak dalej pójdzie. Zatrzymał wóz przy jakimś lasku, banda poszła za potrzebą, a on zostawił furmankę oraz cenne konie i uciekł. W ten sposób stracił to, co w gospodarstwie wartościowe, ale ocalił swe życie.

Ukraińscy SS-mani nie zapisali się chlubnie w świadomości mieszkańców mojej okolicy. Podobno w bełżyckiej boźnicy zabili siekierami (!) kilkuset Żydów. Włos jeży się na głowie jak ludzie ludziom mogli coś takiego zrobić.

Bełżyce, tak jak i wszystkie inne okoliczne miasteczka, to była osada w większości zamieszkała przez Żydów. Tamtejsze rodziny żydowskie, z tego co opowiadał dziadek (miasteczko to było najbliższe, oddalone o 6 km), były tak liczne jak tylko się dało. O ile katolicy mieli zazwyczaj po sześcioro-ośmioro dzieci, o tyle małżeństwa mojżeszowe miały po kilkanaścioro. W tych rodzinach bieda panowała

niesamowita. Wielkim wydarzeniem była kaczką lub kura przyrządzona w piątkowy wieczór. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby pojąć, że jedna kura na kilkanaście osób to nie było obżarstwo. Bełżycy Żydzi zajmowali się handlem, lichwą, drobnym rzemiosłem, a na miejscu ich cmentarza po II Wojnie urządzono... targ koński. Teren ten uświęcono dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to ogrodzono go estetycznym parkanem z wapienia.

Wydaje mi się, że antysemityzm to wynalazek czasów powojennych, kiedy to Żyd stał się jakąś mityczną postacią, ale nie z krwi i kości. Przed II Wojną goje i żydzi żyli obok siebie, robili wspólne interesy, znali się i tak jak sąsiedzi na całym świecie, byli sobie obojętni, lubili się lub nie darzyli sympatią. Taki sam był stosunek Polaków do Polaków – różny. Polska od samego początku była krajem tolerancji i tu swobodnie mogły współżyć ze sobą narody i nacje. Mój dziadek Walczak tuż po I Wojnie przyjaźnił się z niemieckimi kolonizatorami, a potem znał wielu Żydów, faktem jednak jest, że nie wszyscy Polacy ratowali Żydom życie tak jak Lewtakowie, dzięki którym po II Wojnie mój dziadek mógł opuścić areszt. Otóż byli w jego okolicy i tacy, którzy podobno za złoto wzięli na przechowanie osoby możeszowego wyznania i słuch po tych Żydach zaginęła. Podobno ten Polak wziął złoto, a Żydów zabił albo od razu wydał Niemcom.

W Kolonii Chmielnik są mogiły wojenne nieznanymi niemieckimi żołnierzami. Młodzi chłopcy podobno zostali zabici przez partyzantów. Na miejscu jednego z grobów stoi teraz w krzakach drewniany krzyż, wyglądający jakby faktycznie miał z 70 lat. Natomiast na drugiej, oddalonej o pół kilometra mogile, usypano spory kopiec, a obok ustawiono kapliczkę.

Mój dziadek od strony mamy niedawno przed śmiercią obiecał mi, że weźmie skądś prawdziwą szablę z lat wojny i mi da, ale słowa nie zdążył dotrzymać. Kiedy rozbierane były zabudowania z jego gospodarstwa (została z nich jedynie murowana piwniczka), obawialiśmy się jakiejś broni albo granatów. Niczego jednak nie odnaleziono. W 2013 r. rozebraliśmy drewnianą stodołę. Obok niej rosły drzewa, ale wcześniej były wycięte i w ziemi pozostały po nich pnie z korzeniami. Kiedy chciałem oczyścić teren na pole i wykopywałem pnie drzew i wrywałem korzenie liną metalową podczepioną do traktora, znalazłem m.in. 5 podków i... zardzewiała hitlerowski hełm. Skąd tam się wziął i jaka jest jego historia – nikt z żyjących tego nie wie. Żadnych ludzkich szczątków tam nie wykopałem, żadnej broni, żadnego złota.

Za wsią moich dziadków Jęczeniów w Matczynie w czasie wojny wylądował samolot aliancki. W efekcie Niemcy zrobili łapankę i kilkudziesięciu Matczynian zostało rozstrzelanych – lista nazwisk widnieje na tablicy pamiątkowej przy wejściu do tamtejszego kościoła, zbudowanego w połowie XX wieku. Stary, drewniany, bardzo urokliwy, który stał w tym miejscu, został rozebrany i przeniesiony

do skansenu na Sławinie w Lublinie. Raz w miesiącu odprawiane są w nim msze, a mam do niego duży sentyment, bo był w nim chrzczony mój tata i zapewne wielu moich przodków. Kościółek ten jest maleńki, co pokazuje jak niewielka jest i była parafia matczyńska, choć i tak kiedyś była nieco większa, dopóki nie powstał kościół w Babinie (bardzo podobny do obecnego w Matczynie), a wokół niego nieduża parafia.

Okres tuż po drugiej wojnie to był czas niepokoju. Po wsiach krążyły bandy, ni to partyzantów, ni to bandziorów, Zresztą jednych od drugich wcale niełatwo było odróżnić. Postacie tzw. żołnierzy wyklętych nie były moralnie czarno-białe. Niektórym partyzantka weszła w krew, a życie bez pracy spodobało się. Nie da się tu uogólniać, ale ludzie z moich okolic nawet o legendarnym Zaporze, którego mój dziadek Walczak znał i z powodu którego był torturowany tuż po wojnie, wypowiadają się różnie. Dla jednych partyzanci powojenni to bohaterowie, którzy stawiali opór władzy narzuconej siłą Polsce przez ZSRR, dla innych to bandyci i mordercy, którzy najeżdżali gospodarstwa i zabierali jedzenie i tak przymierającym głodem chłopom. Między Bełżycami a Kolonią Chmielnik jest od kilku lat rondo na trasie Lublin-Opole Lubelskie o nazwie Rondo Zapory. Nie jestem historykiem i nie chcę osądzać partyzantów. Nie wierzę też, że podczas wojennej zawieruchy można działać zupełnie czysto pod względem etycznym. Zawsze zdarzają się niewinne ofiary jako – brzydko to zabrzmie – efekt uboczny walki o przetrwanie narodu czy walki o życie i sprawiedliwość. Na przykład nie słyszałem, żeby u mnie na wsi ktokolwiek mówił z pogardą czy nienawiścią o pogrzebanych Niemcach, zabitych w czasie wojny. Byli to młodzi mężczyźni, których wojenne losy wyrwały z domu i cisnęły gdzieś na wschód, do jakiejś Kolonii Chmielnik, gdzie dosięgła ich seria z karabinu partyzantów ukrytych w krzakach.

Po wojnie cała Polska pomagała odbudowywać Warszawę, nawet moi dziadkowie z odległej Lubelszczyzny kupowali tzw. cegielki. Dlatego trzeba pamiętać, że Stolica nie jest teraz tylko własnością poszczególnych notarialnych posiadaczy działek i lokali, ale jest też symbolem całego kraju i w jakiś sentymentalny sposób należy do każdego Polaka.

Moi dziadkowie Jęczeniowie koniec wojny zapamiętali tak: babcia była na robotach przymusowych w obozie koncentracyjnym Majdanek (obecnie część Lublina). Bolszewicy, którzy – co by o nich nie mówić – ponosząc olbrzymie ofiary wyzwolili nas spod Niemców, byli już wtedy na Lubelszczyźnie. Mój dziadek siekierą działał druty kolczaste, żeby jego żona, a moja babcia mogła wyjść na wolność z morderczego obozu zagłady. Hitlerowiec jeszcze stał na wieżycze, ale już nie strzelał, nie reagował. Lada moment mieli nadejść Rosjanie, babcia została wyzwolona przez dziadka i tym sposobem zakończyła się polska gehenna, podczas której wymordowano miliony, a miasteczka takie jak Bełżyce, dotychczas w więk-

szości zamieszkałe przez Żydów, opustoszały. Szczęście w nieszczęściu, że z mojej najbliższej rodziny nikt nie zginął w czasie II Wojny Światowej. Stan chłopski czyli zwyczajne, proste zajmowanie się uprawą roli i hodowlą zwierząt gdzieś z dala od dużych miast, pozwoliły przetrwać lata wojny we względnym pokoju. Żołnierze muszą przecież jeść, dlatego nawet w czasach konfliktów tak totalnych jak wojna światowa, potrzebni są ludzie, którzy wyprodukują żywność, czyli m.in. rolnicy.

Po wojnie Polska weszła, nie mając wyboru, w czas nierozzerwalnej „przyjaźni” z ZSRR. Wiązało się to z obowiązkowymi dostawami żywności ze wsi, z gospodarką planową, usiłowaniem utworzenia PGR-ów (co na ziemiach Matczyna i Kolonii Chmielnik nie udało się). W latach pięćdziesiątych, kiedy to mój tata chodził do szkoły bardzo blisko, bo druga izba domu jego rodziców była przysposobiona na szkołę właśnie, dzieci dostały z Ameryki pomoc w postaci margaryny. W skali kraju na pewno ta pomoc była pokaźna, ale kiedy to jedzenie podzielono na wszystkie dzieci, mój tata dostał tak niedużą kosteczkę margaryny, że zjadł ją natychmiast niczym cukierka. Dzieci dziwiły się, bo słyszały, że to maselko jest zrobione z roślin i któreś z matczyńskich dzieci wmówiło pozostałym, że ta margaryna jest wykonana z drewna. Dzieci nie mogły się nadziwić, jak można coś, co wygląda jak masło, zrobić z drewna...

Z tego, co opowiada mój tata, urodzony w 1943 roku, żadnych zabawek wtedy na wsi nie było. Dzieci bawiły się wszystkim i niczym, np. za pomocą pogrzebacza biegając za fajerką od pieca kuchennego. Ale mój dziadek Walczak opowiadał mi w latach osiemdziesiątych (zmarł w 1989 roku), na które przypadało moje wczesne dzieciństwo, że przed wojną były drewniane zabawki, w co nie mogłem uwierzyć. Kiedy sam byłem dzieckiem w latach PRL-u i na początku lat 90. (urodziłem się w 1979 roku), wszelkie zabawki były z tandetnie sformowanego plastiku. Drewnianych nie było jeszcze. Pojawiły się w Polsce dopiero w drugiej połowie lat 90., kiedy już nie byłem dzieckiem.

Ale ja miałem trochę zabawek, np. podrabiane klocki Lego, które Lego przypominały jedynie zasadą łączenia elementów i niczym więcej. Natomiast mój tata w połowie XX wieku nie miał chyba żadnej zabawki. Za czasów dzieciństwa mojego taty jak i mojego własnego nie było problemu typu „co kupić dziecku, bo wszystko już ma?”

Tata opowiadał, że około roku 1950 dzieci ze szkoły jak i w ogóle też dorośli mieszkańcy wsi byli zmuszani do szukania stonki w ziemniakach, jakoby zrzuconej przez zachodnich imperialistów (zarzut ten, tak obśmiewany, wcale nie musi być fałszem). Początkowo czas szukania stonki to było przesiadywanie w cieniu na miedzy albo wylegiwanie się na trawie i opowiadanie sobie plotek. Kiedy odgórnie zorientowano się, że poszukiwania stonki to oszustwo, przyjeżdżał ktoś z urzędu, naklejał w niewiadomym dla ludzi ze wsi miejscu obrazek stonki i musiał on zo-

stać odnaleziony. Od tego momentu szukanie stonki było już żmudnym trudem, aż pewnego razu ktoś odnalazł prawdziwą stonkę i zamknął ją w słoiku. Wszyscy zbiegli się, żeby zobaczyć jak wygląda ten słynny owad i wkrótce był już to koniec poszukiwań tego szkodnika, bo... po jakimś czasie był już wszędzie.

Moja mama urodziła się w 1948 roku jako pierwsze i jedyne dziecko moich dziadków Walczaków, wyczekiwane od lat. Wyżywienie na wsi, z tego, co opowiada, było biedne. Jadło się głównie mleko i ziemniaki, Chleb, kwaśne zupy, mięso rzadko, bo nie było warunków do jego przechowywania. Pamiętajmy, że wtedy nie było lodówek. Pewnym sposobem było nasalanie mięsa i wpuszczanie go w bańkach na mleko do zimnej wody w studni, gdzie nawet w lecie panowała temperatura zbliżona do lodówkowej. Można było też robić weki mięsne, a także wędzić wieprzowinę. Z metodą suszenia szynek w mojej okolicy się nie spotkałem. Mimo tych różnych sposobów, mięso było rzadkością na stole moich dziadków. Było drogie. Fama głosi, że przed wojną chłoporobotnik za dniówkę pracy dostawał kilogram słoniny! Słonina, obecnie niesłusznie pogardzana, kiedyś była wysoko ceniona, dlatego świnie były hodowane do bardzo wysokiej masy (inaczej niż obecnie, kiedy to 120-kilowa świnia jest uważana za dużą) po to, żeby obrastały w tłuszcz. Surowa, nasolona słonina z chlebem i czasami octem była zwyczajną przekąską nie tylko dorosłych, ale także małych dzieci. Jeszcze wyżej cenione były skwarki.

Ponieważ mięso świńskie przechowywało się trudno, bardziej praktyczny był drób, który ugotowany albo upieczony można było zjeść na jeden posiłek. Mimo tego ludzie na wsi w połowie XX wieku i właściwie aż do lat osiemdziesiątych odżywiali się słabo. Jedzenia było po prostu mało, a i tak było wywożone do ZSRR. Masło lepiej było sprzedać na targu w Lublinie, podobnie śmietanę, a samemu jadło się po prostu byle co, np. czereśnie z drzewa. W cenie były potrawy tłuste, a nadwaga – wtedy rzadkość – była uznawana za oznakę zamożności. Moi dziadkowie i babcie byli ludźmi szczupłymi. Kiepskie odżywianie i bardzo ciężka praca fizyczna nie pozwalały przytyć.

W zależności od pory roku, bo praca i jej rodzaj bała dyktowane pogodą i etapem w rozwoju roślin, które akurat się uprawiało, pracowało się niemal do upadłego lub nie bardzo było co robić. W tym drugim przypadku można było chodzić „na bajdy”, a tata mojego taty lubił w wolnych chwilach wykonywać z drewna niektóre potrzebne w gospodarstwie rzeczy, np. młynki do czyszczenia ziarna, które nadal, niemal 30 lat po śmierci mojego dziadka, nadal są używane i są pożyteczne. On sam, bez wiertarki i innych urządzeń do obróbki drewna, które obecnie są napędzane elektrycznie i można je bez problemu kupić, wykonał też stół warsztatowy z drewnianym imadłem, który nadal stoi w mojej narzędziowni, a nawet zrobił skrzypce. Warto podkreślić, że prócz stolarki interesował się grą na tym

instrumencie, a jego starszy syn czyli mój stryjek, grywał na akordeonie. Niedługo przed śmiercią dziadka, w drugiej połowie lat 80., moi starsi bracia nagrali jak dziadek gra na skrzypcach. Zdigitalizowałem te nagrania i stanowią dla mnie cenną pamiątkę. Tym bardziej cenną, iż sam jestem umuzykalniony, ale moim głównym instrumentem jest pianino. Dziadek grał nie tylko muzykę ludową, jako chłop i samouk, ale próbował też grywać Straussa, którego wysoko cenił. Do dziś zachowały się jego skrzypce, które dumnie wiszą na ścianie, choć niestety nikt już na nich nie gra. Nie są to też skrzypce, które sam wykonał dziadek Jęczeń – tamte podobno grały słabo i nie wiadomo już, co się z nimi stało.

Lata 50. to czas dzieciństwa moich rodziców. Początkowo wieś obciążona była obowiązkowymi dostawami żywności. Próba utworzenia PGR-ów spotkała się ze skutecznym oporem mieszkańców Matczyna i Kolonii Chmielnik. Mimo swego rodzaju okupacji bolszewickiej, Polska kipiała entuzjazmem i odbudowywała się po okupacji, inna społecznie po wymordowaniu milionów Żydów, Polaków, Romów, zmieniona po obaleniu klasy szlacheckiej i udostępnianiu szkół wyższych dla ludzi ze wsi i z robotniczych rodzin. Wielkie różnice ekonomiczne, jakie były widoczne przed II Wojną, zostały zniwelowane. Nawet jeśli osoby bliskie władzy socjalistycznej miały o wiele łatwiejszy dostęp do dóbr materialnych, nie były te różnice aż tak znaczące jak w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Moi dziadkowie po wojnie żyli podobnie jak przed: kiedy się orało czy bronowało idąc za koniem, trzeba było na piechotę przemierzać całe dziesiątki kilometrów.

Wydaje mi się, że pierwszy traktor miał w mojej rodzinie dopiero mój tata. Ożenił się w połowie lat 60. i początkowo pracował w polu za pomocą koni. Wbrew obecnej swego rodzaju modzie na te bądź co bądź piękne zwierzęta, mój tata nie wspomina dobrze pracy z końmi. Były to zwierzęta często uparte, a przede wszystkim niebezpieczne. Żadne inne zwierzęta w Polsce nie zabiły tylu ludzi, co konie, nawet osławione wilki.

W połowie lat 60. przez Kolonię Chmielnik wiódł zwyczajny gościniec, często zablocony, jak to jest ze zwykłymi polnymi drogami. Chatki moich dziadków i jedynych, i drugich, obydwie już dawno rozebrane, to były po prostu dwie izby z sienią pośrodku. Dom w Matczynie był nieco większy. Były to drewniane budynki, kryte blachą. Kiedy mój tata ożenił się, sprowadził się do teściów do Kolonii Chmielnik i zajął z moją mamą pół drewnianego domku czyli jedną izbę. Pociuszające jest, że była to izba stosunkowo duża, tylko że stopniowo narodzili się pierwsi trzej synowie moich rodziców i zrobiło się na tyle ciasno, że – jak opowiadał tata – kiedy kładł się na noc spać na prawym boku, to budził się na prawym, bo nie było dość miejsca, żeby się przekręcić. W połowie lat 70. rodzice wybudowali piętrowy, duży dom i ja już w nim się wychowałem, ale nadal pamiętam domek dziadka i jego samego w nim jak dokładał patyki do pieca i opowiadał mi przeróżne historie

z dawnych lat. Teraz zadałbym mu wiele konkretnych pytań, a może i nagrał odpowiedzi, ale wtedy byłem najwyżej 9-letnim dzieckiem i nie miałem głowy do dopytywania się jak to było np. przed wojną.

Jego żony a mojej babci nie pamiętam, bo to niemożliwe – zmarła 4 lata przed moim narodzeniem. Z babcią Jęczeniową natomiast mam tylko jedno mgliste wspomnienie, bo zmarła, kiedy miałem 4 lata. Tak naprawdę pamiętam tylko moich dziadków i obaj odeszli do wieczności w 1989 roku, kiedy nie miałem nawet dziesięciu lat. Tak więc pokolenie moich dziadków i babć w mojej rodzinie odeszło wcześniej w moim życiu, dlatego zawsze miałem jakiś sentyment i szacunek do starszych ludzi, pewnie dlatego, że nie mogłem zaznać ich w swojej własnej rodzinie.

Moi rodzice jako rolnicy podzielili zawodowy los swoich rodziców. Zajmowali się razem gospodarzeniem w Kolonii Chmielnik począwszy od lat 60. i potem przez wszystkie lata nawet do teraz, kiedy są już na emeryturze. Wzorem Japończyków nie zaprzestali krzątania przy gospodarstwie i przy domu – zaniechanie codziennej aktywności mogłoby oznaczać nadejście chorób i starczych przypadłości. Przed kilkoma laty to ja przejąłem gospodarstwo rolne po rodzicach, ale oni nadal aktywnie mi pomagają, choć oboje są po siedemdziesiątce.

Wróćmy jednak jeszcze do lat tzw. Komuny. Dla moich rodziców jako rolników był to czas wielkiej przemiany technologicznej. Konie jako siła pociągowa w rolnictwie i transporcie zostały zastąpione przez traktory, w latach 70. w gospodarstwie rodziców pojawił się kombajn zbożowy Vistula, zastąpiony w 1980 roku przez Bizona (który zresztą dzielnie żniwuje do dziś, już 38 lat). Stałą techniką agronomiczną stało się nawożenie nawozami sztucznymi oraz wykonywanie oprysków. Tata opowiadał, że kiedyś nie było wiedzy o szkodliwości chemikaliów i kiedy wykonywał opryski DDT (potem w mocniejszych formach występującym jako Ditox i Tritox), miał w nosie pełno tej substancji! Jeszcze ja pamiętam z lat 80. środki chemiczne I i II klasy toksyczności, których na szczęście już się prawie nie spotyka. Tak czy siak, kombajn zbożowy, który nie tylko zbierał zboże, ale je młócił, a także rozdrabniał słomę, to była rewolucja. Dopóki nie pojawiły się, a właściwie nie rozpowszechniły kombajny zbożowe, nie było dość rąk do „obrobienia” pola, dlatego ziemia rolna była bardzo tania. Teraz, kiedy jeden rolnik dysponując sprawnymi i dużymi maszynami jest w stanie uprawiać kilkaset hektarów, ziemia jest najdroższa w historii.

Wraz z nowymi technikami uprawy i większą świadomością na temat wykonywanej pracy rolnika (w latach 70. moi rodzice zaocznie skończyli technikum rolnicze, co przy – wtedy – trójce dzieci było na pewno dużym wyzwaniem) plony wielokrotnie się.

W mojej rodzinie czas późnego PRL-u i lata 90. to wielki wysiłek żeby umieścić najpierw moich braci, a potem mnie w szkole średniej w Lublinie (wszyscy cztery

chodziliśmy do renomowanego liceum Zamoyskiego), a potem na studiach wyższych – wysiłek oczywiście finansowy dla moich rodziców, ale także wyzwanie dla nas – braci – w wieku 14 lat musieliśmy w dużym stopniu usamodzielnic się, nauczyć się cokolwiek gotować i sami dbać o siebie. Myślę, że ja i moi bracia nie zawiedliśmy nadziei edukacyjnych, jakie położyli w nas rodzice: mój najstarszy brat jest doktorem medycyny, średni też jest lekarzem, najmłodszy z nich trzech po skończeniu ekonomii i prawa został adwokatem, a ja – najmłodszy – ukończyłem polonistykę, kulturoznawstwo i obroniłem doktorat z filozofii, choć zawodowo kontynuuję rodzinne zajęcie moich dziadów i jestem gospodarzem-rolnikiem w Kolonii Chmielnik, choć (paradoksalnie!) mieszkam w Lublinie, a do pracy w gospodarstwie dojeżdżam 30 km z miasta. Co istotne, myślę, że udało mi się pozostać wiernym wartościom przodków – najważniejsze są dla mnie wiara i rodzina. Towarzyszką mojej ziemskiej pielgrzymki jest żona Magdalena z domu Krukowska, a Bóg dał mi troje dzieci.

Trzeba zawsze pamiętać, że tzw. komuna pozwoliła najmłodszym i starszej młodzieży z warstw takich jak rolnicy czy robotnicy iść do szkół wcześniej niedostępnych dla tych grup społecznych – a nawet na studia wyższe. Z tego powodu moi bracia znaleźli inne niż rolnictwo zawody, co było nieuniknione, skoro obecnie nie trzeba aż tylu rąk do pracy na wsi. Zastąpiły je co prawda drogie, ale wyrafinowane maszyny. Dlatego teraz, w 2018 roku czyli 100 lat po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości (względnej, bo zależność od innych mocarstw zawsze była i jest nieunikniona) tylko z 5–10 % pracujących to rolnicy. Ziemia, pomimo swojej najwyższej w historii ceny, cały czas kumuluje się w coraz większe, ale coraz mniej liczne gospodarstwa, a obecni mieszkańcy wsi to najczęściej – blisko miast – uciekinierzy z bloków do własnego domku z ogródkiem albo – dalej od miast – potomkowie rolników dojeżdżający do pracy w miastach. Ja sam stanowią odwrócenie tego powszechnego obecnie modelu, mieszkając w mieście w bloku, ale zawodowo będąc tylko rolnikiem. I choć śpiam w Lublinie, w moim oddalonym gospodarstwie jestem niemal codziennie, może za wyjątkiem zimy czy deszczowych dni.

Lata 80. w dla moich rodziców-rolników to był dość dobry czas na modernizację parku maszynowego – nigdy potem nie było to możliwe w aż takim stopniu. Około roku 1980 pojawił się i kombajn zbożowy, radziecki traktorek, i inne maszyny, a wszystkie nowe. Każda z nich służy do dziś, a po zakupie w 1989 roku 80-konnego nowego Zetora, aż po dzień obecny zakupy maszyn nieużywanych można policzyć na kilku palcach. Tak naprawdę, z tego, co opowiadają moi rodzice, lata 90. i początek XXI wieku to czas dla mojego rodzinnego gospodarstwa trudny (wtedy to także zajmowaliśmy się pieczarkarstwem) i jego rozwój w tych dwóch dekadach zwolnił, choć na pewno przyczyniły się do tego wydatki na moją edukację w latach 90. i na początku XXI wieku, a wcześniej na utrzymanie w mieście moich studiujących braci.

Pomimo słusznych zarzutów wobec socjalizmu i „braterstwa” Polski z ZSRR (nikt z mojej rodziny nigdy nie był związany z PZPR ani z żadnymi partyjnymi stanowiskami), trzeba przyznać, że lata 50., a zwłaszcza 60. i 70., na polskiej wsi cechowała pewna świeżość i entuzjazm w porównaniu z okresem międzywojnia, kiedy to częste wspomnienia moich dalszych przodków to trud, znój i – w porównaniu ze standardami roku 2018 – właściwie nędza. Przecież przed II Wojną chłoporobotnik za dzieńkę pracy otrzymywał tylko kilo słoniny plus wyżywienie! Moja babcia odmawiała sobie masła, bo sprzedawała je w Lublinie na targu, podobnie było ze śmietaną. Bez traktorów, kombajnów, różnych maszyn typu wiertarka, spawarka czy szlifierka kątowa, praca w gospodarstwie była wyczynem heroicznym. Wyobraźmy sobie karczowanie pięciu mórg (około 3 hektary) lasu przez mojego pradziadka bez pilarki, bez traktora, którym mógłby przewrócić czy wyciągnąć drzewo – miał do dyspozycji tylko siekiere, szpadel, piłę ręczną, linę i 2 konie! Pamiętajmy, że pierwszą kuchenkę gazową w historii wszystkich poprzedzających mnie pokoleń kupił mój tata po własnym ślubie dopiero w połowie lat 60. XX wieku! Wcześniej żeby zagotować bodaj wodę na herbatę, trzeba było napalić patykami w piecu.

Podsumowanie

Jak z perspektywy czasu podsumowałbym ostatnie 100 lat mojej chłopskiej rodziny – a zarazem 100 lat w niepodległej Polsce (odliczając okupację niemiecką)? Trzeba pamiętać o tym, że antropologicznie rzecz biorąc, Białe plemiona przybyły znanad Kaukazu kilka tysięcy lat temu i od tamtej pory moi przodkowie zamieszkują niespokojną Europę. Kiedy Cesarstwo Rzymskie wznosiło się na wyżynach kultury, sztuki i techniki, w Europie Środkowej była puszcza, a dla zamieszkujących ją Polan, Lędzian i innych plemion szczypta soli była największym luksusem, na jaki mogli sobie pozwolić. Ja sam w połowie lat 90. jako licealista ze wsi mieszkający z bratem na stacjach w Lublinie jadałem tylko kefir i maślanki, bo tygodniówka nie wystarczyłaby na zakup prawdziwych, smakowych jogurtów. W latach 1995–98 wynajmowaliśmy z bratem mieszkanie w Lublinie, ale nie mieliśmy w nim lodówki – studencką metodą w chłodne miesiące wystawialiśmy produkty spożywcze na balkon.

Polska, kiedyś szlachecka, potem pod zaborami, od 1918 roku wreszcie bardziej lub mniej wolna, dla mojej chłopskiej rodziny była zawsze miejscem fizycznej, ciężkiej pracy. Dopiero PRL i druga połowa XX wieku przyniosły polskiej wsi czyli też mojej rodzinie materialną i intelektualną poprawę bytu. Stała się możliwa szkoła średnia i studia wyższe czyli w ogóle wykształcenie, dotychczas kończone na podstawówce. Wcześniejsze chęci czytania, jakie były obecne u moich przod-

ków, były uniemożliwione z powodu trudności lektur do zdobycia, braku naddatku pieniędzy na zbytek, jakim dla gospodyń chłopskich były gazety i książki. Nie było też czasu na czytanie albo wygodnego oświecenia.

Na pewno ostatnie 100 lat to czas nieustannych udogodnień i postępu materialnego. Także w sferze intelektualnej widzę wielki krok naprzód dzięki dostępowi do edukacji, książek, muzyki na taśmach albo płytach czy do podróżowania. W sferze duchowości oraz moralnej nie dostrzegam ani postępu, ani upadku. Uważam, że moja rodzina zawsze była sumienna i moi przodkowie woleli ciężką pracę od kombinacji czy łamania prawa. Dzięki uczciwości i trzymaniu się z dala od partyjnych czy kierowniczych stanowisk, udało się przetrwać trudne czasy II Wojny Światowej i PRL-u i nikt z najbliższej rodziny nie został zabity. Nie wynikało to z tchórzostwa, zwłaszcza, że nie można na pewno wykluczyć tego, że mój dziadek Walczak współpracował z AK. Po prostu moja rodzina trzymała się na uboczu uprawiając ziemię i hodując zwierzęta. Choćby ktoś walczył w najbardziej świętej sprawie i ryzykował zdrowie i życie, nie może tego robić nie jedząc i nie chodząc w (skórzanych dawniej) butach. Zawsze musi być jakieś zaplecze żywnościowe, które zapewni byt i dla złych, i dla dobrych. Jest to może droga w miarę bezpieczna (choć rolnik jest bardzo narażony na wypadki), ale pełna żmudnej pracy i niesprawiedliwości – pamiętajmy, że i za Niemca, i za Rosjanina polski rolnik był obciążony swego rodzaju kontrybucją, a przed wojną często pracował dla tzw. pana. Armie wojowały, a chłop musiał je wyżywić.

dr Robert Jęczeń
Lublin, 15. września 2018

MARIA HYJEK
Rębków

Ofiara życia, pracy i krwi

WYRÓŻNIENIE

W kwietniu 2018 roku skończyłam 84 lata. Bardzo słabo widzę więc moje wspomnienia o losach wojennych mojej rodziny ktoś przepisze z rękopisu na komputerze.

Pradziadek mój, Stanisław Dzieciółowski mając 20 lat około roku 1837, gdy został przymusowo wcielony do wojska pruskiego uciekł z Poznańskiego i osiadł w Kaliskiem, gdzie zatrudnił się w leśniczówce w wielkich lasach hrabiego, którego nazwiska dziś nie pamiętam. Ożenił się z panną Olimpią Bożesławską, biorąc ślub w kościele w Lututowie. Mieli 6 córek i syna Adama. Z tym Adamem, który zamieszkał i pracował w Warszawie przyjaźnił się Adam Szymański, Warszawiak, który jako poddany cara odbył kilkakrotnie służbę wojskową w wojnie krymskiej czy kaukaskiej, w której został ranny. Ten los zgotował sobie sam, stając do branki za swego młodszego brata, ledwie 18 letniego Bronisława Szymańskiego. W 1888 lub rok później Adam Szymański ożenił się z Wiktoria, Klotyldą Dzieciółowską, siostrą swego przyjaciela Adama Dzieciółowskiego (ślub w kościele w Lututowie). To byli moi dziadkowie. Mieli oni troje dzieci Irenę, Marię i Kazimierza. W 1914 roku I wojna światowa dziadek Adam Szymański znów został powołany do armii rosyjskiej. Najpierw walczył, później ranny dostał się do niemieckiej niewoli. Nie było go w domu 4 lata! Wrócił w listopadzie 1918 roku do wreszcie wolnej Polski, mając 42 lata. Nie poznał swoich młodszych dzieci, których po prostu nie widział od kilku lat. Babcia Wikcia pracowała na utrzymanie rodziny przez te lata jako kasjerka w dużym magazynie Izby Rolniczej w Warszawie.

Następna wojna roku 1920, to już były okopy przeciwko bolszewikom i walka nowego pokolenia. Bronił Warszawy zięć moich dziadków młody legionista II Brygady w randze kapitana Karol Czerny, z urodzenia Krakowiak, z całego 77 letniego życia Warszawiak. Ojciec mój Kazimierz Szymański miał w roku 1920 13 lat. Uciekł z domu na wojnę, ale skończył zapaleniem płuc i tęgim laniem, jedyny zresztą raz w życiu. Ojciec mój uczęszczał do bardzo patriotycznego gimnazjum im. Stefana Batorego. Uczestniczył w wielu działaniach na rzecz pięknej Warszawy, sadząc wraz ze swoją klasą lipy wzdłuż ulicy Czarnieckiego na Żoliborzu. Młodzież budowała park Żeromskiego na zapleczu starego fortu. Organizowali też zbiórki pieniężne na LOPP. W Poznaniu powstał pierwszy w Polsce Aeroklub (1919 r.)

Sławne były zwycięstwa polskich awiatorów między innymi Żwirki i Wigury czy Jerzego Bajana, baloniarzy w zawodach o puchar Gordon Benetta Burzyńskiego i Hynka. Powszechna rozpacz po śmierci Żwirki i Wigury w śmiertelnym wypadku w Cierlicku.

W Warszawie rozbudowywały się dzielnice peryferyjne m. in. Żoliborz. Powstały osiedla spółdzielcze, dziennikarskie (zamieszkali tam znajomi wujostwa Czernych Melchior Wańkowicz z rodziną, państwo Budrewiczowie, Niżyńscy z córkami. Na osiedlu wojskowym wybudowali około 1924 roku dom moi wujostwo Karol i Maria (druga siostra ojca) Czernowie. Zamieszkał u nich na kilka lat kolega wujka z legionów Leopold Okulicki oddelegowany z Krakowa do Ministerstwa Wojny. Po wielu latach w czasie najstraszniejszej okupacji niemieckiej zjawiał się on w biały dzień, jakby nigdy nic w domu przy ulicy Śmiałej 59 (obecnie 71). Ciocia Maria Czernowa omal nie zemdląła na jego widok, domyślając się, że został przetrzucony drogą lotniczą z Londynu oczywiście bardzo narażając siebie i swoich przyjaciół na najcięższe represje okupantów niemieckich. Natychmiastowe rozpoznanie Okulickiego byłoby oczywiste. Tym razem się udało.

Wracając do lat dwudziestolecia międzywojennego trzeba powiedzieć o cudzie szalonego entuzjazmu we wszelkich działaniach zarówno władz jak i społeczeństwa. Budowała się Warszawa, budował się Centralny Okręg Przemysłowy, budowała się Gdynia. Tam jednym z dzielnych projektantów był mąż bliskiej krewnej mej matki prof. Wacław Tomaszewski.

W tym czasie, ojciec mój po maturze powołany do wojska skończył podchorążówkę w Grudziądzu. Miał wielkie zamiłowanie do rolnictwa. Studiował na SGGW utrzymując się głównie z udzielania korepetycji. Jako oficer rezerwy był przypisany do pułku w Garwolinie. Po swoim ożenku z moją matką Barbarą z Sowińskich w 1933 roku w okolicy Garwolina wydzierżawił od Banku Rolnego niewielki folwark. Często uczestniczył w ćwiczeniach i imprezach jeździeckich oraz balach macierzystego pułku. Ojciec mej matki Piotr Sowiński był właścicielem bardzo zadbanego majątku w okolicy Jędrzejowa w Kieleckiem, wyróżniony przez prezydenta Mościckiego w konkursie dotyczącym kwestii sposobu wyjścia z kryzysu ekonomicznego i za bardzo nowoczesną gospodarke, uhonorowany przyjęciem w Belwederze. Podczas gdy w całym kraju dźwigał się przemysł, rozwijało się szkolnictwo, wrzało w kulturze, buzowało w sejmie, wieś jak zwykle pracowała od świtu do nocy aby z ziemi wyciągnąć jak najwięcej plonu zboża na mąkę. Przez świat i Polskę przeszedł ciężki kryzys gospodarczy. W połowie I wojny światowej w 1917 roku generał Józef Haller organizował ochotniczą armię do walk z armią pruską na froncie francuskim. Wstąpił do niej ojciec mojego męża Jan Hyjek. Wraz z grupą młodych Polaków z USA z organizacji patriotyczno-sportowej „Sokół” przeszedł w Kanadzie przeszkolenie wojskowe. Zachowały się nawet zdjęcia z tego obozu.

Przewiezieni do Europy walczyli w krwawej, wyniszczającej wojnie pozycyjnej pod Verdun. Przez kilka miesięcy ciężko głodowali, żywiąc się głównie marchwią i kapustą znaną na polach. Po wojnie wróciła ta armia wraz z całym sprzętem wojskowym na wezwanie Wincentego Witosza do kraju. Narzeczona Jana Hyjka Maria Serafinówna w 1919 roku wróciła do Polski w rodzinne strony z USA, gdzie mieszkała przez 11 lat. Jej matka była niezmiernie energiczną niewiastą, która mając 22 lata zostawiła męża Jana we wsi Krzemienica z 3 letnim synkiem Józiem i wyjechała do krewnych w Stanach Zjednoczonych z nadzieją dobrej pracy i zarobku. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że jest w ciąży. Marynię urodziła w 1893 roku. Maria, jako urodzona w USA miała przez całe życie obywatelstwo kraju swego urodzenia. Wróciła do Polski z matką Ewą Serafin jako 4 letnia dziewczynka, a następnie ponownie wyjechała sama za ocean mając lat 16. Pracowała w wytwórni ciastek, a mieszkała przy polskiej rodzinie, ucząc się angielskiego i polskiego. Była bardzo ambitna i oszczędna. Marzyło jej się aby kupić w Polsce spory folwark... Czy pokutował tu galicyjski głód ziemi? Po wojnie bolszewickiej 1920 roku wzięła ślub z Janem. Zamieszkali na kilka lat w Dopiewie koło Poznania. Tam w 1921 urodziła syna Eugeniusza, w 1923 roku Tadeusza, a w 1925 roku Kazimierza.

W tych latach ich ojciec usiłował kupić wymarzony przez żonę folwark. Znalazł coś odpowiedniego pod Bydgoszczą, lecz zażądano zapłaty w polskich złotych. Po wymianie dolarów na złote okazało się, że na oferowanej nieruchomości wisi spory dług hipoteczny. Jan wycofał się z transakcji, lecz dolary przepadły, a szalejąca inflacja zabrała większość kapitału. W 1924 roku Jan kupił 15 hektarowe gospodarstwo koło Wągrowca we wsi Łaziska. Gdy zawierał umowę, notariusz ukrył przed nabywającymi w dobrej wierze, że to gospodarstwo jest obciążone długiem hipotecznym. Na wycofanie się było za późno. W 1925 roku z trzema synami (Kazimierz miał miesiąc życia) zamieszkali w bardzo mizernym wiejskim domu i za bary się wzięli z polskim życiem.

Czas do II wojny światowej, był okresem rozwoju rodziny. W 1928 roku urodziła się Halinka. Dzieci były silne i zdrowe. Ich matka nie miała we wsi kumoszek. Nosiła się po miejsku, nie mówiła wiejską gwarą. Bardzo dbała o wykształcenie swoich dzieci. Miała zupełnie inne horyzonty po osobistych doświadczeniach amerykańskiej cywilizacji.

W Łaziskach funkcjonowała 4 klasowa szkoła powszechna, do której dzieci chodziły przez 6 lat. Dzieci Hyjków zapisano do lepiej zorganizowanej szkoły w mieście. Od piątej klasy chodziły więc do szkoły w Wągrowcu. Na 3–4 miesiące zimowe matka wynajmowała pokój z kuchnią w mieście, co oszczędzało długiej (ok. 5 km) drogi do szkoły ze wsi w zimowej aurze.

Pilnowała odrabiania lekcji i żywiła. Sama szyła im ubrania, na drutach robiła swetry i skarpety. Długie zimowe wieczory wszystko czyniła przy słabej, kopczącej

lampie naftowej lub przy świecy. Jeśli byli w domu często głośno czytano. Ojciec naprawiał potrzebne latem narzędzia i uprząż. To był normalny tryb pracy w gospodarstwie. Jan kochał konie. Przez kilkanaście lat hodował tak zwane „remonty” dla wojska. Dopracował się dwu klaczy zarodowych, a czasem dokupował źrebę i sprzedawał 2 letnie pięknie odchowane wojsku. Co 2–3 lata mieli też na terenie wsi manewry ułańskie. W ich gospodarstwie stacjonował spory oddział. Żołnierze mieli ćwiczenia jesienne po zbiorach zbóż.

Najwspanialszym zwieńczeniem manewrów była szarża w której oddział w potężnym pędzie przemierzał duże obszary pól. Kazik miał głowę nabitą uwielbieniem dla lotnictwa i samolotów. Gdy miał 6 czy 7 lat wierzył, że może polecieć z wysokiego stogu. Zrobił to. Z bardzo wysokiej sterty zboża zeskoczył wraz z objętym nogami snopkiem. Niestety upadł na plecy czyli runął z wysokości jakiś 6 metrów przywalony ciężkim snopem. Bracia jego byli wysocy, on tylko średniego wzrostu z lekko skrzywioną łopatką. Gdy miał około 9 lat do Wągrowca przybył generał Józef Haller. Uroczyste powitanie odbyło się na rynku. Była gala – szkoła gimnazjum, straż pożarna, harcerze, ojciec Kazia w mundurze „Błękitnej armii” z rapierem hallerczyka przy pasie. Generał po przemówieniu zatrzymał się przed swoim żołnierzem i uściśnął mu rękę, chwilę rozmawiał i uściśnął też chłopca – wspomnienie na całe życie.

Od pierwszych prawie dni niepodległej działał w Poznaniu Aeroklub. W podzięce za otrzymane wsparcie materialne przez uczniów szkół wągrowieckich około roku 1936–37 przyleciał sportowy samolot RWD-13 na polowe lądowisko we wsi. Kazio, który był prezesem szkolnego koła przyjaciół lotnictwa, marzył aby się nim przelecieć. Ojciec spełnił jego marzenie i dał mu 5 zł na koszt lotu, które chłopak miał odpracować w czasie letnich prac w polu. Ten lot, to było szczęście wspominane do starości. Robotnik mógł zarobić 5 złotych w 3 dni przy żniwach kosząc zboże kosą. Matka dostrzegła duże zdolności do nauki w swym średnim synu, choć wszystkie jej dzieci uczyły się doskonale. Tadeuszowi marzyły się studia medyczne. Ciąłała na ten cel do 1939 roku i miała niebagatelną sumę ponad 2000 zł. na książeczce oszczędnościowej, niebawem całość tej kwoty „pochłonęła” II wojna światowa. Gospodarstwo było wyniszczone przez Niemca, który był jego okupacyjnym zaborcą. Trojlib, był silnym przebiegłym mężczyzną w wieku 45 lat. Miał żonę i dwie córki w wieku 13 i 14 lat. Pochodzili z Łotwy i mieli nadzieję dobrze się obłowić na cudzym w Polsce. Otrzymali dwa gospodarstwa. Zamieszkali w domu sąsiadów Jana i Marii, bo był większy. Rodzina Jana zaś stanowiła główną siłę roboczą, zarówno w polu, jak i w stajni, oborze i chlewni. Rodzina gospodarstwa w którym Trojlibowie zamieszkali została po prostu wyrzucona z domu, wyzuta z mebli domowych, inwentarza żywego i martwego. Wiem, że przytulili ich w okolicy krewni. Taki los Polaków z tej i innych wsi był powszechny! Co ciekawe,

Niemcy... w osobnym miejscu trzymali specjalnie utrzymywany wóz gotowy do przyszłej ucieczki.

Najstarszy z synów Genek miał w 1940 roku 19 lat, był tuż przed maturą. Musiał jako dorosły mieć zatrudnienie poza gospodarstwem i pracował przy instalowaniu linii telefonicznych. Dwa lata młodszy Tadeusz wraz z ojcem i 15-letnim Kaziem obrabiali gospodarstwo o połączonym obszarze około 40 hektarów. Halinka jeszcze była wyłączona z obowiązkowej pracy służebnej, wraz z matką zajmowała się wyżywieniem rodziny i drobiem, którego niewielką ilość mogli trzymać na własne potrzeby. W początku 1943 roku zjawił się u nich mężczyzna, który był znajomym ojca sprzed wojny o nazwisku Krok. Był on powstańcem śląskim i Niemcy poszukiwali go jak to Niemcy usilnie i skrupulatnie, pamiętali jego udział. Błagał Jana o bodaj krótkie ukrycie go; został na kilka miesięcy. Schowano go w kąciaku stodoły. Było to ogromne ryzyko. Niemiec, jego żona i córki oraz inni Niemcy wszędzie o każdej porze mogli coś podejrzanego zauważyć. Niestety ten człowiek po pewnym czasie stał się nieostrożny. Wyłaził z kryjówek wczesnym nieraz wieczorem, śpiewał lub gwizdał polskie pieśni. W Marii zamierało serce, czuła, że to się źle skończy. Pod koniec lata Genek przez znajomych zatrudnionych w urzędzie miejskim w Wągrowcu załatwił Krokowi lewe papiery. Ubrany w skromne odzienie robotnika rolnego, z kosą owiniętą workiem na rowerze miał dotrzeć do Kutna, gdzie przebiegała niezbyt dobrze strzeżona granica Generalnej Guberni. Niestety, zabrakło szczęścia. Akurat wzmożona kontrola dokumentów tego dnia spowodowała dekonspirację. Kroka aresztowano, torturowano i wydał kto, gdzie i jak udzielił mu wielomiesięcznego ukrycia. Gestapo zabrało więc Jana Hyjka i jego syna Eugeniusza. Po ciężkich torturach odesłali (ku przestrodze) do rodzinnego domu skrwawione strzępy ubrania a w nim płaty skóry ojca i syna (ojciec wytrzymał tydzień tortur, młody Genek jeden czy dwa dni; doprowadzono do konfrontacji... „tata, ja się przyznałem”). Obydwaj przeszli przez ciężkie więzienia (Fort VII w Poznaniu, Wronki i Rawicz). Późną jesienią byli już w Auschwitz i Birkenau (Jan nr 141519, Genek nr 171178). Ojciec jeszcze napisał z obozu w Eberbah w początku 1945 roku po strasliwym marszu śmierci w styczniu tego samego roku, ale do domu nie wrócił nigdy. Historia zakończyła się jego śmiercią w wieku zaledwie 53 lat. Niewiadome jest miejsce jego pochówku... (ma jedynie tablicę na grobie żony i tabliczkę z nazwiskiem przy pomniku Polskiego Państwa Podziemnego w Poznaniu). Genek, który po marszu śmierci, już na terenie Niemiec zmuszony do pracy spawał tory kolejowe po alianckich bombardowaniach zdołał uciec w trakcie kolejnego nalotu, straszliwie wyniszczony, przez Alpy do Włoch.

Po leczeniu w szpitalu wojskowym przystał do Armii generała Andersa. Z tą armią wylądował w Anglii i tam skończył szkołę geodezyjną. W 1947 roku wrócił

do kraju. Ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską. Pracował w Poznaniu do emerytury. Kazimierza pomimo tragicznej sytuacji rodzinnej decyzją sołtysa zmuszono do jazdy zaprzęgiem konnym z taborem wojskowym, aż pod Berlin w lutym 1945 roku, pomimo tego, że jego starszy brat Tadeusz w 1945 roku został wcielony do wojska, a na gospodarstwie pozostały jedynie matka z córką. Na dodatek Ruscy żołnierze zabrali mu przemocą konia z zaprzęgu. Znalazł gdzieś w końcu jakąś chabę, by wrócić. Tadeusz po dwu latach służby objął wraz z matką gospodarstwo rodzinne. Czasy były niesłychanie trudne. Naciski komunistów na kolektywizację wsi, mordercze obowiązkowe dostawy, a przy tym brak dostępu do lecznictwa. Pozostały wysokie rachunki za leczenie i badania matki, a potem za pobyty w szpitalu brata.

Posłowie

Ojciec mój, Kazimierz był inżynierem rolnikiem. Ożeniony w 1933 roku gospodarował i to doskonale w wydzierzawionym folwarku pod Garwolinem. Walczył w 1939 roku w obronie przyczółku mostowego w Górze Kalwarii. Po rozbrojeniu oddziału (cudem wraz z oddziałem uniknął niewoli sowieckiej), rodzina żyła w Warszawie do 1943 roku, później na wsi w okolicy Piaseczna. W powstaniu Warszawskim zginęło dwóch jego siostrzeńców Andrzej lat 21 i Wojciech lat 19 obydwa z Batalionu Kiliński. Po stronie matki zginął brat Witold w okolicy Błonia i tam spoczywa we wspólnym grobie. Rodziny ograbionej z własności nie było stać na wyrycie jego imienia i nazwiska na płycie. Miał około 29 lat. Z rodziny mego męża zginął wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego jego ojciec Jan, a najstarszy brat Eugeniusz stracił zdrowie i cierpiał do końca życia na ciężkie wspomnienia oraz bolesne dolegliwości serca. W 1946 roku 21 letni Kazik kończył wągrowieckie liceum. Zajmował się pracą w rodzinnym gospodarstwie i kończył budowę domu mieszkalnego na razie w stanie surowym, Tadeusz był nadal w wojsku, Eugeniusz jeszcze nie wrócił z Anglii, a młodsza Halina uczyła się w liceum pedagogicznym. Nie dopuszczona do matury w 1948 roku ponieważ była prezeską Sodalicii Mariańskiej i szkolna komuna nie mogła tego strawić. Stała więc do matury jako eksternistka w Poznaniu i zdała doskonale. Dostała zaraz nakaz pracy w bardzo odległym miejscu na głuchej wsi w Konińskim. Ojciec nie dawał znaku życia. Wkrótce sąd wydał decyzję o uznaniu jego śmierci. Dalsze losy rodziny toczyły się jak milionów rodzin chłopskich w tych czasach. Jedni pracowali poza wsią, inni borykali się z represjami władz komunistycznych dążących do likwidacji indywidualnych gospodarstw rolnych za przykładem ZSRR. Gdy rolnicy z wyniszczonych wojną gospodarstw nie zdołali dostarczyć wymierzonych ilości obowiązkowych dostaw mleka, mięsa, zboża oraz ziemniaków, zamykani byli jako

właściciele do więzienia. Kobiety i dzieci robiły co mogły, aby sprostać żądaniom władz. Chłopa wypuszczano na czas siewu i sadzenia ziemniaków, by go znowu zamknąć do żniw i wykopków. Na zimę znowu wracał do paki. Tadeusz, który wrócił z wojska ciężko z matką harowali cierpiąc nieraz dotkliwy niedostatek. Kazik pracujący w Poznaniu w Lidze Lotniczej był czynnym członkiem Aeroklubu Poznańskiego. Był pilotem szybowców i samolotów, później pracował jako kontroler ruchu lotniczego na Ławicy oraz lotnisku Aeroklubu jako zawiadowca lotniska. W tym czasie był od 10 lat żonaty i miał troje dzieci. Był rok 1962, gdy zmarła matka jego Maria Hyjek, a w 1966 roku brat Tadeusz. Wówczas Kazimierz wraz z żoną i dziećmi wrócił do rodzinnych Łazisk. Żona jego, to ja, też Maria. Ponieważ jestem inżynierem zootechnikiem mogliśmy przejąć tę rolniczą schedę. 10 lat – od 1966 do 1976 – harowaliśmy, a również w miarę dorastania nasze dzieci. Oboje działaliśmy społecznie. Kazimierz niezliczoną ilość czasu poświęcał Kółku Rolniczemu w Łaziskach oraz działaniom na rzecz objęcia ochroną zdrowia rolników, umożliwienia im przekazywania gospodarstw dzieciom z przejściem na rolniczą emeryturę – poprzez ówczesne możliwości organizacyjne (ZSL, a potem PSL). Wreszcie przenieśliśmy się blisko Poznania by nasze dzieci mogły się kształcić. Tu urodziła się nasza najmłodsza córka. Kazimierz zmarł w wieku 93 lat 21 kwietnia 2018 roku (do końca lubił jeździć swoim autem. Czasami aeroklubowi młodzi koledzy, piloci zabierali go... w przestworza).

Lata wielkich przemian

WYRÓŻNIENIE

„Jak podają źródła historyczne, poczesne miejsce wśród rodów janowskich zajmują Wojtanowie, prawdopodobnie tatarskiego pochodzenia, wywodzący się z Białej od niejakiego Wojciecha i jego żony Zofii, żyjących w II połowie XVII wieku, mających Katarzynę (1658), Annę (1661) żonę Wojciecha Gumienika i Macieja (1664). Pisze o tym Antoni Kulpa w opracowaniu zatytułowanym „Janów i Janowiacy w kręgu polityki, gospodarki, prawa, kultury i religii” – materiał z sesji naukowej w dniu 23 czerwca 2010r. z okazji 370 lat Janowa Lubelskiego (opracowanie „Historia janowskich rodów na przestrzeni wieków.” – str. 104). Z tego opracowania wynika, że Wojtanowie bezsprzecznie należeli do najbardziej szanowanych i zamożnych rodzin w Janowie.

W tym opracowaniu trudno wymienić przedstawicieli tej rodziny sprawujących w mieście znaczące funkcje, ale nie można pominąć Mikołaja (1875) pierwszego posła Ziemi Janowskiej do Sejmu Ustawodawczego II Rzeczypospolitej (1919–1922) czy też Wiktora ur. 1901r. zmarłego 1944r., jednego z głównych działaczy Obozu Wielkiej Polski w Janowie – pisze autor opracowania.

Wiktor, to mój dziadek, najmłodszy syn Józefa i Katarzyny. Gdy w 1932 roku w Janowie powstało w konspiracji Koło Obozu Wielkiej Polski z Feliksem Rogowskim na czele, szefem organizacyjnym został 31-letni Wiktor Wojtan. OWP prowadził między innymi ideę zakładania polskich przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych, dlatego Wiktor założył sklep w swoim domu przy ulicy Zamoyskiego. W latach 1922–23 odbył służbę wojskową, a 21 kwietnia 1934 roku ukończył kurs obrony przeciwlotniczo-gazowy III stopnia w służbie obserwacyjno-meldunkowej. Przynależał do koła LOPP w Janowie. Był członkiem 24 pułku ułanów, w dn. 31 listopada 1935r. otrzymał legitymację nr 135 wydaną przez Rejonowego Komendanta PW Konnego 24 pułku ułanów, stacjonującego w Kraśniku.

Od 1 stycznia 1938r. pracował krótko na poczcie rozwożąc paczki wozem konnym. Umowę na rozwożenie paczek zawarł 28 stycznia 1938 r, obowiązującą od 1 stycznia tego roku, z Naczelnikiem UPT w Janowie Lubelskim Stanisławem Siedleckim. Było to wynagrodzenie 40 zł miesięcznie. Umowa ta jednak była wypowiedziana z dniem 10 listopada 1938r., gdyż miał dużo innych zadań i nie dawał sobie

rady. Często było tak, jak wspominał mój ojciec, też Wiktor, że on jako 16-letni chłopiec rozwoził te paczki. Koń był bardzo posłuszny, dlatego dawał sobie radę. W dniu 1 maja 1939r. przekazał on na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej dar w postaci trzech obrączek srebrnych. Pokwitowanie wydał Komisarz Powiatowy OPL Henryk Banaszkiewicz – starosta.

Rodzinę założył on bardzo wcześnie, zeniąc się w 1921 roku, w wieku niespełna 20 lat z Magdaleną Kwiecień (ur.1898r. zm.1953r.), córką Wincentego i Józefy z Łacków, z którą miał Wiktora (ur. 1922r.) – to mój ojciec, Józefa (ur.1925 r.), Teresę (ur. 1929r.), Adolfa (ur. 1931) i Danutę (ur. 1933r.). Tuż przed wojną Wiktor sprzedał większość majątku i przeniósł się do Kolonii Sławy koło Kraśnika, gdzie nabył leśniczówkę. Zmarł przedwcześnie w wieku zaledwie 43 lat, w 1944 r. w wyniku obrażeń doznanych w wypadku przy pracach gospodarczych. Spoczywa na cmentarzu w Janowie, jego żona zaś w Kraśniku.

Historia rodziny Wojtanów w 1939 roku przeniosła się z Janowa Lubelskiego w okolice Kraśnika. Dziadek Wiktor zakupił 8 ha gruntów z budynkami po gajówce Sławy tuż przed wybuchem II wojny światowej. Były to grunty Ordynacji Zamoyskich. Państwowy Bank Rolny Wydział Agrarny w Warszawie umowę sprzedaży zawarł 17 maja 1939 roku.

Przez cały sierpień 1939 roku mój ojciec, wtedy już 17-letni, przewoził wozem konnym zboże i różne gospodarcze narzędzia z Janowa do Sław (to jest 30 km w jedną stronę). Rano wyjeżdżał, a na wieczór wracał, jadąc wozem na żelaznych obręczach po szosie, gdzie były kamienie (tzw. kocie łby). Zwoził zboże w snopach, biorąc kopę na wóz (60 snopków) by mieć ziarno i słomę dla inwentarza w nowym miejscu zamieszkania. Najgorzej było pod ostrą górę w Modliborzycach, ale i tak cały czas jechało się przy rowie, bo tu były tylko koleiny bez kamieni).

Gajówka w Sławach, to był murowany budynek mieszkalny z cegły (cegła z 1908 roku), prawdopodobnie z cegły z Kraśnika, gdyż w tamtych latach były już w Kraśniku cegielnie, w których wyrabiano i wypalano cegłę z gliny. Budynek ten istnieje do dzisiaj, wyremontowany w 1975 roku. Oprócz tego była drewniana obórka i drewniana stodoła. Przy stodole kierat do napędzania młocarni tzw. świ-niarki (wyprodukowanej w zakładach w Lublinie).

Gajówka Sławy też miała duże znaczenie historyczne. Jak wspominał Jan Widomski, nieżyjący już regionalista, działacz kultury, nauczyciel z sąsiedniej wsi Olbęcín. Uczył mnie zajęć praktycznych, gdy byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Rolniczej w Olbęcínie. W „Krótkim zarysie Dziejów Olbęcína” – (rękopis z 1992 roku), po 1905, gdy wybuchła rewolucja przeciw caratowi zaostrzyły się rygory w stosunku do ludności polskiej. Nasilono kontrolę w szkołach, w zakładach zwiększono służbę straży rosyjskiej. Jednak mimo tych represji Polacy na tym terenie organizowali się. Wydawane były nielegalne pisma, min. czasopismo

„Zaranie” kolportowane w Olbięcinie i okolicy. Do organizacji zaraniarzy należeli między innymi Michał Lisek z Dębowca, Adam Powęzka z Kowalina, Marcin Bral z Olbięcina. Wydawane były również polskie książki, które przechowywano u gajowego Borowskiego w gajówce Sławy, ze względu na bezpieczeństwo przed rewizją żandarmerii rosyjskiej. Teren ten był otoczony lasami, nie było dróg dojazdowych, dlatego to miejsce, ten budynek, który jeszcze stoi był przed 1918 rokiem miejscem spotkań polskich patriotów.

W końcu XIX i na początku XX wieku nastąpiła duża emigracja ludności z Polski do krajów zachodnich i Ameryki. Jedni wyjeżdżali przed represjami władz zaborczych, inni w poszukiwaniu pracy i chleba. Z zaboru rosyjskiego nie zezwalano na wyjazd za granicę, dlatego emigranci przedostawali się do Galicji pod zabór austriacki i stamtąd bez trudu mogli wyjeżdżać za granicę. Główną trasą nielegalnej emigracji był Olbięcin. Punkt zborny, do którego zgłaszali się emigranci był w sąsiednim Kowalinie (pół km od gajówki) u Adama Powęzki, a przewodnikiem przez granicę był Michał Lisek z Dębowca. Pochodził on ze wsi Łązek – odległej 10 km, który znajdował się na granicy rosyjsko – austriackiej, dlatego znał tereny przygraniczne i ludzi, z którymi miał kontakty. Jednak tuż przed I wojną światową nasilono cenzurę. U ludzi postępowych dokonywano rewizji, szukano polskich książek i czasopism. Wtedy też w czasie rewizji w pobliskim Kowalinie znaleziono kuferek z książkami, które nie zdążył przenieść do gajówki Sławy. Za to został skazany na trzy lata robót w Puszczy Białowieskiej.

Na początku listopada 1918 roku armie zaborcze zaczęły się rozpadać. Oddziały POW (Polskiej Organizacji Wojskowej) rozbrajały wojska austriackie. Jak wspominał Jan Widomski, wtedy też grupa POW z Olbięcina rozbiła posterunek żandarmerii austriackiej (10 osób), który stacjonował w majątku Olbięcina. Żandarmom zabrano broń i amunicję. Ale nadszedł 11 listopada 1918 r., dzień odzyskania niepodległości.

Ojciec w czasie II wojny światowej, w maju 1941 roku wstąpił do organizacji NOW. W 1942 roku organizacja ta przyjęła nazwę Narodowe Siły Zbrojne. Działał jako łącznik organizacyjny ps. „Buk”. Działalność jego trwała od 1941 roku do czasu aresztowania tj. listopada 1944 roku przez UB. Był przesłuchiwany i torturowany. Po kilku tygodniach znalazł się w grupie osób wybranych do szkoły oficerskiej do Rzeszowa. Po 3 tygodniach opuścił szkołę i ukrywał się do czasu zakończenia wojny. Za PRL-u nie był kombatanem. W dniu 27 grudnia 1991 roku uzyskał status kombatanta za działalność w Narodowych Siłach Zbrojnych w okresie od marca 1941 r. do listopada 1944 r. W lipcu 1994 r. od Prezydenta RP otrzymał Krzyż Narodowego Czynu Zbrojnego. W listopadzie 1995 roku otrzymał od Sekretarza Urzędu do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych odznakę Weterana Walk o Niepodległość.

Po wojnie sołectwo Sławy zaczęło dopiero się rozwijać. Nasze miejsce zamieszkania jest oddalone 1,5 km od szosy, teraz jest to droga krajowa nr74 Kraśnik – Anopol. Sławy powstały w 1935 roku w wyniku przejęcia przez Skarb Państwa lasów Ordynacji Zamoyskich za zadłużenie. Przy tej drodze po wykarczowaniu lasu Bank w 1938r. sprzedał parcele indywidualnym nabywcom, którzy osiedlając się zakładali gospodarstwa rolne. Nazwa wsi wywodzi się od terenu leśnego, pagórkowatego z licznymi wąwozami, przez które miała służyć woda. Pierwszymi osadnikami byli: Kwiryn Gozdalski, Wincenty Iracki, Tomasz Krawiec, Franciszka Żwirkowska. W początkowym okresie wieś należała do gminy Dzierzkowice i stanowiła jedną całość jako kolonia Sławy. W 1954 roku w wyniku reformy administracji miejscowość podzielono na dwie części. Pierwsza, położona bliżej miasta została włączona do Miejskiej Rady Narodowej w Kraśniku, a część druga pod nazwą Sławy Olbięckie do Gromadzkiej Rady Narodowej w Olbięcinie. Mieszkańcy gospodarstw położonych przy szosie w 1957r. otrzymali elektryczność. Nasze gospodarstwo było zelektryfikowane dopiero w marcu 1969 roku. Po likwidacji gromadzkich rad narodowych, od stycznia 1973r. została utworzona gmina Kraśnik i powstały sołectwa Sławy Pierwsze i Sławy Drugie. Tak jest do dzisiaj.

Ojciec Wiktor Wojtan był wśród założycieli jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej w Sławach. Powstała ona 2 lutego 1962 roku. Początkowo jednostka nie miała placu na remizę, a tym samym prowadzić jakiegokolwiek działalności. Działalność straży rozpoczęła się od zakupu tarcicy na wykonanie podłogi na zabawy taneczne, w celu uzyskania funduszy na dalszą działalność. Już w roku 1963 jednostka otrzymała podstawowy sprzęt gaśniczy: motopompę M-400, 5 odcinków węża W-75, 4 odcinki węża W-52, 2 prądownice, 8 sztuk odzieży ochronnej. W roku 1964 zostały poczynione starania o uzyskanie działki budowlanej z gruntów będących w używalności Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych w Kraśniku. Po długich perypetiach została przydzielona działka o powierzchni 0,31 ha. Przy tych wszystkich działaniach był mój ojciec. W roku następnym zorganizowane zostały młodzieżowe drużyny pożarnicze – męska i żeńska, które poprzez swą aktywną działalność i dobre wyszkolenie bojowe, godnie reprezentowały jednostkę OSP w Sławach na zawodach powiatowych, wojewódzkich i międzywojewódzkich, zajmując czołowe miejsca. W 1971 roku na zawodach międzywojewódzkich Lublin–Kielce–Rzeszów we Wrzawach, koło Tarnobrzega drużyny żeńska i męska młodzieżowa zdobyły pierwsze miejsca, godnie reprezentując Lubelszczyznę w wyszkoleniu bojowym. W roku 1968 przystąpiono do opracowania dokumentacji i gromadzenia materiałów na budowę nowej strażnicy. Budowę rozpoczęto w 1969 roku, w czynie społecznym z materiałów uzyskanych z rozbiórki budynków w Kraśniku i zakupionych z funduszy własnych oraz ze składek mieszkańców i członków straży. Po pobudowaniu strażnicy do stropu została ta inwestycja ujęta

do planu państwowego. Przy budowie strażnicy na co dzień pracował mój ojciec, a także wyróżniali się: sąsiad Pater Benon, a także mieszkający niedaleko remizy: Grzywacz Tadeusz, Owczarz Stefan, Mozgawa Edward, Bernaś Władysław, Owczarz Józef, Kot Tadeusz i inni. Uroczystość oddania do użytku społecznego Domu Strażaka w Splawach odbyła się 31 grudnia 1972 roku. Zbiegła się z dziesięcioleciem istnienia tej jednostki. W roku 1987 przypadał jubileusz 25-lecia jednostki. Uroczystości te połączono z wręczeniem sztandaru dla OSP Splawy. Odbyło się to 24 maja 1987 roku. Uroczystości jubileuszu 50-lecia odbyły się w dniu 17 czerwca 2012 roku. Tego dnia ja otrzymałem Złoty medal „Za zasługi dla pożarnictwa”. Od wielu lat jestem kronikarzem tej jednostki OSP. Mój ojciec był w OSP do chwili śmierci w 2000 roku. Pełnił funkcję sekretarza do 1995 roku. W 1965 roku ukończył on kurs I stopnia strażaka ochotnika systemem eksternistycznym, zaś w dniach 19–24 listopada 1979 r. w Puławach odbył szkolenie specjalizujące naczelników OSP typu N. W 1972 roku otrzymał Brązowy, a w 1987 roku Złoty medal „Za zasługi dla pożarnictwa”.

W czasie wyborów, w dniu 5 grudnia 1954 roku ojciec został radnym Gromadzkiej Rady Narodowej w Olbięcinie. Od dnia 15 grudnia 1954 otrzymał angaż od Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kraśniku na sekretarza gromadzkiej rady. Otrzymał wtedy wynagrodzenie w wysokości 750 zł. Pracował przez 3 lata. Podejmował w tym czasie aktywne działania na rzecz rozwoju wsi. W sprawozdaniu z 12 lipca 1955r. napisał o melioracji rzeki w Olbięcinie, plan 1000 mb. wyk. 500 mb., budowie drogi w części Splaw-Niziny, remoncie drogi w Dąbrowie, w planach była już budowa domu ludowego w Olbięcinie.

W lipcu 1956 roku biuro PGRN w Olbięcinie odwiedził dziennikarz lubelskiego „Sztandaru Ludu”. W dniu 12 lipca 1956r. zamieścił artykuł pt. „Gromada myśli i czynu”. Napisał, że Olbięcin dał o sobie znać w sposób niezwykle, wyrósł na skalę już nie powiatu, ale całego województwa. Stwierdził, że Olbięcin, to plac budów społecznych. Podał przykład działania dla mieszkańców sekretarza Prezydium GRN Wiktora Wojtana.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku gospodarstwa w naszych stronach były bardzo rozdrobnione. Na domowym rodzice mieli 1,25 ha, oraz przy szosie 1,50 ha, w sumie 2,75 ha. To półtora hektara to było pole mojej mamy Zofii Wojtan, z domu Owczarz, które otrzymała od swoich rodziców, gdy wychodziła za mąż. Przy domu początkowo było 8 ha gruntów, ale gdy rodzeństwo ojca wychodziło za mąż, albo się żeniło, to otrzymywało swoją działkę. Więc gospodarstwo zostało bardzo podzielone. Dopiero w 1965 roku rodzice dokupili 1,01 ha, po sąsiedzku naszej działki od siostry ojca Danuty mieszkającej w Dąbrowie Olbięckiej, potem 0,82 ha po sąsiedzku naszych zabudowań od Anny Tracz, jesienią 1963 roku 0,28 ha naprzeciwko naszych zabudowań od Kołtuna z Podlesia, w 1976 roku po

sąsiedzku tej działki 0,64ha od Jana Pyzika. Pod koniec lat siedemdziesiątych było już 5,50ha gruntów ornych.

Nie było żadnej mechanizacji. Do prac żniwnych była kosa. Tak zresztą było w sąsiedzkich wioskach. W latach sześćdziesiątych rano, zanim rosa obeschła słychać było we wsiach klepanie kos. Potem szło się w pole i do obiadu ojciec kosił, a mama odbierała garście. Ja będąc uczniem szkoły podstawowej pomagałem stawiać na polu mendle, zwane u nas dziesiątkami, bo było dziesięć snopów. W południe był czas na odpoczynek w cieniu starej gruszy na miedzy i po południu znów żniwowanie.

Lata tamte, to czas obowiązkowych dostaw. W 1958 roku ojciec miał wymiar 45 kg żywca z hektara. Wymiar obowiązkowych dostaw w 1971 z PGRN w Olbęcynie kształtował się na poziomie: 646 kg zbóż, 900 kg ziemniaków, 246 kg zbóż trzeba było dostarczyć do 20 sierpnia, a 400 kg do 10 września. Ziemniaki wtedy ojciec dostarczał do Gorzelnicy Olbęciny, w dniu 1 października (plan był do 10 października) otrzymując cenę 2,60 za 1 kg obowiązkowych dostaw, zaś 3,70 zł za 1 kg za dostawy ponadobowiązkowe. Gdy żniwa były mokre, często był problem z terminowym dostarczeniem zboża do GS. Nieraz żniwa trwały do września. Rolnicy otrzymywali wtedy upomnienia, a nawet kary. W 1967 roku za 1 kg trzody chlewnej w ramach obowiązkowych dostaw rolnik otrzymywał 9,10 zł, a za dostawy kontraktowane dużo więcej bo 20,60 zł za 1 kg.

W 1966 roku za 1,90 ha gruntów Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kraśniku naliczyło 777 zł podatku gruntowego, 310 zł funduszu gromadzkiego, 137 zł PZU, łącznie więc 1224 zł. Było to podzielone na 4 raty po równo 306 zł. Opłacała była hodowla zwierząt. W 1969 r. ojciec sprzedał 1 cielę o wadze 66 kg po 12,50 zł, uzyskał więc za niego 825 zł, a za wolca o wadze 310 kg po 13,70 zł zarobił 4247 zł.

Przez wszystkie powojenne lata w gospodarstwie uprawiane były buraki cukrowe. Początkowo było to 15–20 arów, gdyż trzeba je było wozić wozem konnym na stację kolejową do Kraśnika, tj. ok. 7 km. W latach sześćdziesiątych cukrownia Lublin zorganizowała punkt odbioru w Spławach. W 1965 roku było zakontraktowanych 60 arów buraków, plan dostaw 120 kwintali dla cukrowni Lublin. Zasiano 61 arów, a w okresie 12 października do 23 października dostarczonych było 123,3 kwintali netto. Było to 18 wozów konnych. Z każdym rokiem areal uprawy się zwiększał: w 1971 roku było to 170 q zawiezione 21 furami, od tej pory buraki kontraktowała i skupowała cukrownia „Opole Lubelskie”. W 1972 roku zmieniły się korzystnie warunki kontraktacji buraków cukrowych. Umowę plantatorzy mogli zawierać na trzy lata, polepszyły się też warunki sprzedaży. Cenę buraków podwyższono do 62 zł za kwintal, a dla buraków o wyższej cukrowości ustalono na poziomie 66 zł. Za wcześniejsze dostawy rolnicy mogli uzyskać premię 10 zł za

każdy kwintal. Cały czas był punkt odbioru w Spławach. W latach 1976–80 był areal kontraktowany 0,70 ha, plan dostaw 14 ton. W 1981 roku zebranych było 297 kwintali buraków, cena 260 zł za kwintal, do tego dochodził wyładunek 3 zł od kwintala i dowóz 7,10 zł za km. U nas było to 2 km. W roku następnym rodzice zebrali 393,6 kwintali po 320 zł, zarabiając 125952 zł, do tego wyładunek 3 zł od kwintala i dowóz 12,2 zł za 1 km. Do wypłaty było więc 137482 zł. Były też potrącenia. Za 23 kg nasion 575 zł, opłata plantatorska 629 zł. Był też przydział cukru w ilości 79 kg za cenę ogółem 3634 zł. W tamtych czasach to było opłacalne, bo cukier był na kartki, otrzymywało się 1,5 kg na miesiąc na osobę. Ceny buraków rosły co roku. W 1985 roku było już 380 zł, rok później 460 zł, w 1987 roku 620 zł, zaś w 1989 roku 11000 zł za kwintal. W 1988 roku była likwidacja punktu w Spławach, w latach następnych trzeba było wozić do Olbęcina, 6 km, dla Cukrowni „Ropczyce”. Buraki zaprzestaliśmy uprawiać w 1995 roku. Podobnie postąpili inni rolnicy. Od 2005 roku buraki uprawiają nieliczni rolnicy w gminie. Wcześniej było na terenie gminy około 1400 plantatorów, a teraz jest ich dziesięciu. Ale są to duże powierzchnie, bo utworzyły się duże gospodarstwa.

Rodzice od czasów powojennych ciągle pogłębiali swoją wiedzę z zakresu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego. Kupowali sporo gazet i czytali wieczorami przy lampie naftowej, bo prąd elektryczny był dopiero w 1969 roku. Mama od 1948 roku czytała „Przyjaciółkę”, ojciec „Rolnika Polskiego” i „Gromadę”. Od 1952 roku z tych dwu gazet powstała „Gromada – Rolnik Polski” i była czytana aż do 1999 roku (ostatni numer – 30 maja), ostatnio pod nazwą „Gazeta Rolnicza”, gdyż w 1991 r. po likwidacji RSW „Prasa-Książka-Ruch” pismo zostało sprzedane prywatnej firmie i po trzech latach całkiem upadło. Część zespołu redakcyjnego wydawało najpierw „Gromadę Rolników”, a potem „Gazetę Rolniczą”.

Latem 1970 r. ojciec na łamach „Gromady – Rolnik Polski” przeczytał notatkę „Zostań korespondentem GUS”. Zgłosił się listownie, że chce tej funkcji społecznej i w październiku 1970r. został zakwalifikowany na korespondenta rolnego. Jego zadaniem było nadsyłanie na formularzach dostarczanych co miesiąc przez Główny Urząd Statystyczny w Warszawie informacji dotyczących produkcji rolnej w gospodarstwach indywidualnych. Regularnie, co miesiąc wysyłał takie formularze od grudnia 1970 roku, aż do śmierci w grudniu 2000 r. Za wzorowe, społeczne wykonywanie swoich obowiązków był odznaczany: 1974 r. – Brązową, 1976 r. – Srebrną, 1982 r. – Złotą Odznaką Honorową „Za współpracę z GUS”.

W domu były też inne czasopisma rolnicze „Rolnik Lubelski”, prenumerowany od początku jego ukazania się w 1957 r. „Agrochemia”, „Plon”, „Przysposobienie Rolnicze”, „Gospodarki Chów Zwierząt”, „Nasza Wieś”. W 1972 roku redakcja „Naszej Wsi” ogłosiła akcję „Ludzie Rolniczego Trudu”. Chodziło o zwiększenie produkcji rolnej. Ojciec wypełnił kupon i wysłał do redakcji. 23 lipca 1972 ukaza-

ła się informacja w gazecie, że Wiktor Wojtan zobowiązał się zwiększyć pogłowie zwierząt inwentarskich o 6 sztuk. W pełni się z tego wywiązał, gdyż na koniec tego roku w gospodarstwie przybyły dwie krowy i 8 sztuk trzody chlewnej.

Gazety, które były prenumerowane ja też lubiłem czytać. Będąc w klasie V Szkoły Podstawowej w Kowalnie oprócz „Świerszczyka”, „Płomyczka” czytałem już „Świat Młodych”. W 1968 roku napisałem pierwszy list do „Świata Młodych”, miałem wtedy 12 lat. Pisałem o zimowym dokarmianiu ptaków i zwierząt w mojej okolicy. Po pewnym czasie dostałem z redakcji list z podziękowaniem i nagrodą książkową za korespondencję. Potem zacząłem pisać do innych gazet. W 1971 roku była pierwsza moja korespondencja wydrukowana w „Zielonym Sztandarze”.

W dniu 15 lutego 1954 roku, ojciec wstąpił do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Należał do koła gromadzkiego Kolonia Sławy. Otrzymał legitymację Nr 137210. Od tamtej pory został też prenumeratorem i czytelnikiem „Zielonego Sztandaru”. Początkowo ciekawsze artykuły gromadził w postaci wycinków, zaś od 1970 roku wszystkie egzemplarze tej gazety. Są w zbiorach domowych całe roczniki gazet. W 1977 roku instruktor rejonowy ZSL w Kraśniku Władysław Sagan odwiedził go w domu i zaproponował szerszą współpracę. Ojciec został aktywistą Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL w Kraśniku. Wtedy znacznie powiększyło swoje szeregi koło ZSL w Sławach. Czytając „Zielony Sztandar” ojciec brał udział w akcjach i konkursach organizowanych przez Naczelny Organ ZSL. Za to otrzymywał podziękowania i nagrody książkowe od redakcji. Wiele jego korespondencji było drukowanych w gazecie. W wydaniu z dnia 27. 09.1973 roku, na pierwszej stronie ukazał się jego „List do Redakcji” zatytułowany „Na co dzień z książką”. W liście ojciec napisał:...” Średnie plony 4 podstawowych zbóż, jakie uzyskałem w br. – wynoszą 37 q z ha. W ubiegłym roku uzyskałem średnio 450 q buraków cukrowych oraz 320 q z ha ziemniaków. Uprawiam odmiany zbóż i roślin okopowych zaliczane do intensywnych. Co roku hoduję 4 sztuki bydła i 12 sztuk trzody chlewnej. W przyszłości trzodę chlewną planuję zwiększyć do 15 sztuk. Tak wysokie plony uzyskuję dzięki stosowaniu nowoczesnych metod uprawy. Stosuję wysokie nawożenie mineralne – ponad 200 kg NPK na 1 ha oraz co 3–4 lata nawożenie obornikiem, około 350 q na ha. Przy nawożeniu staram się zachować odpowiednie proporcje azotu do fosforu i potasu. Zbyt wysokie nawożenie powoduje nadmierne wyleganie roślin. Dużą wagę przywiązuję też do wapnowania pól...”

W latach siedemdziesiątych redakcje „Chłopskiej Drogi”, „Plonu”, „Gospodarskiego Chowu Zwierząt” prowadziły akcję upowszechniania roślin pastewnych i nowych odmian zbóż poprzez zamieszczane kupony w gazetach. Ojciec wysyłał je do redakcji i otrzymywał bezpłatne próbki nasion. W ten sposób zdobył z „Plonu” nową odmianę jęczmienia jarego Wisia Breuns, buraki pastewne Poly Past, nasiona kapusty pastewnej. W dniu 18 kwietnia 1970 roku otrzymał z redakcji mie-

sięcznika „Gospodarski Chów Zwierząt” 20 dkg nasion koniczyzny perskiej. Wysiał je na poletku doświadczalnym o powierzchni 4 arów, na glebie lessowej III klasy. – Otrzymałem dość wysoki plon, kosiłem ją trzy razy, zebrałem około 600 kwintali zielonki w przeliczeniu na hektar, żywiłem nią bydło – pisał jesienią w sprawozdaniu do redakcji. Od tamtej pory rośliny te były uprawiane w gospodarstwie. Przyglądali się tym poletkom inni rolnicy i też je zaczęli uprawiać.

Od lat sześćdziesiątych na tym terenie, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać nowoczesne obory godne „Złotej Wiechy”, obszerne stodoły, budynki gospodarcze, nie mówiąc o piętrowych mieszkaniach-kamienicach. Stało się to za sprawą chłopskich cegielni. Produkowały one doskonałą cegłę z gliny czerwonej, której na tym terenie było i jest nadal pod dostatkiem. W latach siedemdziesiątych cegłę surówkę wyrabiał prawie każdy gospodarz, mając przy domu mieszczał, napędzane początkowo siłą konia, potem silnikiem elektrycznym i szopy do suszenia cegieł. Cegłę tą potem wypalało się w piecu u sąsiada. Za tysiąc sztuk surówki przywoziło się z cegielni 500 sztuk cegieł palonych. Cegielnie w rejonie Kraśnika na Lubelszczyźnie mają niezwykle burzliwą historię. Tradycje kraśnickiej cegły sięgają podobno średniowiecza. Nowsza historia to okres tuż przed I wojną światową. Po wojnie w latach pięćdziesiątych przedsiębiorstwa te znacjonalizowano. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęły powstawać prywatne cegielnie. Niektóre przetrwały do dziś. Niełatwo teraz znaleźć w Polsce i Europie takie miejsca, gdzie cegłę wyrabia się jak tu, ręcznie i wypala w hofmanowskich piecach, według ponad stuletniej technologii.

Od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku region kraśnicki słynął jako zagłębie chłopskich cegielni. W całym powiecie kraśnickim funkcjonowało wtedy ponad 100 cegielni z piecami do wypału cegły. Z czasem po cegłę zaczęli tu przyjeżdżać mieszkańcy północnej czy zachodniej Polski. Nie sposób zliczyć, ile milionów sztuk cegieł wyprodukowano w regionie kraśnickim, ale można powiedzieć, że bardzo dużo, o czym świadczą liczne wyrobiska po wydobytej glinie.

We wrześniu 1971 roku zainteresowanie wśród warszawiaków wzbudziła niecodzienna kawalkada złożona z przeszło dwudziestu samochodów ciężarowych, która przejechała ulicami miasta, zdążając na dziedziniec zamkowy. O celu podróży mówiły napisy umieszczone na ciężarówkach: „Kraśnicka cegła na Zamek”. Była to pierwsza dostawa cegły wyprodukowanej na potrzeby Zamku w czynie społecznym przez zespoły produkcji i wypału cegły z pow. kraśnickiego. Przekazano wtedy 42 tys. sztuk cegły.

Rozkwit cegielni następował do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Potem zaczęły się problemy. Spadło zainteresowanie mieszkańców wsi budownictwem inwentarskim. Stopniowo zaczęły wchodzić inne, konkurencyjne materiały budowlane. Przed 2000 rokiem weszły wysokie podatki od nieruchomości. Każda

z cegielni musi mieć place o znacznej powierzchni potrzebne do ręcznej produkcji surowki, cegły palonej i suszarni (szop) do wstępnego suszenia. A są one wykorzystywane w sezonie od maja do października.

Właściciele cegielni w 2001 roku w ramach Kraśnickiej Izby Gospodarczej założyli stowarzyszenie i protestowali przeciwko wysokim podatkom od nieruchomości. Uzasadniali, że podatek w wysokości 8 zł od 1 metra kwadratowego szopy daje obciążenie roczne rządu kilkunastu tysięcy od każdej cegielni i niejednokrotnie przekracza zysk netto właściciela. Z czasem, trochę na ich korzyść zmieniły się przepisy podatkowe w tym zakresie. Jednak zmniejszenie zapotrzebowania na cegłę, zbyt wielkie obciążenie wszelkimi podatkami, wzrost cen energii elektrycznej i węgla do wypału cegły zaczęły ograniczać działalność cegielni. Właściciele cegielni zaczęli ograniczać zatrudnienie ludzi, wygaszali piece albo wręcz likwidowali cegielnie. Obecnie na terenie powiatu funkcjonuje ich 8, pracują w lecie tylko kilka miesięcy. A szkoda, bo ta cegła ma wiele zalet w porównaniu do produkowanej z ilów tzw. „prasówki”. Jest cieplejsza, lepiej wchłania i oddaje wilgoć, nie powodując „pocenia się” ścian, daje lepsze podłoże pod tynki, jest w pełni mrozoodporna. Zalety cegły formowanej ręcznie i wypalanej w tradycyjny sposób dostrzegli architekci nadzorujący prace rewaloryzacyjne i konserwatorskie. Dzięki temu cegła stąd została użyta przy pracach w Wilanowie oraz w innych obiektach zabytkowych i sakralnych Lublina, Sandomierza, Koszalina, Kołobrzegu, Torunia i wielu innych rozsianych po całej Polsce i za granicą. W cegielni sąsiada, która funkcjonuje do dzisiaj pracowali moi rodzice, nadal w niej dorywczo pracuje moja siostra Ewa ze szwagrem Mirosławem. Cegielnia produkuje cegłę różnych kształtów na renowację zabytków oraz niewielkie ilości na budownictwo mieszkaniowe.

W naszym gospodarstwie obora o wymiarach 13 x 6 metrów została zbudowana w 1959 roku. Pilnie trzeba było postawić nową stodołę, gdyż stara, drewniana, kryta gontem groziła zawaleniem. W dniu 3 września 1968 roku została zawarta umowa na prace projektowe z Zespołem Usług Projektowych przy Wydziale Architektury PPRN w Kraśniku. Projekt był gotowy w listopadzie. W dniu 26 listopada 1968 roku została wydana decyzja o pozwoleniu na budowę stodoły murowanej o wymiarach 21,25 x 9,35 m., w oparciu o dokumentację techniczną typową WB-3357. Zaraz po tym ojciec złożył wniosek o kredyt na budowę. W dniu 14.01.1969 r Bank Rolny Oddział Kredytowy w Kraśniku zawiadomił o przyznaniu pożyczki w kwocie 50 000 zł (zgodnie ze złożonym wnioskiem). Spłata kredytu była przewidziana od 1.04.1971 do 1.10.1979 r. Oprocentowanie stałe 3 %. Po uzyskaniu kredytu trzeba było zacząć gromadzić potrzebne materiały na budowę. W dniu 27 stycznia 1969 r ojciec zakupił 20 000 sztuk cegły z cegielni pana Osiniaka (cegielnia z piecem do wypału powstała w 1967 roku na granicy

wsi Splawy i Kowalin). W naszym gospodarstwie cegły surówki nie wyrabialiśmy, bo pole było równe, nie pagórkowate i nie chcieliśmy zniekształcać pól, robiąc pobór gliny. Ponieważ zima wtedy była śnieżna, można było w lutym saniami zwieźć tą cegłę, w jedną stronę niewiele ponad 1 km drogi. W dniu 18 lutego tego roku została zakupiona tarcica z tartaku w Zaklikowie, niezbędna do wykonania konstrukcji stalowej na stodołę. Wiosną rozpoczęła się budowa i na żniwa 1969 roku stodoła była wykończona. Ekipa murarska doświadczonego, solidnego murarza pana Jana Żubra z Olbięcina wykonywała prace terminowo. Stodoła ta została pokryta blachą ocynkowaną, kupioną trzy lata wcześniej. W 1971 roku, po dojeździe do władze Edwarda Gierka były korzystne warunki dla rolników. Spłacając kredyt do końca 1971 roku można było uzyskać korzystną bonifikatę. Dlatego też rodzice pożyczili gotówki od rodziny i 8 grudnia 1971 roku spłacili 9900 zł oraz tyle samo w dniu 29 grudnia 1971 r. Potem rocznie spłacali 1100 zł. W 1977 roku do spłaty pozostało 8800 zł. W lipcu 1973 roku ojciec sprzedając krowę o wadze 378 kg uzyskał 3708 zł (10,30 za kg), a za wolca o wadze 430 kg po 21 zł za 1 kg otrzymał 8589 zł. Wtedy rolnictwo mocno się rozwijało, bo tanie były nawozy, środki ochrony roślin i usługi kółek rolniczych. W 1974 roku za tuczniaka o wadze 121 kg, po 28 zł za 1 kg, po potrąceniu składek PZU ojciec otrzymał 3243 zł.

W końcu lutego 1969 roku doszła jeszcze jedna ważna inwestycja. Otóż powstała możliwość doprowadzenia energii elektrycznej do gospodarstwa. Sąsiad mieszkający 400 metrów od naszego gospodarstwa postarał się załatwić sprawę u władz powiatowych i trzeba było z tego skorzystać. On miał odległość prawie 600 metrów. Prace trzeba było wykonywać na własny koszt. Fachowe prace wykonał elektryk pan Łysakowski z Wilkołaza. Najgorzej było zrobić wykopy pod słupy. Ziemia wtedy zamarzała do głębokości ponad 1 metra. Ojciec musiał wykopać ręcznie dziesięć dołów pod słupy, tyle samo też nasz sąsiad. Po wykonaniu linii niskiego napięcia, w dniu 29 marca 1969 roku popłynął prąd do naszego gospodarstwa. Pamiętam, że były wtedy ogromne roztopy, błoto na podwórku. Ale jaka to była radość, że nie potrzeba już będzie świecić lampą naftową i słuchać radia na baterie. Do tej pory słuchaliśmy radioodbiornika „Juhas” zakupionego z przeceny w 1960 roku. Ale jednak ze względu na duże wydatki na doprowadzenie prądu i budowy stodoły w jednym roku, nie stać nas było na zakup telewizora. Chodziliśmy do sąsiada (400 m). Latem było mało czasu, chodziło się rzadko, ale zimą prawie codziennie. Gdy były duże śniegi, ja po przyjeździe ze szkoły odkopywałem ścieżkę w śniegu. Często, gdy nocą szliśmy z powrotem, ścieżka była już zawiana. Początek lat siedemdziesiątych, to okres, kiedy zimy były śnieżne i mroźne. Zasy równo z płotami. Nocą pod butami skrzypiało, gdy „Wicherek” czy „Chmurka” zapowiadały temperatury minus 25 stopni C, albo i więcej. Pierwszy telewizor u nas został zakupiony przed świętami Bożego Narodzenia, w dniu 12 grudnia

1974 roku. Był to Lazuryt 208. Wcześniej, bo 22 czerwca 1971 roku została zakupiona pralka elektryczna typu FA5, tzw. Frania.

Wiosną 1966 roku naprzeciwko naszych zabudowań, po drugiej stronie polnej drogi, na działce pana Skwary powstał nowoczesny sad. Założył go pochodzący z Modliborzyc koło Janowa Lubelskiego przedsiębiorca. Hipolit Trojanowski. Kupił tą działkę i na 2,5 ha założył sad jabłoniowy. Na części areалу posadził czarną porzeczkę, a pomiędzy młodymi drzewkami powstała plantacja truskawek. Ja mając wtedy 10 lat przyglądałem się z ciekawością temu przedsięwzięciu. Po posadzeniu krzewy porzeczek zostały przycięte, by lepiej mogły się zakorzenić. Ja te pędy zebrałem i przy płocie koło starej stodoły założyłem szkółkę. Z tego wyrosło prawie 500 sztuk sadzonek porzeczek. Z ojcem na następny rok wysadziliśmy je na polu, prawie 12 arów. Ja je pielęgnowałem, plewiłem chwasty i w lecie zbierałem pierwsze owoce. W 1968 roku, w drugim roku po posadzeniu zerwałem z plantacji 1,5 kg owoców, oprócz tego na bieżąco się je spożywało. Te zerwane owoce zaniósłem pani Julii Trojanowskiej (do tych, co mieli sad). Ona mi zapłaciła po 14 zł za 1 kg, czyli wyszło 21 zł. W roku następnym 13 lipca zerwałem już 37 kg, zarobiłem wtedy 518 zł. Oprócz tego będąc dzieckiem, w wakacje zarabiałem przy zbiorze truskawek, było wtedy 1,5 zł za łubiankę (2 kg owoców). Miałem już swoje pieniądze, by w sierpniu kupić wyprawkę do szkoły. Ponieważ ojciec od 5.10.1961 roku był członkiem Rejonowej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Kraśniku (wtedy dostarczał jabłka, gruszki i śliwki z przydomowego sadu, ok. 1 ha, drzewa rosły rzadko, co 10 m, pomiędzy nimi uprawiało się zboże, ziemniaki czy buraki) od 1971 roku, gdy porzeczek weszły w okres pełni owocowania, kontraktował je i sprzedawał do tej spółdzielni. Już w 1980 roku cena porzeczek wynosiła 90 zł za 1 kg. Wtedy sprzedał 676 kg, W 1985 roku sprzedał 755 kg po 90 zł za 1 kg, jabłka przemysłowe sprzedawał wtedy po 12 zł za 1 kg, W 1986 roku sprzedał 563 kg porzeczek po 100 zł za 1 kg. Od tamtego czasu cena skupu rosła, by w 1989 roku osiągnąć poziom 1800 zł, zaś w 1990 roku już 12100 zł za 1 kg. Od 1989 roku już nie trzeba było wozić owoców do punktu skupu na stacji kolejowej w Kraśniku. Uwolnienie rynku spowodowało powstawanie dużej ilości punktów w terenie. Taki też punkt powstał w Splawach (w starym, drewnianym budynku remizy OSP), był to punkt firmy SUN-POL. Porzeczkę czarną mieliśmy do 1995 roku, potem plantacja została zlikwidowana, gdyż były to stare, nieekonomiczne odmiany.

Z roślin przemysłowych opłacalna była uprawa tytoniu. Pierwszy raz uprawialiśmy go w 1979 roku. Wtedy z plantacji o powierzchni 0,16 ha, odm. Puławski sprzedaliśmy 232 kg w kl. I oraz 133 kg w kl. II. W 1980 roku posadziliśmy tytoń na obszarze prawie pół hektara, ale w maju przymrozki mocno go uszkodziły i zostało tylko 0,15 ha. Rok później był taki sam areal. Plony były słabe, sprzedaliśmy tylko 153 kg w kl. I i 45 kg w klasie II. W roku 1982 udało się wysuszyć i sprzedać

227 kg liści w kl. I i aż 141 kg w kl. II. Klasa druga była nieopłacalna cenowo. Wymagania odnośnie tytoniu rosły, trzeba byłoby budować typową suszarnię, dlatego rodzice zdecydowali o rezygnacji z uprawy tej rośliny. Ja oczywiście w lecie bardzo lubiłem nawlekać tytoń na druty, słuchając przy tym „Lata z radiem”.

Od 1986 roku, przez cztery lata w gospodarstwie był uprawiany rzepak ozimy, kontraktowany dla Zakładów Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie. W 1986 roku rzepak był zasiany na obszarze 1 ha, zebrano 2,5 tony nasion, w roku następnym 1,1 ha, zaś w 1988 roku z 1 ha zebrano 2 tony (plony nie były zadowalające), ale był sprzedawany po korzystnych cenach – 9363 zł za 1 kwintal. Do zbioru był najmowany kombajn z SKR Kraśnik, za 1 godzinę koszenia (skosił w tym czasie 1 ha) wyszło do zapłaty 8925 zł.

W 1975 roku był prowadzony remont budynku gospodarczego, przedwojennej gajówki z 1908 roku. Nowy budynek mieszkalny został wybudowany z cegły w 1962 roku. Stary budynek stał się gospodarczym. Był kryty gontem, ściany były murowane, ale miał drewniane sklepienie (2 warstwy desek, ocieplone w środku plewami). Była też drewniana podłoga na legarach. Pod podłogą była skrytka na polskie czasopisma i książki, gdy Polska przed 1918 roku była pod zaborami. Ta skrytka była także w czasie II wojny światowej, gdyż często z niej korzystali partyzanci. W dniu 15 stycznia 1975 roku został zakupiony eternit na dach, 82 sztuki kosztowały 6068 zł, za 2 okna trzeba było zapłacić 906 zł, za deski kupione w kwietniu 1865 zł, zaś za bale 1714 zł. Za sprzedane w tamtych czasach 3 tuczniaki można było zrobić remont budynku. Widząc zaangażowanie ojca w rozwój gospodarstwa i działalność społeczną władze gminy Kraśnik w maju 1975 roku zaproponowały ojcu modernizację tego budynku na chlewnię. Wtedy były trudności z materiałami budowlanymi, ale Naczelnik Gminy Henryk Kawa przydzielił ojcu 8 ton cementu, 2 tony wapna, 10 tys. sztuk cegieł, 80 mb belek stalowych, 4 okna, 1 drzwi, koryta kamionkowe i możliwość uzyskania kredytu w kwocie 50 000 zł. W lipcu 1975 roku ojciec wykupił tylko 36 mb belek (3 sztuki). Modernizację przełożył na później. W rzeczywistości modernizacja pomieszczeń na chlewnię nie została zrealizowana. W dniu 14 maja 1979 r, na wniosek kierownika Gminnej Służby Rolnej inż. Franciszka Rozenbajgiera, ojciec otrzymał odznakę „Zasłużony Pracownik Rolnictwa”, przyznaną przez Ministra Rolnictwa. Została ona wręczona podczas sesji Rady Gminy Kraśnik.

W latach osiemdziesiątych na wieś wkraczała mechanizacja rolnictwa. W dniu 17.02.1981 r ojciec otrzymał od Naczelnika Gminy Henryka Kawy zlecenie na przydział w I kwartale 1981 roku ciągnika marki Ursus C-360. W tym czasie były jednak małe dostawy do składnicy maszyn rolniczych tych ciągników, łatwiej było o ciągnik mniejszy. Dlatego też za pośrednictwem WZGS w Lublinie nastąpiła zamiana, tym bardziej, że powierzchnia gospodarstwa wtedy wynosiła 6,50 ha.

Ciągnik Ursus C-330 został zakupiony w dniu 10 marca 1981 roku. Pracuje w gospodarstwie do chwili obecnej. Zaraz wiosną tego roku kupiony był pług dwuski-bowy do ciągnika. Trudno było z zakupem bron i kultywatora. Znajomy doradził by kupić te narzędzia w SKR Polichna. Tamten zakład wyrabiał nowe brony i kultywatory. Stąd też w dniu 30 czerwca 1981 roku został tam zakupiony kultywator (za 8866 zł), posiadający 13 łap, oraz 3-polowe brony ciągnikowe (za 3304 zł). W roku 1982 została kupiona dwurzędowa kopaczka półzawieszana przenośnikowa Z609/2 do ziemniaków, których w tamtym czasie uprawiało się około 1 ha. Były one podstawą żywienia trzody chlewnej. W roku następnym gmina dała przydział na samochód rolniczy osobowo-dostawczy Syrena Bosto. Została ona zakupiona w dniu 6 lipca 1982 roku w FSM Bielsko-Biała za cenę 264 000 zł.

Gdy już był ciągnik, systematycznie można było dokupować sprzęt towarzyszący. Przydziały do składnicy maszyn służyły regularnie, trzeba tylko było mieć zlecenie z urzędu gminy. W dniu 4 kwietnia 1985 roku został zakupiony rozrzutnik do obornika T-032 za cenę 180 100 zł, w tym też roku pielnik Gryf do buraków za cenę 1450 zł. W dniu 2 grudnia 1987 roku z przydziału została zakupiona snopowiązałka Z005/1, która kosztowała 314 000 zł. Młocarnia zębowa czyszcząca Lublinianka MZC4B została zakupiona jeszcze jesienią 1982 roku. Używana była przez około dziesięć lat. Jednak po 1990 roku, gdy nastąpił szybki wzrost mechanizacji, rolnicy masowo zaczęli kupować kombajny zbożowe używane z zagranicy. Snopowiązałka i młocarnia szybko stały się zbędne w gospodarstwie. Młocarnia została sprzedana w 1994 roku (nabywcą był rolnik z wschodniej granicy), a snopowiązałka przeznaczona na zabytkowy eksponat, stoi w szopie nie używana. W naszym gospodarstwie nie było sensu kupno kombajnu do zbioru zbóż. Było mało pola. Obecnie w gospodarstwie siostry i moim, łącznie 11 ha, uprawia się połowę zbóż (około 5,5 ha), pozostały areal gruntów ornych jest przeznaczony pod uprawę traw i roślin pastewnych dla bydła. Rocznie hodowanych jest 8–10 sztuk bydła przeznaczonego na opas. Ekonomicznie jest kombajn najmować od sąsiadów, niż mieć własny.

Zanim został kupiony własny sprzęt do prac polowych, trzeba było korzystać z usług Kółka Rolniczego w Sławach. W 1974 roku za kultywatorowanie 1,5 ha pola trzeba było zapłacić 148 zł, za 1 ha obrobiony glebogryzarką 91 zł. Dla porównania, w lipcu 1973 roku za trzy tuczniaki ojciec otrzymał 8660 zł (wtedy była cena 29,60 zł za 1 kg), rok wcześniej tucznik kosztował 27,30 zł za 1 kg. Ja po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Kowalinie (1971 r), kształciłem się dalej Zasadniczej Szkole Rolniczej w Olbiciu, gdzie 1 IX 1971r wstąpiłem do Związku Młodzieży Wiejskiej (legitymacja członkowska nr 500784) i pracowałem w tej organizacji społecznie do 1976, w końcu jako członek ZSMW. Po odrodzeniu ZMW w 1980 znów odnowiłem członkostwo w stworzonym przezeń kole przy

Urzędzie Gminy w Kraśniku (leg. ZMW nr 238760), gdzie w tym Urzędzie od 1978 nieprzerwanie zawodowo pracuję, a więc już minęło 40 lat. Odrodzone koło ZMW było dość liczne. Przywróciło ono pozytywne i ciekawe działania, jak m.in. wycieczki, zebrania szkoleniowe czy ogniska organizowane w terenie dla młodzieży w poszczególnych wioskach w gminie Kraśnik.

Ja zawsze chciałem aktywnie działać społecznie. Już jako 16-letni uczeń zostałem finalistą Powiatowej Olimpiady Wiedzy Rolniczej ZMW (29 X 1972 r.), zaś w 1975 w konkursie „Szkoła rolnicza – mój przyjaciel”, organizowanym przez ZG ZSMW, Ministerstwo Rolnictwa, CZKR i redakcję „Młodego Rolnika”, prezentowałem Zasadniczą Szkołę Rolniczą w Olbęcinie oraz Państwowe Technikum Rolniczego w Wólce Gościeradowskiej i zdobyłem II nagrodę. W tej też szkole w roku 1976 zdałem maturę. Idąc śladami ojca wstąpiłem w szeregi ZSL. W szeregach ZSL, a potem PSL działałem od 3 III 1977 r, pełniąc funkcje: sekretarza Zarządu Gminnego ZSL w Kraśniku, członka WK ZSL w Lublinie oraz Komisji Propagandy i Prasy NK ZSL. Byłem delegatem na X Kongres ZSL (1988 r) i na Kongres Odrodzenia Ruchu Ludowego (1989 r).

Po zmianach społeczno-gospodarczych w 1990 roku zacząłem społecznie działać w samorządach, Jako samorządowiec byłem radnym Rady Gminy w Kraśniku – przez dwie kadencje (1990–1994 r. oraz 1994–1998 r), delegatem gminy do sejmiku, przewodniczącym Komisji Kultury i Edukacji Lubelskiego Sejmiku Samorządowego (1990–1994 r.), członkiem Prezydium Lubelskiego Sejmiku Samorządowego (1994–1998 r.) i radnym Rady Powiatu Kraśnickiego (1998–2002 r.).

Ponadto należę do OSP w Splawach (od 1971 r.), byłem członkiem Ligi Ochrony Przyrody – (od 21 X 1971 r.), SITR (od 18 XII 1978 r.), Kraśnickiego Towarzystwa Regionalnego (od 19 IX 1994 r), Klubu Oficerów Rezerwy Ligi Obrony Kraju im. Kazimierza Dworaka w Kraśniku (od 2002 r.) i Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (od 26 VI 2003 r.).

Moją pasją jest twórczość ludowa, którą zainteresowałem się już w V klasie szkoły podstawowej, słuchając powstałej wtedy audycji Programu I Polskiego Radia „Kiermasz pod kogutkiem”, a także innych audycji jak: „Więś tańczy i śpiewa”, „Wędrówki muzyczne po kraju”, „Graj graczyku”, „Grają i śpiewają zespoły regionalne”.

W dniu 8.11.1995 r. podczas spotkania z okazji jubileuszu 1500. wydania „Kiermaszu pod kogutkiem” otrzymałem specjalne podziękowanie za wieloletnią współpracę z „Kiermaszem” i nagrodę Prezesa Zarządu Polskiego Radia. Jak stwierdził Krzysztof Michalski, prezes Zarządu Polskiego Radia S.A, takiego kronikarza jak Andrzej Wojtan nie ma żadna radiofonia na świecie. Zgromadziłem pełną dokumentację występujących w audycji zespołów regionalnych, twórców ludowych, prezentowanej poezji ludowej. O mojej radiowej pasji często pisała fachowa

literatura, w tym tygodniki „Radio i Telewizja” oraz „Antena”. Latem 2018 roku, z okazji 50-lecia nadania pierwszej audycji (4 luty 1968 r) opracowałem obszerną historię tej audycji do publikacji w kwartalniku STL „Twórczość Ludowa”.

Będąc w ósmej klasie szkoły podstawowej zacząłem systematycznie pisać do radiowego „Kiermaszu pod kogutkiem” fraszki, wiersze o tematyce ludowej, a także przysłowia ludowe spisywane podczas wakacyjnych wędrówek i rozmów z najstarszymi mieszkańcami wsi po całym powiecie kraśnickim i po terenach ościennych. Pasję tą rozwijałem później, będąc uczniem szkół rolniczych.

Po szkole podstawowej nawiązałem współpracę z redakcjami gazet wiejskich, takich jak: „Gromada – Rolnik Polski”, „Zarzewie”, „Zielony Sztandar”, „Chłopska Droga”, „Plon”, „Młody Rolnik”, „Nowa Wieś”, „Nasza Wieś”, wychodząca w Olszynie, a mająca oddział w Lublinie, „Dziennik Ludowy” i „Rolnik Lubelski”. Najpierw przez lata prenumerował je ojciec, ja do nich sięgałem, z czasem zacząłem pisać listy i korespondencje. Na łamach tych gazet stale ukazywały się moje artykuły dotyczące imprez folklorystycznych w regionie, działalności twórców ludowych, zwyczajów i obrzędów regionalnych oraz różnych wydarzeń kulturalnych, a także fachowe artykuły rolnicze. Bardzo często korespondencje były nagradzane, jako najlepsza korespondencja miesiąca. Od 1973 na łamach gazet wiejskich opublikowałem ponad 150 wierszy i fraszek o tematyce ludowej. W roku 2000 kilka wierszy były prezentowanych w almanachu poetów Ziemi Kraśnickiej „Taniec z gwiazdami”, wydanym przez Starostwo Powiatowe w Kraśniku.

Na początku 1971 roku, mając 15 lat, zacząłem pisać listy do „Zielonego Sztandaru”. Dnia 22 stycznia 1972 roku otrzymałem od Redakcji „Zielonego Sztandaru” podziękowanie za nadesłany list nawiązujący do dyskusji na temat małych i dużych gromad. Pierwszą notatkę pt. „Dokarmiam ptaki i zwierzynę” redakcja wydrukowała mi w dniu 6 lutego 1972 roku na kolumnie „W naszym domu”, gdyż nie było jeszcze w „Zielonym Sztandarze” kolumny „Świat dziewcząt i chłopców”. Od tamtej pory zacząłem systematycznie pisać do „Zielonego Sztandaru”.

Po ukończeniu zasadniczej szkoły rolniczej, zostałem uczniem Państwowego Technikum Rolniczego w Wólce Gościeradowskiej. W końcu maja 1976 roku szkoła zorganizowała wycieczkę do Warszawy. W czasie dwugodzinnej przerwy odwiedziłem Redakcję „Zielonego Sztandaru” na ul. Grzybowskiej. Bardzo miłe wtedy przyjęto. Rok później w końcu maja 1977 roku otrzymałem z Redakcji zaproszenie na przyjazd do Warszawy na uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień w konkursie publicystycznym im. Tomasza Nocznickiego. Byłem zaskoczony, ale i szczęśliwy, że mnie spotkało to wyróżnienie.

W redakcji „Zielonego Sztandaru” byłem wiele razy przy różnych uroczystościach: we wrześniu 1979 roku, podczas jubileuszu 35. lecia gazety, wznowionej po II wojnie światowej, na spotkaniach z okazji Dni Prasy Ludowej, czy też spotkaniu

z okazji 60-lecia „Zielonego Sztandaru” w dniu 19 kwietnia 1991 roku w Sali im. Macieja Rataja w gmachu Sejmu RP. Przez te wszystkie lata na kolumnach mutacyjnych „Od Bugu do Wisły”, czy wydaniach ogólnych zostało wydrukowanych kilkaset moich korespondencji, pisanych bezpośrednio ze wsi, o tym, co cieszyło i co utrudniało życie mieszkańcom wsi. Wiele korespondencji dotyczyło spraw kultury wiejskiej, bo ta pasja pozostała mi na długie lata.

Podczas wędrówek po wioskach zbierałem dawne przedmioty etnograficzne z myślą o założeniu własnego muzeum. Jednak, gdy w 1975 redakcja „Zielonego Sztandaru” i dyrekcja Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie ogłosiły ogólnopolską akcję „Dar dla Muzeum”, większość zebranych eksponatów przekazałem do tego Muzeum, będąc pierwszym w kraju ofiarodawcą i otrzymując – podczas otwarcia specjalnej wystawy – nagrodę Zarządu Muzeum i Ochrony Zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, co odnotował „Zielony Sztandar” na pierwszej stronie gazety. Potem brałem udział w kolejnej akcji „Daru dla Muzeum”. W 1976 zostałem współpracownikiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, aktywnie przeprowadzając badania etnograficzne dla potrzeb Ośrodka Dokumentacji Etnograficznej w Łodzi.

Od kilkudziesięciu lat współpracuję z Zarządem Głównym Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie oraz z Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury w Lublinie podczas corocznego organizowania Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, współredagując gazetkę festiwalową „Burczybas”. Po każdej festiwalowej imprezie prezentuję twórców ludowych oraz uczestników festiwalu na łamach gazet. W czerwcu 2016 roku z okazji jubileuszu 50. lecia tego Festiwalu na wniosek dyrekcji Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie Zarząd Województwa Lubelskiego wyróżnił mnie Medalem Pamiątkowym Województwa Lubelskiego za zasługi dla woj. lubelskiego. Od 2001 do 2014 roku, jako współpracownik dziennika „Kurier Lubelski”, stale i dużo pisałem o twórczości ludowej i imprezach kulturalnych powiatów: Kraśnik i Janów Lubelski. W latach. 1992–1999, będąc współpracownikiem Radia Lublin w bieżących relacjach informowałem o wydarzeniach kulturalnych, szczególnie tych folklorystycznych powiatów kraśnickiego i byłego woj. tarnobrzeskiego.

Działam na rzecz swojej Małej Ojczyzny. W 1988 byłem inicjatorem budowy świetlicy wiejskiej w Spławach Drugich. W latach 2007–2008 wspólnie z władzami powiatu kraśnickiego w tej świetlicy organizowałem Międzypowiatowy Przegląd Teatrów Wiejskich stanowiący eliminacje do przeglądu w Tarnogrodzie z powiatów: kraśnickiego, janowskiego i opolskiego. Świetlica jest siedzibą, działającego od 1978 Zespołu Folklorystycznego z sąsiedniej wsi Kowalin, którego jestem kierownikiem.

Swoją wiedzę i doświadczenie, bogate zbiory literatury ludowej z własnej biblioteki, wykorzystuję na co dzień we współpracy z młodzieżą i zespołami ludowymi, z placówkami kultury, redakcjami czasopism wiejskich.

Za działalność społeczną, patriotyczną, kulturalną trzymałem wiele odznaczeń i wyróżnień: Brązowy Krzyż Zasługi (1980 r.); medale: 40-lecia Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu n. Wisłą (2006 r.), złoty *Za zasługi dla pożarnictwa* (2012 r.), srebrny *Za zasługi dla obronności kraju* (2012 r.), srebrny *Za zasługi dla Ligi Obrony Kraju* (2014 r.), *Za zasługi dla powiatu kraśnickiego* (2015 r.) oraz odznaki: *Zasłużony dla leśnictwa i przemysłu drzewnego* (1983 r.), *Zasłużony pracownik rolnictwa* (1987 r.), *Zasłużony działacz Klubu Oficerów Rezerwy LOK* (2005 r.), złotą Polskiego Związku Pszczelarskiego (2011 r.), honorową *Zasłużony dla kultury polskiej* (2012 r.). W dniu 17 października 2018 r., z okazji jubileuszu 50-lecia działalności Stowarzyszenia Twórców Ludowych, za pełną pasji i zaangażowania działalność społeczną na rzecz kultywowania lokalnej tradycji i kultury otrzymałem Dyplom Uznania Marszałka Województwa Lubelskiego Sławomira Sosnowskiego.

W dniu 15 kwietnia 1993 r. moja mama Zofia Wojtan i ojciec Wiktor Wojtan przepisali notarialnie pole na moją siostrę Ewę (ur. 1971 r) oraz na mnie. Mnie przypadła działka o powierzchni 1,50 ha, położona przy szosie krajowej w Splawach Pierwszych, a siostrze grunty przy zabudowaniach. Rodzice otrzymali emeryturę rolniczą. Wiek emerytalny osiągnęli wcześniej, ale ze względu na to, że mieli na siebie pole, przez ten czas brali tylko część należnej emerytury. Ale faktycznie moje pole użytkuje siostra z mężem. Ja lubię prace w polu dlatego chętnie w wolnym czasie wykonuję różne prace, także w gospodarstwie.

W 1985 roku ojciec zakupił od sąsiada (cegielnia Hipolita Trojanowskiego) 20 000 sztuk cegieł, płacąc po 10 zł za sztukę. Cegła została zgromadzona, a przydała się na budowę nowego domu, który został wybudowany przez moją siostrę Ewę i szwagra Mirosława w latach 1994–1996. Siostra z mężem zakupili w 2010 roku używany ciągnik Ursus C-360, zaś w roku następnym kosiarkę rotacyjną, gdyż w tym czasie zrezygnowali z chowu trzody chlewnej, nastawiając się na chów bydła. Tak jest nadal.

W tym roku dokładnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości była miła niespodzianka. Przed wieczorem z reporterską wizytą odwiedził nas red. Krzysztof Rajczyk z Warszawy z czasopisma „Przyjaciółka”. Pretekstem tej wizyty był list mojej siostry Ewy Banaś skierowany do redakcji z okazji 70-lecia „Przyjaciółki” (jubileusz był w marcu br). Ponieważ w naszej rodzinie to czasopismo było czytane przez te 70 lat, siostra napisała swoje wspomnienia na ten temat. Płonem wizyty dziennikarza „Przyjaciółki” był obszerny fotoreportaż opublikowany w nr 24 czasopisma datowanym na 29.11–12.12.2018 rok. Tytuł reportażu bardzo wymowny „To miłość od pierwszego numeru”.

Opowiem wam swoją historię

I

Historia mojej rodziny związana jest (przynajmniej ze strony matki) z Ukrainą – Galicją (jak byśmy to wówczas powiedzieli). To właśnie tam – we Lwowie – w niedawnej stolicy *Galizien und Lodomerien Provinz* zmarł 18 listopada 1918 roku dziadek mojego dziadka – Edward Webersfeld. Był to dzień szczególny w historii mojej rodziny, gdyż sędziwy powstaniec był wielką osobowością. Edward był emerytowanym urzędnikiem lwowskiego Magistratu, cenionym w mieście publicystą, weteranem powstania styczniowego, działaczem społecznym i niepodległościowym, a w młodości – prowadzącym „cygańskie” życie w taborze – wędrownym aktorem teatralnym. Pochodził z austriackiej (właściwie nawet austriacko-węgierskiej z pewną domieszką krwi siedmiogrodzkich Żydów) rodziny urzędniczej, osiadłej na Ukrainie w tak zwanych „czasach józefińskich” (koniec XVIII w.). Nowa władza musiała stworzyć od podstaw własne struktury wojskowo-urzędnicze, a Webersfeldowie (i im podobne, świeżo uszlachcone rodziny) godziły się na wyjazd do tej „pół-Azji” spodziewając się intratnych posad i szybkich awansów. Webersfeldowie oczywiście bardzo szybko ulegli polonizacji. Edward (którego krewni mieszkali nie tylko w stolicy Austro-Węgier, ale właściwie we wszystkich zakątkach tego rozległego mocarstwa, począwszy od Triestu i Zadaru (w Dalmacji), poprzez Węgry i Morawy, aż po Bukowinę), choć żenił się kilkakrotnie, to jego wybrankami zawsze były Polki. Jego jedyna córka – Magdalena – przyszła na świat w okolicy Brodów (tuż przy ówczesnej granicy z Cesarstwem Rosyjskim).

Magdalena od dzieciństwa kochała muzykę. Ukończyła lwowskie konserwatorium muzyczne i wyszła za mąż za wielce obiecującego krytyka muzycznego i operowego – Jakuba Bylczyńskiego. Dęboróg-Bylczyńscy, osiedli na Ukrainie w połowie XVIII wieku, byli rodziną urzędniczą wywodzącą się z drobnej kresowej szlachty. Ojciec Jakuba – Mieczysław – był radcą w lwowskim Namiestnictwie, a matka – Ukrainka, zajmowała się prowadzeniem domu i amatorsko malowała. To za sprawą matki Jakub wychowywał się w splocie dwóch tradycji: polskiej i ukraińskiej, łacińskiej i wschodniej, rzymsko- i grekokatolickiej. Publicystyką i recenzjami muzycznymi dorabiał sobie Jakub do niedużej pensji nauczyciela gimnazjalnego. W roku 1909 Magdalenie i Jakubowi urodził się syn – Paweł (mój dziadek).

Gdy wybuchła wojna – zwana wówczas „wielką”, choć następna miała okazać się o wiele straszniejszą, i do Lwowa wkroczyło carskie wojsko – Jakub Bylczyński został aresztowany i wywieziony do Rostowa nad Donem. Musiał cieszyć się jednak sporymi swobodami, bo założył tam małe polskie progimnazjum. Wygłaszał także odczyty patriotyczne, wraz z innymi działaczami Macierzy Polskiej organizował Dom Polski „Ogniwo”, Koło Polskie „Promień”, udzielał się w życiu kulturalno-oświatowym zesłańców. Po dwóch latach w Rostowie władze (już nie carskie, a bolszewickie) przeniosły go do Saratowa nad Wołgą. Tam poznał Polkę (z którą po latach zalegalizował związek) i przyszedł na świat jego drugi syn – Janusz.

Tymczasem we Lwowie zbyt długo nie cieszący się proklamowaną niepodległością. Próba przejścia miasta przez oddziały ukraińskie i polski opór przeszły do historii jako obrona Lwowa. Magdalena i jej zaledwie dziesięcioletni synek brali udział w narodowym zrywie. Magda zaciągnęła się do korpusu sanitarnego tak zwanej Ochotniczej Ligii Kobiet. Oboje z Pawłem zostali później odznaczeni Krzyżami Obrony Lwowa. Te i następne lata pokażą, że choć moja rodzina nie legitymowała się tradycjami wojskowymi lecz artystycznymi, to wciągana w wir historii, była niejednokrotnie zmuszana do chwytania za broń.

Prababka nie miała już innej rodziny we Lwowie (poza synem i mężem na zesłaniu) i dlatego zdecydowała się na opuszczenie ojczyzny Ukrainy i wyjazd na ziemię odzyskane. Za namową znajomych muzyków wybrała Bydgoszcz. Świeżo wyzwolone z pruskich rąk miasto miało znaczne niedobory kadrowe. Ściągała do niego inteligencja z różnych stron kraju. To wówczas między innymi pojawili się w Grodzie nad Brdą tej miary publicyści i krytycy jak: Konstanty Regamey czy Adam Grzymała-Siedlecki.

Jakub Bylczyński nie śpieszył się z powrotem ze Wschodu. Otrzymał propozycję posady dyrektora gimnazjum w Nowogródku, gdzie przez kilka lat uczył także łaciny. Razem z Magdą doszli do przekonania, że najlepiej będzie, gdy już do siebie nie wrócą (Jakub miał przecież drugiego syna z inną kobietą). Po wyjeździe z Nowogródka zatrzymał się na kilka lat w Warszawie, gdzie uczył propedeutyki filozofii i historii w Gimnazjum im. Władysława IV. Ostatecznie jednak zamieszkał w Tomaszowie Mazowieckim. Pracował w I Liceum Ogólnokształcącym. Został także wicedyrektorem tej szkoły. Angażował się w życie kulturalne i naukowe miasta. Organizował wraz z tak zwaną Akcją Katolicką wykłady, odczyty i prelekcje na tematy historyczne i literackie.

Życie w wolnej Polsce biegło mojej rodzinie dość wygodnie i stabilnie. Syn Magdy (a mój dziadek) – Paweł – w roku 1928 zapisał się na ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. Poznań był wówczas świetnym ośrodkiem naukowym. Paweł słuchał wykładów takich sław polskiej ekonomii jak choćby profesor Edward Tay-

lor. Po studiach bez problemu znalazł zatrudnienie w stolicy. Tam poznał swoją przyszłą żonę (urzędniczkę w przemyśle papierniczym) – Janinę Kupidurską.

Babcia pochodziła z rodziny kupieckiej z okolic Płocka, choć sama urodziła się w dalekim Chocimiu (w Besarabii). Przyczyna tego nietypowego wpisu miejsca urodzenia do dowodu osobistego kryła się w charakterze jej taty. Hipolit Kupidurski bardzo często się przeprowadzał. W poszukiwaniu pracy (przed I wojną światową był majstrem maszyn i kotłów parowych w przemyśle papierniczym) przemierzał nie tylko Królestwo Polskie, ale i dalsze rubieże Cesarstwa Rosyjskiego. Na początku lat trzydziestych zakupił skromny, drewniany dom w Gostyninie koło Płocka, a uciulane złote „świnki” i dolary pozaszywał na „czarną godzinę” w płócienne woreczki (choć trzeba dodać, że tzw. „wielki kryzys ekonomiczny” w Polsce nie groził stabilnej posiadce pradziadka w przemyśle papierniczym).

Paweł i Janina pobrali się w Warszawie. Ich jedyna córka Jolanta (moja mama) przyszła na świat w roku 1937. Dobiały ostatnie lata i dni pokoju. W roku 1938 Janusz Bylczyński (drugi syn Jakuba) został powołany do Szkoły Podchorążych w Sieradzu. Do Tomaszowa już nie wrócił. Wybuchła kolejna wojna.

Dla Janusza kampania wrześniowa oznaczała szlak bojowy 30 Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich. „Kaniowszczyzy” bili się między innymi w obronie Sieradza i w bitwie mszczonowskiej. Po latach Janusz zostanie odznaczony medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”.

Ciężkie lata przyszły dla Tomaszowa. Szkoła, w której uczył Jakub przed wojną była wielonarodowym tygłem. Uczyli się w niej żydzi, prawosławni, ewangelicy i katolicy. Z nadejściem Niemców wszystko diametralnie uległo zmianie. Wielka osobowość miasta – ewangelicki pastor Leon May został aresztowany i zamęczony w Dachau. W miasteczku wydzielono getto dla ludności żydowskiej, którą później wymordowano w Oświęcimiu. Dawni profesorowie gimnazjum uczyli we własnych domach przedmiotów zakazanych przez władze (języka polskiego, historii Polski itd.). Jakub był jednym z inicjatorów tych tajnych kompletów w Tomaszowie.

W historii Bydgoszczy natomiast najczarniejszą kartą zapisała się bydgoska „krwawa niedziela”. W mieście, w którym aż do 1939 roku żyła znaczna mniejszość niemiecka, hitlerowcy przeprowadzili swoją Akcję AB (*Intelligenzaktion*) wyjątkowo skrupulatnie i okrutnie. Magda Bylczyńska, która znalazła się na czarnej liście bydgoskiej inteligencji musiała uciekać z miasta. Schroniła się wraz z synową i córką w Gostyninie. Paweł wyjechał do Wilna, gdzie nawiązał kontakty z rodzącym się ruchem oporu. Został zaprzysiężony do Służby Zwycięstwu Polski generała Tokarzewskiego-Karaszewicza, a następnie do wileńskiego ZWZ AK.

Dom pradziadka Hipolita w Gostyninie nie był szczególnie okazały (ot skromna, drewniana chatka). Usytuowany był jednak przy głównej ulicy, wylotowej z miasta w kierunku Płocka. Przepuszczalnie to zdecydowało o tym, że Niemcy

postanowili wyrzucić z niego Kupidurskich. W całej Generalnej Guberni zaczęły się akcje wywłaszczeniowe. Pradziadkowie z dziećmi (poza Janiną mieli jeszcze dwie córki i syna), a także moja mama (wówczas trzyletnia) ze swoją babcią – zostali osadzeni w obozie przejściowym w Łodzi. Był to obóz przy ulicy Łąkowej, w którym SS osadzało Polaków z obszaru całej rejencji łódzkiej GG. Mama zapamiętała z tych kilku obozowych miesięcy, że Niemki podawały tam małym dzieciom zatrute mleko... Tymczasem w gostynińskim domu pradziadków w najlepsze urządzali się Niemcy (zamontowali między innymi umywalki z pięknymi bateriami i kurkami, ale nie zdążyli przyłączyć bieżącej wody).

W Łodzi drogi moich bliskich rozeszły się. Pradziadkowie z jedną z córek trafili do obozu pracy w Bolesławcu na Dolnym Śląsku (tzw. *Arbeitslager Bunzlau II*). Hipolit obsługiwał tam jakieś maszyny. Na szczęście jego synowi (Felicjanowi) udało się zebrać w rodzinie (w Warszawie, gdzie mieszkał brat pradziadka) znaczną sumę, za którą wykupił z obozu swoich rodziców i siostrę. (Siostra – Marysia – jak się później okaże – bardzo przeżyła pobyt w tym obozie. Nigdy nie wyjdzie za mąż i nie ułoży sobie życia. Ciężko zapadnie na schizofrenię i już do końca swoich dni będzie żyła obozowymi wspomnieniami).

Operatywny Felicjan przywiózł swoją rodzinę do Warszawy. Tu, na końcu ulicy Leszno, tuż przy murze getta, prowadził sklep brat dziadka – Henryk. W podwarszawskim Błoniu odnalazły się natomiast moja babcia (Janina) z córką i teściową (Magdą). Z Błonia jeździły często do pobliskiego Rokitna, by przed cudownym obrazem Maryi modlić się o życie reszty rodziny. Jednocześnie w Warszawie pojawił się Paweł, który będąc w AK, i wiedząc o zbliżającym się powstaniu, próbował jak najprędzej wywieźć wszystkich bezpiecznie ze stolicy. Choć samo powstanie nie było dla warszawian zaskoczeniem, to już godzina „W” trochę tak. Powstanie nie było dobrze przygotowane i do końca przemyślane. Paweł nie zdążył już wywieźć z miasta swoich najbliższych. Sam zaś pełnił służbę w zabezpieczeniu szpitala powstańczego i w intendenturze (zaopatrzeniu). Po sześćdziesięciu trzech dniach wszyscy (Paweł z żoną i córką) zostali osadzeni w Pruszkowie (w tak zwanym *Dulagu 121*). Odtąd już zawsze mojej mamie wilczury będą kojarzyły się z psami esesmanów...

Magdalenie Bylczyńskiej udało się zaś wyjechać do Krakowa. Przyjęli ją gościnnie dawni znajomi – państwo Walasowie (profesor Jan Walas – botanik, i jego żona Zofia). Oboje państwo Walasowie bardzo angażowali się w pomoc żydowskim dzieciom. Pani Zofia współpracowała z Kurią Biskupią, gdzie zarówno ukrywano Żydów jak i wyrabiano im fałszywe metryki chrztu. Magdalena, jako dawna Galicjanka, znała język niemiecki (*Hochdeutsch* z „lekkim wiedeńskim akcentem”). W Krakowie dorabiała sobie udzielaniem lekcji gry na fortepianie, a jej odwaga, silny charakter i przedwojenne (także niemieckie) kontakty sprawiały, że była bardzo użyteczną w krakowskiej konspiracji.

Moja mama z babcią dojechały do niej do Krakowa po uwolnieniu z obozu pruszkowskiego. Paweł natomiast nawiązał jakieś kontakty z niejakim kapitanem Szedrowiczem i z nim, w świeżo sformowanej jednostce Morskiej Grupy Operacyjnej (MGO) wyjechał do Gdańska.

Kapitulacja Niemiec zastała zatem moją rodzinę rozbitą. Paweł zajmował się przejmowaniem poniemieckich dóbr w Gdańsku i ich zabezpieczaniem przed armią radziecką i wszelkiej maści „maruderami”. Następnie pracował w Biurze Odbudowy Portów (BOP) i Gdańskim Urzędzie Morskim. Otrzymał od nowej władzy piękne mieszkanie w poniemieckiej willi w starej części Wrzeszcza. Poznał tam jedną z gdańszczanek – Niemkę – urodzoną notabene w Bochum – Gertrude Fojud. Zakochał się w niej i oboje zamieszkali w Gdyni. Paweł jako przedwojenny ekonomista szybko awansował w hierarchii urzędniczej. Władza ludowa potrzebowała takich ludzi i umiała ich nagradzać. Paweł wstąpił do ZBOWiD-u i Stronnictwa Demokratycznego. Wybaczone mu akowski „epizod”. Został dyrektorem dużego domu towarowego (Rzemieślniczego Domu Towarowego) w Gdyni. Już nigdy nie wrócił do pierwszej żony i córki. Zerwał niemal wszystkie kontakty z rodziną (także ze swoimi rodzicami i bratem Januszem). Zmarł w roku 1993 w wolnej Polsce, o której istnieniu prawdopodobnie niewiele wiedział (na kilka lat przed śmiercią zachorował na alzheimera).

W 1946 roku Magdalena wróciła z Krakowa do Bydgoszczy. Jej przedwojenne, duże mieszkanie w kamienicy w centrum miasta było już zajęte przez inną rodzinę. W czasie wojny przepadły też wszystkie meble i rodzinne pamiątki z czasów lwowskich. Zniknęły też dwa fortepiany prababki. Magdalena otrzymała jednak inne mieszkanie, także w kamienicy, przy głównej ulicy – Gdańskiej, teraz przemianowanej na 1 Maja. Kamienicę tę ledwo co opuścili żołnierze radzieccy. Pokoje były więc (jak się łatwo domyślić) zdewastowane i... pełne fekaliów. Cała rodzina natychmiast nabawiła się tyfusu. Sytuacja socjalna Magdy, jej synowej i Joli z wolna zaczynała się jednak normować. Magda wraz z innymi bydgoskimi muzykami i pedagogami otworzyła ognisko muzyczne (Społeczne Ognisko Artystyczne). Udzielała też prywatnych lekcji gry na fortepianie (dostała od Państwa jakieś zdobyczne, poniemieckie instrumenty i meble). Miała bardzo wielu uczniów. Na jej lekcje gry i śpiewu przychodził między innymi młodzietki pionier ZMP – Jurek (późniejszy reżyser filmowy – Jerzy Hoffman). Pierwsze zachwyty władzą ludową minęły wraz z polityką „zagęszczania”, w wyniku której duże mieszkanie przy ul. 1 Maja zapełniło się po brzegi. Prowizorki, ścianki działowe, kłopoty z opałem i konieczność dzielenia ubikacji czy kuchni z obcymi – to była codzienność pierwszych lat po wojnie.

„Zagęszczanie” dotknęło także dom pradiadków w Gostyninie, do którego wrócili po wojnie Kupidurscy. Władza ludowa postanowiła, że otworzy w tym

domu... przedszkole. Zajęło ono wszystkie izby od frontu. Od ogrodu natomiast wprowadził się jeszcze milicjant. Później przedszkole wprawdzie się wyprowadziło, ale pod numerem 23 przy ulicy Bolesława Bieruta (w nowej nomenklaturze) zaczęli mieszkać różni ludzie z kwaterunku. Biedne to były czasy i szare... Gdy zmarli pradiadkowie (1956 i 1960 r.) do chorej na schizofrenię siostry przeprowadziła się z Bydgoszczy moja babcia.

To ciekawe, że gdy jeździłem do babć w latach osiemdziesiątych, rzucał się w oczy prawdziwy konglomerat różnych „dziwnych” sprzętów. W domu, w którym „z zasady” niczego nie wyrzucano, bo „wszystko może się jeszcze kiedyś przydać” dwie zasuszone staruszki mieszkaly w otoczeniu przedwojennych mebli. Jedne, jakby artdecowskie, pamiętały jeszcze lata przedwojenne, inne były „spadkiem” po przedszkolu czy różnych lokatorach, którzy przewinęli się przez tę starą chatynkę w ciągu ostatnich czterdziestu lat... Stały tam obok siebie w milczeniu i zgodzie, w jakiejś dziwnej symbiozie – szkolna ławka (ciasna, mała i brudna), i wielka, wysoka, mosiężna wanna (którą babcia nazywała „wanną Epsteina”, a która jako naturalnie nie podłączona do kanalizacji, służyła jako składzik opału), metalowe, jakby szpitalne, łóżko na kółkach sąsiadowało z wielką przedwojenną sofą, krytą grubym besarabskim kilimem...

Tymczasem w Tomaszowie koniec wojny przyniósł nieco inne zmiany.

Janusz po kampanii wrześniowej był na przymusowym bezrobociu. Już wówczas jednak musiał zdradzać zainteresowania sztuką i jego ojcu udało się (zapewne po jakiejś starej znajomości) załatwić mu posadę w Wydziale Kultury Urzędu Miejskiego. W połowie stycznia miasto zostało zdobyte przez armię czerwoną. Wraz z nią i Ludowym Wojskiem Polskim przyjechał do Tomaszowa wojskowy teatr. Janusz Bylczyński pomagał w organizacji przedstawień dla żołnierzy i ludności cywilnej. Widząc jego szczególnie zaangażowanie, dyrektor teatru – płk. Władysław Krasnowiecki, zaproponował mu angaż. Zachwycony Janusz uwierzył w swój aktorski talent. Przez kolejne dwa lata przemieszczał się z wojskiem i aktorami, trochę wzdłuż linii frontu, trochę na tak zwanych „ziemiach odzyskanych” (gdzie było najmniej Polaków, a zarazem największe potrzeby propagandowej agitacji na rzecz wojska i robotniczo-chłopskiej władzy). Wielu aktorów, znanych później w PRL-u, tak właśnie debiutowało – na „krzywych deskach” scen wojskowych teatru kontrolowanego przez partyjnych towarzyszy. Grali w wodewilach, kabaretach, propagandowej, socjalistycznej dramie. Bywało, że repertuar „przykrawano na gorąco”, z sowieckiej krotchwili, humoreski, lepiąc wiersze Majakowskiego z Szenwaldem, Putramentem i Ważykiem (ten ostatni był wówczas notabene oficerem kulturalno-oświatowym w stopniu majora berlingowców).

W tym samym czasie, gdy Janusz pracował dla jednej z pierwszych propagandowych „tub” komunizmu, jego ojciec w Tomaszowie doświadczał szykan. Był

przecież starym, sanacyjnym, „imperialistycznym” profesorem. Nie zwolniono go z pracy tylko dlatego, że nie byłoby komu uczyć młodzież języka polskiego (Jakub zmarł w roku 1954 nie doczekawszy nawet pierwszej, „gomułkowskiej” odwilży z roku 1957).

Oficerem kulturalnym (w stopniu chorążego) był Janusz formalnie do roku 1947, kiedy to złożył dokumenty na Wydział Aktorski utworzonej przez Leona Schillera Państwowej Szkoły Teatralnej w Łodzi. Edukacja w tej szkole oczywiście także nie była wolna od wypaczeń komunizmu. Jako swą pracę dyplomową studenci przygotowali na przykład socrealistyczną sztukę Aleksandra Fadjiewa „Młoda Gwardia” (w 1949 roku). W murach szkoły Schillera Janusz poznał młodą choreografkę i tancerkę, która jako ulubienica rektora wystarała się dla nich obojga o angaże w Teatrze Narodowym. Niespełna trzydziestoletni Janusz musiał przypuszczalnie czuć, że cały świat leży u jego stóp. Janusz i Basia zamieszkali – jak to się wówczas mówiło – pod dobrym adresem, w otoczeniu literatów, aktorów i wszelkiej maści artystów. Mieszkali tam, w kamienicy na Krakowskim Przedmieściu pod numerem 57 m.in.: Lidia Castori, Bronisław Dąbrowski, Jan Świdorski, Czesław Wołłejko z rodziną, Jerzy Rawicz z biblioteką, Tadeusz Woźniak z kotami, Zdzisław Lubelski z Janiną Macherską i Anatol Stern z małżonką... Wszystkich ich łączyło to, że chcieli tworzyć kulturę nowej Polski.

Na fali teatralnych sukcesów zaproponowano Januszowi (w połowie 1954 roku) debiut filmowy. Miała to być pierwsza wielka produkcja kinowa. Film nosił tytuł „Podhale w ogniu” i w dość toporny, socrealistyczny sposób opowiadał historię powstania chłopskiego w tatrach. Reżyserowali Jan Batory i Henryk Hechtkopf. Janusz został obsadzony w głównej roli – dowódcy powstania – niejakiego Aleksandra Kostki-Napierskiego. Sceny batalistyczne kręcone były w pięknych plenerach otaczających Czorsztyn. To właśnie tam – w romantycznych okolicznościach przyrody, w ruinach starego zamczyska – poznał Janusz (i zakochał się bez pamięci) młodziutką studentkę rusycystyki przebywającą na obozie Związku Młodzieży Polskiej. Historia jak z Hollywood znalazła swoje zakończenie na ślubnym kobiercu. Po ślubie Bylczyńscy zamieszkali na al. Róż 6 – w tzw. „domu wieszczów”. Nazywano go tak od wielu rodzin jakie mieszkały od końca lat czterdziestych do połowy sześćdziesiątych w tej kamienicy (Miłoszowie, Gałczyńscy, Berezowie, Andrzejewscy, Celina i Ryszard Dobrowolscy, Wanda i Władysław Broniewscy, Lidia i Jan Kottowie, Wanda i Ksawery Nagórni, minister Włodzimierz Sokorski, Jerzy Borejsza, Barbara i Stefan Żółkiewscy, Leon Kruczkowski z żoną i synami, Janina i Antoni Słonimscy i inni. Cała ówczesna elita kulturalna Warszawy.

Studentka, później dziennikarka, pół-Rosjanka (której rodzice byli znanymi literatami) okazała się jednak trudną partnerką na życie. Dotąd żyła pod kłosem matki, w cieniu sarkofagu zmarłego ojca – wielkiego poety, i przypuszczał-

nie nie umiała zmienić swoich przyzwyczajzeń dla dużo starszego od siebie męża i ich wspólnego dziecka. Janusz miał z pewnością swoje wady (jako aktor – hula-ka), ale w tym związku był chyba mocno zdominowany. Dokonał nawet zmiany nazwiska (z „obszarniczego” Dęboróg-Bylczyński na skromniejsze: Bylczyński), aby nikogo nie kłuło w oczy. Płomienne uczucie – tak, jak nagle zapłonęło, tak równie szybko i nagle wypaliło się. Po szybkim rozwodzie Janusz zamieszkał w skromnej kawalerce „zdobytej” w ministerstwie kultury dzięki pomocy znanego reżysera – Erwina Axera. Janusz zmarł w roku 1990 (nagle, na zawał serca, w pobliskim barze mlecznym, gdzie zwykł co rano chadzać). Na długo przed śmiercią wybrał życie samotnika. Miewał też kłopoty z nałogami. W dalszym ciągu występował w teatrze, grywał też jakieś epizody na wielkim ekranie. Nigdy jednak już nie zagrał roli pierwszoplanowej i nie powtórzył sukcesu z lat swego filmowego debiutu.

Tymczasem w Bydgoszczy w roku 1966 zmarła babka mojej mamy. Mama ukończyła studia muzyczne w Sopocie (dopiero później akademię muzyczną przeniesiono do Gdańska) i zaczęła pracować w ognisku muzycznym (jej ojciec z Gdyni nie interesował się jej życiem, więc była zmuszona utrzymywać się sama). W szkole muzycznej poznała mojego przysłego tatę – Ryszarda. Uczyli w sąsiadujących ze sobą klasach – ona gry na pianinie, on – na gitarze klasycznej.

Tata pochodził z podbydgoskiej, kujawskiej wsi. Urodził się w roku 1947. Należał zatem do dzieci tuż powojennych. Jego ojciec zajmował się trochę stolarką, okresowo pracował też w Lasach Państwowych. Był cichym, pracowitym człowiekiem, ale był też (o czym wielu nie wiedziało) kombatantem, odznaczonym za kampanię wrześniową, po której przedostał się na Zachód do armii generała Maczka. W Niemczech poznał w obozie dla dipisów moją babcie – Wacławę. Babcia Wacia nie pochodziła z Kujaw lecz z Lubelszczyzny. Większość jej rodziny wymordowali Niemcy w czasie pacyfikacji ich wsi. Jej starszy brat bił okupanta w partyzantce AL-owskiej (nie zrzucił munduru, a po latach awansował do stopnia pułkownika MO). Ona zaś sama trafiła do Ravensbrück. To obozowe doświadczenie uczyniło z niej już do końca życia osobę nadpobudliwą, znerwicowaną, niestabilną emocjonalnie, trudną w obyciu. W takiej rodzinie – w niedużym gospodarstwie – przyszli na świat dwa bracia – Rysiek i młodszy od niego o trzynaście lat – Irek.

Tata był muzykiem – samoukiem. Chodził na pola z gitarą i ćwiczył. Nie chciał być stolarzem jak jego ojciec. Rwał się do miasta. Później ukończył średnią szkołę muzyczną.

Ja urodziłem się w roku 1975 w Bydgoszczy. Nie zostałem muzykiem lecz bibliotekarzem. Pamiętam, że w początkach mojej pracy mieliśmy „akcję” usuwania z księgozbioru biblioteki książek komunistycznych. Tysiące druków szło wówczas na śmietnik... To było chyba takie „odgrywanie się” na starym systemie. Wówczas

bardzo się z tego cieszyłem, jednak po latach zrozumiałem, że każda książka ma swoją wartość, choćby historyczną czy dokumentalną...

Moja mama nie wyniosła z domu odwagi cywilnej i nie interesowała się polityką. Zresztą, poza muzyką, niewiele się dla niej liczyło w życiu. Jej rodzice i dziadkowie mieszkali w różnych stronach Polski (dziadek w Tomaszowie, babka w Bydgoszczy, mama w Gostyninie, ojciec w Gdyni). Być może ten brak prawdziwego domu sprawił, że nigdy nie przywiązywała wagi do swoich lwowskich (po ojcu), szlacheckich korzeni i rodzinnych historii. Nie miała też w sobie ducha społecznika.

Ojciec mój natomiast wprost przeciwnie: był bardzo dobrym, społecznie zaangażowanym pedagogiem. Często wyjeżdżał na obozy muzyczne (gdzie niejednokrotnie demonstrował swoje antysocjalistyczne poglądy). Ta nieprzejednana postawa przysparzała mu wrogów i utrudnień w pracy (uczył w szkołach muzycznych w Bydgoszczy i w Toruniu). Wstąpił też do NSZZ Solidarności i był w toruńskim środowisku nauczycielskim jednym z jej filarów. Mnie naturalnie także wychowywał w sceptycyzmie (delikatnie mówiąc) do socjalizmu. Jako ośmiu- dziesięcioletek nie rozumiałem go czasami. Nie wiedziałem na przykład dlaczego nie wolno mi zapisać się do Zuchów (ZHP). Moi rodzice po ślubie zamieszkali na nowym osiedlu w Bydgoszczy – Kapuściskach. To osiedle podlegało pod katolicką parafię pod wezwaniem Świętych Polskich Braci Męczenników na Wyżynach, której proboszczem był charyzmatyczny kapłan – ks. prałat Romuald Biniak. Mój ojciec nie był nigdy człowiekiem przesadnie wierzącym, ale jako solidarnościowiec chodził na wszystkie msze za Ojczyznę. Odbываły się one od początku lat osiemdziesiątych, a nasiliły się jeszcze po zamordowaniu ks. Popiełuszki. Ksiądz Jerzy Popiełuszko odprawiał mszę w naszej parafii 19 października 1984 roku. Byliśmy na tej mszy całą rodziną. To właśnie po tej mszy został uprowadzony i bestialsko zamordowany. Z inicjatywy proboszcza rozpoczęła się budowa pomnika upamiętniającego śmierć księdza Jerzego, w którą angażował się także mój ojciec. Niestety nie doczekał już ukończenia budowy tego epitafium (zmarł miesiąc przed odsłonięciem pomnika).

Podobny był też do niego – jego brat. Irek studiował w Toruniu polonistykę, gdy wybuchły rozruchy na Uczelni i w miasteczku studenckim (w roku 1980). Młody i nadwrażliwy chłopak był jednym z prowodyrów tych zajęć. Bitemu i zastraszanemu pomogła wówczas jego nowa dziewczyna. Dopiero później okazało się, że miała w rodzinie oficera MO. Oboje nie ukończyli studiów. Urodziło się im dziecko, a oni wzięli szybki i cichy ślub pod Toruniem. Mój ojciec nigdy nie zaakceptował ani tego cywilnego ślubu, ani tym bardziej partyjnej rodziny szwagierki. W 1984 roku Irek (dwudziestoczteroletni) popełnił samobójstwo. Właściwie do końca nie znamy powodów tej strasznej decyzji. Z całą pewnością nie układało się mu z rodziną żony (z którą młodzi dzielili wtedy mieszkanie). Irek pisywał wiersze

i tylko one właściwie po nim pozostały. Niektóre były polityczne (solidarnościowe), większość jednak to ślad jego własnego zmagania się ze światem i sensem życia.

Rok później – nagle na zawał serca – zmarł jego brat (mój ojciec). Miał trzydzieści osiem lat i wiele planów na przyszłość. I jedno wielkie marzenie – o wolnej Polsce. Jednak los chciał inaczej, i również i jemu nie dane było doczekać obrad Okrągłego Stołu, wolnej Polski (a teraz – rocznicy 100 lat niepodległości). Doczekaliśmy tylko my – moja 81-letnia mama i ja (43-letni). I moja żona, bo w międzyczasie (w roku 1999) się ożeniłem. Mama jest już schorowana i zapewne nawet nie przeczyta tych wspomnień. Zresztą, poza jej chorobami, niewiele ją już interesuje. Ma już początki demencji i wielu rzeczy nie kojarzy i nie pamięta. Dobrze, że chociaż ja pamiętam, bo inaczej nie mógłbym napisać tych słów, tych rodzinnych wspomnień na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości.

Tak, w pewnym, koniecznym dla potrzeb tej publikacji skrócie, wygląda historia jednej zwyczajnej, polskiej rodziny. Historia jakich wiele. Zapisana w życiorysach ludzi jak w księdze. Zapisana – a zatem ocalona od zapomnienia.

Na koniec pozostało mi jeszcze wspomnieć o domu pradiadków... Obie babcie zmarły i dom stał niezamieszkały, pusty, aż do czasu, gdy wprowadzili się do niego „dzicy” lokatorzy – bezdomni. W międzyczasie zmieniono nazwę ulicy z Bieruta na św. Jana Pawła II, a dzięki unijnym dotacjom władze miasta zdecydowały się na wielką inwestycję – generalną przebudowę węzła komunikacyjnego i „wylotówki” na Płock (a zatem także całej ulicy św. Jana Pawła II). Dom stał wprawdzie nieco na uboczu, i na prywatnej działce, zarosły nieprzycinanymi od lat chaszczami, ale musiał bardzo psuć doznania estetyczne. Zatem i on nie doczekał do stulecia niepodległości, choć gdyby buldożery nie rozszarpały starych belek i dachu krytego papą, mógłby przypuszczalnie i on świętować dziś swoje stulecie. Hipermarket, który stoi sto metrów od placu po domu babć niedługo będzie obchodził swoje dziesięciolecie... Ale to już inne święto, i ja na nie nie przyjadę, ani go nie opiszę...

Maciej Bylczyński

Sto lat – trzy pokolenia

Maleńki Adaś, cały rozpromieniony, wyprężył swoje drobne ciało i w sobie tylko zrozumiałem języku, głośno i wytrwale przyłączył się do dzieci śpiewających Mazurka Dąbrowskiego. Zwrotki przebiegały jedna za drugą, a nasz synek tkwił w tej postawie i śpiewał, śpiewał! Nie sposób więc zauważyć solidną rękę jego wychowawczynie przedszkolnej. W pełni uradowana z dzielnej postawy Adasia i jednocześnie wzruszona, zdałam sobie sprawę, że każdy z nas Polaków, wnosi swój osobisty wkład w radość i powagę obchodzonego 100-lecia Niepodległej. I ci wielcy, którzy przewodzili i przewodzą... i ci mniejsi, którzy pracowali, pracują i tworzą naród... i ta Adasiowa wychowawczynie i te rozradowane, odświeżone ubrane nasze pociechy. Podniosłe chwile z 11 listopada 2018 r. zainspirowały mnie, a wręcz stały się dla mnie nakazem, aby dać z siebie coś więcej, aby – choć poprzez wspomnienia – pochylić się nad tymi, którzy wypełnili te 100 lat. Nad tymi, którzy dali życie i nauczyli życia, zarówno mnie, jak i moich dzieci.

Postanowiłam zatem przelać na papier dzieje mojej rodziny. Wybrałam taką oto linię: najpierw rodzinę moich pradziadków – Michalinę i Józefa Pasierbskich, potem moich dziadków Franciszka i Stanisławę Smolińskich, a następnie moich rodziców Teresę i Adama Smolińskich. Myślę, że na podstawie ich przeżyć uda mi się najbardziej wyraziście ukazać, nie tylko ostatnie sto lat mojego rodu, ale i wielu zdarzeń, wśród których przyszło żyć tym trzem pokoleniom.

Jesień roku 1918 zastała rodzinę moich pradziadków na Budkach Nieznanowskich, wsi otoczonej lasami, położonej nad niewielką rzeczką Bukówką, w powiecie Kamionka Strumiłowa, w najdalej na południe wysuniętym terenie województwa tarnopolskiego. Układ dróg i połączeń kolejowych powodował, że do miasta wojewódzkiego, można było się stąd dostać tylko przez Lwów. Stąd w moich wspomnieniach nazwa Tarnopol już nie zaistnieje. Całe bowiem życie moich pradziadków i ich bliskich sięgało najwyżej tylko po Lwów. Michalina i Józef byli już od 10 lat małżeństwem. On rodowity „budeniec”, najmłodszy syn Feliksa i Heleny, mający 28 lat, dziedziczący gospodarstwo rolne po swoich rodzicach. Jego rodzeństwo to brat Sławomir, nazywany w rodzinie „strykiem Sławkiem” wyjechał jeszcze przed pierwszą wojną do Ameryki i pracował tam – jak mawiał – w jakiejś „fabryce żelaza”. Uchodził w rodzinie i w całych Budkach za człowieka światowego, bogatego i cieszył się poważaniem wszystkich. Starsza siostra pradziadka to Helena

Wakssmann, mieszkająca „miedza w miedzę” z Jozefem na dużym i zupełnie nowo wybudowanym gospodarstwie. Jej mąż Antoni, to syn osadników niemieckich spod niedalekiego Radziechowa. Akurat w ostatnich dwóch latach wojny Helena urodziła dwóch synów Bolka i Antka. Młodsza siostra pradziadka to Hanka, która będąc matką 10-letniego, niepełnosprawnego Stacha, pozostawała przy rodzinie swojego brata. Na Budkach mieszkało 5 rodzin o nazwisku Pasierbski, stąd we wsi prawie nikt nie używał ich nazwisk, a tylko różnego rodzaju swoistych „ksywek” charakteryzujących konkretną rodzinę. Stąd o rodzinie mojego dziadka wszyscy we wsi i w całej okolicy mówili „Feliksa”. Określenie najwidoczniej pozostało od imienia ojca mojego dziadka. Myślę, że to właśnie Feliks Pasierbski mądrze i bogato – jak na warunki ówczesne – zorganizował tę rodzinę. Samemu Feliksowi nie dane było doczekać Niepodległej, zmarł bowiem w 1916 roku. Jestem też przekonana, że ten rozsądny „protoplasta” Feliksów, miał swój udział, co do losów życiowych swojego najmłodszego syna, a mojego pradziadka Józefa. Podejrzewam, że to pod jego wpływem, Józef jako dwudziestoparoletni kawaler, z dobrze usytuowanej rodziny, nie wiązał się życiowo z żadną z mieszkanek swojej wsi, choć tych urodziwych i „hożych” było wokół pełno. Trafił, nie wiedzieć z jakiego powodu, do rodziny Koprowskich w położonej o 18 kilometrów od Budek – Terezji. Tam wraz z rodzicami: ojcem – kierownikiem miejscowej szkoły i matką – dyplomowana akuserką, ze starszą siostrą Janiną, oraz młodszymi braćmi, mieszkała Michalina, która akurat w 1908 r. ukończyła gimnazjum w Kamionce Strumiłowej. Wtedy to poznał ją Józef i zgodnie ze zwyczajem oświadczył się jej i jej rodzicom. W kilka tygodni później zostali małżeństwem i zamieszkali na swojej „ojcowiźnie” na Budkach Nieznanowskich. Szybko jednak okazało się, że młodzianka Michalina jest słabego zdrowia i ciężko jej było odnaleźć się na dużym 22 morgowym gospodarstwie, pełnym bydła, świń, owiec i wszelkiego rodzaju drobiu. Pomocną dla niej, ze wszechmiar, okazywała się – wspomniana wyżej – ciotka Hanka. Ta pomoc stała się nieodzowna, kiedy u moich pradziadków zaczęły rodzić się dzieci. Najpierw w 1909 roku urodziła się Bronka, następnie, co dwa lata: Karol, Leokadia nazywana „Lewonką” i Salomea. Obowiązków było więc ogromnie dużo. Trzeba jednak przyznać, że pradziadek Józef był człowiekiem wyrozumiałym i świetnie zorganizowanym. Sam przejął na siebie wszystkie prace polowe i gospodarskie, a oszczędzając żonę, najmował do pracy, czy to w polu, czy do prac budowlanych przy rozbudowie „obejścia” wielu mieszkańców swojej wsi a także ludzi z innych okolicznych wiosek. Ludzi do pracy najemnej było „co niemiara”, bo wiejskiej ludności było bardzo dużo, a w wielu rodzinach panował niedostatek. Na Budkach „najemnicy” szli pracować u Feliksów bardzo chętnie, bo pradziadek za pracę płacił im uczciwie i co najważniejsze, nikt tego dnia nie odchodził głodny. Ta dbałość o drugiego człowieka, zwłaszcza o pracownika, stała się jakby „wizytówką”

Józefa i to chyba legło u podstaw decyzji wszystkich mieszkańców Budek, którzy jednomyślnie – jeszcze przed zakończeniem wojny – wybrali go na funkcję wiejskiego opiekuna społecznego. Tym opiekunem Budek pozostawał on już do końca swojego życia, czyli do 1943 roku. Pradziadek uniknął wcielenia do austriackiej armii w czasie działań wojennych I wojny światowej, a to z uwagi, że pozostawał jedynym żywicielem rodziny i właśnie dlatego, a także z uwagi na fakt, że pełnił powinności opiekuna dla wsi.

Nie potrafię określić, jak rodzina moich pradziadków przyjęła wieść, że oto jest znowu Polska! Mogę jednak z całą stanowczością domniemywać, że radość w niej z tego powodu była ogromna. Wnioskuje to z wielu przesłanek, ale przede wszystkim z tego, że wszystko co polskie, wszystko co historycznie dla Polaków piękne i wzniosłe, wszystko co patriotyczne nabrało jakby nowego szaleństwa. Maleństwom: Bronce, Karolowi i Lewonce wpajano wszystko co polskie, tak jakby to było święte. Każdego wieczora prababcia Michalina czytała dzieciom, ciotce Hance i coraz liczniej przychodzącym na „wieczory czytania” bliższym i dalszym sąsiadom. Dzieci uczono w domu wszystkich, jakie wtedy znano, patriotycznych piosenek i pieśni oraz wierszyków. Mała Bronka i Karolek oraz ich kuzynek Stach – synek ciotki Hanki, całymi dniami ponoć wyśpiewywali Patrz Kościuszko na nas z nieba... oraz „klepali” Kto ty jesteś? Polak mały!... Ten duch ożywionej polskości, nie pozostawał tylko w rodzinie Pasierbskich. Charakteryzował także i innych jej mieszkańców, choć może nie w takim stopniu. Już na samym początku tego „nowego” mieszkańcy Budek z inicjatywy mojego pradziadka Józefa zabrali się za społeczne „inwestowanie”. Wybudowano nowy budynek szkolny, wybudowano i zorganizowano Dom Ludowy oraz przebudowano miejscowy kościół. Do parafii, którą ustanowiono na Budkach przybył nowy proboszcz, a nauczaniem dzieci w czteroklasowej szkole zajęła się nowa kierowniczka – pani Masełkowa. Jednym słowem, w tej małej społeczności zapanował duch społecznego zaangażowania.

I tu „brylował” mój pradziadek – wiejski opiekun społeczny. Jego zaangażowanie – siłą rzeczy – przeniosło się na całą rodzinę i ten duch charakteryzuje moją rodzinę do dziś, a więc przez całe stulecie. Wiele razy zastanawiałam się nad tym, co „pchało” mojego pradziadka do tego, aby nie szczeni się, poświęcać się, a jednocześnie prezentować spokój i rozwagę? Wydedukowałam to przed kilku laty, że oprócz oczywistych cech wrodzonych i wyniesionych z rodzinnego domu pradziadka i jego ojca – „starego Felikse” inspirował do działania ruch ludowy, zataczający w Galicji coraz szersze kręgi. To zapewne – między innymi – dlatego pradziadkowi przypadła w udziale funkcja opiekuna społecznego.

Nowy, ożywczy duch niepodległości, przeniósł się w rodzinie Pasierbskich, dosłownie na wszystko. Po czterech latach przerwy, zaczęły się „pojawiać” nowe dzieci i to „ostro”, bo w 1919 r. Michalina urodziła dwóch chłopców. Bliźniacy Wła-

dek i Kazik, stali się jakby symbolem, że oto „zwiększa się szansa na obronę Polski w przyszłości”. Trzy lata później przyszła na świat moja babcia Stasia, a w 1924 jej młodsza siostra – ostatnie dziecko Michaliny i Józefa. Dominowało bowiem przeświadczenie, że prawdziwy patriota powinien „dać Ojczyźnie” jak największe grono nowych patriotów!

Ten ożywczy nastrój optymizmu i nowych nadziei w rodzinie Pasierbskich musiał niebawem zderzyć się z ogromnymi przeciwnościami. Rozpoczęła się zatem dramatyczna próba życiowa, która towarzyszyć będzie – w różnych konfiguracjach – każdemu z członków tej rodziny przybierając miano tragedii. Otóż w czerwcu 1922 r., tuż po narodzinach maleńkiej Stasi, raptem zachorowała dziewięcioletnia Lewonka. Dotąd zdrowe, piękne dziecko, dostało nagle wysokiej gorączki i lekarze jednomyślnie stwierdzili, że to gruźlica. Agonia młodego organizmu trwała zaledwie parę tygodni i mimo ogromnego poświęcenia rodziców i wysiłku lekarzy – dziecka nie udało się uratować. Śmierć Lewonki przyszła cicho i nagle. Rozpacz prababci Michaliny była wielka i jak się okazało – jej wciąż młody i delikatny organizm, w ostatecznym rozrachunku, tego nie wytrzymał. W niespełna dwa lata później, urodziła piąta już córeczkę o imieniu Czesia, ale i to nie zatarło tamtej tragedii sprzed kilkunastu miesięcy. Zresztą końca tragedii nie było widać, bo w rok później umarła Salomea. Przyczyną znów była gruźlica. Przy okazji szpitalnego ratowania małej Salci, przebadano również moja prababcie i okazało się, że jej organizm jest już w znacznym stopniu zainfekowany prątkami gruźlicy. Cała rodzina „rzuciła się” by walczyć o jej życie. Mimo wielkiego wysiłku, wielkich pieniędzy – tych z gospodarstwa i tych od stryjka Sławka z Ameryki, stan jej pogarszał się z miesiąca, na miesiąc. Wszystko zostało podporządkowane jednemu celowi – ratować mamę. Wiele tygodni przeleżała w szpitalach Lwowa i Kamionki Strumiłowej, gdzie niemal bez przerwy czuwał nad jej zdrowiem dr Wiewiórski. Ta jednak traciła zdrowie, a dla całej rodziny był to swoisty egzamin ofiarności i solidarności, która miała na celu podtrzymać jej stan ducha i nadzieję, że choroba kiedyś ustąpi. Niestety, w maju 1930 r. Michalina „odeszła”, pozostawiając szóstkę sierot i zrozpaczonego męża. Jej śmierć, nie zdołała złamać rodziny, a nawet jeszcze bardziej ją zespoliła i przygotowała do tego, aby znosić przyszłe ciężary i troski. Najstarsze dzieci Bronka i Karol, zahartowane w trudach domu rodzinnego, z jeszcze większą determinacją brały na siebie wszelkie obowiązki rodzinne, gospodarskie, a także społeczne. Oboje wstąpili już wcześniej, bo w 1926 r. do miejscowego koła Związku Strzeleckiego i tam brylowali swoim zaangażowaniem. Oboje pokończyli gimnazjum w Kamionce Strumiłowej, a Karol kontynuował swoje wykształcenie w Szkole Rolniczej w Zwoleniu, Bronka zaś przykładowie poświęciła się wychowaniu młodszego rodzeństwa. Dziadek Józef niczego nie zatracił ze swojej aktywności, tak gospodarskiej jak i społecznikowskiej. Potrafił też – w sobie jedy-

ny sposób – przejąć na siebie wiele spraw wychowawczych nad dziećmi – tak, żeby żadne z nich niczego nie straciło, mimo braku matki. Za namową sąsiadów i po radach przyjaciół, w tym miejscowego proboszcza ks. Tichego, poślubił z niedalekiego sąsiedztwa, 40 letnią pannę Michalinę Nowak, która w tym związku dostała jedyne – chyba – zadanie: opiekować się czwórką najmłodszych sierot i dbałością o zdrowie. Ciekawe, że ta kobieta, ani razu nie zwróciła się do swojego męża, po imieniu. Zawsze zwracała się do pradziadka per gospodarzu. I takie nazewnictwo pozostawało w ich bezpośrednich rozmowach, jak i w opowiadaniu o nim wobec osób trzecich. Widocznie taka była między pradziadkiem, a „nową Michaliną” umowa. Oboje nie mieli potomstwa, a jej rola, bardziej przypominała służbę niż pozycje małżeńskie. Nigdy też nie słyszałam, aby „nowa Michalina” liczyła się z możliwością uczestniczenia w jakimkolwiek spadku. Po prostu towarzyszyła domowi prawie aż do śmierci Józefa w marcu 1943 r. Myślę, że obowiązywała ich bardziej umowa, „zawarta” przez pradziadka z całą rodziną Nowaków.

Życie rodziny Pasierbskich bez prababci, toczyło się niby tak samo, jak przed jej śmiercią. Jednak już zaciążyło nad wszystkimi widmo gruźlicy. I było to widmo, na wskroś, realne. Utwierdzała ich o tym także opinia lekarzy, oraz znanego w całej okolicy „wysokiej rangi” znachora, niejakiego Sałahuba, który samotnie zamieszkiwał w lesie niedaleko Jazienicy Ruskiej. Ten – mówiący po ukraińsku – zielarz i pustelnik, posiadał wysokiej miary znanstwo różnych chorób tak ciała, jak i duszy. Odczyniając różne czynności – niekiedy tajemne – nad chorym, stale się modlił. Z wielkim szacunkiem odnosił się do każdego człowieka, a już szczególnie upodobał sobie rozmowy z moim pradziadkiem Józefem. W tych rozmowach często „odchodzili” od spraw zdrowotnych, rozmawiali o polityce i różnych innych sprawach „światowych”. Pradziadek bardzo wysoko go cenił i nic dziwnego, że często kierował się do niego, z różnego rodzaju problemami. To Sałahub dwukrotnie wyprowadził z choroby (raz z tyfusu, a drugi raz z jakiejś tajemnej choroby nosa) 14 letnią córkę Stasię, moją, w przyszłości, babcie.

Sałahuba uważano – ogólnie – za wróżbitę, człowieka przepowiadającego przyszłość. To ostatnie go zgubiło, ponieważ został zastrzelony w 1942 r. przez jakiegoś fanatycznego oficera niemieckiego, który kazał Sałahubowi wywróżyć – kto wygra wojnę Niemcy czy Sowietci? Kiedy otrzymał odpowiedź, że to Niemcy poniosą klęskę, popadł w taki gniew, że zastrzelił wróżbitę.

Rodzina mojego pradziadka, była zawsze głęboko wierząca. Sam pradziadek, jako jeden z budowniczych miejscowego kościoła parafialnego p.w. Matki Bożej z Karmelu, pozostawał cały czas w bliskiej komitywie z proboszczami, a byli to kolejno: ks. ks. Tichy, Szklarczyk, Józef Skrobalak. Wszystkie zaś dzieci, już od najmłodszych lat uczestniczyły we wszystkich wydarzeniach kościelnych. Modlitwy i pieśni nabożne były stale i na ustach wszystkich w tej rodzinie. Każdego też

roku, na dzień 14 września – Święto Podwyższenia Krzyża Świętego – Pasierbscy udawali się na uroczystości odpustowe do Milatyna Nowego, aby tam modlić się przed Cudownym Obrazem Konającego Jezusa Chrystusa. Na te uroczystości dorosli i młodzież szli zawsze pieszo – zazwyczaj boso, z butami w rękach, natomiast małe dzieci i osoby chore, wiezione były na furmankach. Wyrazem głębokiej wiary i szacunku do tradycji katolickiej w mojej rodzinie było też to, że mój pradziadek – przy okazji urodzin nowego dziecka – obdarowywał swoją żonę cennym „prezenterem”. I tak kiedy w kwietniu 1922 r. Michalina urodziła moją babcią Stasię, pradziadek ufundował dla niej piękną wykonaną z białej porcelany figurkę św. Józefa z dzieciątkiem Jezus. Ta figurka, pozostała w mojej rodzinie do dnia dzisiejszego, jako jedyna zachowana pamiątka i towarzyszy nam, też już prawie 100 lat.

A oto, jak – z grubsza – wyglądały „koleje życia” Feliksów, po śmierci prababci Michaliny. W chwili jej śmierci, najstarsza ich córka Bronka miała już 21 lat, za sobą szkołę podstawową i gimnazjum, Karol miał 19 lat i właśnie ukończył szkołę rolniczą. Planem dla niego było dziedziczenie gospodarstwa. Władek i Kazik, to jedenastoletni – o wyraźnie różnych charakterach – chłopcy, kończących akurat naukę w miejscowej szkole podstawowej. Obaj zaraz po jej ukończeniu zostali uczniami gimnazjum w Kamionce Strumiłowej. Ośmioletnia Stasia kończyła pierwszą klasę „podstawówki”, no i maleńka sześciolatka Czesia. Śmierć matki i heroiczna, kilkuletnia walka o jej życia, spowodowały że wszystkie dzieci, jakby o kilka lat wydorosłały. Każde z nich – na miarę oczywiście swoich możliwości – było silne, odpowiedzialne i miało ambicję przodowania i opierania się wszelakim trudnościom. Fakt, że stali się sierotami, mocno i na zawsze zespoliło i to, co rodzinne stało się jeszcze bardziej trwałe, wręcz święte. W niespełna dwa lata, po śmierci matki, trzymająca pieczę nad „młodzieżą”, harująca, niczym przysłowiowy wół – Bronka poślubiła szanowanego w całej okolicy i niezwykle majątnego Marcina Samborskiego ze wsi Pawłów, w sąsiednim powiecie radziechowskim. Po roku urodziła córeczkę Michalinę. Szczęście trwało jednak krótko. Niestety, na ten typ gruźlicy, mimo ogromnych zabiegów, nie było w rodzinie Pasierbskich rady. Bronka zmarła, pozostawiając sierotę maleńką, bo półtoraroczną Michasię, a swego męża wdowcem. Marcin Samborski, ożenił się po roku z inną kobietą, ponoć bardzo opiekuńczą dla Michasi. Całą tę „nową” rodzinę – już w 1940 r. – sowioci wywieźli na Sybir. Marcin Samborski, po latach, został żołnierzem Dywizji gen. Andersa i zginął pod Ankoną. Jego druga żona zmarła w rejonie koncentracji Dywizji, a los Michasi pozostał nieznanym, mimo licznych poszukiwań poprzez Czerwony Krzyż po zakończeniu II Wojny Światowej.

Karol, „namaszczony” na przyszłego właściciela dóbr rodzinnych został wcielony do służby wojskowej. Stał się żołnierzem 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Służbę ukończył jako plutonowy. Po powrocie ze służby, zajął się gospodarowaniem,

ale też przejął na siebie wiele zadań i ról w swojej wsi. Stał się jednym z – dobrze pojętych – przewodników życia społecznego i kulturalnego na Budkach Nieznanowskich. W dalszym ciągu „patronował” drużynie Związku Strzeleckiego, brał udział w przedstawieniach i inscenizacjach scenicznych, śpiewał w miejscowym chórze. W 1936 r. poślubił jedną z najurodzawszych panien na wsi – jedynaczkę Emilię Skibicką. Emilia, jako młoda mężatka, przeszła zaraz po ślubie istną „próbę ognia”, bowiem zderzyła się z ogromem pracy i gospodarskiej odpowiedzialności, których w swoim domu rodzinnym nie zaznała. I mimo, że Karol okazywał jej wielką miłość i szacunek, to ta niestety prawie ciągle czuła się źle i była wiecznie smutna. W takim stanie smutku, urodziła córeczkę Zuzannę, ale w tym nastroju apatii nie umiała się cieszyć swoim potomstwem. Gnębiona ją swoista depresja, spowodowała że małym dzieckiem musiała się zająć jej matka, a babcia małej Zuzi. Niedługo potem Emilia zapadła także na gruźlicę i mimo heroicznej walki i jej życie, Emilia zmarła w 1938 r. Niespełna rok później Karol poślubił inną Emilię, mieszkankę Budek, z domu Pasierbska, o przydomku Cygar. Miesiąc po ich ślubie, Karola objęła mobilizacja poprzedzająca II Wojnę Światową. Oczywiście trafił do swojego Pułku Ułanów i wziął udział w wielu potyczkach z nacierającymi wojskami hitlerowskimi, w tym w osławionej szarży polskich ułanów pod Wólką Węglową. Po bitewnej klęsce, stracił kontakt ze swoim oddziałem, blakając się po lasach Lubelszczyzny, wyniszczony poczuciem klęski, osamotniony – utracił nawet w bagnach nadwieprzańskich swojego wiernego konia – dotarł w połowie października 1939 r. do rodzinnego domu. Długo, nie mógł dojść do stanu równowagi i do fizycznego zdrowia. Nie potrafił się też odnaleźć, jako człowiek poddany, jako człowiek „czujący na plecach oddech sowieckiego okupanta”. W 1941 r. urodził mu się syn Leszek i kiedy wydawać by się mogło, że całe jego życie wraca do normy, okazało się że i jego „dopadła” gruźlica. Nastąpiło wyraźne osłabienie organizmu i przeżył – charakterystyczne dla suchotników – dwa wybuchy krwi. Rodzina wysłała go na badania do Lwowa, dokąd pojechał w towarzystwie swojej najmłodszej siostry Czesi i tam okazało się, że Karol ma już w swoich płucach dwie, znacznej wielkości dziury, a u przebadanej, przy tej okazji, o 13 lat od niego młodszej siostry, lekarze dopatrzili się znacznych obszarów „zwapnienia płuc”. Oboje uznali te wyniki, jako swoisty wyrok śmierci, zwłaszcza że dwa lata wcześniej zmarł na gruźlicę następny z „Feliksów” ich brat Włodek oraz ciotka Hanka. W nastroju smutku, oczekiwali więc tego dnia na pociąg do Kamionki Strumiłowej, aby powrócić do domu. Ten smutek na ich twarzach zauważyła, siedząca obok nich siostra zakonna. Zapytała więc, skąd ten smutek na ich twarzach. Oboje opowiedzieli jej o swojej sytuacji i o tym, gruźlica w ich rodzinie już od wielu lat pozostaje wszechobecna. Zakonnica, ani im nie współczuła, ani ich nie pocieszała, tylko nakazała im „pokładać nadzieję w Bogu”, ale jednocześnie zastosować specyfik,

jej receptury. Specyfik składał się z trzech jednakowych proporcji: aloesu, miodu i masła, które zmieszane razem należało wysmażyć na małym ogniu przez 6 godzin, a następnie zjadać go, w odpowiednich dawkach, po kilka razy dziennie. Kładła też nacisk na pełnotłuste i pełnowitaminowe odżywianie. Karol, którego stan, wydawać by się mogło, był już beznadziejny, z wielkim samozaparciem poddał się tym zaleceniom i zaledwie po kilku miesiącach, przewyciężył objawy gruźliczne, jako jedyny z całej rodziny Pasierbskich. Towarzysząca w tej eskapadzie do Lwowa siostra Czesia nie podjęła się aloesowej kuracji i w niespełna dwa lata później umarła, pozostawiając prawie dwuletnią córeczkę Elżunię.

Bliźniacy Władek i Kazik ukończyli, wspomniane wyżej, gimnazjum w Kamionce Strumiłowej. Powrócili do rodzinnego domu i pomagali w gospodarowaniu. Zwłaszcza Władek rokował nadzieję na wysoce pracowitego i rozsądnego człowieka. Wszędzie było go pełno, tak w gospodarstwie, jak i w życiu społecznym. Niestety, i on także stał się ofiarą gruźlicy. Umarł mając zaledwie 21 lat. Kazik natomiast, mniej angażował się w pracach gospodarskich, natomiast o wiele więcej różnego rodzaju przedsięwzięciach młodzieżowych swojej i okolicznych wsi. Człowiek ciągłego żartu i zgrywania się na lwowskiego „batiara” przysparzał często kłopotów rodzinie i utrapień starzającemu się już mojemu pradziadkowi. To bez troskie zachowanie, o mało nie doprowadziło go do tragedii. Chcąc zaimponować swoim rówieśnikom, przechwalał się im przez długi czas, że ma ukryty w stodole karabin. Każdy z mieszkańców Budek, wiedział że to Kazikowe gadanie, to zwykła błazenada, jednak jak po czerwcu 1941 r, we wsi pojawili się Niemcy, ktoś nieopatrznie „doniósł” im o przechwałkach Kazika. Ci go aresztowali i w areszcie we Lwowie przez 3 tygodnie bijąc go, zmuszali, aby wydał swoją rzekomą broń. Przy tym kilkakrotnie przeprowadzili rewizję w budynkach gospodarskich u Feliksów. Jego powrót z aresztu zbiegł się z momentem, kiedy to młodsza jego siostra Stasia otrzymała wezwanie na roboty do Niemiec. Pradziadek Józef zainterweniował i udało mu się zamienić wezwanie z córki Stasi na syna Kazika. Było to, ze wszech miar mądre pradiadkowe pociągnięcie. Za jednym zamachem uchronił Kazika przed ewentualnymi, następnymi aresztowaniami, jako człowieka, który Niemcom już podpadł, a jednocześnie zatrzymał w domu, w zaistniałej sytuacji, najbardziej odpowiedzialną i najbardziej pracowitą osobę. Taką właśnie była w tym momencie jego córka Stasia, a jednocześnie później moja babcia. Stasia, w chwili śmierci swojej mamy Michaliny, miała zaledwie 8 lat. Od samego początku odznaczała się ogromną pracowitością i ambicją we wszelkich poczynaniach. Ukończyła zaledwie 2 klasy miejscowej szkoły podstawowej, ale zawsze kiedy jeszcze żyła, tak i dzisiaj wiele lat po jej śmierci, mogę z całym przekonaniem stwierdzić, że ta dziewczyna, a później kobieta była najzdolniejsza, jaką kiedykolwiek spotkałam. To ona przejęła w swoje ręce ster nad prowadzeniem gospodarstwa. Umiała za-

rządzić, dopilnować realizacji każdego polecenia swojego, już mocno podupadającego na zdrowiu ojca. To ona organizowała i dopilnowała uzdrowieńczej kuracji swojego brata Karola. Wszystko umiała, wszystko znała, a przy tym była niezwykle oddana tak swoim, jak i ludziom z zewnątrz. Niemal cały czas „matkowała” swojej młodszej o 2 lata siostrze Czesi, która „prezentowała” już inny, odmienny charakter. Jako najmłodsze dziecko w rodzinie, czuła się chyba takim trochę pupilkiem. Średnio się uczyła i średnio angażowała tak w gospodarstwie, jak i we wsi. Szukała raczej wygod. Szybko stała się panienką na wydaniu i poślubiła pierwszą swoją miłość, jakim był miejscowy kawaler, wiele lat od niej starszy Stach Zieliński. Kiedy to, niedługo po ich ślubie, okazało się, że Czesia jest zagrożona gruźlicą, Stach zniknął z jej życia, pozostawiając ją, będącą w ciąży. Wyjechał gdzieś w nieznanie i nigdy już nie szukał ani z żoną, ani z córeczką, jakiegokolwiek kontaktu.

Główną postacią w rodzinie pozostawał oczywiście mój pradziadek Józef. Umiał kierować swoją rodziną. Był twardy, ale jednocześnie pełen poświęcenia, którego w tragicznych kolejach swojej rodziny, potrzeba. Dbał o to i egzekwował od każdego z dzieci, aby życiowe credo „Bóg – Honor – Ojczyzna” było w rodzinie szanowane. Tego uczył wciąż i wymagał. Takim pozostawał dla innych. Darzył szacunkiem zarówno jedyną mieszkającą na Budkach rodzinę żyda Mendla, jak i jedyną rodzinę Ukraińca Kaliszczaka. Rodziny owe widziały w osobie pradziadka, rzeczywiście prawego człowieka. To Kaliszczak, który otrzymał funkcje hołowy za Sowietów, latem 1940 roku zastopował, na własne ryzyko, wywóz rodziny Feliksów na Sybir. Ostrzegał pradziadka i pokazywał mu, przygotowany nakaz do wywozu. Sam nie mógł się z tym pogodzić i w sobie tylko wiadomy sposób, przekonał powiatowe władze sowieckie, żeby rodzinę Pasierbskim ocalić. Oczywiście sam pradziadek na takie potraktowanie sobie zasłużył, gdyż kierując się rozsądkiem, nigdy nie zadrażniał relacji z innymi ludźmi, nawet tymi, którzy na „miłość” nie zasługiwali.

Mogą o tym świadczyć choćby dwa przykłady: pierwszy z nich z 1938 r., kiedy to na osiedlu Tartak, w sąsiedniej wsi Siedlec-Bieńków pojawiła się rodzina Sajdak. Przybyła ona najpewniej ze Związku Radzieckiego, jako emisariusze porządku komunistycznego. Sam Sajdak z żoną i dwójką dzieci, co kilka dni demonstrowali na ulicach Kamionki Strumiłowej, głosząc komunizujące hasła, domagające się pracy i chleba dla wszystkich. Nachalność tych demonstracji trwała kilka tygodni i spotykała się z różną reakcją, tak władz jak i normalnych obywateli. Któregoś jednak dnia, a było to zima z 1938 na 1939 r. ktoś zastrzelił Sajdaka. Miejscowa policja, potrzebowała tzw. „podwoły”, aby zawieść nieboszczyka do Lwowa, do policyjnego laboratorium. Nikt z okolicznych gospodarzy, posiadających konie, nie zgodził się na tę usługę, szukając różnych wykrętów. Jedynie pradziadek Józef, wypełniając swoją powinność opiekuna społecznego, nie odmówił. Innym razem, w styczniu 1940 r., kiedy to sowietci nawoływali wszystkich biedniejszych

mieszkańców wsi, aby ograbiali gospodarstwa miejscowych bogaczy, a do takich na Budkach należała rodzina Feliksów, kilkunastoosobowa grupa odkryła kopiec z kartoflami i stosując sowiecką zasadę „szo twoje, to moje”, ponabierała sobie tyle, ile chciała przechowywanych tam kartofli. Rozsądny pradziadek Józef nie tylko nie stawał w obronie swojej własności, ale nawet nie zakrywał na nowo napoczętego kopca. Napoczęty kopiec stał i czekał na następnych chętnych, ale ci już się nie pokazali, bo przy kilkunastostopniowym mrozie ziemniaki zamarzły, a amatorom cudzego zrobiło się wstyd, że nie potrafili zabezpieczyć przed mrozem nawet tego, co mogło być ich korzyścią na dłużej. Ta rozwaga i spokój mojego pradziadka, budziła podziw nawet wśród najgorszych lekkoduchów. Co zaś tyczy relacji z rodziną Żyda Mendla, niech zaświadczy fakt, że w czasie, kiedy to Niemcy w okolicy zaczęli tępić Żydów, Medlowie zaufali jedynie rodzinie Feliksów i oddali „na przechowanie” swoją starszą córkę Hanę. Hana przez kilka tygodni, przy zachowaniu absolutnej dyskrecji, całe dni spędzała za wielką szafą w gościnnej izbie u Pasierbskich, a nocami – pod baczną opieką pradziadka lub Karola wychodziła do ich sadu, ogrodzonego wysokim płotem sztachetowym, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Rodzina Feliksów, aby zachować absolutną dyskrecję, na czas ukrywania się Hany, „oddelegowała” nawet macochę Michalinę, na ten czas do jej rodzinnego domu, a o pobycie Hany wiedzieli jedynie: pradziadek, Karol i Stasia.

Czas okupacji niemieckiej, stał się dla rodziny Feliksów czasem nowych dramatycznych wyrzeczeń i poświęceń. Pradziadek Józef coraz bardziej podupadał na zdrowiu, zapewne martwił się o przyszłość rodziny i gospodarstwa. Rodzina została wyraźnie uszczuplona. Do roboty pozostawał tylko Karol, który powracał coraz bardziej do zdrowia oraz energiczna i zaradna Stasia, a także – wspomniany wyżej – Stach, syn ciotki Hanki. Stach miał nie w pełni sprawną lewą część ciała, utykał na tę nogę i miał „przybłokowana” też lewą rękę. Poza tym, był to mężczyzna silnej postury i w gospodarstwie zajmował się wypasaniem i dogładanie licznych stad bydła oraz owiec. Pradziadek zdawał sobie sprawę, że ta garstka swojej rodziny, może nie podołać już gospodarskim obowiązkom, nawet przy licznych najemnikach. Dlatego też delikatnie nakłonił swoją córkę Stasię do zamążpójścia i nawet doradził jej, kogo powinna wybrać z grona ewentualnych kandydatów. Padło na Franciszka Smolińskiego, mieszkańca Budek, najmłodszego spośród 5-osobowego rodzeństwa, syna Kazimierza i Jadwigi z domu Wasylik. Byli to ludzie stosunkowo ubodzy, posiadali jedynie 6 morgów pola, niemniej jednak wysoce szanowani, zwłaszcza ojciec Kazimierz, który tym oto sposobem stał się moim drugim pradziadkiem. Ślub moich dziadków Stasi i Franciszka Smolińskich miał miejsce 21 sierpnia 1943 r. w miejscowym kościele parafialnym. Niestety sam pradziadek Józef, tego faktu nie doczekał, zmarł bowiem 5 miesięcy wcześniej, ale Stasia wy-

pełniła jego wolę, bo radząc jej poślubienie Franciszka, mawiał: „z nim przeżyjesz”. Mój dziadek Franciszek, o 10 lat starszy od babci, był także już od wielu lat bez ojca. Był prostym człowiekiem, bez jakiegokolwiek wykształcenia, ale posiadał swoje wielkie talenty: doskonale kosił kosą, lubił konie, śpiewał przepięknie i potężnie drugim głosem, grał na fujarkach i grzebieniu oraz wygwizdywał wspaniale każdą melodię. Bardzo szanował i cenił go brat Karol.

I tak oto, opisywane przeze mnie dzieje zaczęły zawęzać się do rodziny Smolińskich – moich dziadków i rodziców. Rozpoczął się jednocześnie czas głębokiego niepokoju, bo do budek zaczęły napływać wieści z północy, od Wołynia. Niemal z dnia na dzień dochodziły informacje o groźbie ukraińskich, a ściślej banderowskich, napadów, morderstw i pożarów. W rodzinie Smolińskich i Pasierbskich, były to wieści konkretne, ponieważ Karol od samego powstania, wszedł w struktury tworzących się w tym rejonie struktur Armii Krajowej. Fala tych przerażających wieści, zaczęła kierować się powoli, ale skutecznie w kierunku powiatu kamionowskiego. Budkami wstrząsnęła na dobre w styczniu 1944 roku, kiedy to banderowcy dokonali nocnego napadu na leśniczówkę zamieszkałą przez wielką, bo liczącą kilkanaście osób rodzinę Knechtów. Napastnicy wystrzelali tam prawie wszystkich. Ocalały jedynie 4 osoby, w tym dwie ciężko ranne. Ocalała matka rodziny, która akurat znajdowała się w ciemnej sieni, a nie w izbie mieszkalnej i to ona, skoro tylko upewniła się, że napastnicy odeszli, odszukała wśród zmasakrowanych ciał, najmłodszego synka Witka, bosy, po śniegu dotarła właśnie do zagrody Pasierbskich i Smolińskich. Niepokój banderowskiego napadu rósł we wsi już wtedy niemal z dnia na dzień. Wielu mieszkańców Budek, zaczęło przygotowania do wyjazdu ze wsi, gromadzenia zapasów na drogę. Ta trwoga nasiliła się w marcu 1944 r., kiedy to wielu, w tym właśnie moi dziadkowie, wraz z pozostałymi domownikami, zaczęli na noce udawać się, na wozie konnym, do otaczających wieś, lasów. Każdego ranka wracali do swoich gospodarstw. Dla Smolińskich był to czas, niezwykle trudny, bo akurat na początku marca moja babcia urodziła małeńką Kazię i ukrywanie się zimową nocą po lasach z kilkudniowym dzieckiem, stanowiło niesamowity wręcz heroizm, zwłaszcza, że na tym jednym wozie leżała zawsze ciężko chora Czesia i jej małeńka Elżunia. W trudnej sytuacji znajdował się także Karol, który z jednej strony, winien z innymi akowcami przygotowywać się do samoobrony wsi, lecz z drugiej, nie mógł zostawić rodziny z umierającą siostrą, swoją także chorą żoną Emilią i małeńkimi dziećmi, wszak jego Lesio, miał zaledwie 3 latka.

Atak banderowców na Budki Nieznanowskie nastąpił w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Zmartwychwstania. Strzelanina i groźne okrzyki, słyszana były w lesie i powtarzały się kilkakrotnie. Mieszkańcy wsi, pod przywództwem kapitana AK Stanisława Dobieckiego i miejscowego proboszcza, byłego kapelana wojsko-

wego ks. Józefa Skrabalaka, dawali zdecydowany odpór bandzie ukraińskiej. To jej herszt, nie mogąc poradzić sobie z polską obroną wsi, wezwał na pomoc stacjonującą na pobliskim tartaku, jednostkę Wehrmachtu, która najechała na wieś, wobec której obrońcy, kapitulując, rozpięzchli się. Gdy zaczęło świtać i choć ostrzał wsi nie ustawał, moja babcia Stasia, tułąc do siebie miesięczną Kazię, wyrwała się z lasu, aby jak najwcześniej wydoić świeżo wycielone 3 krowy. Trudno uwierzyć, ale takie priorytety przyświecały gospodarskiej córce! Wśród gęsto padających pocisków, docierając do domu, napotkała jeszcze wycofujących się obrońców wsi, którzy pytając o Karola, powrzucali swoją broń do pobliskiej studni i zniknęli w ciemnościach. Babcia przycupnęła do dojenia swoich krów, wtedy pojawił się w obejściu niemiecki oficer, a tuż za nim grupa ukraińskich kobiet. Oficer pytał o resztę domowników i przekazał rozkaz, aby wszyscy Polacy o godzinie 14⁰⁰ opuścili wieś. Ukraińskie kobiety w tym czasie rozpoczęły wynoszenie dobytku z domu i ustawiania go pod płotem, krzycząc do mojej babci, że to wszystko budu horyty! Wypędzały także owce, świnie i drób z kurników. Po jakimś czasie zjechały z lasu wszystkie furmanki, „zaaresztowane” tam przez Niemców. Furmanki, po krótkim postoju, zmuszone zostały do nadzorowanego przez Niemców wyjazdu. Utworzył się ich długi sznur i tak ten sznur jadących wozów i idących obok nich pieszych ruszył w kierunku Kamionki. Tuż przed opuszczeniem wsi od wozu moich dziadków odłączył się kuzyn Stach. Próbował przywołać do siebie, swojego kolegę, też niepełnosprawnego Emila Białowąsa, lecz tamten twierdząc, że opuszczanie wsi nie ma sensu, przekonał kuzyna Stacha, aby pozostać na Budkach. Stach pozostał, ale obaj – jak się później okazało – przeplacili to życiem. Zostali zamordowani strzałami w tył głowy. Gdy tylko ten tragiczny sznur furmanek wyjechał poza granice Budek, wieś została podpalona. Na oczach jej mieszkańców paliło się wysokim płomieniem wszystko, co wraz z przeraźliwym rykiem bydła, wyciem psów, kwikiem świń i dramatycznym krzykiem pozostałych we wsi ludzi, stanowiło przeokropną grozę i sceny wręcz „z Dantego”. Odłączeni od wsi mieszkańcy, przeżywali istne piekło. Kazano im jednak wędrować do Kamionki Strumiłowej na stadion miejscowego „Sokoła”. Tam już nocą pojawił się ktoś z dalekiej rodziny o nazwisku Ślepecki – który widząc maleńkie dzieci i leżącą na wozie, ciężko chorą kobietę. Zaproponował mojej rodzinie „dach nad głową” w szkole w pobliskim Obydowie. Tam moi dziadkowie, wraz z Karolem, jego rodziną i Czesławą, oraz z maleńkimi dziećmi egzystowali przez prawie miesiąc. Już trzeciego dnia, po spaleniu Budek, babcia z dziadkiem i Karol, ryzykując ogromnie, zdecydowali się wrócić na miejsce swojej wsi. Gdy wyjechali za Sielec-Bieńków, ich oczom okazał się przerażający widok miejsca, gdzie jeszcze do ostatniej niedzieli żyła ich wieś. Na lekko przysypanej śniegiem równinie, sterczały jedynie zakopcone kominy. Wszędzie panowała ogromna cisza, a tylko w jednym miejscu unosiła się maleńka

smuga dymu. Już z daleka rozpoznali, że to dymi się z piwniczki, zwanej popularnie „lochem”, znajdującej się właśnie w obejściu Pasierbskich i Smolińskich. W tym lochu nagromadzone zostały zapasy zboża i był on bardzo solidnie zamknięty. Podpalacze widocznie nie zdołali sforsować potężnej kłódki, oblali naftą i tak się tlił trzy dni.. Gdy moi dziadkowie przybyli na miejsce swojego domostwa, zobaczyli całą zgrozę zniszczenia i tragedii. Wszędzie zalegały popękane od temperatury ognia, ciała zwierząt domowych, resztki spalonych i nadpalonych narzędzi, resztki pozdejmowanych przez ukraińskie kobiety, obrazów świętych. I może moi dziadkowi by coś z tego wygrzebali, ale wśród pogorzeliska, zauważyli ciało kuzyna Stacha, ze zmasakrowaną twarzą. Prerażeni tym widokiem, wykopali prymitywny grób, pochowali w nim ciało Stacha, pomodlili się i pełni nowej trwogi, odjechali czym prędzej do Kamionki. Jak się później okazało, z mieszkańców Budek Nieznanowskich, (z ręki ukraińskich oprawców) zginęło 21 osób, w tym dziewięcioro Knechtów i kuzyni mojej rodziny, wspomniani wyżej, młodzi Waksmannowie, którzy tuż przed wojną pożenili się z bogatymi Ukrainkami – siostrami, mieszkającymi na pobliskiej Rudzie Sieleckiej. Oni to wiedząc od Ukraińców o terminie szykowanego ataku na Budki, już w Wielki Czwartek, wozami zapełnionymi najpotrzebniejszym dobytkiem, udali się właśnie na Rudę. Ciała obu, bestialsko uduszonych Waksmannów odnaleziono już w poniedziałek wielkanocny, na brzegu Bugu, tuż na skraju Rudy. Niosła się w okolicy wieść, że w przerażającej ich „egzekucji”, brały czynny udział ich ukraińskie żony.

W maju 1944 r. moi dziadkowie wraz z rodziną Karola i kilkoma innymi rodzinami z okolicznych wsi, zostali skierowani do wyjazdu „za San” i tak kawalkadą ośmiu furmanek wyruszyli na zachód. Zatrzymali się w Sarzynie, koło Leżajska. Wcześniej, przejeżdżając przez kolejne wsie, napotykali już mnóstwo uciekinierów i dopiero w tej dużej wsi rozlokowano ich grupę. W noc, kiedy dotarli do Sarzyny i ulokowano ich w miejscowej szkole, umarła będąca już od paru dni w agonii, siostra mojej babci Czesława. Została zaraz następnego dnia pochowana na miejscowym cmentarzu. Dziadkowie moi zaś, wraz z dwuletnią, pozostawioną po niej sierotką Elżunią oraz oddaną im do pomocy 14-letnią Miśką, którą poleciła im, jeszcze na Obydowie pani Ślepecka, zostali przydzieleni do jedynej izby u jakiejś starszej, samotnej mieszkanki Sarzyny. Ta nie chciała przyjąć emigrantów za „żadne skarby”, wciąż przeklinała i wyzywała przybyszów, ale ustąpić musiała. Tam przymieszkali moi dziadkowie aż do przejścia frontu Armii Czerwonej, który przełamał się przez Sarzynę 25 lipca tegoż roku. Dzień ten okazał się bardzo ważny w mojej rodzinie. To właśnie wtedy, rodzina jakby na nowo „narodziła się”. Poprzedniego dnia, kiedy ruchy „frontu sowieckiego” były już widoczne „gołym okiem” z każdego niemal wzgórką, przebywający we wsi miejscowi partyzanci zestrzelili obserwatora niemieckiego, rozlokowanego na wieży kościelnej. Niemcy postanowili

wziąć odwet na ludności tej części Sarzyny. Wczesnym rankiem, wypędzi z domów na plac kościelny ponad 170 osób, z dziećmi małeńkimi włącznie. Wśród nich znaleźli się moi dziadkowie i nocujący u nich Karol wraz trójką dziewczynek. Moja babcia, wyrzucana z domu, chwyciła do teczki, kawałek chleba, butelkę z mlekiem dla dzieci, oraz książeczkę do nabożeństwa. Przypędzonych na plac kościelny Polakom, rozkazano uklęknąć i tkwić nieruchomo. Plac otaczały stanowiska karabinów maszynowych i Niemcy z psami na smyczach. Całej grupie, klęczącej w czworoboku, odczytano wyrok śmierci, podkreślając „polski bandytyzm” i kiedy już miano zakończyć całą „ceremonię sądenia”, moja babcia dyskretnie sięgnęła do swojej teczki, wyjęła z niej książeczkę do nabożeństwa i podała swojemu bratu Karolowi. Ten od razu, na cały głos zaintonował odmawianie litanii do Najświętszej Marii Panny. Klęczący od razu podchwycili modlitwę i choć Niemcy starali się ją zagłuszyć, skazańcy modlili się coraz głośniej. I wtedy żołnierze niemieccy popadli w chwilową konsternację. Przez jakiś czas nie mieli odwagi by stłumić modlitwę. Trudno mi sądzić, czy to z szacunku dla rzeczy świętej, czy to z obawy, że zapewne za kilka godzin dopadną ich „czerwonoarmieńcy”?, Przez cały czas bowiem przelatywały nad zebranymi, świetne pociski ze strony, usytuowanych za rzeką San, oddziałów Armii Radzieckiej. Konsternacja Niemców zaczęła się przedłużać, zauważyli to klęczący i Karol zaczął przeciągać modlitwę. To wywołało wreszcie niespodziewaną reakcję wśród Niemców. Rozkazali kobietom i dzieciom pozostać na placu, zaś wszystkich mężczyzn porwali z kolan i kłując ich bagnietami, popędzili w kierunku zachodnim. Grupa liczyła około 30-tu mężczyzn. Tę grupę popędzali przez cały dzień, a wieczorem, przerażeni chyba naciskającym ich frontem Niemcy, rozluźnili nadzór nad pędzonymi aż w pewnym momencie ktoś dał sygnał do ucieczki. Dziadkowi i Karolowi udało się zniknąć w otaczającym ich lesie i dopiero następnego dnia dotarli do swoich rodzin. Z pędzonych mężczyzn, czterech już mocno wyczerpanych, nie miało sił uciekać i wszyscy oni zostali przez Niemców zastrzeleni na drodze, a ciała ich zostały porzucone. Babcia zaś, z trójką dziewczynek, była świadkiem przejścia ataku frontowego. Ten widok wspominała tysiące razy i przy każdej okazji, dziwiła się, że to wszystko stało się tak nagle. Mimo świszczących kul i rozrywających się innych pocisków, nikomu z jej grupki się nic nie stało. Gdy drugiego dnia nad ranem dotarli Franio wraz z Karolem, łzom i szczęściu nie było końca. Pojawił się jednak dylemat – co dalej? Wszyscy głodowali. Babcia, mimo swojej energii, wyglądała jak „kościotrup” – ważyła zaledwie 40 kilogramów. W Sarzynie nie dało się żyć. Karol, uchodzący w rodzinie za autorytet, zawyrokował, aby wracać na ojcowiznę. Wszyscy z Kamionki wyszykowali na nowo swoje wozy (tym razem bardzo ubogie), aby wczesnym rankiem trzeciego sierpnia wyruszyć w kierunku Lwowa. Nad ranem tej nocy, po ataku wysokiej gorączki, umarła małeńka Elżunia. Wóz moich dziadków i Karola zmuszony

był pozostać, aby pochować zmarłą przy boku jej matki Czesławy Zielińskiej. Wyruszone dzień później. Za wozem szła moja babcia, niosąc na ręku swoją pięćmiesięczną córeczkę Kazię. Po dniu drogi, mimo troskliwej ochrony dziecka przed panującym upałem, dziewczynka dostała gorączki i po kilkunastu godzinach zmarła, jak to określano na „zapalenie mózgu”. Dziecko zostało pochowane na cmentarzu przykościelnym w Tryńcy. Moi dziadkowie pozostali więc sami. Jedyna ich własnością był jedynie koń i wóz. Tak dotarli do Kamionki Strumiłowej i tam zamieszkali „kątem” u jakichś znajomych. Dziadek, dzięki temu że dysponował koniem, wynajmował się do pracy i tak zarabiał na życie, a babcia powoli „dochodziła do zdrowia”. Interesowało ją toczące się wokół życie. Codziennie uczestniczyła w nabożeństwach kościelnych, spotykała się i rozmawiała z różnymi ludźmi, niepewnymi jutra i żyjącymi tragedią ostatnich miesięcy. Tragedie i niepokój jeszcze trwały, gdyż w całej okolicy, banderowcy wciąż dopuszczali się zbrodni, kierując, już tym razem, swoje ataki na przybyłych żołnierzy radzieckich. Wciąż niepewni jutra, głodni, bez jakichkolwiek perspektyw, moi dziadkowie zgłosili się do pierwszego transportu kolejowego do Polski, jaki miał wyruszyć 15 grudnia 1944 r. z Kamionki Strumiłowej. Załadowali swojego jedynego konia i kilka tylko posiadanych przedmiotów do wagonu towarowego, który dzielili jeszcze z czterema rodzinami i tak ruszyli, jak się okazało „na zawsze” w „opatrność Boską”. Tak podróżowali, że w ciągu 14 dni, przebyli 90 km, kiedy to ich pociąg zatrzymał się na stacji w Bełzcu i tam nastąpiło jego rozlokowanie. Wcześniej na stacji w Lubyczy Królewskiej, po raz pierwszy od ponad 5 lat, moi dziadkowie zobaczyli polskich żołnierzy. Radości z tego powodu nie było końca. Wstępowała w nich nadzieja, że gehenna wojenna dobiega końca. Ze stacji w Bełzcu dotarli do wsi Wieprzów Tarnawacki, położonej nad sporej wielkości jeziorem, o 4 km na północ od Tomaszowa Lubelskiego. Funkcjonujący już w Tomaszowie Powiatowy Urząd Repatriacyjny, przydzielił moim dziadkom skromny kąt w sieni, jednoizbowego drewnianego, mocno zdewastowanego domu. Tę izbę zajmowało małżeństwo z ociemniałym mężczyzną. Po kilku miesiącach, kiedy moja babcia była w zaawansowanej ciąży, małżeństwo to wyprowadziło się do Tomaszowa, a dziadkowie już mogli zamieszkiwać w całym domu. Opisane mieszkanie: jedna izba z drewniana podłogą, sieni i komora z glinianym klepiskiem oraz drewniana obora, chlewik i szopa składały się na całość zabudowania. Nie stanowiło to ani dziesiątej części wartości i wygody, tego co padło pastwą zniszczenia na Budkach Nieznanowskich. Ale jakoś trzeba było budować nowe życie. W sierpniu urodził się im syn Adam, żyjący do dziś mój tata. Dziecku dano na imię Adaś, zgodnie z panującym w tamtym regionie przeświadczeniem, że po zmarłym wcześniej dziecku, następne powinno się chrzcić imionami pierwszych ludzi z rajy, aby w ten sposób zahamować umieralność dzieci. Aby wyżywić siebie i małe dziecko, moi dziadkowie zdecydowali sprzedać swo-

jego jedynego konia, aby za uzyskane pieniądze kupić krowę. Wprawdzie pozbywali się w ten sposób możliwości zarobkowania, ale mieli już pewność, że krowa stanie się żywicielką rodziny. Tak też się stało. Zatem do uprawy własnego pola, najmowali z końmi sąsiada Michała Kudełkę, a następnie odrabiali tę usługę, pracując na jego polu lub w jego obejściu. Taka „męka” trwała prawie przez 3 lata, aż się dorobili na tyle, że mogli zakupić starego konia i tym samym ustała już ich zależność odrobkowa. Dziadek trochę dorabiał przy pracach w pobliskim tartaku, a babcia ile mogła czyniła starania, aby z tego co było w ich posiadaniu się utrzymać i wyżywić. Ciągnęło ich mocno do społecznikowskiego i towarzyskiego życia, zwłaszcza w gronie osób przybyłych „zza Buga”. Osiadł w Wieprzowie także brat mojej babci Karol, w raz z synkiem Leszkiem i córką Ziucią z pierwszego małżeństwa oraz jej dziadkiem. Karol przybył do Wieprzowa w dwa miesiące po moich dziadkach, gdyż zmarła mu nagle jego druga żona, osieracając małego Lesia, a Karola czyniąc wdowcem po raz wtóry. Jednym z najważniejszych wydarzeń w 1948 r., była dla nich – ludzi wypędzonych, wizyta w Wieprzowie biskupa lubelskiego ks. Stefana Wyszyńskiego. To na jego uroczysty przyjazd, „budeńcy” zorganizowali kilkunastu osobowy chór i uświetnili pięknym śpiewem tę uroczystość. Na gromki, pełen żalu śpiew kościelnej pieśni „z tej biednej ziemi” biskup, a późniejszy kardynał, rozplakał się na głos i pełnym wzruszenia głosem pobłogosławił wszystkich repatriowanych. To wydarzenie dało kres wielkiej niechęci, a nawet nienawiści z jaką miejscowa, zasiedziała ludność tamtych terenów darzyła przez długi czas, uciekinierów zza Buga. Czasy były biedne i niespokojne. Prawie każdego tygodnia wokół wsi rozwijały się wojskowe obławy, rzekomo na złodziei, a tak naprawdę, starano się wytropić ludzi z AK i Batalionów Chłopskich. Dziadkowie o siebie byli spokojni, ale drżeli na myśl o Karolu. Ten często wymykał się na noc ze swojego domu, aby uniknąć aresztowania. Żyjąc w ciągłej obawie, zdecydował się na pracę w zamojskiej roszarni konopi, aby w ten sposób „wtopić się” w miejski tłum. Wszyscy mieszkańcy czuli, że wprawdzie niemieckie i ukraińskie zagrożenie minęło, to jednak nadchodzą nowe niebezpieczeństwa związane z nowym ustrojem. Mieszkańców wsi coraz bardziej zaczęto przymuszać do nakazowego gospodarowania, narzucano im nakazy przymusowej kontraktacji buraków cukrowych, lnu, konopi, tytoniu czy nawet rycynusu. Zyski dla rolników były mizerne, a pracy ogromnie dużo i nie starczało ziemi pod uprawę tego, co gwarantowało wyżywienie ludzi. W gazetach, które docierały do ludzi była coraz większa nagonka i oskarżenia wobec ludzi związanych z Mikołajczykowskim PSL-em, duchowieństwa, ludzi odrobinę bogatszych, czy tych, którzy jeszcze kilkanaście miesięcy temu poświęcali swoje życie, działając w „nieprawomyślnych”, zdaniem nowej władzy, organizacjach partyzanckich. Moi dziadkowie, podobnie jak i większość Polaków, zwłaszcza tych przyjezdnych zza Buga, doskonale potrafili rozróżnić oszczerczą

propagandę sowieckiego ustroju. Posiadali oni szereg bolesnych doświadczeń z czasów dwuletniej ich okupacji z lat 1939–41. Wszyscy byli oburzeni zwłaszcza wobec „propagandowego kitu”, jaki prasa starała się „wcisnąć” czytelnikom, że zbrodni katyńskiej dokonali Niemcy! Wieś stawała się coraz bardziej przerażona propagowana na siłę kolektywizacją. Moi dziadkowie bali się kolektywizacji jak przysłowiowy „diabeł święconej wody” i ta obawa pchnęła ich do dalszego podążania na Zachód. W grudniu 1952 r., kiedy to nacisk kolchoźniany przybrał w Lubelskiem na sile, moi dziadkowie, z Adasiem i niespełna dwuletnim Leszkiem wyprowadzili się z Wieprzowa i osiedlili się we wsi Golejów w powiecie Lwówek Śląski na Dolnym Śląsku. Po ciężkiej podróży pociągiem towarowym, trwającym 8 dni, w raz z dziećmi i dobytkiem – już bardziej znacznym niż w 1944 r. – dotarli na tzw. Ziemię Odzyskane. Tu u ich samych wrót, bo wielkiej stacji przeładunkowej we Wrocławiu-Brochowie, o mało nie przepłacili tej podróży życiem babci i ich synków. Na stojący samotnie, u stóp tzw. „górkę rozrządowej” ich wagon, puszczono 3 wagony wypełnione zbożem. Nie pomogły tzw. „szwele” i rozpędzone wagony te z całym impetem uderzyły w niego powodując wewnątrz pożar. Tylko jakimś nadludzkim wysiłkiem uwięzionej wewnątrz rannej babci, udało się otworzyć żelazne drzwi wagonu i ugasić pożar. Po tym dramatycznym wydarzeniu, już bez zbędnych przestojów, pociąg dotarł do celu, czyli do stacji Pławna Średnia. Tu, w podgórskim terenie, otrzymali gospodarstwo rolne o pow. ponad 8 hektarów. Zabrali się więc ostro do pracy i zauważyli, że same ręce i ręczne narzędzia na takim areale już nie wystarczą. Zaczęli, początkowo dość sceptycznie, podchodzić do prac polowych i gospodarskich przy użyciu maszyn i mechanicznych urządzeń gospodarskich. Tu, po raz pierwszy zetknęli się energią elektryczną. Było przy tym wiele obaw i przykrych niespodzianek, ale czas „robił swoje”. I tak oto, przeszli moi dziadkowie następny egzamin życiowy. Sytuacja materialna się w ich domu, poprawiała z roku na rok. Obojgu zaczęło się chcieć żyć i działać na nowo. Coraz rzadziej dotykała ich tęsknota za pozostawioną na Wschodzie ojcowizną. Zaczęli żyć planami swoich synów i sami siebie angażowali do różnych zadań społecznych. Ale i tu w 1954 r. „dopadła ich kolektywizacja. Jako nieliczni we wsi nie poddali się jej. Odebrano im najlepsze pole, a w zamian otrzymali nieużytki, położone na pobliskich bagnach i zaroślach. Nic jednak nie dało rady zmącić ich optymizmu. Podejmowali się – zwłaszcza babcia – karkołomnych działań, ażeby się „dorobić” i jednocześnie nie ugiąć się wobec ciężarów nakładanych przez panujący w Polsce porządek gospodarczy. Wywiązywali się każdego roku „co do ziarenka” obowiązkowych dostaw: zboża, ziemniaków, mięsa i mleka. Bardzo kłopotliwa była dla mojej babci dostawa mleka do punktu zlewnego. Codziennie rano o godzinie 6⁰⁰, ta kobieta przemierzała z dwoma wiadrami w rękach, napełnionymi mlekiem. Skąd czerpała tyle sił? Tego nie potrafię sobie wytłumaczyć. Nawet w najcięższych pra-

cach polowych wspomagała swojego męża, a w domu brylowała wśród bydła, świń, drobiu, a przy tym dbała o porządek i piękno obejścia. Chciała i potrafiła angażować się skutecznie w życie kulturalne i kościelne swojej wsi. Przez kilkanaście lat pełniła funkcję wiceprzewodniczącej komitetu rodzicielskiego golejowskiej szkoły podstawowej. Z jej inicjatywy komitet zgromadzał niemal wszystkich rodziców. Urządzali oni częste zabawy, akademie i wystawiali sztuki teatralne, a moja babcia – wzorem swojej budeńskiej rodziny – jeszcze nocami czytała różne książki. Na te czytania przychodziło regularnie do Smolińskich po kilkanaście osób, nawet z odległych domów.

Głęboko i ze wzruszeniem przeżywała rodzina moich dziadków wydarzenia historyczne w Polsce i na świecie. Babcia nie wstydziła się przyznać, że na wieść tzw. „wypadków poznańskich” w czerwcu 1956 r., płakała nie ze strachu i nad losem ofiar, ale z tego, że oto pojawiła się iskierka nadziei, że pęknie „obroza komunistycznej niewoli”, jaka zaciskała się coraz bardziej na „szyi Polaków”. Dziadkowie moi, przez cały czas, tęsknili za tym, co dopiero później przyniosły Polsce lata osiemdziesiąte. Babcia przyznawała się często, jak wielką pokładli nadzieję w ponownym pojawieniu się Władysława Gomułki i w głoszonym przez niego programie. Wprawdzie po latach, zawiodła się na głoszonych przez niego obietnicach, ale z rozrzewnieniem wspominała nadzieje z nim związane. Dziadkowie w pełni solidaryzowali się z udręczonym, w latach pięćdziesiątych, Kościołem, czy uwięzionym ks. Prymasem Wyszyńskim. Głośno sprzeciwiali się zakazom dotyczącym śpiewania niektórych pieśni patriotycznych, np. „Czerwone maki”, zakazom wspomnień o ludziach takich, jak Piłsudski, Mikołajczyk, Wańkowicz, zakazom obchodzenia świąt 3 maja czy 11 listopada, powoływania się na nazwy Armii Krajowej czy Powstania Warszawskiego. W takim duchu wychowywał się i dorastał mój tata Adam, który starał się już od dziecka uchwycić wszystko, co najlepsze z przekazów swojej mamy, a mojej babci. To z jej inspiracji, mały, a potem dorastający Adaś „pchał się” do wszystkiego, co w ocenie jego mamy, było ważne, potrzebne i wzniosłe. Towarzyszył, zresztą, swojej mamie niemal w każdych czynnościach, podróży i rozmowach. Odnotowywał w swojej pamięci wszystko, czym ze swoich przeżyć dzieliła się jego mama. Po ukończeniu nauki w szkole podstawowej mój przyszły tata wstąpił do Seminarium Duchownego o.o. Franciszkanów w Legnicy. Księdzem jednak nie został, bo po trzech latach nauki, za namową swojego o. Prefekta – chroniąc się przed obowiązkową służbą wojskową, jaka zagrażała wówczas klerykom – Adam znalazł się w Liceum Ogólnokształcącym w Lwówku Śląskim. Maturę zdał w 1965 r. i zaraz został studentem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. Tu wstępował do wszystkich możliwych organizacji studenckich, aby realizować swoje ambicje społecznikowskie. Po fali strajków studenckich w 1968 r. mój tata, wraz z kilkunastoma innymi studentami „odciął się

na zawsze” od linii wszechobecnej na wydziałach prawniczych PZPR, wstępując do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Jako ludowiec ukończył studia i niedługo potem wybrano go na funkcję przewodniczącego Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Wiejskiej w Lwówku Śląskim. W rok później poślubił, młodszą żonę Teresę, a w przyszłości moją mamę. Ich ślub, zawarty w kościele p.w. Świętych Feliksa i Adaukta, wśród bardzo licznie zgromadzonych mieszkańców Golejowa, tak bardzo „rozwścieczył kierownictwo egzekutywy KP PZPR w Lwówku Śląskim, że ci wymogli na władzy zwierzchniej mojego taty, czyli na Zarządzie Wojewódzkim ZMW we Wrocławiu, aby ten zmusił tatę do rezygnacji z piastowanej funkcji przewodniczącego ZP. Tak się też stało. Tatę odwołano, ale ten fakt spowodował, że młodzież wiejska z całego terenu, uczestnicząc niezwykle licznie, w pożegnaniu swojego przewodniczącego, wyraziła jasno solidarność z jego postawą. Mojemu tacie szybko podali „pomocną dłoń” koledzy z powiatowej instancji ZSL w Lwówku, którzy w kilka miesięcy później wytypowali go na swojego kandydata na naczelnika Miasta i Gminy Wleń w ramach reformy administracji terenowej od stycznia 1973 r. Tata został najmłodszym naczelnikiem na całym Dolnym Śląsku. Wspierany przez swoją żonę, a moją mamę Teresę, która idąc w ślad za swoim mężem, także została członkiem ruchu ludowego, mój tata związał – w konsekwencji całą swoją rodzinę – ze wszystkim, co w polskim ruchu ludowym było i pozostaje najcenniejsze. To ze względu na jego zaangażowanie i odpowiedzialność, czasami także, ze względu na wielkie – powodowane złymi zachowaniami innych ludzi – wyrzeczenia, moje starsze rodzeństwo: brat Wojtek i siostra Małgosia, a w końcu i ja – młodsza od nich w 14 lat – wrosliśmy w Witosowe idee. Każde z nas, w ciągu tylko tego jednego pokolenia, ukończyło studia wyższe: Wojtek Wydział Prawa na Uniwersytecie Wrocławskim, Małgosia Wydział Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, a ja Wydział Biotechnologii na Politechnice Wrocławskiej. Do tego dołączyła się i nasza mama Teresa, zdobywając dyplom magistra na Papiejskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu.

Nasze, wyniesione z rodzinnego domu priorytety, a podparte ambicjami i nadziejami, moich dwóch poprzednich pokoleń, pozwalają mi dziś być dumną, z tego, co poprzedziło mój czas w ciągu przeżytego wieku. Pozwalają także, wszystkim w mojej rodzinie, mieć ufność, co do przyszłości. Jest nas Smolińskich – z tego ostatniego ogniwa 100-letniej historii mojej rodziny, trzynastu: rodzice Adam i Teresa, brat Wojciech z żoną Ewą i dziećmi Maćkiem i Oleńką, siostra Małgosia, ze swoim Rafałem i synkiem Wiktorem oraz ja Joanna z moim mężem Piotrem oraz dziećmi: Haneczką i Adasiem.

Było w trakcie tego wieku cudownie, ale bardzo trudno i ciężko. Teraz jesteśmy wolni, z nadziejami na lepsze, piękniejsze jutro. Jestem dumna z synka usiłującego śpiewać hymn swojej Ojczyzny?

FRANCISZEK BUCZEK
Kocierzew Płd

Moja Biało-Czerwona

Jestem emerytowanym rolnikiem, nigdy nie byłem partyjnym. W stulecie odzyskania Niepodległości Polski ukończyłem 93 lata. Jestem jednym z najstarszych mieszkańców w parafii Kocierzew w pow. łowickim, gdzie się urodziłem i przeżyłem wszystkie te lata. Zachęcony apelem Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i osobiście przez naszego krajana dr Ryszarda Miazka z tegoż Muzeum, postanowiłem wziąć w nim udział, aby opowiedzieć o swym życiu, które przypadło na ten wyjątkowy okres a które pod wieloma względami także, jak myślę, było wyjątkowe.

Rodzice. Czas dorobku

Urodziłem się 1 stycznia 1926 roku we wsi Kocierzew Południowy w rodzinie rolniczej. Byłem jedynym synem Józefa i Marianny Buczek z domu Wróbel. Rodzice pobrali się w 1923 roku, a więc na progu niepodległej Polski. Brat mojej matki, Ludwik, ożenił się z siostrą mojego ojca Magdaleną. Były to tak zwane miany małżeńskie. Matka ojca, babcia Waleria, wdowa po dziadku Grzegorzku przekazała moim rodzicom gospodarstwo o pow. 12 ha, obciążając je alimentami przeznaczonymi na swoje utrzymanie.

W akcie notarialnym spisanim 3 listopada 1922 roku dokładnie spisano te świadczenia: 1 i 3 ćwiartki korca żyta, 3 ćwiartki korca pszenicy, ćwierć korca owsa, pół ćwiartki korca jęczmienia, 8 funtów kaszy jaglanej, 5 korcy kartofli, pół kwarty oleju, 4 funty słoniny, półtora korca węgla kamiennego, pół ćwiartki drzewa szypowatego z dostawą opału, zboża i kartofli do mieszkania, 4 pręty kwadratowe dobrze uprawionej ziemi pod wczesne kartofle oraz 3 pręty takiej samej ziemi pod len i kapustę, krowa, aby utrzymywała się ze swojej paszy, w swej oborze i pod nadzorem swego pastucha, dwie owce matki, 2 furmanki do wyjazdu, cały ogródek owocowy do użytku, nie przeszkadzanie w utrzymaniu 4 kur.

Akt ten sporządzony był dla planowanego wcześniej małżeństwa ojca z inną osobą, a przejęty przez moich rodziców. Były to warunki dość uciążliwe i trudne dla wykonania, ale w ten sposób przekazujący starali się zabezpieczyć swoją starość. W zgodnych rodzinach świadczenia alimentacyjne miały bardziej formalne niż rzeczywiste znaczenie, ale przy sprzeczkach były częstym przedmiotem szanta-

żu wobec młodych. Babcia Waleria wymawiała nieraz moim rodzicom, że jej córka Magdalena, otrzymała tylko 6 ha, a moi rodzice 12 ha. Stad starała się „wymusić” jak największe alimenty zapisane w akcie notarialnym, aby móc w razie potrzeby pomagać „pokrzywdzonej” córce Magdalenie. Ot takie zwykłe codzienne problemy każdej wiejskiej rodziny w tamtych czasach.

Urodziłem się trzy lata po ślubie rodziców z pomocą pani Góreckiej z sąsiedniego Kocierzewa Płn. która pomagała przy połogach wszystkim okolicznym mamom. (Jej wnukiem jest ks. Stanisław Pawlina, obecnie już senior mieszkający w Domu Księży Emerytów w Sochaczewie). Następnego dnia ks. Jan Matulanis w miejscowym parafialnym kościele nadał mi imię Franciszek. Rodzicami chrzestnymi zostali ciocia Magdalena i wuj Ignacy Wróbel. Tak było od zawsze, że człowiek przychodził na świat w rodzinie i parafii, w której najczęściej dożywał swoich dni, jak to jest i w moim przypadku. Całe więc życie człowieka związane było z parafialnym kościołem i księżmi, którzy w nim pracowali. Dotyczy to może w szczególności wsi najbliższej położonych kościoła, do których należała moja wieś rodzinna.

Gospodarstwo, w którym zaczynało się moje dzieciństwo, było większe od przeciętnych we wsi, ale mocno zaniedbane. Dom drewniany z małymi oknami i glinianą podłogą, do którego w poszukiwaniu pożywienia potrafiły pod przyciesiami podkopywać się myszy a nawet szczury. Dom kryty był słomą z gontami na 4 strony. Do domu dobudowany był mały chlewik, w którym babcia Waleria utrzymywała swojego prosiaczka i kilka kur. Opodal domu stała obora z kamieni kryta także słomą, w której stały zazwyczaj 4 krowy i jałówka i gdzie było pomieszczenie dla konia, czasem dwóch. Między domem a oborą znajdował się gnojownik. Drewniana stodoła stojąca za oborą była w bardzo kiepskim stanie, w zasadzie rozlatywała się i trzeba było myśleć o nowej. Podstawowymi narzędziami był pług, kultywator i brona. Wóz był na żelaznych obręczach. Pośrodku stodoły stała sieczkarnia służąca do rżnięcia słomy na sieczkę dla krów i obrok dla konia. Rodzice przy pomocy drewnianego drążka osadzonego jednym końcem w ścianie drewnianej stodoły obracali koło zamachowe sieczkarni. Zboże młócone było cepami i ta czynność zarezerwowana była dla mężczyzn. Ręczne rżnięcie sieczki należało do najcięższych prac w gospodarstwie, szczególnie dla kobiety, bez pomocy której gospodarz nie mógł się obejść. Ta ciężka praca spowodowała u młodej mamy przepuklinę i prawdopodobnie ukrywane przede mną poronienie. W każdym razie obiecywana siostrzyczka nigdy nie przyszła na świat i tak zostałem jedynakiem. Jakże inaczej mogło potoczyć się moje życie, gdyby nie ten fakt. Opisując ów „bilans otwarcia” dodam, że dochody w gospodarstwie była bardzo niskie. Ziemia była urodzajna, ale zalewna, także trudno było nawet utrzymać dwa konie niezbędne w tak dużym gospodarstwie. W tej sytuacji gospodarstwo potrzebowało podjęcia szczególnego wysiłku, aby poprawiać jego stan. Tymczasem ojciec, uczciwy i pracowity, nie

przejawiał wystarczającej w tym kierunku inicjatywy. Mama nie załamywała się jednak i sama postanowiła przejąć kierowanie gospodarstwem. Pomógł jej w tym brat Ignacy Wróbel, który należał do świątlejszych gospodarzy. Służył w rosyjskim wojsku. Po I wojnie prowadził racjonalnie 6 ha gospodarstwo, czerpiąc dodatkowe dochody z handlu końmi. Znał się na polityce. Był działaczem Akcji Katolickiej, czytelnikiem „Małego dziennika” wydawanego w Niepokalanowie. Udzielał się w kościele w każdej potrzebie. W maju codziennie o godz. 6 rano grał na trąbce lub na klawirze pieśń „Chwalcie łąki umajone”. Przyjaźnił się z właścicielką folwarku z sąsiedniej wsi Osiek, p. Grabińską, która patronowała wielu akcjom oświatowym w naszej parafii. Za radą brata mama rozpoczęła unowocześniać gospodarstwo.

Z pomocą sąsiadów i wujka Ignacego ścięto rosnące na naszej ziemi topole, które tracze pocięli na bale, a rzemieślnicy z Kocierzewa Starej Wsi pobudowali w 1928 r. nową, obszerniejszą stodołę krytą słomą. Niedługo po tym mama przekonała ojca, aby pojechał z wujkiem do Lwówka, wsi częściowo wtedy niemieckiej położonej blisko Sannik, gdzie wykonywano maszyny rolnicze. Rodzice zakupili tam kierat i wąsko-omłotową młockarnię tzw. targankę, pożyczając część brakujących pieniędzy od wujka Ignacego. Dzięki tym maszynom można było młócić zboże i ciąć słomę na sieczkę przy pomocy koni.

W 1932 roku rodzice pobudowali nową, z kamienia i cegły oborę. Budowniczym był murarz Kosmala Stanisław, a kończył Konstanty Bruc z Kocierzewa Starej Wsi. Dach zbudowali bracia Ciężcy: Andrzej, Roman i Jan, dziadek obecnej pani wójt gminy Kocierzew, Agnieszki Wojdy.

Obora była pokryta słomą, dopiero w okresie okupacji zastąpiona została blachą. Radość z nowego budynku była jedna krótka. Z nieznanego powodu po przeprowadzeniu do nowej obory dwie krowy jednej nocy zostały sparaliżowane. Zadłużeni rodzice musieli znów dopożyczyć pieniądze, aby kupić choć jedną krowę dającą mleko, bez którego nie mogła obejść się żadna rodzina. Dla mnie kromka razowego chleba i garnuszek mleka prosto od krowy była wtedy prawdziwym rarytasem i podstawą codziennego pożywienia. A byłem od dziecka bardzo chorowity. Gdy miałem 4 lata rodzice z tego powodu postanowili pojechać ze mną do Częstochowy na Jasną Górę, aby prosić Matkę nas wszystkich o zdrowie dla swego synka jedynaka i błogosławieństwo dla siebie na dalszą drogę życia. Z dworca kolejowego z Łowicza nieśli mnie na ramionach do domu na przemian 15 kilometrów. Ojciec czasem wspominał tamten trud, a ja mimo swych 4 lat zapamiętałem z tej pielgrzymki film wyświetlany w podziemiach klasztoru i „żywe” postacie przesuwające się po płótnianym ekranie.

Od najmłodszych lat towarzyszyły mi zatroskane oblicza rodziców. Początek lat 30. był bardzo trudny dla rolnictwa. Wielki światowy kryzys spowodował z dnia

na dzień gwałtowny spadek cen na produkty rolne. Za sprzedane zboże i tuczniki rodzice nie mogli spłacić w całości zaciągniętego przed kryzysem długu, a nawet zapłacić podatku, który z 12 i pół hektarowego gospodarstwa wynosił 200 zł. rocznie. Cena zboża wynosiła 8 zł za q, a za tuczniaka nawet poniżej 1 zł za kilogram. Dla ratowania finansów gospodarstwa mama sprzedawała swoje posażne wełniaki. Pamiętam jak z powodu oszczędności dzieliło się zapałkę na dwie części. Pewnego razu ojciec musiał sprzedać włosie z końskiego ogona, aby kupić paczkę zapałek. Gdy ojciec wracał z Łowicza z targu wybiegałem do niego na błotnistą, kamienną drogę nie pytając czy kupił mi bułeczkę ale czy sprzedał zboże. Nieraz sam wracał głodny, gdy nie sprzedał zboża. Kupowali je wtedy głównie Żydzi. Dopiero przed II wojną światową zaczęły powstawać spółdzielnie rolniczo-handlowe zajmujące się skupem zboża. Tuczniaki ojciec woził na targ do Łowicza lub Sochaczewa. Kupcy lub rzeźnicy mieli swoje sposoby, aby kupić za jak najniższą cenę. Przychodzili rano do wozu, proponowali zaniżoną cenę a potem nie odstępowali nawet o krok nie dopuszczając innych kupców. Rolnik nie chcąc wracać do domu z niesprzedanym tuczniakiem godził się w końcu na niekorzystną cenę. Trzeba było sporego doświadczenia i sprytu, aby nie dać się oszukać. Podobnie było ze sprzedażą bydła. Konie natomiast kupowane były powszechnie do kilkuletniej pracy a następnie po doprowadzeniu do lepszej kondycji sprzedawane z zyskiem. Przyjeżdżali po nie do gospodarstwa nawet zagraniczni kupcy.

Pomimo codziennych kłopotów i trudności w domu panowała religijna atmosfera. Modliliśmy się rannym i wieczornym pacierzem, ojciec odmawiał przed snem różaniec. Mama czyniła to zazwyczaj w kościele. Dzieciństwo, chociaż przeżywane w niedostatku uważam za szczęśliwe. Przeżywałem je w gronie rówieśników z bliższego i dalszego sąsiedztwa. Ich imiona i nazwiska nic nie powiedzą dalszym czytelnikom, zostawiam je we własnej pamięci.

Jako 7 letni chłopiec przyjąłem pierwszą Komunię św., chociaż dopuszczano do niej dopiero 9 letnie dzieci. Zadbala o to moja mama, która posyłała mnie na nauki do pobliskiego kościoła i sama dopomagała mi w domu przygotować się do pierwszej spowiedzi. Proboszcz prałat Matulanis był już wtedy śmiertelnie chory. Zapytany przez ks. wikarego czy może dopuścić tak młodego chłopca odpowiedział, że skoro zdał egzamin to można. Mama nie mając pieniędzy na nowe ubranie uprała mi stare, już przybrudzone. Białą koszulę trochę zniszczoną przesyłała mi z ojca koszuli. Tylko buciki miałem nowe, kupione za zaoszczędzone pieniądze. Po mszy św. otrzymaliśmy obrazki komunijne. Obok kościoła przy plebanii odbyło się wspólne śniadanie: herbata i bułeczka z masłem. Po przyjeździe do domu przeżywałem ten wielki dzień, w skupieniu pomagając rodzicom.

We wrześniu 1933 roku rozpocząłem naukę w 6 klasowej Publicznej Szkole Powszechnej w Kocierzewie. Lekcje odbywały się w drewnianym budynku za-

mieszkałym częściowo przez nauczycieli oraz w domu gospodarza z sąsiedniej wsi Kocierzew Płn. p. Anzelma Taraski. Kierownikiem był p. Piotr Noga, człowiek bardzo poważany, prawdopodobnie oficer Wojska Polskiego, patriota uwielbiający postać Marszałka J. Piłsudskiego. Był wymagający w stosunku do uczniów. Za nie powiadomienie go przeze mnie o zamiarze składania życzeń imieninowych księdzu proboszczowi i spóźnienie się z tego powodu na lekcje, zostałem ukarany tzw. „kozą”, tj. zostaniem po lekcjach i stosownym pouczeniem. Pomimo tego on i wszyscy nauczyciele wobec których zachowywaliśmy pewien dystans, byli przez nas bardzo szanowani.

Po I Komunii św. zaczęło się we mnie rozwijać życie religijne. Zostałem ministrantem. Smutnym przeżyciem dla mnie była śmierć ks. prałata Jana Matulanisa. Jego następcą został ks. Wacław Zuba. Założył na terenie naszej parafii 7 organizacji katolickich i rozwinął ich działalność, nie pobierając na ten cel opłat czy składek. Były to: Akcja Katolicka Mężczyzn i Niewiast, Koła Katolickiej Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Krucjaty Eucharystycznej Chłopców i Dziewcząt, Żywy Różaniec i III zakon św. Franciszka.

Mama czynnie uczestniczyła w działalności Akcji Katolickiej. Pewnego razu ze swoją bratową pojechały rowerami w strojach regionalnych do Warszawy pokonując 80. kilometrową drogę. Wspominały tę podróż do końca życia. Hrabina Zamojńska przewodząca Akcji Katolickiej nazwała ich z powodu pięknych łowickich strojów „kwiatkami zjazdu”.

Zapisałem się do Krucjaty Eucharystycznej, czynnie się w niej udzielałem i wkrótce zostałem jej prezesem oraz prezesem Koła Ministrantów. Za tą aktywność zostałem w dniu swych imienin 4 października nagrodzony przez ks. wikarego książeczką, którą przechowuje do dziś i traktuje jak relikwię, gdyż wpajała mi miłość do Boga, Kościoła i Ojczyzny. Gdy 10 lutego 1939 roku zmarł papież Pius XI, w domu urządziliśmy z mamą żałobny ołtarzyk ustrojony polskimi i papieski flagami dedykowany „Polskiemu Papieżowi”. Był nazwany tak gdyż nie wyjechał z Warszawy, jak uczynili to inni dyplomaci, gdy bolszewicy zbliżali się w sierpniu 1920 roku do Warszawy.

Mamusia nie ukończyła żadnej szkoły, ale nauczyła się czytać z książki do nabożeństwa i trochę pisać. Mówiła, że w czasach jej dzieciństwa trzeba było chodzić do szkoły z własnym stołeczkiem, którego nie miała. Może dlatego tak bardzo zachęcała mnie do nauki. Miałem w szkole dobre oceny i zachęcony przez mamę postanowiłem po ukończeniu Szkoły Powszechnej, która była wtedy sześcioklasową, uczyć się dalej. W czerwcu 1939 roku zdałem egzamin do Państwowego Gimnazjum i Liceum imieniem księcia Józefa Poniatowskiego w Łowiczu. Nie byłem jedynym uczniem z naszej klasy, który zdawał do tej szkoły. Niektórzy wybrali szkołę rolniczą na Blichu. Kilku z nas ukończyło później studia wyższe. Wzruszają-

ce były chwile pożegnania ze szkołą, gdy śpiewaliśmy pieśń „Upływa szybko życie” ze słowami prośby ”Idącym w świat z otuchą nie błogosławi Bóg”. Łzy same cisnęły się do oczu, które potęgowały jeszcze naszą wdzięczność dla nauczycieli i wychowawców, wśród których byli oczywiście również księża i katecheci.

18 sierpnia pojechaliśmy z mamą do Łowicza i zapewnieni przez sekretarza szkoły, że wojny nie będzie, złożyliśmy opłatę wstępną i kupiliśmy szkolny granatowy mundurek z tarczą szkolną. Moje marzenia o rozpoczęciu 1 września nauki pogrzał jednak wybuch wojny.

Pod niemiecką okupacją

Po ustaniu działań wojennych uczęszczałem do VII klasy Szkoły Powszechnej w Kocierzewie, której program zbliżony był do materiału I klasy gimnazjalnej. Po jej ukończeniu we wrześniu 1940 roku, z wujecznym bratem Julianem Wróblem, zaczęliśmy dojeżdżać rowerami do Łowicza na tajne komplety. Odbywały się one w mieszkaniu pani mgr Janiny Bączkowskiej, która po stracie męża prowadziła księgarnię, a wolnych chwilach przyjmowała mnie na zapleczu indywidualnie, gdy miałem trudności z opanowaniem jakiegoś materiału z matematyki, łaciny, czy niemieckiego. Taka nauka trwała 4 lata. Jesienią i zimą uczyłem się przy lampie naftowej, później karbidówce o zmniejszonym płomyku, często nawet w oborze wśród bydła, gdyż nikt mi wtedy nie przeszkadzał. Podręczniki kupowałem w Warszawie na placu Marcelego.

Droga z podręcznikami do Łowicza była niebezpieczna. Pamiętam jak pewnego razu wracając z Łowicza od swych nauczycieli zostałem ostrzeżony, że we wsi Wicie, sąsiadującej z Kocierzewem od strony Łowicza grasują żandarmi. Przeczekałem niebezpieczeństwo leżąc na trawie. Dopiero wieczorem wróciłem do domu.

Podręczników w domu nie przechowywałem, ale chowałem je w słomie w stodole albo w oborze pod korytami krów. Zdarzyło się, że 2 lutego 1943 roku, niemieccy żandarmi i granatowi policjanci w wyniku jakiegoś donosu o ukrytej broni otoczyli Kocierzew Płd. i zaczęli przeszukiwanie gospodarstw z dwóch krańców wsi. W naszej stodole znaleźli ukrytą słoninę, którą wskazał niemieckiemu żandarmowi granatowy policjant. Niemiec kazał mi przerzucać słomę w sąsiedku. Cały czas drżałem czy nie znajdą ukrytych książek. Zapytany czy ojciec ukrywa broń odpowiedziałem przecząco, dodając, że ojciec w wojsku nie służył, więc na broń się nie zna. Kazali położyć mi się na wznak i z bronią gotową do strzału znęcali się nade mną. Po 30 minutach zaprowadzili mnie do sąsiada, wrzucili znaną słoninę na samochód. Żandarm kazał mi się odwrócić w kierunku mojego domu, oderwał z plotu sztachtetę i uderzył w plecy. Wracałem do domu rad, że nie znale-

ziono podręczników, ani, że nie zabrali mnie na roboty do Niemiec, jak to się stało w przypadku innych osób tego dnia.

Pomimo trudności i niebezpieczeństw udawało mi się wszystkie materiały przewidziane w programie przerobić i zdawać kolejne egzaminy z przedmiotów od I do IV klasy Gimnazjum. W II połowie 1944 roku korepetycji udzielali mi nauczyciele i profesorowie warszawskich uczelni ewakuowani po powstaniu warszawskim. Pamiętam do dziś nazwisko każdego z nich.: p. Bolewskiego z łaciny, p. Maykowskiej z j. niemieckiego. Wśród nich był także Antoni Miazek, były profesor matematyki Żeńskiego Liceum i Gimnazjum w Łowiczu, który wraz z siostrą Władysławą prowadzili w domu swego brata Jana w Kocierzewie Płn. tajne nauczanie na poziomie szkoły średniej. Korzystałem także z ich podręczników. Nauczyciele ci wydali mi zaświadczenie z ocenami zwalniającymi z egzaminów, z wyjątkiem fizyki i historii i religii, które musiałem zdać u moich łowickich nauczycieli.

Zaraz po przejściu frontu 20 lutego 1945 roku zgłosiłem się do Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Łowiczu. Szkoła mieściła się przy ul. Kaliskiej. Przyjęto mnie do II klasy licealnej. Zamieszkałem na krótko u rodziców p. Bączkowskiej, a następnie u p. Orłowskiego, który udostępnił na cele mieszkalne podwórzową komórkę. Obiady przynosiłem od siostr Bernardynek, a skromne śniadania i kolację przyrządzałem z produktów przywożonych z domu. Nauka w trybie przyśpieszonym szkole odbywała się na dwie zmiany. Urządziliśmy nawet demonstrację domagając się lepszych warunków lokalowych. W lutym świętowaliśmy Dzień Żołnierza a 9 maja Święto Zwycięstwa i zakończenia wojny. W końcu czerwca rozpoczęły się egzaminy. W dniu 15 lipca otrzymałem wymarzone Świadectwo Dojrzałości. Trud z lat niemieckiej okupacji nie poszedł na marne.

Nie był to jedyny pożytek edukacyjny jaki wyniosłem w tamtych latach. Od 3 listopada 1941 do 27 czerwca 1942 oraz od listopada 1942 do 3 lipca 1943 roku musiałem obowiązkowo z kolegami z Kocierzewa uczęszczać do „Zawodowej Szkoły Rolniczej dla chłopców” w Kocierzewie. Otrzymałem świadectwo ukończenia tej szkoły nr 6 z wynikiem bardzo dobrym. Wykorzystywałem zdobytą wiedzę pomagając rodzicom w gospodarstwie.

Okres okupacji nie sparaliżował toczącego się życia na wsi. Rodzice mieli przed wybuchem wojny trochę zaoszczędzonych pieniędzy na budowę domu i bali się, że im teraz przepadną. Mamusia pojechała na początku 1940 roku do Łodzi i znalazła przedsiębiorstwo handlowe z materiałami budowlanymi, w którym sprzedawano blachę na pokrycie budynków. Przedsiębiorstwem kierował Niemiec. Umówiła się z nim, że za tydzień przyjedzie po blachę własnym transportem. Po przyjeździe namówiła brata Ignacego, który miał mocny wóz na żelaznych kołach, tzw. półtorak i mocnego konia na wyjazd do Łodzi odległej od naszej wsi o 70 km.

Zima tego roku była śnieżna i mroźna, temperatura dochodziła do minus 30 stopni Celcjusza. Aby po drodze nie zamarznąć zabrali ze sobą pierzynę do owinięcia nóg i bańki po smarach z gorącą wodą, która w połowie drogi w Głownie wymienili. Była już granica rozdzielająca generalne Gubernatorstwo od III Rzeszy. Niemcy wóz jednak przepuścili. Kierownik przedsiębiorstwa powiedział, że według nowych rozporządzeń nie może towaru wydać, ale mamusia powołując się na ustną umowę sprzed tygodnia wymogła wydanie blachy. Zmarznięci, zatrzymali się u krewnych w Łodzi i po odpoczynku zadowoleni wracali do domu.

Następnego roku latem mamusia kupiła 10 tys. cegły tzw. dziurawki w cegielni w Boryszewie koło Sochaczewa. Sąsiedzi przestrzegali nas, że w murowanym domu będzie wilgoć, bo domy były wtedy nieogrzewane centralnie. Następnym zakupem było bukowe drzewo na dach. 23 sierpnia 1943 roku, po żniwach rozpoczęła się budowa nowego domu, po uprzednim rozebraniu starego. Za miesiąc rozpoczęli prace blacharze. 5 listopada pojechaliśmy z mamusią pociągiem do Warszawy po okucia do okien i drzwi a w dniu 13 listopada wprowadziliśmy się już do nowego domu. Dom był drewniany, z betonowym sklepieniem na wypadek pożaru. Z nowego domu nie byliśmy jednak w pełni zadowoleni z powodu zbyt niskiego zrębu. Wyglądał trochę jak szopa. Już po wojnie rodzice postanowili naprawić ten błąd. Poprosili znajomego artystę ludowego z Różyc, szwagra wujka Ignacego, p. Anzelma Kotlarskiego, który po uprzednim zdjęciu blachy przez blacharza, dołożył kilka bali do zrębu. Prace zaplanowano przed żniwami w czerwcu, a ponieważ miesiąc ten był bardzo deszczowy przeróbka domu sporo kosztowała nas kłopotów.

Dom ten stał do 1999 roku, kiedy został zastąpiony domem murowanym, piętrowym, z centralnym ogrzewaniem i łazienkami. Jako 93 letni człowiek mieszkam w nim pamiętając jako jedyny dwa poprzednie. Nie oszczędzając szczegółów chciałem młodemu pokoleniu powiedzieć ile trudu kosztowało kiedyś dorabianie się krok po kroku, i w jakich warunkach żyliśmy. Nigdy jednak nie brakowało nam chęci ulepszenia życia, bez której żaden postęp nie byłby możliwy.

Pod znakiem kształcenia

Po otrzymaniu Świadectwa Dojrzałości postanowiłem uczyć się dalej. Był nawet taki moment, że rozmyślałem żeby uczyć się w seminarium na księdza, ale mama w szczerzej rozmowie powiedziała: *"Zastanów się dobrze czy bylbys dobrym księdzem?".* Słowa te wywołały u mnie głębszą refleksję co to znaczy „dobry ksiądz”. To oczywiście ksiądz bez rodziny, bez majątku. Nieuganiający się za wygodnictwem, skromny, uświęcający innych, nie przysłaniający sobą, swoim postępowaniem Boga. Doszedłem do wniosku, że zaangażowany w pracę i pomoc rodzicom temu nie podołam. Ponadto stawała mi przed oczyma gorycz ojca z powodu opusz-

czenia ojcowizny. Postanowiłem studiować na świeckiej uczelni, chociaż dalej widziałem niezadowolenie ojca, który zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał należytej pomocy w gospodarstwie. Złożyłem dokumenty w sekretariacie Uniwersytetu Łódzkiego, na ul Narutowicza 65 Wydział Prawno-Ekonomiczny, kierunek prawno-sądowy. W październiku rozpocząłem naukę. Zamieszkałem najpierw w Domu Akademickim na ul Kościuszki 17, później na Ogrodowej 28a. Przed nami mieszkali tu żołnierze, spaliśmy w 8 osobowych pokojach, w jednym z nich na 7 piętrze zamieszkałem i ja z 7 innymi kolegami. Pchły i pluskwy nie dawały nam spokoju, brudziły pościel i kąsały w nocy. Ratowaliśmy się proszkiem DDT z amerykańskich dostaw.

Chleb był na kartki. Po kupieniu bochenka po przyjeździe do akademika zostawała połowa, tak smakował, zwłaszcza świeży. Solone masło i ser przywożone co miesiąc ratowały młody organizm. Jako syn kułaka, nie mogłem korzystać ze stypendium. Nie chcąc obciążać zbytnio zapracowanych rodziców nie żądałem od nich pieniędzy na opłacenie obiadów, które robiłem sobie sam z przywożonych z domu produktów. Jeden z moich kolegów, Marian Pirogowicz, syn nauczyciela z Białej Podlaskiej, widząc jak się odżywiam i obserwując coraz bledszą moją cerę, w czasie ferii podpisał bez mojej wiedzy podanie o stypendium i po powrocie na uczelnię wręczył mi pieniądze, które wystarczyły na kupno obiadów. Śniadania i kolacje miałem zapewnione w stołówce uniwersyteckiej „Gęsie Pióro” przy ul. Piotrkowskiej 48, lub w stołówce Politechniki przy ul Piotrkowskiej 24. Jeśli trafiła się pluskwa w zupie, wyrzucało się po prostu i dalej jadło bez obrzydzenia. Po dwóch latach chleb w stołówkach wydawany był już bez ograniczeń.

Wykłady odbywały się początkowo w fabrycznych halach i w Sądzie Okręgowym przy Placu Dąbrowskiego. Siedzieliśmy gdzie popadło, na podłodze, maszynach, parapetach okien itd. Czasem robiliśmy notatki na kolanach i plecach kolegów siedzących przed nami. Profesorami byli starsi, przedwojenni pedagodzy. Wielu z nich to wykładowcy „Wolnej Wszechnicy Polskiej”. Kolokwia i egzaminy zdawaliśmy u Profesorów lub ich asystentów. Prof. Natalia Gąsiorowska, autorka „Historii Społeczno-Gospodarczej” wprowadzała nas w tajniki rozwoju społeczeństw, a prof. Borys Łapicki swoim „Prawem Rzymskim” w poszczególne prawa w starożytnym świecie. W późniejszych latach uczyliśmy się już prawa współczesnego.

Profesorowie mieli różne poglądy polityczne. Za prawicowe w okresie późniejszym tzw. „Kultu jednostki” byli oskarżani, sądzeni i karani. Jednym z nich był prof. Gorzuchowski, antropogeograf, sądzony przez sąd wojskowy. W grupie WIN wraz z prof. Kazimierzem Grendą, wykładowcą w Wyższej Szkole Handlowej, sądzeni byli jego współpracownicy. Studenci byli bardzo zróżnicowani wiekowo, wśród starszych wielu było w okresie okupacji żołnierzami podziemia: AK, NSZ, AL, BCH i innych organizacji.

Na terenie uczelni działały organizacje młodzieżowe: Związek Walki Młodych „Życie” (komunistyczne); Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej oraz Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Połączyły się one później w jeden „Związek Młodzieży Polskiej” ZMP. Ja nie należałem do żadnej z nich. Należałem tak jak wszyscy studenci do „Bratniej Pomocy”.

W grudniu 1945 roku brałem udział w marszu studentów protestujących w związku z zabójstwem w parku Staszica studentki Marii Tyrankiewicz. Morderstwo to przypisywano żołnierzom radzieckim. Zginął w tym czasie także zamordowany sekretarz Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL Bolesław Ściborek. Zachęcony przez kolegów byłem na Zjeździe Wojewódzkim PSL z udziałem prezesa PSL Stanisława Mikołajczyka wracającego do Polski. Niesiono go na barkach z samochodu do Teatru Powszechnego przy ul. 11 listopada śpiewając przy tym ze łzami: *„Nasz prezes Mikołajczyk to chłop nie lada, niechaj go krzepi chłopska gromada. Tego Ci Prezesie młodzi chłopci życzą, aby nas pobratał z gromadą robotniczą”*. Ja też też nie opanowałem. Uczczono na zjeździe skrytobójczy mord Ściborka.

Cały czas wolny poświęcałem na naukę ucząc się w świetlicy Domu Akademickiego lub biblioteki, czy czytelnicy przy ul. Andrzeja Struga 27. Czasem chodziłem do kina, pamiętam film „Dzwonnik z Noterdam”.

Aby nie obciążać rodziców kosztami utrzymania podjąłem w lipcu 1946 roku pracę w Banku Gospodarstw Krajowego przy ul. Kościuszki 63 na stanowisku kandydanta, na którym przepracowałem pół roku. W drugim roku studiów zapisałem się na Studium Wyższej Wiedzy Religijnej przy Duszpasterstwie Akademickim w Łodzi przy ul. Sienkiewicza 60. Otrzymałem indeks z podpisem rektora studium ks. biskupa Kazimierza Tomczaka. Studia trwały 6 semestrów. Działalność studium opisałem w artykule: *„Druga rocznica SWWR w Łodzi”*, zamieszczonym w Słowie Powszechnym. (nr 317 z dn. 19 11 1948 r.). W ostatnim okresie studiów na Uniwersytecie przeprowadziłem się z akademika do kolegi Pirogonowicza na Plac Wolności do mieszkania nad restauracją. Po wspólnej nauce wsłuchiwałem się w melodie dochodzące z restauracji.

Razem z kolegą chodziliśmy do kościoła garniowanego będącego blisko naszego mieszkania i przyjmowaliśmy sakramenty. Po śmierci kard. Hłonda przeżywałem radośnie transmitowany przez radio ingres Prymasa Wyszyńskiego, który miał miejsce 6 lutego 1949 r.

Mieszkając i ucząc się w Łodzi nie traciłem kontaktu z rodzicami i rodzinną wsią. Przyjeżdżałem w odwiedziny co miesiąc. W czasie wakacji pomagałem w polu. Często kupowałem w łódzkich aptekach trudno dostępne w Łowiczu lekarstwa dla chorych sąsiadów. Brałem udział w pogrzebach bliskich mi osób, w uroczystościach weselnych i zabawach. Po 4 latach nauki w 1949 roku zostałem magistrem prawa. Dyplom odebrałem 18 sierpnia 1949 r.

W drugiej połowie 1949 roku przyjechał incognito do rodziców wiceminister Ministerstwa Kolei inż. Zygmunt Balicki, aby zabrać pamiątki rodzinne po swojej matce, która po powstaniu warszawskim mieszkała w naszym domu w Kocierzewie. Gdy zachorowała na tyfus została zabrana do szpitala w Łowiczu gdzie zmarła. W toku rozmowy w czasie skromnego przyjęcia minister zaproponował mi pracę w kierowanym przez siebie ministerstwie. Obiecał, że w przyszłości może uda mu się załatwić pracę w ministerstwie rolnictwa. Zamieszkałem u rodziny we Włochach. Pracowałem w departamencie Dróg Kołowych tylko 2 miesiące, do końca 1949 r. Zrezygnowałem ze względu na brak zainteresowania tą pracą i niskie zarobki, które wynosiły wtedy 13 tys. zł miesięcznie.

Od 1 stycznia 1950 roku zatrudniłem się w Ekspozyturze Wojewódzkiej Centrali Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskiej przy ul. Hożej 51 w charakterze kierownika referatu nieruchomości. Z tej pracy byłem zadowolony. Zarabiałem znacznie więcej bo 33 tys. zł. Często wyjeżdżałem do mleczarni na terenie województwa. Miałem dużo samodzielności i swobody dysponowania czasem, zapewniono mi urlopy okolicznościowe na doksztalcenie a nawet 3 dniowe urlopy na prace żniwne u rodziców. W Słowie Powszechnym ogłosiłem, że poszukuję mieszkania i znalazłem je u p. Jana Janczewskiego przy ul. Twardej (KRN) nr 62.

W celu dalszego pogłębiania wiedzy religijnej w listopadzie 1949 roku zapisałem się na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Warszawskiego (sekcja katechetyczna) i zostałem przyjęty na II kurs. Razem ze świeckimi kolegami i zakonnicami uczęszczałem wieczorami do Seminarium na Krakowskim Przedmieściu, słuchałem wykładów i zdawałem egzaminy z teologii i katechetyki.

Wieczorami przez 5 miesięcy od 11 września 1950 roku raz w tygodniu uczęszczałem na kurs buchalteryjny Kamińskiego, który odbywał się przy ul. Sikorskiego 23. Ukończyłem go z wynikiem dobrym na początku 1951 r.

W dniu 17 grudnia 1951 roku przeżyłem w Warszawie święcenia kapłańskie brata Juliana Wróbla, z którym chodziłem na tajne komplety w Łowiczu, otrzymane z rąk ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego. W Boże Narodzenie odprawił Mszę Św. Prymicyjną w naszej rodzinnej parafii w Kocierzewie a 3 dni później odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku naszego wspólnego dziadka Rocha Wróbla.

Bardzo ważny był w moim życiu rok 1952. Najpierw w maju z żalem pożegnałem ks. proboszcza Wacława Zubę, który odszedł do parafii w Kolbieli. Był moim wychowawcą i duchowym przewodnikiem moich rodziców. W tym roku zasugerowałem rodzicom, że może dobrze by było dla mnie i dla nich, abym opuścił gospodarstwo i pracował umysłowo. Mamusia nie oponowała. Ojciec ze łzami w oczach spojrział na nią jakby miał żal o to, że zawsze dążyła do mojego wykształcenia. Patrząc na nich, zapracowanych, którzy oddali mi wszystko czym dysponowali, nie chciałem stać się powodem zasiania między nimi niezgody i zawieść pokładanych

we mnie nadziei. Może mieliby lepszą starość bez gospodarstwa, ale i ja wtedy zdałem sobie sprawę, że tę ziemię ojcowską również pokochałem, pracując na niej w pocie czoła w czasie wakacji i urlopów. Postanowiłem zostać na gospodarstwie, stawiając samemu sobie dwa warunki: zdobycie studiów rolniczych i stopniowe zmechanizowanie gospodarstwa, aby nie pracować tak ciężko jak moi rodzice. W dniu 31 lipca 1952 roku zrezygnowałem z pracy w Warszawie.

Przystąpiłem w domu do napisania pracy magisterskiej na Wydziale Teologicznym UW pt. „Najistotniejsze cechy pedagogiczne nauczyciela chrześcijańskiego”, którą przedłożyłem do oceny 15 grudnia. W lutym 1953 roku otrzymałem pismo z Uniwersytetu Warszawskiego, abym do wypisania dyplomu dostarczył jeden egz. pracy i poświadczenie zdania egzaminu z Historii Kościoła. Na powyższe pismo jednak nie odpowiedziałem z uwagi na planowane studia rolnicze. Świadectwo maturalne z dowodem ukończenia studiów teologicznych byłoby przeszkodą przy przyjęciu na studia w SGGW. Chciałbym przy tym wyjaśnić, że wcześniej szkoła ta odmówiła mi przyjęcia ze względu na już ukończone studia w Łodzi. Aby zacząć studiować rolnictwo musiałem więc użyć innego sposobu.

Ponieważ miałem jeszcze nie odebrany dyplom z Wydziału Teologii wypożyczyłem moje świadectwo dojrzałości i jako maturzysta zwróciłem się do prezesa Wiejskiego Związku Samopomocy Chłopskiej w Kocierzewie (poradziła mi tak gazeta *Gromada Rolnik Polski*). Romana Jabłońskiego, a następnie do prezesa gminnego tego Związku w Chańsie, p. Roroga, z prośbą o skierowanie mnie na zaoczne studia rolnicze. Po uzyskaniu odpowiedniego zaświadczenia zostałem przyjęty na krótki kurs wprowadzający. Po zdaniu wymaganych egzaminów z matematyki, fizyki, chemii oraz wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, zakwalifikowano mnie jako rolnika indywidualnego wraz działaczami partyjnymi i kierownikami PGR na pierwszy rok studiów zaocznych SGGW.

Przez 5 lat dojeżdżałem raz w tygodniu w soboty i niedzielę, a czasem i w inne dni tygodnia na wykłady, ćwiczenia i kolokwia. Praktykę odbyłem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Czerniewie, w sąsiedniej gminie Kiernozia. Spośród 300 studentów rozpoczynających wraz ze mną studia do końca wytrzymało 70-sięciu. Tytuł inż. rolnika uzyskałem 16 czerwca a dyplom odebrałem kilka miesięcy później 30 listopada 1958 r. „Chłopska Droga” zamieściła o mnie w nr. z dn. 8 X 1968 r. artykuł zatytułowany „Inżynier rolnikiem”, co rzeczywiście w tamtym czasie było rzadkością.

Czas mojego studiowania przypadł na bodaj najtrudniejszy okres dla gospodarstw chłopskich, szczególnie dla większych obszarowo, do których należało gospodarstwo rodziców. Doświadczalem tego pracując z rodzicami i studiując zarazem zaocznie. Gospodarstwo liczące 12 hektarów należało wobec ówczesnej nomenklatury do „kułackich” i obciążone było progresywnymi obowiązkowymi

dostawami zbóż, mięsa, mleka, wełny. Płacone za nie zaniżone ceny nie pokrywały nawet kosztów ich produkcji. Za niewykonanie dostaw, groziły różne kary, więzienie, karne procesy pokazowe. W Łowiczu utworzono nawet obóz pracy „Kapituła”,. Rolnicy wzywani byli przez prokuratorów na rozmowy z „wrogami” ustroju. Za nie wywiązanie się z obowiązkowych dostaw groziło nawet karne włączenie gospodarstwa do Spółdzielni Produkcyjnej. Dla opornych nie było litości. Kiedy chciałem ochronić ojca wezwanego do prokuratury prosząc o przesunięcie terminu dostawy zboża z uwagi na jego wiek, miał już wtedy 70 lat, prokurator zażądał, żeby ojciec oddał już zboże następnego dnia i mnie uczynił odpowiedzialnym za dotrzymanie tego terminu. Pamiętam jak przy zwózce z pola zboża kierownik Wydziału Rolnictwa p. Golisz, zjawił się w stodole nakazując dostawę zboża następnego dnia, co było przecież nie możliwe. Zboże trzeba było przecież najpierw wylócić, co wykonywało się dopiero po zakończeniu żniw. Terminy dostaw ustalano czasem, gdy zboże stało jeszcze na polu, co miało charakter wyłącznie represyjny. Obciążenia gospodarstw nie uwzględniały też wielkości uzyskiwanych plonów, które ze względu na brak nawozów sztucznych czy nieurodzaj spowodowany warunkami pogodowymi były niskie.

Rolnicy ratowali się przed karami wyjeżdżając na Ziemie Odzyskane, albo do innych, zasobniejszych powiatów, gdzie dokonywali zakupów zboża. Bywało i tak, że część rolników oszukiwała zdobywając od magazynierów kwity bez dostawy zboża. Na naszym terenie 16 września 1954 odbył się proces jednego z referentów skupu zboża przy GS Chaśno oraz kilku pracowników Gminnej Delegatury Ministerstwa Skupu, zamieszanych w ten proceder.

Pewnego roku rodzice dali pieniądze na zakup zboża jednej ze znajomych rolniczek z naszej wsi, która miała je nabyć będąc u rodziny Starogardzie. Magazynier ją jednak oszukał twierdząc, że zboże nabył, wziął za nie pieniądze, lecz zboże do magazynu nie wpłynęło. Skazano ją na rok więzienia, a moi rodzice i inni rolnicy, którzy jej przekazali w ten sam sposób pieniądze byli zatrzymani w areszcie na 2 dni.

Mamusia chcąc zdobyć pieniądze na zakup zboża i ratować ojca i mnie od kary skupowała na rynku przedzoną owczą wełnę po niższej cenie, prała ją i farbowała, a wieczorami i nocami na krosnach tkła tzw. samodział. Wozilem go do Warszawy p. Modzelewskiemu, który w swym zakładzie szył modne wówczas samodziałowe czapki i marynarki. Zakład ten mieścił się przy domu Braci Jabłkowskich. Za sprzedany materiał otrzymywałem bardzo korzystną cenę. Zarobione w ten sposób pieniądze wraz z moimi oszczędnościami za pracę w Warszawie, przeznaczylismy na zakup zboża i sprzedaż go w ramach obowiązkowych dostaw po bardzo niskiej cenie.

To trwało już nawet wtedy gdy jeszcze pracowałem w Warszawie. Podczas urlopu osobiście jeździłem do Sochaczewa, Gabina, Płocka, Gostynina a nawet do wspomnianego wcześniej Stargardu Szczecińskiego w celu zakupu zboża na wol-

nym rynku i dostarczenia go do magazynu GS jako obowiązkowe dostawy. Wiele się musiałem wtedy tego zboża na własnych plecach nanosić.

Życie ma jednak swoje naturalne prawa, czy to podczas okupacji czy w latach „Kultu jednostki”, w wielu swych nurtach toczyło się nadal normalnie. Jak zawsze odbywały się wesela, na które proszono mnie o wygłoszenie przedślubnych przemówień przed odjazdem młodej pary do kościoła dla złożenia przysięgi małżeńskiej. Pradawny to był zwyczaj, dziś już prawie całkowicie zanikły. Wielu moich krewnych wyprawilem swymi przemówieniami na nową drogę życia. Księża proboszczowie prosili mnie o wygłaszanie powitalnych przemówień z okazji biskupich wizytacji lub innych wydarzeń i doświadczałem tego zaszczytu przez większość mojego życia.

Tymczasem władza wprowadzała szkolenie rolników. Dla starszych wiekiem był to cykl wykładów w ramach tzw. agrominimum, dla młodszych Szkoły Przystosowania Rolniczego. Zanim jeszcze uzyskałem tytuł inż. rolnika zostałem poproszony przez kierownika miejscowej szkoły Jana Gasika o podjęcie roli nauczyciela w powstającej w Kocierzewie Szkole Przystosowania Rolniczego. Prace podjąłem 1 listopada 1957 roku i kontynuowałem ją przez następne 2 lata, w między czasie, jak już wspominałem, odbierając dyplom ukończenia studiów SGGW. Pracując w szkole zostałem skierowany na kurs pedagogiczny do Katowic, z którego zostałem wezwany do domu z powodu budowlanej katastrofy do jakiej doszło podczas mojej nieobecności.

Z myślą o modernizacji gospodarstwa zakupiłem w 1958 roku formę do wyrobienia cegły tzw. cementówki. Z tak pozyskanego materiału rozpocząłem budowę nowego budynku z przeznaczeniem częściowo na chlewnię a częściowo na tzw. „letniak”. Budynek stał już przed moim wyjazdem na kurs do Katowic, ale naprędce wykonane sklepienie zarwało się. Wezwany telefonicznie wróciłem do domu, zastając mamę przy czyszczeniu cegieł ze świeżego jeszcze betonu, zmartwioną dodatkowo śmiercią swego ukochanego brata Ludwika Wróbla.

Ożenek

Jako młodzieniec brałem udział w weselach i zabawach, ale życie osobiste pozostawało w cieniu obowiązków szkolnych i gospodarskich. Miałem już ponad 30 lat i w końcu zacząłem rozglądać się za kandydatką na żonę. Myślałem jak każdy mężczyzna aby była żoną dobrą, uczciwą, oszczędną no i w miarę przystojną. Gdy decydowałem się na pozostanie w gospodarstwie myślałem oczywiście o żonie choćby z maturą, ale takie dziewczyny nie chciały wychodzić za rolników lecz marzyły o pracy i zamieszkaniu w mieście. Pozostawał mi wybór prawdziwej gospodarskiej córki, dla której być może moje wykształcenie mniejszą odgrywało

rolę niż wygląd zewnętrzny i status majątkowy. Gospodarstwo należało do wyróżniających się w okolicy no i byłem jedynakiem, bez zobowiązań na rzecz innego rodzeństwa. Nie szukałem więc żony zbyt długo.

Ożeniłem się z 20 letnią, urodziwą panną z wsi Lipnice, Genowefą Jabłońską. Miałem już 34 lata, więc różnica wieku była między nami znaczna, na co zwracali uwagę moi rodzice, ale przy wyborze żony dali mi wolną rękę i wybór ostatecznie zaakceptowali. Wesele odbyło się 15 maja 1960 r. Ślubu udzielał nam cioteczny brat Julian, o którym już pisałem wcześniej. Do ślubu dziewczyny ubierały się wtedy w tradycyjne łowickie stroje, a wesele z paradnym korowodem końskich wozów i bryczek nie odbiegało od dawnych zwyczajów.

Tak jak ja miałem swoje wyobrażenie o przyszłej żonie, tak miała je również moja wybranka. Nie mam więc prawa oceniać naszego małżeństwa tylko z własnej perspektywy, ale fakt, że mamy już za sobą prawie 60 lat małżeństwa świadczy, że udało się nam przezwyciężyć przeszkody na drodze wspólnego życia.

Zaraz po weselu, pragnąc zasilić gospodarstwo wyczerpane budową i kosztami wesela, podjąłem od 1 grudnia pracę w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sochaczewie w referacie ochrony roślin. Zgodnie z umową jaką zawarłem z przewodniczącym Rady Powiatu, w dniu 30 czerwca, a więc przed żniwami zwolniłem się. Rodzice byli już w podeszłym wieku i musiałem więcej angażować się w pracy gospodarstwie. Kupiłem traktorek tzw. „Sam”, wykonany z silnika stacyjnego używanego do maszyn np. młocarni, osadzonego na podwoziu samochodowym. Był bardzo pomocny ale też i często ulegał awarii. Jak trzeba było byłem technikiem i murarzem. Z wykonanych własnoręcznie betonowych pustaków pobudowałem silos na kisonkę. W gospodarstwie szkolnym na Blichu zakupiłem hodowlane cielęta, z których dochowałem się wysokomlecznych krów

11 listopada 1961 roku zacząłem pracować w Szkole Przystosowania Rolniczego w Kozłowie Szlacheckim, jako nauczyciel zawodu. Dojeżdżałem autobusem, rowerem a jak trzeba było to i piechotą przemierzałem 10km drogi. Przepracowałem w tej szkole jeden rok, zbierając sporo pochwał za prawidłowe prowadzenie lekcji.

27 grudnia 1962 roku urodził się nam syn Jan – „Januś” jak go od początku nazywaliśmy Przez następne dwa lata zajmowałem się wyłącznie gospodarstwem ale jesienią 1964 r. dałem się nakłonić do podjęcia pracy w miejscowej Szkole Przystosowania Rolniczego w Kocierzewie, która kierował p. Jan Gasik, zastępując agronoma, który nie dawał sobie rady z uczniami. Znów zgodnie z umowa przepracowałem w tej szkole jeden rok. Byłem więc trochę nietypowym chłoporobotnikiem, dzielącym czas na prowadzenie gospodarstwa i wykorzystującym zdobyte wykształcenie w pracy umysłowej. Starzejący się rodzice byli mi ciągle pomocą.

W 1966 roku pobudowałem własnoręcznie garaż na samochód Warszawę, którą w dniu 3 maja przyprowadziłem z żoną z łódzkiego Polmozbytu, kiedy wracaliśmy z uroczystości milenijnych Częstochowie.

26 czerwca 1969 roku zacząłem pracować w Centrali Nasiennej jako inspektor nasienny. Życie biegło utartym torem aż nagle 13 grudnia 1969 r. spotkało nas wielkie nieszczęście. Idącego do szkoły 7 letniego synka przejechał samochód ciężarowy wiozący buraczane wysłodki. Własnymi rękami zbierałem z jezdni jego mózg. Do końca życia rodzice przeżywają taką stratę. Za dwa lata urodził się nam drugi syn Józef, któremu przyszło przejąć po latach nasze gospodarstwo.

16 listopada 1970 roku kupiliśmy w Czyżewie k/Sannik używany ciągnik C-325, który rozpoczął nową epokę gospodarowania. W następnym roku natomiast kupiliśmy dwie działki budowlane przy ul. Chełmońskiego po 24 ary każda. Na jednej z nich pobudowaliśmy budynek mieszkalny w którym 6 kwietnia 1977 roku zamieszkali rodzice. Od 1 lutego 1973 do 15 listopada 1975 roku pracowałem w Banku Rolnym w Łowiczu przekształconym w Bank Gospodarki Żywnościowej. Była to moja ostatnia etatowa praca umysłowa.

Od ukończenia studiów stale udosконаłem gospodarstwo, najpierw z rodzicami, później z żoną. Mogę napisać, że dotrzymałem warunków jakie stawiałem sobie w 1950 roku, decydując się na pozostanie na wsi. 12 hektarowe gospodarstwo mechanizowałem i modernizowałem, aby nie być gorszym od innych, mniej wykształconych rolników. Jako absolwent trzech wyższych uczelni łatwo w przypadku niepowodzenia mogłem stać się przedmiotem żartów. Podczas mojego gospodarowania pobudowaliśmy wszystkie budynki gospodarcze, chociaż może nie tak nowoczesne aby sprostały szybko postępującym zmianom. 10 stycznia 1974 roku spaliła się nam stodoła. Do końca roku pobudowaliśmy nową a następnego roku dobudowaliśmy do niej oborę. Zakupiliśmy wszystkie maszyny potrzebne do uprawy roli i zbiorów; trzy ciągniki, C-325, Ursus C 330 i C-360, kopaczkę elewatorową, ładowacz obornika, przyczepę samozbierającą, trzy przyczepy wywrotki, ładowacz Cyklop, rozrzutnik do obornika, rozsiewacz nawozów, kosiarkę rotacyjną, kombajn ziemniaczany, kombajn zbożowy, i inne pomniejsze maszyny i narzędzia rolnicze niezbędne w gospodarstwie. Nigdy na ten cel nie brałem kredytów. Brak pieniędzy uzupełniałem dodatkową pracą poza gospodarstwem. Dzięki temu i zdobyte wykształcenie rolnicze i pozarolnicze okazało się bardzo przydatne.

Działalność społeczna

W pracy społecznej przez wiele lat nie udzielałem się. Byłem osobą wierzącą i blisko związaną z kościołem. Nie chciałem ani przeszkadzać innym ani nie być wśród innych tylko dekoracją. Pierwszą społeczną funkcję objąłem dopiero

w 1975r jako członek, a później przewodniczący Społecznej Komisji Pojednawczej w Urzędzie Gminy Kocierzew.

Aktywnie włączyłem się natomiast w działalność społeczna gdy powstawała Solidarność. Byłem zaintrygowany nowym ruchem. Początki naszej wiejskiej Solidarności były początkowo nieśmiałe. W końcu grudnia 1980 i na początku nowego roku odbywały się we wsiach naszej gminy zainspirowane przez jednego z rolników ogólnowiejskie zebrania, w których i ja brałem udział. Wkrótce na każdej wsi byli już organizatorzy nowego ruchu. Na zebraniach tych przeciągających się do późna w nocy omawialiśmy sytuację w rolnictwie dochodząc do wniosku, że wzorem robotników, także i my rolnicy powinniśmy mieć własny, niezależny związek zawodowy za pośrednictwem którego moglibyśmy przedstawiać władzom swoje postulaty. Zainteresowanie rolników i frekwencja na zebraniach była bardzo duża. Uczestnicy zebrań spontanicznie zapisywali się na listy członków. Z niektórymi działaczami brałem udział w zebraniach na szczeblu wojewódzkim: 28 marca w Żyrardowie, a 2 kwietnia w Skierniewicach.

3 maja 1981 roku dzięki uprzejmości ks. proboszcza odbył się po mszy św. Gminny Zjazd Delegatów z poszczególnych wsi gminy. Byli obecni księża proboszczowie z sąsiednich parafii, władze gminne, kierownicy różnych instytucji i organizacji z terenu gminy Kocierzew. Na zebraniu 47 delegatów reprezentujących 395 członków z 14 wsi wybrało Komitet składający się z 14 osób reprezentujących każdą ze wsi w naszej gminie, gdzie był już zorganizowany Związek. Mnie wybrano przewodniczącym Gminnego Komitetu. Ustalono wtedy, że należy odbyć wiejskie zebrania, na których przedyskutowane zostaną postulaty rolników. Przez następne dwa tygodnie odbywały się one każdego wieczoru w poszczególnych wsiach. Odzwierciedlały braki środków produkcji, problemy socjalne, usprawnienie obsługi rolnictwa i rolników ze strony różnych instytucji, sprawy kadrowe. Protokoły z tych zebrań stanowią po latach dowód, w jak wielkim kryzysie była ówczesna gospodarka, jak nie racjonalnym był panujący ustrój, ile tworzył patologii i jak wypaczał stosunki między ludźmi. Na jednym z zebrań 12 maja dotarła do nas radosna wiadomość o rejestracji NSZZRI Solidarność przez sąd w Warszawie, ale już następnego dnia smutna wiadomość z Watykanu o zamachu na papieża Jana Pawła II. Podczas zebrań ludzie dalej zapisywali się do Związku. Liczba członków wzrosła do 475.

Po odbyciu zebrań w każdej wsi odbyliśmy spotkanie Gminnego Komitetu z Naczelnikiem Gminy p. Zdzisławem Kłosem i przedstawicielami instytucji z terenu gminy. Podkreśliliśmy na wstępie, że organizacja nasza ma na celu odnowę moralną członków i ich rodzin, oraz odnowę wszystkich instytucji w gminie, tak aby rolnik był należycie obsługiwany. Bez burzenia chcieliśmy konstruktywnie poprawiać sytuację w naszej gminie. Na zebraniu tym przedstawiliśmy postula-

ty pod adresem Naczelnika Gminy, Zarządu Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, Banku Spółdzielczego, Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej, Spółdzielni Kółek Rolniczych, Ośrodka Zdrowia, Punktu Weterynaryjnego, Poczty oraz Szkoły. Na wielu zebraniach wiejskich upominano się o to aby w salach szkolnych zawiesić krzyże, i aby w czasie rekolekcji dzieciom nie utrudniać w nich udziału. Realizując konsekwentnie nasz program 4 czerwca przeprowadziliśmy kontrolę w Gminnej Spółdzielni. Następnego dnia wzięliśmy udział w uroczystym posiedzeniu Prezydium Gminnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. 20 czerwca 1981 r. na posiedzeniu zarządu Wojewódzkiego Związku zostaliśmy poinformowani o powstaniu Rady Gospodarczej pod przewodnictwem marszałka sejmiku Romana Malinowskiego, w której będzie brał udział przewodniczący NSZZRI Solidarność Jan Kułaj. 29 czerwca braliśmy udział w posiedzeniu Rady nadzorczej GS, 2 lipca uczestniczyliśmy w Prezydium Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, a 13 lipca w zebraniu gminnym w sprawie rozdziału papierosów, które były na kartki. Po formalnym zarejestrowaniu Związku powoływaliśmy zarządy Kół w każdej wsi. Powstały wiejskie organizacje w dwóch wsiach, gdzie do tej pory Związek nie był jeszcze zorganizowany.

2 sierpnia 1981 roku w Szkole Podstawowej w Kocierzewie odbył się Gminny Zjazd NSZZRI Solidarność, w którym wzięło udział 67 delegatów spośród 106 wybranych proporcjonalnie do liczby członków w 16 Kółach Wiejskich z 18 wsi. Liczba członków wzrosła do 525. Nie było wcześniej tak masowej organizacji w naszej gminie. Zjazd powierzył mi funkcję przewodniczącego Zarządu Gminnego. Regularnie raz w miesiącu odbywały się posiedzenia całego zarządu. W sierpniu zawiesiliśmy krzyże w salach szkolnych. 4 września byliśmy u Naczelnika Gminy w sprawie budowy piekarni, której potrzeby nikt nie kwestionował. 16 września braliśmy jako organizacja udział w ingresie Prymasa Józefa Glempa w Łowiczu. W tym też miesiącu przyłączyliśmy się do ogólnopolskiej akcji niepłacenia III raty podatku gruntowego w odpowiedzi na zerwanie przez rząd porozumienia w sprawie Funduszu Rozwoju Rolnictwa, cen na usługi SKR i projektu ustawy o Samorządzie Rolniczym. W wyniku tego protestu pomyślnie udało się załatwić tylko przekazanie Funduszu Rozwoju Wsi do dyspozycji poszczególnych wsi. Pozostałe postulaty nie zostały załatwione. W październiku próbowaliśmy ustalić w gminie zasady przydziału ciągników i maszyn. Te same sprawy stały na zebraniu wojewódzkim 24 października, na którym przygotowywaliśmy odbycie Zjazdu Wojewódzkiego. 18 listopada byliśmy w dość licznej 27 osobowej delegacji z Kocierzewa na spotkaniu Wojewódzkiego Komitetu NSZZRI z władzami województwa skierniewickiego na czele z wojewodą p. Borczykkiem. Na spotkaniu tym przedstawiono 30 postulatów naszego Związku. Oto one;

1. *Konstytucyjne zagwarantowanie nienaruszalności indywidualnej własności ziemi, prawo jej dziedziczenia i swobodnego obrotu;*

2. Uznana zebrania ogólnowiejskiego za jedynego reprezentanta wsi;
3. Przeprowadzenie demokratycznych wyborów do Gminnych Rad Narodowych i zagwarantowanie wybieralności naczelników gmin przez rade w tajnych wyborach.
4. Sprzedaż rolnikom indywidualnym ziemi źle użytkowanej oraz zabranej wbrew woli rolników należącej do PGR, RSP i innych instytucji.
5. Zaprzestanie finansowania CZKiOR, WZKiOR, GZKiOR oraz zrzeszeń branżowych w formie kredytów, dotacji i przymusowych składek plantatorskich. Wprowadzenie zasady, że rolnik opłaca składkę plantatorską na rzecz dobrowolnie wybranej organizacji.
6. Wprowadzenie ustawy o ubezpieczeniu społecznym rolników i ich rodzin według projektu NSZZ RI Solidarność
7. Zagwarantowanie NSZZRI solidarność dostępu do środków masowego przekazu/ radio telewizja/ oraz udzielenie pozwolenie na wydawanie tygodnika /Solidarność rolników/
8. Umożliwienie nauki religii w szkołach jeśli jest taka wola wsi.
9. Odstąpienie od sprzedaży wiązanej maszyn prowadzonej bez uzgodnienia z naszym związkiem.
10. Zrównanie dostaw nawozów mineralnych w przeliczeniu na 1 ha dla gospodarstw indywidualnych z dostawami dla innych sektorów oraz zaprzestanie sprzedaży nawozów mineralnych od dostaw produktów rolnych, dotyczy to także innych środków produkcji.
11. Wprowadzenie dobrowolności ubezpieczenia zwierząt oraz dobrowolności opłacania składek PZU.
12. Anulowanie w SKR cen za usługi wprowadzone bez udziału przedstawicieli NSZZ RI Solidarność, a które nastąpiły po 15 lipca 1981 r zwrócić rolnikom.
13. Zwiększenie dostaw i regularne rozsyłanie po sklepach wiejskich artykułów żywnościowych i higieny.
14. Dostawa odpowiedniej ilości odzieży ochronnej, zimowej, butów gumowych, filcowych itp.
15. Zrealizowanie dostaw węgla na cele bytowe dla rolników zgodnie z przydziałem oraz dostaw węgla z tytułu odstawionych w 1981 r. wszystkich artykułów rolnych z odpowiednim przeliczeniem.
16. Niezwłoczne uruchomienie mechanizmów, które przyczynią się do zwiększenia produkcji sprzętu rolniczego i innych środków produkcji w zakładach przemysłowych.
17. Ujednoczenie systemu kredytowania gospodarki rolnej.
18. Przyznanie przedstawicielom NSZZ RI Solidarność prawa kontroli sklepów i magazynów, jednostek zaopatrujących rolnictwo.
19. Nieodpłatne wydzielenie każdemu zarządowi lokalu z niezbędnym wyposażeniem technicznym/telefon, powielacz, maszyna do pisania, swobodny dostęp do teleksu.

20. Ustanowienie bezwzględnego zakazu wyłączania energii elektrycznej na wsi.
21. Przekazanie wsi wszystkich zamrożonych kwot FRR za rok 1981.
22. Żądamy zaniechania organizacji WOPR w woj. Skierniewickim zgodnie z naszą wcześniejszą uchwałą.
23. Żądamy przydzielenia odpowiedniego lokalu dla WKZ w Skierniewicach.
24. Domagamy się reorganizacji administracyjnej w woj. skierniewickim zgodnie z uchwałami wsi, gmin i miast.²⁵
25. Zwiększyć przydział cukru i wyrobów cukierniczych wszystkich asortymentów.
26. Poprawić organizację pracy urzędów na terenie woj. skierniewickiego pracujących dla rolników.
27. Żądamy sprzedaży terenów łowieckich. O warunkach sprzedaży będzie decydować wieś.
28. Maksymalnie przyspieszyć na terenie budowę urządzeń melioracyjnych oraz wodociągowych/skrócić ich realizację/.
29. Zobowiązujemy władze wojewódzkie do zajęcia się ochroną środowiska w szczególności rzekami Pisią i Bzurą. Przeznaczyć fundusz w nowym roku na budowę oczyszczalni.
30. Zabezpieczyć zgodnie z przepisami dowóz dzieci na polach gospodarstw uspołecznionych do prac polowych.

O przekazaniu powyższych postulatów powiadomiliśmy Zarząd Gminny zaznaczając, że w tym samym dniu w obecności wicewojewody uchwalona została przez Zarząd gotowość strajkowa. W dniu 22 listopada odbyło się ostatnie przed stanem wojennym zebranie Zarządu Gminnego. 6 grudnia na zjeździe wojewódzkim związku wybraliśmy przewodniczącym Związku Tadeusza Szymańca.

13 grudnia wprowadzony został stan wojenny. 17 grudnia jako aktualny przewodniczący gminnej organizacji zostałem zawieszony na posterunek Milicji Obywatelskiej w Kocierzewie. Po zaproponowaniu mi współpracy i kategorycznej odmowie z mojej strony zakazano nam dalszej działalności związkowej, polecając zdać nasz skromny sztandar-flagę, i listę członków, czego odmówiłem. Polecono zdać również dotychczasową korespondencję i znaczki, książeczkę czekową z naszymi wpłatami do Banku Spółdzielczego.

Następnego dnia wykonaliśmy to zadanie protokołem zdawczo-odbiorczym na ręce Naczelnika p. Kłosa. Był członkiem PZPR, którego nie oszczędzaliśmy przed stanem wojennym, a nawet próbowaliśmy usunąć z urzędu. W chwili przekazywania dokumentów związkowych podziękował nam za rozważne działania podkreślając, że wiele się od nas nauczył i na nasze łyzy odpowiedział własnymi. Pocieszał, że stan wojenny nie będzie trwał długo i zawieszenie Związku jest tymczasowe.

Jako rolnicy byliśmy stanem wojennym bardzo zaskoczeni. Jedni wystraszeni milczeli, inni zawiedzeni tracili nadzieję. Nasze wcześniejsze działanie nie było

zbyt upolityczniane, koncentrowało się na lokalnych problemach, głównie gospodarczych. Niektórzy czynili nam z tego powodu zarzuty, lecz teraz dziękowali za rozsądne działanie. W takim ukierunkowaniu działalności i ja miałem swój udział.

W latach 1982–83 nie prowadziliśmy żadnej działalności związkowej. W następnych latach braliśmy udział w wydarzeniach religijnych i patriotycznych. W 1984 wzięliśmy udział w pogrzebie zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszki. Od 1985 nasza delegacja brała udział w dożynkach na Jasnej Górze organizowanych przez Duszpasterstwo Rolników i w sympozjach je poprzedzających. Z czasem i my postanowiliśmy utworzyć w naszej parafii Duszpasterską Wspólnotę Rolników. Udaliśmy się z tą sprawą do ks. prałata Bogusława Bijaka w Wilanowie, duszpasterza wspólnot parafialnych i orędownika zjednoczenia ruchu ludowego. Zaproponował nam udział w rekolekcjach/sympozjum w dniach 5–8 lutego 1987 r. Brałem w nim udział z niezującym już Janem Muchą ze wsi Różyce w gronie rolników z całej Polski. Wykłady prowadzili; min prof. Andrzej Zakrzewski, red Bójko, prof. Stelmachowski, Gabriel Janowski. Zaprosiliśmy ks. Bijaka do Kocierzewa. Przybył do nas 10 sierpnia 1988 r. Po odprawieniu mszy św. Odpustowej odbyło się zebranie na którym założyliśmy Duszpasterską Wspólnotę Rolników, do której przystąpiło 21 członków. (ks. Bijak dwa lata później poświęcił nam sztandar OSP w Kocierzewie.) Od tej pory wydarzenia polityczne w Polsce nabrały tempa. Rozpoczęły się wkrótce obrady Okrągłego Stołu.

Dzięki ustawie z dnia 7 kwietnia 1989 roku NSZZRI Solidarność mógł wznowić działalność. Zwróciliśmy się do naczelnika gminy p. Zdzisława Kłosa o zwrot przedmiotów przekazanych w 1981 r. Prośba nasza została uwzględniona.

W dniu 28 maja 1989 roku w kościele w Kocierzewie odprawiona została w intencji rolników msza św. odprawiona przez ks. Stanisława Małkowskiego z Warszawy. Po mszy odbyło się spotkanie z kandydatami do senatu. Po nim zebranie organizacyjne wskrzeszające działalność Związku. Wielu członków do tej pory wykruszyło się. Pozostało ok. 250 zgrupowanych w 12 kołach wiejskich. W Zjeździe wzięło udział 102 członków, wybrane zostały nowe władze Zarządu Gminnego. Przewodniczącym został młodszy wiekiem działacz Wiesław Dąbrowski. Dnia 4 czerwca odmłodzony zarząd czynnie uczestniczył przy lokalach wyborczych. Narzucony Polsce po II wojnie siłą ustroj polityczny dobiegał swego kresu.

Oceniając po latach moje zaangażowanie w powstanie i działalność rolniczej Solidarności, chciałbym z pokorą podkreślić, że na terenie naszej gminy nie byliśmy bohaterami. Zapracowani, nie uganiał się za stanowiskiem, wzbogacaniem. Nie wyludzaliśmy pieniędzy z gminy, województwa, rządu czy zagranicy. Poszukiwaliśmy prawdy, jawności w urzędach, uczciwości, starając się w miarę możliwości swoim działaniem do tego także przyczyniać. Dowodem są były po-

stulaty wysuwane na wiejskich zebraniach, które poprzez współpracę i kontrolę instytucji staraliśmy się wcielić w życie. Słowa bł. ks. Jerzego Popiełuszki, syna białostockiego rolnika ze wsi Okopy, że: "należy stać przy prawdzie, choćby miało to nas wiele kosztować" udowodniły słuszność naszego postępowania.

Szkoda, że masowy na początku ruch społeczny, jakim była rolnicza Solidarność zatracił swój charakter. Z 525 członków w 1981 r. pozostało w 1992 tylko stu, a w następnych latach ta liczba stopniała jeszcze bardziej. Zapewne miał na to wpływ stan wojenny i jego skutki, które w niektórych swych objawach są widoczne do dzisiaj. A może powodem było też zniewalanie nas przez pół wieku obietnicami świetlanej przyszłości przez kolejne rządy PRL i przyzwyczajanie do skąpej ale bezpiecznej przyszłości. Największe szkody wyrządził jednak tzw. Plan Balcerowicza i jego terapia szokowa, która doprowadziła do nie uczciwej prywatyzacji Spółdzielni, likwidacji PGR, cukrowni, i innych zakładów obsługujących rolnictwo. Nikt w latach osiemdziesiątych nie miał odwagi powiedzieć, że gospodarka jest bliska bankructwa i że zapłacimy za to ogromnym spadkiem poziomu życia. Dotyczy to także przywódców związkowych i ich doradców. W największym stopniu w pierwszych latach transformacji odczuła to właśnie wieś.

To wszystko zaowocowało nieuzasadnioną niechęcią także do naszego Gminnego Zarządu NSZZRI Solidarność, chociaż nasze działanie było najbardziej uczciwe. Trzeba więc niespełnione marzenia, nadzieje i trud złożyć w darze Bogu, pozostawiając całą działalność indywidualnej ocenie. W 30 lecie powstania Solidarności w naszej gminie opublikowałem szczegółowe sprawozdanie z jej działalności, w którym szczegółowo opisałem zasługi poszczególnych osób, duchownych i świeckich, wyrażając im także należne za to podziękowania.

W 1990 roku przekazałem gospodarstwo synowi Józefowi. 27 maja tego samego roku wybrany zostałem radnym i przewodniczącym Rady Gminy. Zrezygnowałem z przysługujących mi diet i w porozumieniu z wojewodą skierniewickim wezwałem do tego wszystkich radnych. To mi się jednak nie udało, radni nie zgodzili się ze mną chociaż nasza dieta była wtedy bardzo niska, wynosiła tylko 20 zł. Przykładem dla mnie w tym przypadku był znany działacz PSL mecenas Stanisław Fabiański z Łowicza. Chociaż żył skromnie, za usługi prawnicze nie pobierał od rolników wynagrodzenia. Mając niską emeryturę twierdził, że państwa wyczerpanego wojną nie należy wyzyskiwać. Dziś takich społeczników jest coraz mniej a i ja jak się okazało należę do odchodzącego świata.

W 1996 roku syn Józef zawarł związek małżeński. Z żoną Magdaleną mają 6 dzieci. Utrudzony latami pracy nie mam już sił pomagać synowi. Czyni to za mnie dużo młodsza ode mnie żona. Wolny czas wykorzystuję na spisywanie historii naszej parafii, opisałem też sto lat działalności Ochotniczej Straży Pożarnej w Kocierzewie i wspomnianą już działalność NSZZRI Solidarność. Ze społecznej

aktywności pozostało mi jeszcze Koło Przyjaciół Radia Maryja i Telewizji Trwam, których działalność na miarę swych skromnych możliwości wspieram.

W 1999 roku w miejsce Akademii Teologii Katolickiej, w której studiowałem i gdzie ukończyłem Wydział Teologii zaliczeniem pracy magisterskiej, powstał Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wykorzystałem ten fakt aby ponowić starania o wydanie mi dyplomu, co wcześniej okazywało się z powodu nie uporządkowania dokumentów nie skuteczne. Odebrałem go z Wydziału Teologii UKSW 14 grudnia 2006 roku z podpisem ks. prof. dr hab. Romana Bartnickiego po ponad pół wieku od ukończenia studiów. Długie życie pozwoliło mi doczekać i tego momentu.

Pomimo sześcioro wnucząt nie mam pewności, jakie będą losy gospodarstwa, w którego trwanie włożyłem tyle trudu.

Jaś chce być żołnierzem

Piotruś marynarzem

Mateusz nauczycielem

Michał kucharzem

Marzenia Basi są na razie ukryte

Marzenia Antosia idą jeszcze innym torem, chce w przyszłości zostać redaktorem

Ale może jedno z nich moim przykładem zmieni zdanie i pokocha pracę swych rodziców, którą od najmłodszych lat obserwują i w której na miarę swoich sił uczestniczą.